

Anna Rybkowska

Życia nie można zamknąć
jak książki w dowolnym momencie.

Jakiś niedokończony rozdział
sam się kiedyś przypomni.

Lawendowy
Kapelusz

RW2010

„Człowiek (...) potrafi wypełniać krótki okres między urodzeniem a zgonem jak największą dozą egoizmu” – Erich Maria Remarque

*

– Pani Stella pracuje na tarasie. Zaprowadzę...

– Trafie, to ma być niespodzianka.

Cienistym korytarzem, pełnym balsamicznych woni i drgających w przestrzeni obietnic, skrada się, jakby był kotem i posiadał dar bezszelestnego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Jego oczy nawykłe do kojącego półmroku domu rzucają wyzwanie świetlistej postaci na werandzie. Tristan zatrzymuje się w dwuskrzydłowych drzwiach, pod zwieszonymi bluszczami i syci wzrok widokiem, za którym tęsknił. W pełnym złotego pyłu świetle siedzi drobna kobieta w koronkowym szlafrocisku, który wdzięcznie odsłania jej lekko muśnięte przez słońce łopatki i zsuwa się z kruchości ramion. Ma ciemnokasztanowe włosy, ułożone w gruby węzeł, z którego wymyka się kilka niesfornych sprężynek.

Tristan staje w progu i z rozkoszą przymyka oczy. Na jego usta wpływa uśmiech, a tkliwe spojrzenie wymyka się spod powiek. Tak, pragnie zachować ten obraz w pamięci. Gdy ona siedzi skupiona nad otwartym notatnikiem. Pisze piórem, potem przekazuje notatki sekretarce, ponownie sprawdza tekst wklepany do laptopa i część zdań wyrzuca, koryguje niedociągnięcia. Czyni tak od dwóch lat, od kiedy znalazła odpowiednią osobę; Mae nie ma problemu z odczytaniem pisma Stelli i jest na tyle zaufana, że można jej powierzyć pierwociny projektu.

Wcześniej sama próbowała, ale szło jej opornie, zajmowało mnóstwo czasu i było takie uciążliwe. Ciągłe powroty do tekstu, by dokonać najbardziej niezbędnych poprawek, połykanie liter albo sytuacje, w których komputer „wiedział lepiej”, co chciała napisać – to wszystko było irytujące i niepotrzebnie zakłócało proces twórczy. A gdy od razu zamieniała myśli na słowo pisane, zwykle połowa przepadała gdzieś... wśród chmur wiszących nad głową. Wpatrzona tylko w klawiaturę i słuchająca swojego wewnętrznego głosu, który stwarzał nowe jakości i światy, traciła połowę tekstu poprzez nieopatrzne uderzenie w jakiś klawisz. Wskakiwało kilka

spacji, uruchamiał się nagle nagłówek i czynił spustoszenie. Pomstując na swoją niekompatybilność, próbowała z dużo mniejszym entuzjazmem coś odzyskać. Bywało i tak, że nie zapisawszy tego, co zajęło kilka stron, zrywała się, żeby odebrać telefon albo coś przekąsić w chłodzie domu, i w tym czasie po laptopie przechodziło jedno z futrzastych. Pies wpadał na krzesło i uderzał łapą w klawiaturę, wysyłając w kosmos owoc kilku godzin intensywnej pracy!

Teraz pisze w zapamiętaniu, nie unosi głowy. Tristan zbliża się cicho, dopóki deska w podłodze nie zaskrzypi pod jego ciężarem. Kobieta z zarumienioną twarzą odwraca się, wstaje i podbiega doń z rozpostartymi ramionami. Peniuar wznosi się i przesłania jej dekolt.

– Miałeś przylecieć jutro!

– Jesteś na mnie zła?

– Zabrałam się od świtu do pisania i fantastycznie mi idzie. Cały dzień zamierzałam pracować. Wyobraź sobie, że w sąsiedztwie, u pani Almino, Branca urodziła cudowne szczenięta! Muszę ci je koniecznie pokazać. Zauważyłeś, jak zmieniłam patio? Nie wydaje ci się, że teraz jest dużo przyjemniej?

Wiadomo. Pisarka. Ma słowa. Miliony słów na powitanie. Mogłaby tak bez ustanku przez najbliższą godzinę, nie czekając na jego odzew, w ogóle nie licząc na konwersację. Monologi to jej specjalność. Cała zamienia się w jeden, długi, potoczysty monolog. Ale on zamyka pocałunkiem rozdygotane usta. A po chwili, gdy ona uwalnia się od jego namiętności, pyta:

– Miałaś zamiar pracować? Dlatego się tak ubrałaś? A raczej... rozebrałaś? – Wtula twarz w koronki i wdycha niepowtarzalny zapach jej skóry.

Obejmuje ją mocno, porwany entuzjazmem. Jej ciało jest drobne, sprężyste miękkie i szalone. Z pasją – bo ona wszystko tak przeżywa – lgnie do niego. Tristan unosi ją, nie zważając na pary ciekawskich oczu patrzących

z głębi domu. Zsuwa z niej koronki, pochłania ustami szyję, ramiona, piersi, dłonie, które chcą go powstrzymać.

– Na pewno jesteś zmęczony... – Usiłuje nad nim zapanować.

– Czym? – Ociera się policzkiem o jej rozpuszczone włosy. Błękitna wstążka spada z cichym szelestem do jej bosych stóp. – Dopiero zamierzam się nieco zmęczyć.

– Delia zrobi ci coś pysznego do jedzenia... Wypijemy kawę. Chodź!

– O tak! – Bierze ją w ramiona, wraz z naręczem białej koronki, i zabiera do chłodnej sypialni. Rolety są zsunięte, pachnie pudrem i lawendą. Oboje milkną, powierzając swe ciała zmysłowej adoracji...

*

– Młody kochanek, tak, wiem. Działa na przemian jak afrodyzjak i najlepszy kosmetyk. Pobudza krążenie krwi. Wyzwała burzę hormonów, jak w trakcie pokwitania. Stymuluje regenerację komórek, spowalnia procesy starzenia. Jakbym czytała etykietę nadzwyczajnego specyfiku! Chyba dlatego wydajesz się nie mieć swoich lat. Zatrzymałaś się... gdzieś koło trzydziestki i wierzę, że niepotrzebny ci do tego botoks. Nie angażujesz własnych uczuć, tylko pozwalasz się wielbić. Nawet ten lawendowy kapelusz służy ci do zwodzenia biednych facetów! Boże, jak ja ci zazdroszczę! Nic dziwnego, że twoje książki czytają miliony podstarzałych, nieatrakcyjnych bab. Piszesz, że jesteś permanentnie zakochana, ale to w tobie się kochają!

Nancy ma jasne włosy i blady makijaż, sukienkę w kolorze ochry i ogromną liczbę kanciastych bursztynów zawieszonych na szyi. Przemierza szybkim krokiem taras, zaznaczając swoją obecność nie tylko głosem, ale i temperamentem, który sprawia, że włosy, ciuchy, nawet owe mlecznożółte kamienie fruwać wokół jej osoby jak za porywem wiatru.

– Wydaje mi się, że z Tristanem to coś innego, wyjątkowego – zaprzecza Stella. – Widzisz, miotam się między namiętnością a przemożną chęcią rozpostarcia opiekuńczych skrzydeł. Jest przemęczony. Kiedy tu ostatnio był... – Wzdycha. – I tak musiał zaraz wracać. Wydawał się osaczony.

– Przez ciebie? To normalne.

– Nie, przez swoich agentów. Uważam, że powinien się porządnie zrelaksować, gdzieś z dala od zgiełku, hałasu, choćby tutaj... Najlepiej sam, nawet beze mnie.

– Nawet?

– Naprawdę za nim tęsknię, stale myślę... Jest mi go żal.

– Zmęczony gotów zbrzydnąć. – Nancy udaje desperację. – Co wtedy? Matko Boska! Napisz kolejny bestseller. Zatytułuj: „Witraż mojej namiętności ma na imię Tristan” i zarób kolejny milion. A przy okazji zyskam i ja.

– Och, jesteś nieznośna! Nie zapraszam cię do mego włoskiego rajku w celach zawodowych. Powinnaś zrobić sobie rok przerwy, zawiesić wszystko, zrobić antrakt w liczeniu pieniędzy. Popatrz na kwiaty...

– Wolałabym na Tristana. Jest równie urodziwy, jak jego imię oryginalne!

– Któż ci broni? Wybierz się na koncert, nie pożałujesz.

– Bilety są wyprzedane do końca sezonu! Może byś mnie jakoś, po znajomości, wcisnęła, co?

– Jest tylu utalentowanych skrzypków. Chociażby ten, jak mu tam... Serge Frajzig. Ma bodajże siedemnaście lat, a...

– Siedemnaście? Czy ty zamierzasz się kiedyś ustatkować? Na Boga, zamkną cię za uwodzenie nieletnich!

– Oszalałaś, nawet go nie znam! Ale słyszałam, że to bardzo zdolny chłopak, ktoś mi opowiadał...

– Tristan?

– Nie, nie Tristan! Dlaczego ty musisz być taka nudna? Mówiłam już, popatrz na kwiaty.

– O tak! „Kup sobie kapelusz”. – Agentka cytuje przy okazji tytuł ostatniej powieści Stelli Mangione, którą godnie reprezentowała. – A najlepiej zakochaj się w moim cholernie przystojnym stajennym. I pozwól, by cię z pięć razy porządnie ujeździł!

– Stajennym? – Stella marszczy brwi.

– Stajennym! Chcesz mi wmówić, że nie ty przyjechałaś do pracy tego szatyna z zabójczo błękitnym spojrzeniem? Jest idealnie w twoim typie. Te bary i wzrost! Oraz wiecznie opadające z bioder spodnie, ha! On jest zniewalający.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Oj, skończ tę komedię! Wiem, że seks cię tak konserwuje. Po pierwsze seks, po drugie, dla odmiany, seks. I dodatkowo, po trzecie, jednak też seks!

Stella zaczyna żałować, że z dobroci serca okazała się gościnną. Nancy jest przydatna i kompetentna, ale zasada brzmi: nigdy nie zadzierzguj przyjaźni ze swoim agentem, choćby ci było go żal, i w żadnym razie nie lituj się, nie okazuj współczucia, gdy ma słabszy okres pod względem zdrowotnym albo towarzyskim. Nancy nadmiernie się spoufalala; bywała wulgarna i bezczelna. Stella nie znosiła kilku rzeczy – między innymi braku taktu i poczucia humoru. Postanawia nigdy więcej nie zapraszać agentki do Villa Breve.

A co do stajennego... Oczywiście, wiedziała, o kogo chodzi. Rafael miał cudownie rozmarzony wzrok i tym ją od razu podbił. To znaczy od chwili, w której do niej podszedł, zagadał i uśmiechnął się. Lubiła otaczać się pięknem, co w tym złego? Dysonans pomiędzy urodą a szpetotą uważała za jeden z ważniejszych tematów w swoim pisarstwie. Brzydota otaczała zewsząd, samoistnie. Wyłaźła z kątów i leżała na ulicy. Dosłownie. Stella wiele trudu sobie zadawała, by znaleźć dla niej przeciwwagę. Ustawić obok. Porównać i zacząć pomstować na niesprawiedliwość losu. Boga? Co miał powiedzieć człowiek chory, biedny i po prostu, kolokwialnie rzecz ujmując, brzydki, kiedy spotykał na swojej drodze takiego na przykład Tristana?

Przystojnego, z talentem i serdecznym usposobieniem. Jeżeli natura nie miała umiaru w kreowaniu szpetnych projektów, to czy musiała zarazem lubować się w umieszczaniu swych darów tam, gdzie już było ich aż nadto?

O... tak! Lubiła otaczać się pięknem, ale bez przesady. Nie sypiała ze stajennym. Zaledwie kilkakrotnie zamienili ze sobą słowo. Czy dwa. Chłopak miał dwadzieścia trzy lata. Studiował techniki negocjacyjne i marzył o pracy w policji, by móc kiedyś tropić groźnych przestępców. Poznała go przypadkiem, kiedy przebiła oponę w rowerze, a on zaofiarował jej pomoc. Sam podszedł i uprzejmie zagadnął, co się stało, kiedy załamana siedziała na chodniku i patrzyła w niebo, próbując ustalić po położeniu słońca, która może być godzina. Znał miejscowego „złotą rączkę” i po wszystkim zaprosił ją na *latte* z czekoladą. A ponieważ od początku letnich wakacji szukał zatrudnienia, pozwoliła mu się zająć końmi. Podobnie jak piątce wcześniej najętych ludzi, więc nie musiał się przepracowywać. Lubił to, co robił, a przy okazji miał fantastyczne wakacje w bujnych okolicznościach przyrody. Znał się na koniach, bo wywodził się z rodziny rzeźników, specjalizujących się w wyrobach z – nomen omen – koniny. I to od dwóch pokoleń. Ich znakiem firmowym były wykwintne wędliny z końskiego i oślego mięsa, suto doprawione ziołami, pieprzem oraz papryką, tudzież nadziewane czosnkiem i oliwkami pasztety.

Na szczęście Rafael prawdziwie kochał konie i nie traktował ich jak źródła pożywienia. Kiedy ujrzał ogiery i klacze, od razu zapragnął ujeżdżać Dżerida. Dosłownie zakochał się w tym skarogniadym wierzchowcu. Możliwość regularnego dosiadanego go błogosławił każdego dnia, winszując sobie wrodzonej uprzejmości, która skłoniła go do zagadnięcia kobiety w potrzebie. Wyglądała na zagubioną i bezbronną, nieomal go wzruszyła. Siedziała na schodach obok swojego roweru, w cieniu tawerny, i czytała biografię świętego Anzelma. Tym też go ujęła, bo ów święty cieszy się szczególną estymą w jego rodzinie. Dziad i ojciec byli jego imiennikami.

Kiedy Rafael stanął i zapytał, co takiego przytrafiło się jej pojazdowi, podniosła oczy znad ciemnych szkieł okularów i uśmiechnęła się. Była ładna i jej uroda wydała mu się niepospolita. W okolicy kręciło się mnóstwo

atrakcyjnych, ciemnowłosych dziewcząt o bujnych kształtach i strzelistym wzroście. Mieszkał w zagłębiu sarniookich piękności. Kobieta była starsza od nich, ale miała coś ujmującego w twarzy, w gestach i całej swojej postaci. I nie wiedziała, że Rafael woli facetów. Szybko zakochał się w jej jasnowłosym, smagłym kochanku. Niestety nie mógł liczyć na wzajemność, bo Tristan w okresach swoich rzadkich wizyt nie rozstawał się z gospodynią. Razem spali, ubierali się i rozbierali, brali kąpiel, jedli, chodzili na spacer, dosiadali tego samego konia. Nawet gdy jakimś cudem odrywał się od niej ciałem, nie tracił kontaktu wzrokowego. Był beznadziejnie zakochany i zdecydowanie heteroseksualny.

Spojrzał na Rafaela tylko raz i zwrócił mu uwagę, że popręg jest za luźny.

Po raz pierwszy Stella zobaczyła Tristana w jednym z programów europejskiej sieci kablowej. Jakiejś porannej „Kawie czy herbacie”. Opowiadał o niedawnym sukcesie swojej kolejnej płyty, która świeżo obrosła platyną, a niebawem miał za całokształt otrzymać nagrodę krytyków muzycznych, prestiżową i godną szacunku, zważywszy komu przypadła w udziale przed nim.

„Zobaczyła” to właściwe słowo, bo nie mogła od niego oderwać oczu. Nie słuchała zbyt uważnie, o czym mówił; chłonęła go wzrokiem i kiedy wywiad dobiegł końca, a w drugiej części programu muzyk dał mały recital, wykonując kilka utworów Bacha i Boccheriniego, zupełnie nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Ba! Nawet imienia! Od czego jednak jest internet? Stella często zadawała pytania swemu laptopowi i on jej na ogół nie zawodził. Wpisała więc w Google: „Kto dostanie tego roku Echo Prize?”. I od razu zaczęły jej wyskakiwać linki z nazwiskiem i – co było w tym najlepsze – wizerunkiem rzeźbionego wiolinisty. Jedno ze zdjęć natychmiast trafiło na jej tapetę w komputerze, a ona sama pogрузyła się w lekturze biografii muzyka, żałując, że kilka lat strwońiła, nie mając pojęcia o jego istnieniu. W tym czasie Tristan S. skończył prestiżowe studia i kontynuował z powodzeniem karierę, zapoczątkowaną we wczesnym dzieciństwie, kiedy

to uznano go za genialne dziecko. Pobierał nauki u najlepszych; lista tych nazwisk była imponująca. Zdążył też zagrać w dwóch filmach.

Przybyła mu nowa fanka, czego nie był świadomy. Chodziła na jego koncerty, kupiła płyty i odkryła, że świetnie jej się myśli i pracuje przy tej muzyce. Odtąd już nie rock, ale muzyka klasyczna gościła w jej domu i stale rozlegały się skrzypcowe pasaże. Była na kilkunastu recitalach i jej podziw dla artysty wzrastał z każdym nowym wykonaniem. Często włączała sobie jego kanał na YouTube i... niestety na niczym nie mogła się już skupić. Zamiast na przykład pisać, musiała patrzeć. Bo na scenie zachowywał się spontanicznie i był taki przystojny, że podziwiała go dalej, mimo iż czasami traciła na tym jej własna praca.

Na jednym z koncertów w Nowym Jorku natknęła się na swoją przyjaciółkę, była modelką, celebrytkę, szczerze mówiąc „przyjaciółką” tytułowaną tylko z rozpędu. Panie ucałowały powietrze, bo żadna z nich nie dotknęła ustami policzka drugiej, po czym zaczęły wymieniać uwagi na temat koncertu i głównego wykonawcy.

– Chcesz, to cię z nim poznam! – Bliss uniosła jedną brew i nagle ją olśniło. – Ty już go znasz, nieprawdaż?

– Nieprawdaż, to znaczy prawdaż... – odrzekła Stella, zmieszana. – Nie, oczywiście, że go nie znam. Lubię i zawsze lubiłam dobrą muzykę klasyczną.

– Doprawdy?

Odkąd Bliss się postarzała i straciła swą pozycję w branży, nadrabiała wszelkie zaległości towarzyskie i kulturalne, pozując na koneserkę i intelektualistkę. Jej pretensjonalność bywała irytująca.

– Tak, w moich książkach jest pełno muzyki, uwielbiam zwłaszcza Vivaldiego.

– Hm... Wydawało mi się, że zawsze wolałaś mocne uderzenie i gitarzystów. Ha, ha, ha! Co tam u Paula? Słyszałam, że macie romans...

– Nie jesteś dobrze poinformowana.

– O, już skończyliście ze sobą? Szkoda. Nie będziesz go już zapraszać na swoje spotkania z młodymi adeptami pisarstwa? – Bliss szczerze się zmartwiła albo po prostu dobrze to zagrała. – Właśnie wtedy się na siebie rzuciliście, nieprawdaż? Na takim spędzie młodych grafomanów, u ciebie, w Toskanii...

Istotnie, Stella zapraszała do siebie młodych ludzi, którzy zaczynali dopiero karierę pisarską. Nie były to warsztaty kreatywnego pisania, bo Stella uważała, że nie można nauczyć kogoś pisania powieści. Spotykała się z nimi na luzie, rozmawiali o literaturze; po dwóch tygodniach goszczenia nowej grupki jako główną atrakcję zapraszała do siebie znajome sławy, muzyków, którzy również byli jej gośćmi, a przy tym zgadzali się wystąpić. Ponieważ Stella miała niezły głos i lubiła śpiewać, czasem i ona wkraczała na scenę, by wykonać coś w duecie. Pisała zresztą teksty dla wielu wykonawców, chociaż wolała się tym nie chwalić i tworzyła je pod pseudonimem Selene. Zdarzało się, że sami młodzi organizowali jakieś występy – teatralne, muzyczne czy kabaretowe – i wszyscy świetnie się przy tym bawili.

Koncerty miały rozmach, budowano scenę na błoniach, niedaleko wioski złożonej z namiotów, gdzie mieszkali wszyscy młodzi, którzy wyrazili chęć uczestnictwa w tych zjazdach. Wystarczyło tylko dotrzeć do toskańskiej posiadłości pisarki. Przez trzy tygodnie razem z nimi uczestniczyła w panelach literackich, dyskusjach i niezobowiązujących spotkaniach. W tym czasie pozostawali całkowicie na jej utrzymaniu, karmieni przysmakami nie tylko włoskiej kuchni. I oczywiście podziwiali miejscowe atrakcje, korzystali z uroków jazdy konnej i żyli w symbiozie ze zwierzętami Stelli, czyli kotami i psami, które traktowano jak domowników.

– Nie, to wszystko obrzydliwe plotki! Paul ma żonę, dzieci i jest w tym związku szczęśliwy. Następnym razem zastanów się, nim powtórzysz takie insynuacje!

– Ale to właśnie Paul o was rozpowiada, że jesteście razem...

Stella uciekła wzrokiem, klnąc w duchu niedyskretnego faceta i obiecując

sobie, że z nim porozmawia, o ile jeszcze kiedyś go do siebie zaprosi razem z zespołem. Swoją drogą, szkoda byłoby tak całkiem z niego zrezygnować. Powinien jednak trzymać język za zębami. Głównie ze względu na swoją rodzinę.

- Radzę ci, nie powtarzaj głupich plotek.
- Czyli Paul konfabuluje?
- Jak oni wszyscy. Wybacz, ale muszę już iść.
- Co tak szybko, nie idziesz na after party?
- Nie, bądź zdrowa!

Bliss była przekonana, że to przez Paula nie pogadały dłużej.

Stella, wróciwszy do swego nowojorskiego mieszkania, pomyślała, że chyba będzie musiała przystopować z chodzeniem na koncerty. Niestety następnego dnia rozzwonił się dziennikarze, pytając, dlaczego i od jak dawna zalicza się do wielbicielek młodego skrzypka. Proszono ją o krótki komentarz do wczorajszego recitalu. Powiedziała, że owszem, jest pod wielkim wrażeniem artysty, to znaczy jego talentu, repertuaru i znakomitej techniki. Naplotła, że jego muzyka przynosi jej natchnienie.

A Tristan ten wywiad przeczytał, zobaczył jej zdjęcie, zamieszczone przy okazji, i również skorzystał ze swojej wyszukiwarki w laptopie. Nie miał specjalnie czasu na czytanie książek, zwłaszcza cikliwych powieści w stylu romansów Stelli Mangione, bo preferował political fiction i thrillery, ale chętnie chodził do kina i tu już jej nazwisko rzuciło mu się w oczy. A ponieważ zdjęcia pisarki zrobiły na nim wrażenie, zwłaszcza fotografie pochodzące z galerii na jej blogu, zapragnął ją poznać i zaczął szukać okazji, by gdzieś razem zaistnieli. Na przykład na którymś z licznych przyjęć nowojorskiej bohemy.

Stella uznała tymczasem, że nie powinna okazywać w tak ostentacyjny sposób swojej miłości do muzyki klasycznej. Pracowała akurat nad biografią Liszta i pisała o jego czterdziestoletnim związku z księżną Karoliną Sayn-

Wittgenstein, urodzoną na Podolu Polką, więc wyznała spontanicznie na swoim blogu, że Stiller przypomina jej młodego Liszta, i może stąd jej zainteresowanie tym artystą, które daje jej inspirację do pracy nad scenariuszem. Zamierzała go jednak unikać, bo za bardzo przypominał jej... kogoś innego. A kiedy to sobie w pełni uświadomiła, zadrżała z przerażenia i natychmiast postanowiła wyleczyć się z obsesji.

Jeśli jednak ludzie są sobie przeznaczeni, to nie mogą unikać się zbyt długo. Stiller wypatrył ją na jednym z przyjęć. Właściwie zupełnie nie miał ochoty na nie pójść, ale nagabywany przez swoich agentów, w końcu ustąpił. Początkowo zwrócił uwagę na szokujący dekolt pewnej czarnej sukienki, która ukazywała hojnie światu plecy i łopatki właścicielki, aż po zapowiedź rowka pośladków. Dopiero po chwili zauważył, że kobieta „odziana” w tak odważnym stylu to właśnie owa intrygująca i atrakcyjna pisarka. Z głośników płynęła psychodeliczna muzyka Massive Attack i słowa *You're my Angel*. Niewiele myśląc, wziął od przechodzącego kelnera dwa kieliszki szampana i podszedł do niej, korzystając z momentu, gdy oddaliła się od grupki mężczyzn, by w toalecie poprawić makijaż.

– Pani pozwoli, że się zaprezentuję. Tristan Stiller.

Trudno swobodnie rozmawiać z kobietą, która jest prawie naga. Jej włosy, spięte w kunsztowny bałagan, podkreślały długą szyję, zaś na krągłości piersi spoczywał naszyjnik z przewrotnie błyszczącym – jakby posyłał perskie oczko – kluczykiem. Spojrzała w górę, uśmiechnęła się i wzięła od niego kieliszek.

– Szczerze pana podziwiam, jestem...

– Wiem, kim pani jest.

A potem długo razem milczeli, stojąc na tarasie. Było chłodno i Tristan zarzucił na jej nagie plecy marynarkę od Armaniego, woniejącą jego własną linią zapachową, którą niedawno wypuściła w świat znacząca firma kosmetyczna. Patrzyli na ulicę poniżej, na okna domów naprzeciwko, w niebo usiane gwiazdami i oboje czuli napięcie, które być może wynikało

z braku słów, tak nietypowego u obojga, a może przyczyn należało szukać zupełnie gdzie indziej. Stella nie miała zamiaru zakończyć tej znajomości na wymianie numerów i pożegnalnym uśmiechu, ale wiedziała, że nie wsiądą razem do taksówki, bo... Po prostu tego najbardziej się obawiała. Pod byle pretekstem oddała mu marynarkę i wyszła, szybko, bez pożegnania, przekonana, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

Jakież było jej zdumienie, kiedy spotkała go na dole. Czekał obok taksówki.

– Do mnie czy do ciebie?

– Do mnie. – Nie miała zamiaru popełnić żadnego głupstwa i należało mu to od razu uświadomić.

Niestety w taksówce niemal od razu zaczęli się całować. Oszołomiony Tristan zauważył, że Stella nosi pończochy zamiast praktycznych rajstop, i wpadł w euforię na widok koronkowych podwiązek. A ponieważ całował tak, jak wyglądał, trudno mu się było oprzeć. Gdyby nie fakt, że dotarli na miejsce szybciej, niż rozwijała się ich rozkoszna gra wstępna, Stella straciłaby nie tylko resztki dobrego mniemania o samej sobie, ale i rozsądek. Gdy się zorientowała, że Tristan nie ma zamiaru poprzestać na całowaniu i najwyraźniej szykuje się do odprowadzania...

– Mam jeszcze kilka spraw. To jest... Mam dużo pracy! – Sama nie wierzyła, że wygaduje podobne nonsensy.

Skorzystała z momentu zaskoczenia i przyjmując podaną przez kierowcę rękę, wyszła zręcznie z samochodu, a potem, nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę wysokościewca, w którym mieścił się jej apartament.

– Zadzwoń! – rzuciła jeszcze.

Po prostu przed nim uciekła, zostawiając go rozpalonego do granic. Kierowca wsiadł ze współczującym wyrazem twarzy i zapytał nieszczęsnego Romea, dokąd ma go teraz zawieźć.

– Kobiety! – powiedział dla dodania otuchy.

Tristan miał mętlik w głowie, nie tylko zresztą tam. Z wrażenia zapomniał na moment własnego adresu, ale po chwili uznał, że po takim preludium nie wypada się zwyczajnie położyć do łóżka. Podał kierowcy adres jednej z modelek, perorując w duchu, że bywają takie chwile, kiedy należy lubić nie to, czego się pragnie, ale to, czego jest się pewnym. Czasami lepszy wróbel w garści niżli... prowokująco szampańska pisarka! Ostatecznie trafił niedokładnie tam, gdzie zaplanował, ale przynajmniej uszczęśliwił jedną poczciwą duszyczkę, która zasnęła zadowolona i z główką słabą, bo pełną obietnic nie do spełnienia.

Stella postanowiła nie dzwonić. Działo się z nią coś dziwnego. Nie potrafiła o niczym myśleć, na niczym się skupić, praca nad scenariuszem o Liszcie leżała odłogiem i groziły jej sankcje za niedotrzymanie terminu. Błądziła po swoim nowojorskim mieszkaniu w melancholijnym nastroju, dumając.

Czy skoro nie dzwoniła tyle czasu, to wypada jej się teraz, tak nagle, odezwać? Po dwóch tygodniach?

A może – skoro on też się nie odzywał – to, co przeżyli razem w taksówce, tylko jej się przyśniło? Nie, sny nie bywają aż tak perwersyjnie namacalne i rozbijające.

Pozostawało wierzyć, że właśnie utknęła we frenezji romantycznej, porzucając przyzwoitość i znajdując zaspokojenie jedynie w namiętnościach niegodziwych. I zapewne wkrótce przyjdzie jej za wszystko zapłacić. Niebagatelnie wysoką cenę.

Chociaż z drugiej strony – cóż takiego złego uczyniła? Zapomniała się pod wpływem jego atrakcyjnej aparycji. Na moment straciła kontrolę. To nigdy nie była jej mocna strona. Ta kontrola.

Dziwiło ją jego milczenie. Może już mu przeszło? Ma chyba lepsze zajęcia niż gwałtowne uwodzenie czterdziestolatek – w ich przypadku kokieteria śmieszy, a szaleństwa uchodzą płazem tylko nielicznym. Ona potrafi przewidzieć konsekwencje i nie ma ochoty ich ponosić!

Trwało to i trwało...

I trwało... W końcu po upływie kilku tygodni uznała, że sprawa dojrzała do wyjaśnienia. Zamknąwszy oczy, żeby mniej ją zabolalo w razie czego, musnęła jego numer w swojej komórce. Pełna najgorszych obaw, jak zareaguje i czy w ogóle ją jeszcze pamiętał.

– Słucham? – Głos wydał jej się obcy. Wpadła w panikę i natychmiast się rozłączyła.

Idiotka! Zwyczajna gówniara zachowałaby więcej klasy! Co on teraz o niej pomyśli?

Potrzebowała dwóch dni, by to przetrwać, wytknąć sobie kilka paskudnych cech charakteru, na przykład niezdecydowanie. Ponoć wiele kobiet na nie cierpi. Stella zazwyczaj wiedziała, czego chce, toteż owe „przymiarki” jej samej wydały się dziwne. Czyżby się starzała?

Nadal nie było z jego strony żadnego odzewu. To znaczyło, że ją sobie odpuścił. Czy w tej sytuacji należało znowu próbować? Bo przecież to był jego numer. Po co miałby jej podawać cudzy? A głos, który usłyszała, należał do mężczyzny, co do tego nie miała wątpliwości, zatem się nie pomylił i nie podał, w roztargnieniu, numeru jednej ze swoich sałatkowych wielbicielk.

Czas mijał i pracował na jej niekorzyść. Albo się w końcu zdecyduje i zadzwoni, powie, kim jest, i...? No właśnie! Zawsze może ponownie się rozłączyć, schować głowę w piasek i wpisać tę gafę w „rejestr rzeczy ostatecznych”. Neurotyzm całej sytuacji w niczym jej nie pomógł, tylko coraz bardziej się gmatwała. To dawało do myślenia. Czyżby zaczynało jej zależeć? Dobra, niech się stanie!

– Tak, słucham? – usłyszała struchlała.

– Mówi Stella Mangione – rzuciła, zamykając idiotycznie oczy.

Milczenie w słuchawce wydało jej się nieskończenie długie.

– Nareszcie! Co się z tobą działo?!

– Równie dobrze ja mogłabym zapytać o to samo – oświadczyła urażona.

- Obiecałaś zadzwonić, tak czy nie?!
- A dlaczego ty tego nie zrobiłaś do tej pory?
- Ja? – Zaśmiał się rozbijając. – Bo nie dałaś mi swojego numeru!
- Taak? – Nie miała pewności, czy tak właśnie było.
- Uznałaś, że naczekałem się już wystarczająco długo? Sfinalizowałaś pilne prace domowe?

Trochę zbił ją z tropu.

- Nie masz przypadkiem koncertów albo jakichś innych zobowiązań?

Znowu ta cisza, jakby powiesili kogoś niewinnego.

- Dziwnie ze mną rozmawiasz. Przypadkiem mam koncerty. Co z tego?

Dopadła ją niemoc słowna, nie potrafiła jasno powiedzieć, o co chodzi. Miała pracę! Tak, przypomniała sobie o Liszcie. I kontrakcie, który podpisała. Co więcej, już wzięła pieniądze.

- Do końca tygodnia muszę się uporać z...

– Zadzwoniłaś, by mi o tym powiedzieć?! – krzyknął zniecierpliwiony. Żadna kobieta go tak jeszcze nie potraktowała! Nie wystawiła tak bezczelnie do wiatru!

- Właściwie to nie mogę się na razie z tobą spotkać, ale... ale myślę o tym
- wyszeptała ze skruchą Stella.

– Niewiarygodnie mnie to cieszy! – Jego sarkazm mógłby posłużyć za spoiwo do wzniesienia drugiej Sagrada Família w Barcelonie. – Jestem w siódmym niebie, słysząc, że myślisz!

Nie był zbyt uprzejmy. Powinna strzelić focha?

- Zadzwonię, okej? – Starła się go ugłaskać.

- Za kolejne pół roku?!

Oto jakimi drogami błądzi umysł młodego mężczyzny. Wiadomo.

Zawsze na skróty. Zachciało jej się! Jeszcze nic się nie zaczęło, a już potrzebuje dobrej księgowej do zliczania strat. Należało przewidywać i okopywać się w swym wilczym szańcu, tak na wszelki wypadek! Zaraz... On czy ona? Kto jest górą, a kogo „wylano” w doliny? Odwieczna żeńsko-męska animozja! Co on sobie teraz o niej myśli? Mężczyźni ponoć zaczynają rozumieć kobiety dopiero tuż przed śmiercią.

– Nie przesadzaj, muszę skończyć scenariusz. Zadzwoń, obiecuję, pa!

Przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego on nie zadzwonił. Dziwne, że nie podała mu swojego numeru. Co on z nią wyprawiał? Traciła głowę, przestawała zachować się logicznie! Zawsze była roztrzepana, ale żeby do tego stopnia?

Uporała się ze scenariuszem, załatwiła wszystkie zaległe sprawy, bo po tej wpadce z numerem postanowiła być bardziej przytomna. Zeszło jej na tych porządkach znów kilka tygodni i w międzyczasie nadeszła wiosna, czyli pora, której już od kilku lat nie spędzała w Nowym Jorku. Ani tym bardziej w Los Angeles, dokąd czasami musiała pojechać. Już tam nie mieszkała, sprzedała dom. Nie chciała wracać do bolesnych wspomnień. Nie utrzymywała żadnego lokum w tamtej części świata. Uznała, że chce być jak najdalej od tego, co bolało, co było ciągle takie świeże!

Kiedy w końcu miała do niego zadzwonić, wcześniej on stracił resztki cierpliwości.

– To jakiś rodzaj tortur? Jesteś sadystką? – spytał, kiedy odebrała.

– Właściwie jestem już spakowana i... będę na twoim dzisiejszym koncercie w klubie Siempre.

Zaprosił ją tam... kto inny. Ściślej jej wieloletni cichy wielbiciel, arystokrata Bruno Sanelli. Mężczyzna dystyngowany i wiekowy. Od lat wyrażający, w elegancki sposób, podziw dla jej urody i talentów. Tym razem zaproponował, by towarzyszyła mu na tym koncercie. Sądził bowiem, że nie zna jeszcze młodego wirtuoza, i wyraził nadzieję, że spędzi z nim wieczór, a przy okazji oboje zazną dyskretnego komfortu obcowania z prawdziwą

sztuką. Nie podejrzewał, jak bardzo Stella jest zainteresowana osobą Tristana oraz godnym towarzystwem na jego koncercie. No cóż, oto dowód na przydatność ludzi przypadkowych, którzy dokonują czasem rewolucyjnych zmian w naszym życiu, nawet o tym nie wiedząc.

– Spakowana? Dokąd to się znów wybierasz?

– Do mego domu w Toskanii. Do małej, spokojnej miejsciny. Właściwie na wieś, tyle że włoską, z całym mnóstwem atrakcji. Ale dzisiaj masz koncert i ja na nim będę! Dąszasz się jeszcze?

– Skąd ci przyszło do głowy, że...

– Wybacz, mam trochę spraw, do zobaczenia wieczorem.

– Jak cię znajdę w tym tłumie?

– To ja ciebie odzyskam, panie Artysto!

I tak się stało. Kiedy on, utartym już zwyczajem, podpisywał po występie swoje płyty i zdjęcia, stanęła grzecznie w kolejce razem z innymi.

– Mam na imię Stella – przedstawiła się jak tyle innych osób przed nią, dla usprawnienia procedury wpisywania dedykacji.

Poznał jej głos, zresztą zauważył ją już wcześniej, gdy z każdym krokiem zbliżała się do niego. Odłożył flamaster i nic sobie nie robiąc z obecności tylu osób, oświadczył:

– Tej płyty nie podpiszę!

Wówczas Bruno, słysząc tę, jak się wyraził później, impertynencję, naskoczył na niego, że jest źle wychowany. Tristan uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Proponuję wymianę podpisów. Pani Stella ozdobi autografem jedną ze swoich książek. Jako że nie mam jej przy sobie, zapraszam w najbliższą sobotę do Desperacji. Zamówiłem stolik na dwudziestą. Pańska obecność nie będzie konieczna – w bezczelny sposób zwrócił się do jej towarzysza.

W ten sposób Bruno znienawidził kogoś przez siebie podziwianego zaraz po jego poznaniu. Oszołomiona Stella zachodziła w głowę, jakąż to książkę

Tristan zamierza podsunąć jej do podpisu.

– Dobrze, będę. – Zabrała płytę i bez słowa wyszła wraz Brunem, oburzonym zachowaniem „tego smarkacza”. Musiała przyznać, że młodemu mężczyźnie nie brakowało tupetu. Bo nie dał jej okazji do wahania: musiała od razu zgodzić się lub odmówić. Na dodatek należało udobruchać dostojnego starca, który zamiast miłego wieczoru w jej towarzystwie musiał znieść z godnością konsekwencje niefortunnego zaproszenia.

Sądził, że incydent, którego był świadkiem, tak naprawdę nic nie znaczy. W Nowym Jorku bywał już coraz rzadziej i nie wsłuchiwał się w plotki.

Stella nie wiedziała, w co się ubrać, i nie mogła wyjść z podziwu, że wybrał dokładnie tę restaurację, do której i ona najchętniej zaglądała, gdy nadarzyła się okazja. Po prostu lubiła to miejsce, kameralne i przytulne, mimo że zdobycie stolika graniczyło z cudem. No właśnie! To ją zdeprymowało jeszcze bardziej.

Cały piątek spędziła na bezsensownym poszukiwaniu tekstu, który napisała przed laty. Opisywała w nim pierwszą randkę, a jej akcję umieściła chyba właśnie w Desperacji. Niestety na próżno wertowała wszystkie swoje zeszyty i notatki, w których mogłaby go znaleźć. Przepadł jak kamień w wodę. Albo diabeł nakrył go ogonem.

Dożyła jakoś do soboty i w ostatniej chwili zdecydowała się założyć swoją ulubioną sukienkę w kolorze kawy z mlekiem, która świetnie podkreślała jej kształty i śniadą cerę. Nie poszła do fryzjera, bo wprawdzie była umówiona, ale przegapiła godzinę i potem już jej się nie chciało wszystkiego wyjaśniać; postanowiła samodzielnie upiąć włosy w miękki kok. Na wybranie butów poświęciła kolejną godzinę i w międzyczasie porządnie zgłodniała, bo cały dzień piła tylko kawę z mlekiem, jakby chciała się przypodobać własnej sukience. Ubłagać, by nie popsua jej wieczoru, płatając znieścacka jakiegoś figla.

Ostatecznie kwadrans po dwudziestej pojawiła się w holu restauracji, gdzie zamiast Tristana czekał na nią jeden z kelnerów. Poznał ją i nie

zwlekając, zaprowadził do stolika na głównej sali. Stiller wstał na jej widok. Ze zdumieniem spostrzegła, że nie miał ani kwiatów, ani żadnej książki, a spodziewała się czegoś oryginalnego. Kelner wręczył im menu i dyskretnie się oddalił. Stelli było po prostu głupio bez kwiatów, których nie otrzymała. Zaraz po powitaniu powiedziała:

– Stolik zamawiało się tu kiedyś co najmniej na miesiąc wcześniej. Czyżbym przeoczyła jakieś rewolucyjne zmiany?

– Nie, wciąż tak jest. To bardzo popularne miejsce.

– Czyli... miesiąc wcześniej? Przecież mogłam się nie zgodzić?

Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Ale się zgodziłaś.

– Poza tym nie brak pewnie chętnych, do zajęcia tego... miejsca – mruknęła z przekąsem, starając się nie zważać na jego bogatą mimikę i serię olśniewających uśmiechów posyłanych co rusz jakimś znajomym.

Bo to on miał tu znajomych, nie ona. Poczula się zaściankowo. Kelner wrócił, by przyjąć zamówienie. Stella oznajmiła, że niczego nie wybierze, bo zupełnie nie ma do tego głowy. Zdała się na gust swojego towarzysza. Stiller przyjął to z zadowoleniem – wręcz jakby na to czekał – rozkręcał się przy wybieraniu potraw i z upodobaniem dyktował coraz to nowsze nazwy. Nie protestowała. Zrobiło jej się gorąco i zdjęła żakiet. Sukienka była bez rękawów, dość obcisła, lecz miała niezbyt wydatny dekolt. Po odejściu kelnera posłał jej umiarkowane pochlebne spojrzenie; nie wiedziała, czy powinna założyć z powrotem żakiet, czy zostać w sukience. Z trudem zdobyła się na pytanie:

– Jaką książkę mam podpisać? Bo jakoś nie zauważyłam...

– Uznałem, że najpierw muszę ją przeczytać.

– Czytasz?

– Jeszcze jej nie kupiłem.

Żachnęła się na swoim krześle wyściełanym białym jedwabiem. Zawsze kiedy tu przychodziła i podziwiała jasne wnętrza, zastanawiała się, jak często wszystko to myją, piorą i odkurzają. Bo biel królowała tu niepodzielnie, począwszy od kwiatów w wazonach, a skończywszy na puszystych dywanach. Nazwa tego przybytku znamionowała chyba ciągłą walkę z brudem, kurzem, pyłem, które goście wnosili na butach. Sięgnęła po torebkę, uznając, że nie będzie komentować jego... Cóż, przynajmniej był szczery! Wyjęła płytę i położyła przed nim na stoliku przykrytym białym obrusem. Dołożyła zabrany na wszelki wypadek flamaster, specjalnie przeznaczony do pisania na kredowym papierze.

Jego dłonie swobodnie leżące na stole nie poruszyły się. Patrzył jej w oczy, jakby toczyli ze sobą jakiś dziwny dialog, pozbawiony słów, ale obfitujący w emocje.

– Podpisz – ponagliła go.

Pojawili się kelnerzy, rozstawili strategicznie potrawy oraz kieliszki. Jeden z mężczyzn otworzył wino, z uprzejmym ukłonem poczekał na ocenę Tristana, który skinął łaskawie głową i bez słowa oddał Stelli płytę, bo wydawała się zbędną i przypadkową dekoracją wobec bogactwa przystawek.

– Zawsze tak podpisujesz swoje płyty?

– Tylko wybranym osobom. Spróbuj wina, jest...

– Tristanio!

– Dlaczego zmieniasz mi imię?

To było dziwne uczucie. Siedzieli naprzeciw siebie, kręcili się wokół nich ubrani na biało kelnerzy, a czas jakby się zatrzymał. Stella poruszyła nerwowo nogami. Niechcący uderzyła go czubkiem jedwabnej szpilki, on zaś uwięził jej stopę między swoimi kolanami. To dlatego obrusy zwisały ze stołu aż do podłogi.

– Nie podoba ci się?

– Wolalbym wiedzieć. Zawsze jest jakaś przyczyna.

Stella bezradnie próbowała się uwolnić. Odnosiła wrażenie, że wszyscy wiedzą, co się dzieje pod ich stołem, i właśnie ją potępiają za tę erotyczną grę, bo przecież on był na to zdecydowanie za młody. Zupełnie straciła apetyt, czuła napięcie, które wzmagало się z każdą chwilą, kiedy on patrzył jej w oczy i wydawał się taki swobodny, zrelaksowany. Ona była zagubiona i onieśmielona. Raziło ją światło, zbyt silnie uderzały w nozdrza zapachy, przed oczami wirowały wyrefinowane dania.

– Właściwie... nie mam ochoty na jedzenie – powiedział, nadal patrząc jej beczelnie w oczy.

– Ja też – usłyszała własny szept przebijający się przez dźwięki muzyki, która snuła się od strony sceny, gdzie grano delikatny jazz.

Kiedy kelnerzy zjawili się ponownie, by ze zdumieniem spostrzec, że goście niczego nawet nie ruszyli, Tristan wyjaśnił uprzejmie:

– Rezygnujemy z posiłku. Proszę nam sprowadzić taksówkę.

Wręczył szefowi sali swoją kartę, by uregulować rachunek, i uwolnił stopę Stelli. Kelner pomógł jej założyć żakiet, podczas gdy panowie dokonywali transakcji.

Ów wieczór stanowi dobry przykład na to, że odkładanie w czasie pewnych zdarzeń wzmagą intensywność ich przeżywania, kiedy się wreszcie rozegrają. Nie było już wątpliwości ani zbędnych słów. W taksówce przypadli do siebie i Stella zgubiła resztki wstydu. Na pytanie „do mnie czy do ciebie” odpowiedziała, że „ma straszny bałagan”. Trafili do jego mieszkania na Manhattanie. W windzie ponownie zszargał jej sukienkę i półprzytomni dotarli do drzwi, a kiedy się za nimi zamknęły... To było jak zjawisko meteorologiczne. Olśniło zniecka ich oboje. Nim zdążyli pojąć, co się stało, byli już totalnie pogrążeni w sobie. Zupełnie jak fala, która nieuchronnie uderza o skałę, ciągle, bezrozumnie powtarzając ten wyrok. Być może dlatego, że gdzieś, wyżej ustalono, iż tak właśnie miało się zdarzyć. Stella zatraciła się w otchłani, czując, że leci, spada i nie może się zatrzymać. Było jej zarazem mdło i rozkosznie. Ich ciała spotkały się w pół drogi,

cokolwiek te słowa oznaczały.

Kiedy rano uniosła ciężkie powieki, pierwszą myślą było: „Boże! Jak ja wyglądam?!”. Spojrzała na ich porzucone ubrania, sięgnęła po jego koszulę, bo znajdowała się najbliżej, i okryta nią przemknęła boso do łazienki, gdzie – jak podejrzewała – najszybciej trafi na lustro. Po drodze podniosła torebkę z zestawem ratunkowym i kilka niedelikatnie potraktowanych fragmentów swojej garderoby.

Tristan zauważył, że się zbudziła, ale wolał ponownie zamknąć oczy, bo i on potrzebował spokoju, by parę rzeczy przemyśleć. Ranki po szaleństwach nocnych nie zawsze są równie miłe. Kiedy upewnił się, że zamknęła za sobą drzwi, wstał i powłókł się do drugiej łazienki, nieco na uboczu.

Wyszedłszy po szybkiej kąpieli i reanimacji nadwyreżonego oblicza, natknęła się na niego. Znowu dotarło do niej, co się stało. Spojrzała na Tristana, jakby chciała się przekonać, czy istotnie było warto. Miał włosy dłuższe niż ona, jasne, gęste i mokre. Ubrał tylko dżinsowe biodrówki. Zauważyła już wcześniej tatuaże na jego ramionach, pogańskie ornamenty, których znaczenia wolała się chyba nie domyślać. Oraz gruby łańcuch na szyi, z celtyckim krzyżem, na którym widniała czaszka. Tak, pamiętała, że ów naszyjnik wielokrotnie uderzył ją w twarz, kiedy się kochali. A także przypadkowy kontakt z zimnymi i ciężkimi ozdobnikami w obrębie różnych, w tym intymnych, stref cielesnych. Umiarkowanie umięśnione ciało Tristana było opalone, ale nie spieczone, jak u bywalców solarium. Naturalne. Wyglądał zdrowo, rześko i apetycznie. Był pełnoletni, dorodnie wybujały, ale miała wrażenie, że znacznie mniej dorosły niż ona.

– Dwie łazienki... – powiedziała z przekąsem. – Hm, sprytnie. Często gościsz u siebie kobiety?

– Ograniczam tylko noclegi facetów.

– To nie jest odpowiedź.

– Taką jak ty goszczę po raz pierwszy.

– Nie jestem pewna, czy to komplement....

Oboje przeszli do sypialni i Stella zauważyła, dotykając prawego ucha:

– Zgubiłam kolczyk.

Tristan wyciągnął z kieszeni złoty drobiazg i podał jej ze słowami:

– Znalazłem go w łóżku. Ukłuł mnie w tyłek.

– Dopiero tam? Byłam przekonana, że gdzieś wcześniej go zgubiłam, może w windzie...

Obojgu było lekko i frywolnie. On to świetnie wyczuł, bo zaproponował:

– Zjesz ze mną śniadanie czy wracamy do przerwanych zajęć? Tak się składa, że nie mam na dzisiaj żadnych planów.

– Nie jestem głodna.

– Zaczynam się martwić. Od wielu godzin cierpisz na brak łaknienia, a zważywszy na ilość spalonych kalorii... – Wydawał się zakłopotany.

– Jak nazwać to, co się zdarzyło? – spytała Stella filozoficznie. – Jednorazowy incydent?

– Jednorazowy? – Przywarł do niej sprężystym i chętnym ciałem.

– No wiem, skromny jesteś. – Zdała sobie sprawę, że drży, podświadomie spodziewając się kolejnej porcji rozkoszy.

– Incydenty z reguły są jednorazowe, pani Pisarko. Może lepiej... – Całował bezczelnie dobrze.

– Azaliż? – Przerwała mu, wpadając w głupkowatą fanfaronadę. – Jakkolwiek? Któregoś dnia?

– Pewnego dnia – poprawił, nie przerywając wyrafinowanych pieszczot.

– Pewnego ranka.

– Pewnej nocy... – Zuchwale porwał ją w ramiona i nie dał ustom chwili wytchnienia, by po chwili ostygnąć i stwierdzić z nadzwyczajną przytomnością umysłu:

– Częstoujesz czytelników banałami, dlatego jesteś taka poczytna?

Poczuła niemiłe ukłucie jego niezbyt wyszukanej ironii. Nie! Jest za młody i powinien ją szanować.

– Wydaje ci się, że bezczelność jest atrakcyjna?

Niezrażony odpalił z chłopięcym uśmiechem:

– Nic nie wiem o bezczelności!

Niemiła uwaga sprawiła, że się od niego odsunęła i straciła ochotę na dalsze poranne pieszczoty.

Oboje usiedli naprzeciw siebie przy stole, wsparli brody na dłoniach i mierzyli się wzrokiem, nim Stella podjęła decyzję:

– Wracam do siebie.

– Jak sobie życzysz. – Sięgnął po telefon.

Wstrzymała jego dłoń na klawiaturze.

– Nawet nie próbujesz mnie zatrzymać?

– Stell, nie musisz kokietować. Wystarczy, jak będziesz sobą. Oboje zawodowo zagłuszamy ciszę. Paradoksalnie ona jest czasem więcej warta niż jej przeciwwaga.

– Cóż za błyskotliwe spostrzeżenie!

– Prawda? I nie traktuj mnie protekcjonalnie – poprosił z nutką groźby w głosie.

– Chcesz być lepszy od samego siebie, wirtuozie? – zakpiła.

– Nie mam zwyczaju liczyć strat po dokonaniu podboju. – Był bardzo bezpośredni. – A ty?

Dosłownie ją zatkało i nie było to miłe doznanie, zważywszy na wiek i urok faceta, który bez ogródek składał takie deklaracje. Postanowiła odzyskać rolę liderki w tej rozmowie.

- Mam nadzieję, że znaczenie słowa „dyskrecja” nie jest ci obce.
- Już ci powiedziałem, że czasami lepiej jest pomilczeć.
- Potraktuję to jak odpowiedź.

Odprowadził ją do drzwi, nie zdradzając najmniejszej ochoty, by z nią zejść na parter czy choćby odprowadzić do windy.

- Ten facet na dole wie, co ma robić, i zaopiekuje się tobą – obiecał.

Chociaż tyle. Potem przeszedł do konkretów:

- Czy znowu będę tygodniami zabiegał o przejaw twojej łaskawości?

Poczuła się urażona i zdegradowana do pozycji jakiejś starletki czy modelki, którymi Tristan lubił się na co dzień przesadnie otaczać.

– Nawet mi kawy nie zaproponowałeś! – Musiała to powiedzieć, bo jeszcze nikt jej nie potraktował z równie bezczelną nonszalancją.

– Bywam minimalistą. Rozejrzyj się po moim mieszkaniu – wyznał skromnie, zgrywając nieśmiałego chłopaczka. Robił to zresztą w niezrównany sposób.

Musiała na tym poprzestać.

- Wyjeżdżam do Toskanii. Jest wiosna...
- Najwyższa pora, by się zakochać! – wtrącił.
- Dlatego wyjeżdżam – oznajmiła Stella.

– A ja wynajmę prywatnego detektywa, żeby cię tam odnalazł. – To z kolei zabrzmiało jak pogróżka.

- Monte Fiore to szczególne miejsce. Czuj się zaproszony.

Jakoś nie tryskał entuzjazmem.

– Dla mnie wiosna to początek intensywnej trasy koncertowej po Europie.

- Ale bywasz w okolicy Toskanii?

– To dosyć nieprecyzyjny adres. Nazwa Wzgórze Kwiatowe niewiele mi mówi, może leżeć wszędzie i nigdzie. Równie dobrze mogłabyś zaproponować mi pobyt na księżycu, w jednym z jego kraterów.

– Może polegam na twojej inteligencji?

– Myślałem, że tylko na dyskrecji.

Miała już wyjść, ale postanowiła mu coś zaproponować. Uznała, że nadszedł już czas, by oficjalnie dołączył do grona jej ulubionych wykonawców muzycznych.

– Organizuję latem spotkania z młodymi ludźmi, którzy piszą albo chcą kiedyś pisać. Przyjeżdżają do mnie na trzytygodniowe turnusy. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciał przyjąć zaproszenie i przyjechał wraz z zespołem. Kto wie, może i orkiestrę dałoby się załatwić? Będzie wielu muzyków, Paul O’Hara ze swym bandem...

– Słyszałem, że on jest twoim...

– Błagam cię, nie powtarzaj plotek! – Położyła mu dłoń na ustach, stając przy tym na palcach, co w niebotycznych szpilkach wydawało się dość karkołomne. – Nie sposób wymienić wszystkich wykonawców i zaprezentować ich pomysłów...

– Ja się dziś wyjątkowo donikąd nie spieszę. – Sprawiał wrażenie lekko znużonego jej gadaniną.

– ... bo zawsze jest to bardzo żywiołowe przedsięwzięcie. Spontaniczne!
– Jakby samą siebie o tym zapewniała, tak na wszelki wypadek. – Przyjeżdżają jako moi przyjaciele, stać ich na ten gest. Odezwie się do ciebie moja agentka, bo ja nie mam głowy do organizacji tego wszystkiego w szczegółach.

Spostrzegła chmurę na jego twarzy. Pojawiła się równie szybko, jak zniknął promienny uśmiech wykreowany „na pożegnanie”.

– Przechodzimy na bardzo oficjalne strony znajomości? – Tembr jego głosu obniżył się wyraźnie i powiało od niego jak od gigantycznego lodowca.

– W ten właśnie sposób werbujesz wykonawców do tych koncertów?

Nie była w stanie odbić niedbale rzuconej piłeczki w tym obraźliwym ping-pongu. Poza tym nie mijał się tak bardzo z prawdą. Najlepszym wyjściem było niezwłoczne opuszczenie aroganckiego kochanka. Okazał się trudniejszy w obsłudze, niż założyła, i już zaczynał brykać. A przecież mężczyźni mają tylko jedną dźwignię...

– Cześć! – powiedziała, nim zamknął za nią drzwi.

To mogło być początkiem końca. Albo w ogóle – końcem.

Tristan wcale tak nie myślał. Jednak wiedział, że ma do czynienia z kobietą, która jest jak szampan. Nie każdemu służy. Są tacy, którzy powinni tego trunku unikać lub bezwzględnie zaakceptować skutki uboczne. Stella była atrakcyjna. Poza tym miała spore doświadczenie jako kochanka i to go w niej przewrotnie pociągało. Może dobrali się pod względem temperamentów? Czy to wystarczało do kontynuowania znajomości? Nie nazywał tego, co się stało, romansem, prędzej: ekscytującą przygodą. I miał pewność, że ona też jest tego zdania.

Jeszcze nie wiedział, co wybierze.

Wyjście na długi spacer z psami jest zawsze okazją do przemyśleń i czasem trwa wiele godzin. Od zeszłego roku są to wyłącznie piesze wycieczki, bo kilka miesięcy temu odszedł jej ukochany husky Colin, którego zabierała w ostatnim okresie życia na wycieczki rowerowe. Z przyczepą, specjalnie dostosowaną do przewożenia dużego psa. Colin cierpiał na postępujący paraliż i kiedy już nic nie można było dla niego zrobić, zgodziła się na eutanazję – nie mogła patrzeć, jak cierpi, niezdolny do ruchu, upokorzony swoją bezczynnością. Wówczas powiedziała do zaufanej Mony, że gdyby kiedykolwiek ją spotkało takie nieszczęście, też ma się ani chwili nie wahać i podać jej lek ukryty w wiszącym w sypialni zegarze, niosąc łagodną śmierć. Nie wyobrażała sobie siebie w sytuacji „warzywa”, które wymaga pełnej obsługi ze strony innych, jest skazane na litość

otocznią, któremu tylko ciąży. Wymogła na dziewczynie solenną obietnicę, że jej nie zawiedzie, bo przecież może się tak kiedyś zdarzyć, a wtedy już nie da rady ją o to poprosić.

Dziś jednak nie myśli o nieuchronnych i smutnych wyrokach losu. Z chęcią daje się namówić swoim pupilom na wspólny bieg po łące i zabawę w chowanego w lesie. Towarzyszą jej cztery psy: para biszkoptowych labradorów i dwa ukochane, niezwykle wierne mastiffy angielskie o morelowym odcieniu sierści, z przydymionymi pyskami, zaliczające się do największych psów świata. Umieśnione i potężne są zarazem łagodne i bardzo do niej przywiązane. Zwieszają swoje ogromne łby nad ziemią, bezustannie węsząc, jakby od tego zależało bezpieczeństwo całej grupy. Czujne na każdy ruch, nawet najmniejszy gest, a jednocześnie całkowicie oddane. Przebywanie w ich towarzystwie, zwłaszcza podczas długich spacerów, zawsze ustawia ją do pionu. Dzisiaj też potrzebuje spokoju, by parę spraw przemyśleć i ustalić porządek pobytu młodych w jej posiadłości. Zaprasza grupy trzydziestoosobowe; jeśli nie można inaczej ich podzielić, organizuje trzy turnusy – jeden na każdego letni miesiąc – w trakcie których nie spędza z nimi całego czasu, tylko stara się tak zorganizować ich pobyt, by nabrali dystansu do tego, co uznają za swoje powołanie, poznali ciekawych ludzi i odpoczęli.

Na błoniach ekipa buduje scenę, która każdego roku jest większa i bardziej profesjonalna. Na polanie pod lasem powstaje namiotowe miasteczko, ogrodzone solidnym świerkowym płotem. Nim w posiadłości zaroi się od barwnych młodych ludzi, trzeba wielu zabiegów, by ich życie tutaj układało się harmonijnie. Stella zapewnia im wyżywienie, opiekę lekarską oraz w miarę wygodny, bezpieczny pobyt. Odkąd po raz pierwszy zdecydowała się na to przedsięwzięcie, z roku na rok nabiera ono coraz większego rozmachu.

Otrzymanie zaproszenia uwarunkowane jest poziomem nadesłanego tekstu, który ocenia na swoim blogu pisarskim; z autorami koresponduje przez cały rok. Chętnych jest więcej niż miejsc, a wybór trudny. Warunek konieczny to pełnoletność kandydata, ponieważ Stella zwyczajnie boi się

dotatkowej odpowiedzialności. Wiadomo, że młodzi ludzie lubią się zabawić, korzystają z różnych używek i trudno ich bezustannie kontrolować, bo to się mija z celem spotkania. Od lat problemem są dyscyplina i utrzymanie porządku, jednak nie chce wprowadzać na teren posiadłości policjantów i profesjonalnych ochroniarzy. Dlatego całą organizację powierza firmie, która częściowo zapewnia catering, poza tym sprzęta i zabezpiecza teren na czas imprezy. Co roku musi wcześniej przekonać wszystkich malkontentów. Stella zwyczajnie cieszy się na przyjazd młodzieży i nie zamierza słuchać swoich prawników, którzy straszą ją niebezpiecznymi wypadkami, wymyślając lub przytaczając rozmaite nieszczęścia, na które naraża siebie i swoje najbliższe otoczenie.

Osobną sprawą jest rozplanowanie wszystkich spotkań z ludźmi, którzy zgadzają się wziąć udział w panelu pisarskim, bo bywa tak, że nie każdy, kto się zdeklaruje, potem istotnie dociera na czas. Albo przyjeżdżają tydzień po terminie, zdziwieni, że nikt ich nie ponaglił, nie przypomniał, nie popędził. W ich gronie są nie tylko pisarze, ale też fotograficy, malarze, performerzy, dziennikarze i ludzie filmu. Nauczyła się nie ulegać panice z byle powodu, bo zawsze kogoś, kto się nie pojawił, udaje się zastąpić kimś innym. Od lat walczy z nieprzyjaznym gronem dziennikarzy, które podaje do publicznej wiadomości, że Stella Mangione pobiera od uczestników solidne opłaty i żeruje na sponsorach. Tak naprawdę sponsorzy zgłaszają się sami, bo od dwóch lat pojawiają się w kilku kanałach telewizyjnych wywiady i relacje ze spotkań. Najgorsze, że artyści rywalizują między sobą o czas antenowy i każdego roku trzeba gasić konflikty, które wywołuje ich nadmierna ambicja, czasem przesłaniająca główny cel całej imprezy i jej wartość. Tak było przed rokiem, kiedy niesnaski pomiędzy muzykami doprowadziły do przerwania koncertu i ogólnej bijatyki połączonej z demolką. Stella uczy się na błędach. Czasem postanawia, że kogoś więcej nie zaprosi albo uczyni to w innym terminie, by uniknąć spotkania rywali czy zwalczających się artystycznie frakcji.

Wraca do domu, bo psy są głodne, a przynajmniej na takie wyglądają. Pragnienie zaspokajają w rwącym strumieniu, który wije się między

kamieniami. A poza tym zabrała w plecaku butelkę wody mineralnej i dzieli się sprawiedliwie z czworonogami, które chętniej chłępczą z jej otwartych dłoni niż z misek, które też wzięła.

– Hector!

Płowy olbrzym znika jej z oczu, wpadając do sporej kępy krzaków, zeszłorocznych bylin i wyschniętych ciemnobrunatnych ziół. Więcej tu chaszczy niż świeżej zieleni. Stella podchodzi nieufnie, zagląda, widzi psa, który tarnosi coś zawzięcie, a potem kładzie się na plecach i energicznie naciera. Przewraca się rozkosznie na boki, jakby był szczeniakiem. Cud, że ziemia pod nim nie drży. Ma w pysku liście i jakieś ochłapy. Wiatr zmienia kierunek i Stellę uderza prosto w twarz silny odór.

W pobliżu potwornie cuchnie.

– Coś ty tam znalazł, Hector? – Pochyla się i zasłaniając dłonią nos, próbuje dojrzeć, w czym z takim upodobaniem tarza się pies.

– Wyłaż, no już, brzydki pies! Świntuch!! Sio! No, już...

Hector niewiele sobie robi z jej próśb i gróźb. Nadal naciera się i przewraca z boku na bok, a na jej słowa odpowiada donośnym szczekaniem. Po chwili dołącza do niego drugi z mastiffów – wywiązuje się pomiędzy nimi ostra kłótnia o miejsce czy raczej trofeum. Stella zdesperowana sięga do kieszeni po telefon i woła na pomoc Antonia, chłopaka „do wszystkiego”. Prosi, by podjechał jeepem, określa mniej więcej, gdzie się zapuściła, i ponagla:

– Błagam cię, pospiesz się, bo nie dam sobie rady z tymi niesfornymi olbrzymami!

Na szczęście tego dnia nie uszła dalej niż pięć kilometrów; wezwany Antonio szybko przybywa z odsieczą. Kędzierzawy chłopak, o karnacji pociemniałej od słońca, wyskakuje z szoferki.

– Bo kto to widział, żeby kobietka pani gabarytów miała takie bydlaki! Jest tyle różnych piesków, taki dajmy na to pudelek albo york bardziej by do

pani pasował. Zobaczmy, co jest grane. – Włazi ochotnie w krzaki do psów.

– Uważaj... – Stella kaszle, nie mogąc znieść okropnego zapachu. – Mogą być agresywne, chyba to coś ważnego, nie dadzą sobie zabrać.

– Yhm, już widzę. Truchło lisa.

– Co?

– Martwy lis.

– O Boże! Może wściekły?

Antonio bez pardonu wywleka, ciągnąc za obroże, oba olbrzymy.

– No już dosyć tego perfumowania, bo cały samochód zasmrodzicie. Won, śmierdziele! Bo waszą panią przyprawiacie o mdłości.

Smród padliny staje się nie do zniesienia i Stella istotnie zwraca śniadanie w pobliską kępkę jaśminów. Wyciąga paczkę chusteczek z plecaka i przeciera załzawione oczy. Nie ma już wody w butelce, więc biegnie do pobliskiego strumienia, żeby obmyć twarz i zmoczyć jedwabny szal, którym miała związane włosy. Przykłada go do czoła, bezradnie kucając nad brzegiem strumienia. Antonio, odciągnąwszy psy, przypina im smycze i przywiązuje do drzewa.

– Leżeć, śmierdziele!

Na szczęście labradory nie interesują się padliną i posłusznie włączają do samochodu, zadowolone z transportu. Antonio podchodzi szybkim krokiem do Stelli, z butelką wody mineralnej w dłoni.

– Nic pani nie jest? Może... – Przykłęka obok niej z troskliwym wyrazem twarzy, ale ona zaprzecza, dziękując skinieniem głowy.

– Zemdlił mnie ten odór. Okropność, już mi lepiej. Dziękuję.

Wypija kilka drobnych łyków.

– Pomóc pani wstać?

– Nie, już dobrze. To musi chyba obejrzeć weterynarz. Zadzwońię do

doktora Trallo, a ty go tu przywieziesz. Trafisz?

– Jasne.

– To straszne. Gdyby pojawiła się wściekliczna, musiałabym wszystko odwołać!

Jeep ma z tyłu bagażnik, nieosłonięty plandeką. Psy posłusznie gramolą się na platformę po skośnej drabince. Antonio popycha ich obfite zady, niecierpliwiąc się. Potem zdejmuje rękawice, rzuca je obok czworonogów i zamyka przyczepę.

*

Stella ustala menu na czas warsztatów, jak nazywa ów zlot, będący cyklem seminariów, zakończonym kilkudniowym festiwalem. Ma być radośnie i kolorowo, taka intelektualno-biesiadna uczta. Młodzi spotykają się ze sobą w atmosferze przyjaźni i poszanowania odrębności; ona gości u siebie w domu zaproszonych artystów. Tego roku postanawia wydać szczególne przyjęcie pod gołym niebem. Lista dań jest długa, imponująca i pretensjonalna. W myśl ściśle określonej przez nią koncepcji, którą zamierza wyjawić dopiero podczas toastów.

Ilekcroć zaprasza do siebie większą ilość znajomych, zatrudnia do pomocy ludzi z miejscowych wiosek, którym dobrze płaci. W ten sposób uczestniczy w życiu okolicy i poznaje jej mieszkańców. Stolarzy, serowarów, mleczarzy, zielarzy i muzykujących poetów. A także dekoratorów, sztukatorów i wikliniarzy. Znachorzy i gawędziarze znają miejscowe zwyczaje i obrzędy – ich umysły są jak skarbnice tutejszej historii.

Siedzi właśnie ze swoim intendentem nad kartką, z ołówkiem w ręku rozprawiając o niezbędnych zapasach. Co należy niezwłocznie dokupić do spiżarni, o ile skrzynek wina należy uzupełnić piwnice i u kogo najlepiej zamówić antałki oliwy, dziczyznę, świeże mięso oraz ryby. Skąd wziąć owoce, warzywa i kwiaty do wystroju pokoi gościnnych, znajdujących się w części starego baptysterium, pozostałym po zburzonym w trakcie działań wojennych klasztorze, które Stella częściowo zrekonstruowała

i przystosowała na pomieszczenia gościnne. Na tyłach domu suszą się pościelenie i prześcieradła, wzdęte żagle poszewek i obrusów. Oddział pogodnych dziewcząt ze wsi, śmiejąc się i podśpiewując, zmierza z wiadrami i szczotkami do mycia oraz woskowania podłóg, szorowania drewnianych sieni i wietrzenia poszczególnych pomieszczeń. Zjawia się Mona, przynosi telefon, informując, że dzwoni doktor Trallo.

– Witam, doktorze, jakie wieści? – Stella bezwiednie kreśli coś na kartce, pod spisem potraw.

– Mam już wyniki z laboratorium. To nie jest wścieklizna.

– Świetnie! Oddycham z wielką ulgą.

– Jest inna... szczególna sprawa, o której chciałbym pani powiedzieć, obawiam się, że to nie jest rozmowa na telefon. Czy znalazłaby pani dla mnie czas?

– Oczywiście. Kiedy?

– Będę u pani za godzinę. Czy to wielki kłopot?

– Nie. Do zobaczenia.

*

Weterynarz ma piątkę dzieci i uchodzi za człowieka kordialnego i rodzinnego. Jest zażywnym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Na widok Stelli odstawia filiżankę, którą podała mu Mona.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, mam tyle spraw związanych z przyjazdem gości. Niebawem zjawią się u mnie młodzi. To pierwszy tegoroczny turnus. Musiałam załatwić kilka spraw z dostawcami, ale już jestem do pana dyspozycji.

– Ależ nie szkodzi, pani Stello, jak zawsze wygląda pani uroczo. – Weterynarz z namaszczeniem całuje jej dłoń, chociaż podała ją tylko do uścisku.

– Pan jest taki uprzejmy. Dziękuję.

Marco Trallo rzuca ukośne spojrzenie na Monę, która krząta się, podsuwając mu paterę z ciastkami.

– Wolalbym... w cztery oczy.

Zdziwiona Stella posyła przepaszający uśmiech dziewczynie. Zostają sami.

– Słucham. Zaniepokoił mnie pan. Czy coś się dzieje z moimi psami?

– Obeszliśmy z Antoniem teren, gdzie Hector znalazł lisa. I pozwoliłem też sobie trochę powęszyć, rzucić okiem tu i tam wokół pani domostwa i najbliższych zabudowań. Na wszelki wypadek. Znalazłem dwie martwe kuny oraz padłe ptaki.

– Jednak wykluczył pan wściekliznę?

– Zdecydowanie. To dość przykra sprawa. Zwierzęta zostały otrute.

– Co takiego? W jaki sposób?

– Pokusiły się o karmę dla psów, która znajdowała się w miskach na zewnątrz. Zbadałem ją i znalazłem śladowe ilości rtęci, ale nie to mnie zaszokowało. Do mięsa dodano truciznę o szczególnym składzie. To nie mógł być przypadek. Ktoś usiłuje zabić pani psy.

– Ale przecież nic im nie jest. Czy kontakt z tymi otrutymi zwierzętami...?

– Nie, substancja musi dostać się do żołądka. Działa w połączeniu z enzymami trawiennymi. Pani psy nie są głodne czy łakome. Zadowolają je regularne karmienie w domu, nie jadły tego, co jest w miskach na zewnątrz, albo akurat nie czyniły tego w ostatnim czasie, kiedy ktoś...

– Kto?

– Tego nie wiem, ale to nie są żarty. Substancja dodana do karmy jest trudna do wykrycia i raczej nie można jej nabyć w aptece. Muszę powiadomić miejscowego komendanta. Pani również grozi niebezpieczeństwo. Czy ktoś pani wysyłał przykre anonimy albo nękał

głuchymi telefonami?

– Mnie? Dlaczego ktoś miałby to robić?! Nie mam tu wrogów, od lat żyję z tymi ludźmi w przyjaźni. To absurd! – Stella przemierza pokój, oszołomiona i rozzłoszczona.

Weterynarz, poważny i pełen troski, zdaje się rozumieć jej wzburzenie.

– Pani Stello, prawda, żyje pani pośród nas od wielu lat, pamiętam, jak tu pani zawitała po raz pierwszy, razem z panem Hennesy. Wówczas myśleliśmy, że jest pani jego wnuczką, a nie żoną. Kiedy prawda wyszła na jaw, cóż... nie była tu pani mile widziana. Ludzie jednak przyglądali się, oceniali i nikt nie mógł pani nic zarzucić. A kiedy pani owdowiała i zaczęła żyć po swojemu... otworzyła się na okoliczne rodziny, nie tylko notabli, ale też zwyczajnych ludzi, cieszących się z małych spraw, przeżywających swoje małe smutki i radości, żyjących z pracy własnych rąk... Ludzie to cenią. Sam wiem, ile dzieci trzymała pani do chrztu, jak lubi pani uczestniczyć w życiu tutejszej społeczności, w naszych jarmarkach i weselach.

– W pogrzebach także.

– Bywa pani na stypach i weselach, tańczy i rozmawia, pije i śpiewa. Tego nie zrobił nikt stąd, nikt nie otrulby pani psów. Nikt z miejscowych nie życzy pani źle.

– Pan jest przeciwny zapraszaniu w tym roku do Villa Breve młodych ludzi?

– Nie, to raczej nie oni chcą panią skrzywdzić. Co więcej, ta impreza służy całemu regionowi, poza reklamą daje impuls do działania, rozwoju. Chodzi mi jednak o to, że mieszka tu pani bez ochrony, zaprasza wszystkich, jest taka szczerą, otwartą, ufna...

– Co w tym złego?

– Nic, tylko... Mało to na świecie wariatów, zboczeńców? Proszę pomyśleć, ani kamer, ani monitoringu...

– Czy pan wie, ile tu jest hektarów? Jak miałabym to wszystko ogarnąć?

Otoczyć się drutem kolczastym pod napięciem?!

– Powinna pani zabezpieczyć dom i jego najbliższe otoczenie. Bo może to nawet nie o panią chodzi, ale o kogoś, kto do pani przyjeżdża.

– Niechże mnie pan przestanie straszyć!

– Proszę tego nie lekceważyć. Byłbym niepokieszony, gdyby spotkało panią jakieś nieszczęście. Niech się pani zastanowi, każdy może tu wejść, zaczepić na spacerze. Takie posiadłości są z reguły strzeżone. Czy na przykład rodzina pani męża... nie chcę niczego sugerować, ale... były żony? Siostry czy bracia pominięci w testamencie?

– Niech pan da spokój! Piszę takie bzdury w swoich powieściach. Sam pan powiedział, że żony są „byłe”. Każda została spłacona. Hennesy nie miał rodzeństwa.

– Proszę, by była pani ostrożniejsza, zwłaszcza gdy tylu ludzi kręci się swobodnie po posiadłości, w dzień i w nocy.

– Na litość boską, gada pan jak moi prawnicy! Czy już nie można żyć po swojemu, być wolnym człowiekiem? Nie popadajmy w paranoję! Dlaczego ktoś miałby na mnie nastawać?

– Wrogiem bywa czasem człowiek, któremu najbardziej ufamy, kto z pozoru dba o nas. Ma z nami bezpośredni kontakt i dlatego właśnie jest tak niebezpieczny! Oraz zabójczo nieuchwytny. Bezkarny.

– Coś mi się zdaje, że lubi pan dramatyzować. Ale dobrze, pomyślę nad tym, co mi pan powiedział. Dziękuję za ostrzeżenie. Psy będą karmione wyłącznie w domu. Chociaż... sama nie wiem. Bo skoro komuś zależy na ich...

– Pani Stello, to eskalacja agresji. Zaczyna się niewinnie, potem ofiary zaczną się pojawiać wokół pani, z każdą bliżej... tej właściwej osoby, która stanowi cel. Proszę na siebie uważać.

*

Młodzi zjeżdżają do posiadłości przez trzy dni, z różnych stron świata.

Rozbrzmiewają języki: hiszpański, francuski, niemiecki, włoski i angielski. Stella nieźle sobie radzi w kontakcie z nimi. Zna dobrze angielski i włoski, mówi nawet miejscowym dialektem, co się przydaje, kiedy jedzie do wsi, by prosić o pomoc. Zawsze przy tej okazji objeżdża rowerem okolice, odwiedza swoich chrześniaków i zamawia miejscowe przysmaki. Wszędzie zatrzymuje się na pogawędki i poczęstunki, degustacje nowych wyrobów, smakowanie lawendowych ciasteczek i konfitur z akacji.

– Zawsze zastanawiam się, jakie uczucia im towarzyszą, kiedy się rozbijają – mówi do Mony, przyglądając się z daleka, jak rośnie namiotowe miasteczko.

Młodzi ze śmiechem rozstawiają namioty i zadaszenia, montują pawilony, wyznaczają miejsca składowania śmieci, okopują swoje „domostwa”.

– Na pewno inne niż wtedy, gdy szykują się z powrotem do domu – odpowiada Mona.

– Tak, znają się wówczas i wydają nieco inni niż w dniu przyjazdu.

– Przede wszystkim jest im smutno, bo wszystko się kończy.

– Nie wszystko, są młodzi. Życie dopiero przed nimi, a tu zatrzymują się na krótko. Jednak z każdym początkiem rodzi się jakaś nadzieja, na miłość, przyjaźń. Powstają nowe pomysły i kontakty.

– Proszę pani, przyszedł stroiciel fortepianów! – woła z odległości kilku metrów Delia.

– Już idę! – odkrzykuje Stella.

*

– Z muzykami jak z dziećmi, jedni mówią, że przyjadą, a potem się nie zjawiają, zaś inni twierdzą, że nie mogą, ale jednak wpadają, zwykle kiedy nikt się ich nie spodziewa – zrzędzi żona starego Giuseppe, powlekając kołdry świeżymi, pachnącymi letnim powietrzem poszewkami.

Stella śmieje się, bo wie, że to gderanie znamionuje u niej dobry humor

i tak naprawdę lubi pomagać w przygotowaniach. Poklepuje poduszki, układa je na kanapach, poprawia kwiaty w wazonach, sprawdza owoce na paterach i karafki z wodą na stolikach.

– A... – Czerstwa, pogodna kobieta zamyśla się na moment. – A ten... Cygan, z kolczykiem w uchu, będzie, proszę łaskawej pani?

– Ha, ha, to nie Cygan, tylko Irlandczyk.

Paul O'Hara, znany i ceniony muzyk, biznesmen i filantrop. Od ponad dwudziestu lat grający z powodzeniem na całym świecie, razem ze swoim rockowym bandem Abomination.

– Ten... Cygan już mocno posiwiął, ale głupoty z głowy nie chcą mu wywietrzeć – mówi Stella i przypomina sobie, że musi mu przykazać, żeby trzymał język za zębami. Zwłaszcza gdy mówi o niej. To prawda, zeszłego roku zbliżyli się do siebie, ale potem nie widzieli się przez wiele miesięcy. Było, minęło. Zaprosił ją na scenę i zaśpiewali razem kilka piosenek, co bardzo spodobało się publiczności. A potem trochę za dużo wypić i znalazła się w jego pokoju oraz łóżku. Chciała o tym zapomnieć. Zwłaszcza że Paul miał od lat tę samą żonę i uchodził za człowieka rodzinnego, miał też czworo dzieci, wyjątkowo udanych. Żył w miarę przykładowie, latał po świecie własnym samolotem i sponsorował ulubiony klub piłkarski. Odkąd szczęśliwie zainwestował w akcje jakiegoś portalu społecznościowego i został miliarderem, chętnie udzielał się charytatywnie, prowadził dwie fundacje i w muzycznym świecie cieszył się uznaniem nie tylko za dorobek artystyczny, ale również za dość stabilny charakter. Dlatego Stella była zdumiona, że ludzie powtarzają plotki o nich, że niby są kochankami. To nie służyło ani jego rodzinie, ani jej.

Starła się naprawić swój wizerunek, nadszarpnięty burzliwym romansiem sprzed pięciu lat. Wówczas żyła przez rok z aktorem młodego pokolenia. Keith Morag był utalentowany i czekała go fantastyczna kariera. Niestety znaleziono go martwego w jego mieszkaniu w Nowym Yorku. Prawdopodobnie przedawkował leki. Osierocił dwuletnią córeczkę i żonę, z którą nie zdążył się rozwieść. Całą winę przypisano Stelli; mieli romans i to

ona z nim zerwała. Ludzie ubzdurali sobie, że przez nią nieszczęśliwy aktor odebrał sobie życie. Nikt do końca nie potwierdził, że jego śmierć to samobójstwo. Wiedziano, jak żył w ostatnich miesiącach. Miał liczne zatargi z prawem, problemy z alkoholem i innymi używkami. Był fenomenalnym artystą, uwielbianym za swoje role, i zdążył zagrać w siedemnastu produkcjach, odkąd rzucił college. Jego śmierć spowodowała nagonkę na Mangione. Ludzie koczowali pod jej domem w Los Angeles, rzucali w okna kamieniami, a kiedy wychodziła, skandowali, że jest dziwką i morderczynią. Musiała sprzedać dom i wyjechać ze Stanów, bo nawet w zawodowym świecie filmu zaczęto ją bojkotować. Wówczas zamieszkała we Włoszech. Potrzeba było trzech lat, nim kolejny reżyser zaproponował jej współpracę, a jedna z wytwórni poprosiła o napisanie scenariusza.

Keith spotkał Stellę na wernisażu. Twierdził, że od razu się w niej zakochał. Ona dobiegała czterdziestki, on miał dwadzieścia cztery lata i roczną córeczkę z aktorką poznaną na planie jednego z filmów. Obie ponoć bardzo kochał. Stella długo go unikała, zwodziła, nie chciała, by zostali kochankami. Keith oszalał na jej punkcie, wysyłał prezenty, podjeżdżał pod jej dom, urządzał na ulicy koncerty, demonstracje, sprowadzał kilkusetosobowe grupy i wspólnie z nimi odgrywał performensy, deklamował wiersze, obsypywał milionami płatków róż, z helikoptera, którym latał nad jej domem. Dawał anonse do prasy, na całe szpalty, za które płacił słono jak za reklamy: „Keith kocha Stellę M.”.

Czy to takie dziwne, że w końcu mu uległa?

– Posmutniała pani. Powiedziałam coś nie tak? – Kobieta łagodnie dotyka policzka Stelli. Jej dłoń jest chropawa; to ręka zapracowanej gospodyni, która umie wszystkiego dopilnować.

– Nie...

Nie słucha jej gadaniny. Wraca myślami do Keitha i po raz kolejny zadaje sobie pytanie, czy mogła coś zrobić, by go uratować. Nagle traci ochotę do przygotowań. Do tej całej inspekcji gościnnych pokoi. Wychodzi bez słowa i biegnie do swego azylu w głębi domu. Do końca dnia nikt już jej nie

widział.

Mona jak zwykle przynosi jej wieczorem herbatę i kieliszek wina.

– Chce pani coś zjeść?

– Wystarczy wino i herbata. Dziękuję ci.

– Proszę pani, mogę coś powiedzieć? Wiem, że się pani martwi, czy i tym razem wszystko będzie grało. Proszę być dobrej myśli. Przyjadą, zawsze jest tu wspaniała atmosfera i...

– Mona, dziękuję. Ale naszły mnie... – wzdycha – dawne wspomnienia. Tak jakoś... A naprawdę wspaniała to jesteś ty! Czy aby ci za mało nie płacę?

Mona lekko się obrusza; widać, że wzmianka o pieniądzach sprawiła jej przykrość.

– Chyba palnęłam! – Stella parska śmiechem. – To normalne, że mówię o pieniądzach. Zależy mi na tym, żeby ludzie, których zatrudniam, byli ze swojej pracy zadowoleni. I nie certolmy się, bo to zwyczajna rzecz.

Mona myśli inaczej. Lubi Stellę; nie z poczucia obowiązku czy dla wynagrodzenia. Zwyczajnie chce, by ta kobieta potrafiła cieszyć się życiem. By była, a przynajmniej bywała, szczęśliwa. Od lat ją podpatruje, nie wszystko pochwała, ale stara się jej nie oceniać. Mona przywiązała się do swojej chlebodawczyni. Podziwia ją za samodzielność i niezmiennosc charakteru, za to, że jest sobą. I stara się żyć w harmonii z tutejszymi ludźmi. Nikt w promieniu wielu kilometrów nie mógłby powiedzieć o Stelli złego słowa. Tu każdy dobrze ją kojarzy i ma za co jej dziękować. Stella potrafi z poświęceniem czuwać przy chorych dzieciach; załatwia badania i specjalistów, jeśli zajdzie taka potrzeba. Opiekuje się zwierzętami i okazuje szacunek miejscowym seniorom. Nigdy nikogo nie zlekceważyła. Uważa, że jej pomyślna sytuacja finansowa to nie tylko przywilej, ale też odpowiedzialność. Rodzaj zobowiązania, by nie pozostać obojętną. To prawda, lubi się zabawić, czasem nieco szarżuje i sporo można by zarzucić jej „prowadzeniu się”. Miewa przelotne romanse i czasami gości u siebie ekscentryków, jednak całym swoim życiem wyraża pasję i szczególny rodzaj

uczuciowości. A także wrażliwości – na ludzką krzywdę i bezradność. Mona nie umie tego Stelli powiedzieć – że ją podziwia i życzy jej jak najlepiej. Z całego serca!

– Nie będę pani przeszkadzać. Dobranoc. Chyba że mnie pani jeszcze będzie potrzebować?

– Nie, połóż się, już późno. Dobranoc.

Stella odprowadza wzrokiem smukłą sylwetkę Mony, patrzy, jak zamyka drzwi sypialni. Tak naprawdę niewiele o niej wie, co może wydawać się dziwnie, biorąc pod uwagę, jak bardzo ufa tej dziewczynie. Wie, że Mona jest sierotą, ale nie ma pojęcia, czy posiada jakąś inną rodzinę, bliższą lub dalszą. Żyje skromnie i zdaje się mieć minimalne potrzeby. Odkąd Stella pozwoliła jej u siebie zamieszkać, a minęły właśnie cztery lata, nie widziała przy niej żadnego mężczyzny. Z natury zamknięta w sobie, czasem sprawia wrażenie skrzywdzonej i dziwnie zastraszonej. Ale może to tylko pisarska wyobraźnia każe Stelli obdarowywać tę skrytą dziewczynę cechami, jakich nie posiada? W każdym razie nie nalega na zwierzenia. Każdy ma prawo do swoich małych tajemnic. Grunt, że w pracy Mona sprawdza się świetnie. Zawsze skrupulatnie wypełnia swoje obowiązki, jest chłodna i opanowana, cierpliwa. Małomówna. Idealnie do siebie pasują.

*

W osobnym rzucie zjawiają się zaproszeni pisarze i artyści. Mieszkają w przygotowanych pokojach; niektórzy mają bardzo konkretne życzenia, co do warunków mieszkaniowych i menu, o czym należało pomyśleć zawczasu.

– Chce ci się to wszystko organizować? Bardzo ci się dziwię – oznajmia każdego roku jej agentka Nancy.

Nie rozumie, że dla pisarki, która uwielbia, jak się wokół dużo dzieje, to okazja do miłych spotkań. Poza tym Stella potrafi zrozumieć młodych ludzi, którzy w nikim nie znajdują oparcia.

– Wiesz, jak trudno kogoś poprosić o pierwszą korektę tekstu? O opinię na temat swoich prób literackich? Ja nie biorę pieniędzy. To jest dla nich

bardzo ważne, bo skąd taki młody człowiek ma wziąć pieniądze? No sama powiedz? Jeżeli jeszcze niczego mu nie wydali...

– Bo może nie jest tego wart?

– Ale on nie wie! Ktoś życzliwy powinien mu uświadomić, jaka jest ta jego proza. I nie mam tu na myśli siebie, ale innych, bo czasem nie wiadomo, jak do kogoś trafić. Wiem, jak wydawcy traktują debiutantów. Gdy nie masz agenta, to do widzenia, nawet z kimś takim nie rozmawiają. A na to, by znaleźć dobrego agenta, potrzeba kontaktów, wpływów i oczywiście pieniędzy.

– Więc ty postanowiłaś im te drogi skracać i ułatwiać?

– Nie wiem, czy akurat coś takiego robię. Spotykam się z nimi i zapraszam innych pisarzy, bo wydaje mi się, że ktoś powinien im pomóc. To nie znaczy, że każdy z nich odniesie zaraz sukces. Wielu po prostu zmieni zdanie, zacznie myśleć o czymś innym, uzna, że pisanie nie jest tym, co chcieliby robić przez resztę życia.

– I chwala im za to! – odpowiada zazwyczaj Nancy. – Bo dzięki twojej działalności może się okazać, że więcej mamy pisarzy niżli czytelników.

Muzycy osiedlają się zawsze w jednej kolonii, czyli blisko domu albo w jego części; zostają rozlokowani w budynkach gospodarczych, których wnętrza poprzerałano w stylu rustykalnym. Mieszkają tam wygodnie i co najważniejsze: integrują się. Bo chociaż wioska namiotowa jest położona dalej od Villa Breve i trzeba do niej kawałek dojść, to jednak grupki gości przebywają zawsze razem, co sprawia, że również dobrze się tu bawią.

Przez cały dzień młodzi ludzie planują wspólne zajęcia, spotkania oraz posiłki. Zazwyczaj jedzą w jednym z budynków, ale jeśli pogoda na to pozwala, grillują i piknikują również pod gołym niebem, i wtedy jest najwesелей. Z oddali dobiegają odgłosy prób, bo jeśli – jak tego roku – muzycy zjeżdżają sukcesywnie, w różnych terminach, występy towarzyszą im wieczorami niemal przez cały czas. Wykonawcy się zmieniają i czasem sami artyści organizują wspólne występy, nie tylko ze sobą, ale również

z młodymi. Dla Stelli najważniejsze jest to, że ułatwia im te kontakty, i na ile jej czas pozwala – bo musi czuwać nad całością imprezy – stara się we wszystkim uczestniczyć.

– Witam was bardzo serdecznie. Cieszę się, że dotarliście bezpiecznie, zdołaliście się rozlokować i mam nadzieję, że jest wam w miarę wygodnie. Tematy naszych spotkań, wykładów oraz wspólnych debat jak zwykle typowałam spośród wielu propozycji. To nie są moje pomysły, tylko wasze. Staram się tak dobierać uczestników tych warsztatów, żeby mogli zabrać głos w kwestiach, które was nurtują. Każdego roku pojawia się problem z komunikacją. Przyjeżdżają tu pisarze hiszpańscy i włoscy, którzy nie za bardzo radzą sobie z angielskim. W ogóle, jak widzicie, działamy tu w większym gronie i trudno to wszystko okiełznać, posługując się jednym językiem. Angielski trochę upraszcza, choć zdaję sobie sprawę, że nie dla każdego to będzie równie łatwe, jak dla ludzi posługujących się tym językiem na co dzień. Ale otrzymaliście konspekty wszystkich spotkań i mam nadzieję, że to wam pomoże. Czy macie jakieś pytania?

– Zostaniemy podzieleni na grupy?

– Nie, jest was trzydzieścioro... kogoś brakuje? Nie? Przyjechali wszyscy? Dobrze. Widzicie sami, że tworzycie skromne grono, i dlatego nie robiłam żadnych podziałów. Oczywiście uczestnictwo w zajęciach jest dobrowolne. Zapraszam was też do korzystania z tutejszych atrakcji: jazdy konnej, kąpieli w jeziorze, pieszych wycieczek po okolicy i zwiedzania. Zorganizujemy jeden wypad do Sieny, w przyszłym tygodniu podjedzie tutaj autokar i kto zechce, będzie mógł razem z przewodnikiem powłóczyć się po zabytkowych uliczkach.

– Chcielibyśmy coś sami przygotować. Może występ kabaretowy z naszymi tekstami i w naszym wykonaniu? – Sympatyczny hipis występuje przed szereg i uśmiecha się nieśmiało. – Kto ma pomysły, proszę do mnie! Jestem Aron, mieszkam w zielonym namiocie.

– Też mam zielony namiot – odzywa się jakaś dziewczyna z afro. – A nie przypominam sobie, byśmy byli współlokatorami.

Słysząc śmiech.

– Ja nie mam nic przeciwko – dodaje Aron. – Porównamy te zielenie, okej?

Stella uznaje, że pora zniknąć i dać im trochę swobody.

– Od jutra będą koncerty. A dzisiaj wieczorem spotkamy się na pierwszych zajęciach. Amy Waters opowie o swoich kontaktach z mediami.

– Rozlegają się oklaski i młoda pisarka występuje z grupy, kłania się, a potem mówi:

– Myślę, że mogłabyś sporo dorzucić na ten temat.

– Raczej nie. Nam chodzi o media w roli swego rodzaju trampoliny, od której odbija się początkujący pisarz. Dalej bywa różnie, bo albo to skutkuje reklamą i promocją, albo... Zapraszam do dyskusji wieczorem, godzina dziewiętnasta. Nie za późno?

Słysząc gwizdy i śmiechy.

– Jesteśmy ranne ptaszki!

*

– John opowie dzisiaj o fizjologii w tekstach literackich. Wolno się śmiać! – Stella zaprasza swego gościa.

Jest nim sześćdziesięcioletni prozaik John Devine, autor wielu bestsellerów. To dla młodych okazja, by nie tylko go posłuchać, ale również zdobyć autograf z dedykacją. Tym razem John zaczyna swą opowieść od wspomnień:

– Pamiętam, że kiedy chodziłem do szkoły, nękały mnie straszne poranne gazy. Ten problem zajmował sporo miejsca w moim ówczesnym pamiętniku...

Stella zasiada razem z innymi. Młodzi reagują żywiołowo i mają ciekawe pytania, z których wynika, że są naprawdę odcytani.

– Beckett pisał w opowiadaniach, że wychodził z psem na spacer,

„popierdując z cicha”.

To miał być rzetelny wykład poważnego gentlemana. Tymczasem przeradza się w spontaniczną wymianę zdań, poglądów na literaturę współczesną i cytatów.

– Nawet Agatha Christie...

Śmiechom i żartom nie ma końca. Sięgają do makabreski, teatru absurdu i poprzez Ionesco, Borisa Viana, Rolanda Topora i wielu, wielu innych dokonują oryginalnego podziału na literaturę „bekającą” i „skrępowaną”. Ktoś rzuca kolejny pomysł:

– Czy szczegółowe opisy zbrodni to też fizjologia?

– Zależy, jak na nie reagujesz – odpowiada ktoś ze śmiechem. – Jeśli puszczasz pawia albo się podniecasz, to chyba tak.

Na koniec spotkania John mówi, spoglądając na Stellę:

– Fizjologia to również seks, ale to kwestia na osobne seminarium.

– Nie, skoro zacząłeś, to proszę cię, pociągnijmy ten temat.

– Wypadałoby zacząć od nazewnictwa...

– Właśnie!

Młodzi ludzie się ożywiają i zaczynają wymieniać wszystkie znane sobie określenia na męski narząd płciowy. Inwencja niektórych jest niewyczerpana. Z wielu stron bombardują uczestników spotkania tradycyjne Wacki, ale też wymyślne Pikusie, Tyciory, Wojaki, Figle, Pershingi, Rycerze i nawet jeden Biskup.

– Rany Julek, zaraz padnę! – prycha jedna z dziewczyn. – Jak oni lubią się przechwalać!

John daje się podejść i szczerze wyznaje, że mówi o swym członku „serdelek”. Okazuje się, że większość mężczyzn lubi określenia o zabarwieniu uczuciowym, wyraźnie deklarując nie tylko troskę, ale i więź z owym ważnym szczegółem anatomicznym. Każdy chciałby coś dodać,

śmiechom nie ma końca.

– Moi drodzy, atmosfera nam się nieco rozluźniła – oznajmia Stella – wróćmy do meritum. Powiedzcie mi, dlaczego czasem te opisy są takie trudne? Nie wydaje się wam, że czasem opis całej... procedury bywa śmieszny?

– Procedura, ha ha!

– Właśnie! Jak uniknąć śmieszności w opisach erotycznych?

– Lepszy śmieszny niż wulgarny!

– Albo pretensjonalny! – rzuca obcięty na jeża blondynek. – Kiedy czytam, że „ujął jej kobiecość w smukłe palce i wycisnął zeń nektar jak z cytryny”...

– Gdzieś to czytał, stary?!

– Chcemy koniecznie poznać dalszy ciąg!

John Devine ponownie zabiera głos i spokojnie dzieli ten rodzaj opisów na kilka konwencji. Wyznacza jeden ważny aspekt: szczerść.

– Trudno opisać coś, czego się samemu nie przeżyło. Macie zatem pole do popisu, młodzi artyści!

– I okazję do rozpusty!

– To była aluzja?

– Jaka aluzja...

*

– Terry i Magda opowiedzą nam dzisiaj o ciekawym zjawisku, jakim jest „melodia w tekście”. Ja czasami ją słyszę, a wy? Terry jest muzykiem, ale nietypowym. Prowadzi zajęcia terapeutyczne. Będzie korzystał z fortepianu, żeby wyrazić inaczej to, co znajdziemy w tekstach literackich. Zgoda?

*

Tristan przyjechał w drugim tygodniu. Zabrał wprawdzie chłopaków ze

swojego zespołu oraz skrzypce, ale miał nadzieję, że to jego Stella oczekiwała najbardziej. Jakże się rozczarował, kiedy pierwszego dnia pobytu nie zamienił z nią bodaj słowa. Podczas poprzedniej wizyty zachowywała się zupełnie inaczej, liczył na powtórkę.

Przeliczył się. Wciąż przebywała z innymi. Wciąż była bardzo zajęta. Nazajutrz to samo. Poznał większość osób, spędził dzień, przemierzając konno okolicę, a wieczorem trzeciego dnia dał bardzo udany koncert, na który złożyły się różne utwory, w tym covery piosenek pop.

Nie miał powodów do narzekań w kwestii warunków zakwaterowania, wyżywienie i towarzystwa. Do pasji doprowadzała go natomiast nieuchwytność Stelli. Zwłaszcza że wszyscy ją chwają, podziwiają i dobrze znają. Nasłuchał się sporo o jej byłych kochankach. Tak jakby przyjaciele Stelli uparli się, by go w tej materii pilnie uświadomić.

Tego wieczoru wszyscy spotykają się przy obficie zastawionych stołach, na przyjęciu, które zaplanowała pisarka. Kiedy na białych obrusach płoną świece umieszczone w kandelabrach, a półmiski i talerze wypełnione mniej lub bardziej wyszukanymi potrawami cieszą oczy biesiadników i wszyscy czekają na znak, że „już można”, gospodyni przyjęcia wstaje i uderzając łyżeczką w kieliszek, prosi o uwagę.

– Któż z nas nie jadł boeufa Strogonowa?

– Ja... – wyrwa się komuś, ale zagłusza go salwa śmiechu.

– Gwarantuję, że go dzisiaj zjesz, mój przyjacielu, kimkolwiek jesteś! – odpowiada Stella i kontynuuje: – A kto z was próbował kotletów Pożarskiego? Albo jajecznicy z serem księcia Rudolfa? Czy wołowiny *à la* hrabina Esterházy? Truskawek Romanowów? Wykwintnego befsztyku *à la* Chateaubriand? Melby i torciku Anny Pawłowej? Słynny pisarz Wiktor Hugo zwykł o sobie mawiać, że jest szczęściarzem, bo ma strusi żołądek. A wielki, nie tylko talentem, ale i posturą, Aleksander Dumas ojciec sam tworzył ciekawe przepisy, z których część pozostawił w swoich pamiętnikach. Niewątpliwie pierwszą sztuką, którą podziwiał człowiek, była, drogie panie

i panowie artyści, sztuka mięsa! – Tu rozlegają się oklaski, które cierpliwie przeczekuje, i mówi dalej: – Słynne potrawy wywodzą swe nazwy od wielkich władców, zwycięskich wodzów, wybitnych artystów i polityków: zrazy Nelsona, pieczeń Talleyranda, ziemniaki Parmentiera...

– A słynne jaja arcyksięcia Maksymiliana? – dobiega z oddali. – Ich posiadacz dawno oddał ducha i już zzieleniały, pośmiertnie. Ale ich kaliber wciąż pozostaje zagadką...

Śmiech po raz kolejny przerywa wystąpienie Stelli.

– Robimy się cholernie głodni – słyszy ponaglenie.

– Dobrze, będę się streszczać. Wznoszę toast na cześć znanych potraw. I nie piję teraz za ich nazwy, które prócz sławnych osób upamiętniają też bitwy, wydarzenia historyczne i legendy. Dzisiaj uczymy bezimienne rzesze kucharzy, restauratorów i szefów hoteli, którzy latami tworzyli swoje dzieła, zawsze ku chwale kogoś innego. I podkreślam tu fakt, że w przeważającej mierze byli to mężczyźni, tak, tak... Panowie w kuchni na przestrzeni wieków mieli więcej do powiedzenia niż panie. Tworzyli często zupy na gwoździu, dzieląc poniewierkę podróży ze swymi słynniejszymi towarzyszami i, nazwijmy ich tak przekornie, darmozjadami. Bo do historii gastronomii przeszły nazwiska tych, którzy mieli szczęście po raz pierwszy skosztować tych dań. Jest rzeczą wielce niesprawiedliwą, że nie znamy ich rzeczywistych autorów.

*

Stella wychodzi wieczorem ze swojej sypialni i nagle spostrzega, że ktoś przeskakuje balustradę i wspina się po murze, wykorzystując stare gzymsy i obfitość winorośli.

– Tristanio? Co ty wyprawiasz?

– Przyszedłem do ciebie, bo wiesz, skoro góra nie pokwapiła się do Mahometa... Przecież mnie zaprosiłaś!

– Zaprosiłam muzyka, by zechciał dać koncert, i jestem ci ogromnie

wdzięczna, że się zgodziłeś. Było wspaniale!

– Nie uważasz, że mogłabyś mi podziękować lepiej? – Chwyta ją w ramiona i zaczyna całować. – Tęskniłaś?

– Oszalałeś?! Tu jest pełno ludzi, jeszcze ktoś nas zobaczy!

– Co cię ugryzło? – Mężczyzna krzywi usta w ironicznym uśmiechu. – Połowa tych „ludzi” była z tobą w łóżku. Pewnie w wolnych chwilach porównujesz sobie nasze fiuty! Nie za późno na święte oburzenie? Mogłabyś ewentualnie zagrać tę komedię kilkunastu gachów wstecz.

– Jak śmiesz!?

– Wybacz, kochanie, ale co krok natykam się na twoich byłych lub przyszłych i po prostu nie rozumiem, dlaczego akurat wobec mnie postanowiłaś grać „ladacznicę z zasadami”.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić!

– Podzielam jego brak ze szwadronem innych.

Stella uderza go w twarz.

– Natychmiast stąd złaź! Tą samą drogą, którą wlałeś.

– To twoje ostatnie słowo? Mogę sobie złamać nogę albo rękę... – Muzyk jest przekonany, że Stella żartuje.

– Nie obchodzi mnie to! Jeśli cię wpuszczę na schody, ktoś gotów pomyśleć, że u mnie zostałeś...

Niezadowolony Tristan siada okrakiem na balustradzie, spogląda niepewnie w dół.

– Powinnaś tu zainstalować drabinkę sznurową. Coś mi mówi, że ktoś miał więcej szczęścia i już ci do niego spieszo.

– Tristanio, proszę cię, jestem zmęczona i chcę się położyć. Sama!

On musi mieć ostatnie słowo, choćby dla podbudowania bezlitośnie nadszarpniętej pewności siebie.

– Jesteś świeża jak kotlety, po których kiedyś rzygałem. – Przeskakuje murek i znika. Stella podbiega, wychyla się i wprost w kołyszące się pod balkonem krzaki jaśminów i bzów rzuca z poczuciem winy pytanie:

– Nic ci nie jest?

– Zbytek łaski! – słyszy w odpowiedzi.

*

Stiller robi w tył zwrot i wściekły odchodzi, nie spojrzawszy już na balkon i niedostępną kochankę. Kilka kroków dalej natyka się na siedzącego pod rozłożystą akacją O’Harę, który właśnie gasi papierosa i sięga po butelkę stojącą przy jego nodze.

– Też odesłany z kwitkiem? No, no, mam niezłe towarzystwo.

– Do mnie ta gadka? – Tristan odbiera słowa jak zaczepkę, gotów jest się nawet bić.

– Chwilowo tak, ale jak siądziesz tu obok i poczekaś chwilę, zjawi się trzeci. – Paul podsuwa mu papierośnicę. – Na razie nie masz lepszego zajęcia dla rąk.

Tristan wyciąga papierosa, korzysta z podanego ognia i po zaciągnięciu się pyta:

– To jest twoja alternatywa? Marihuana?

Paul śmieje się, jakby go naszedł wisielczy humor.

– Mam coś lepszego, ale nie tutaj. Pogadamy? Teraz ty masz u niej swoje pięć minut.

– Pięć sekund chciałeś powiedzieć! Liczyłem na więcej.

– Jak każdy. Ta kobieta ma ogień między nogami, nic dziwnego, że co rusz tam wpuszcza łaskę dynamitu.

– To wszystko prawda, co o niej mówią? – podpytuje Tristan.

– Powiadają, że z reżyserów nie spał z nią tylko Almodóvar, a to dlatego,

że jest gejem.

Stiller nie ma ochoty tego słuchać. Wstaje, rzuca niedopałek i przydeptuje go w trawie.

– Skoro tak nią gardzisz, co tu robisz? Masz żonę...

– Od dwudziestu pięciu lat tę samą – zaznacza Paul.

– To powód do dumy, nie zdrady.

– Młody! – O’Hara zwraca się do Tristana jak starszy kolega i mentor. – Spróbuj przeżyć dwadzieścia pięć lat z tą samą kobietą! – Wypuszcza niedbale dym. – A co do Stell... jasne, nie powinienem był tu w ogóle przyjeżdżać. Nie wchodzi się dwa razy do tego samego strumienia. Ale jestem, bo... Cholera! Nie mogę o niej zapomnieć! Obserwuję, jak sobie tu pomyka, na przekór trawie i kamieniom, w tych swoich szpileczkach, z wrodzonym seksapilem, i widzę w wyobraźni, jak leży obok mnie w łóżku, naga, i palimy wspólnie skręta, wspominając nasz pierwszy raz. Oczywiście dlatego, że ona miała na to ochotę. Więc zabawiła się mną beztrosko, jak tym żarem, który w sobie nieświadomie pielęgnuje. Bo akurat miała kaprys, nie na kogoś, tylko na mnie. W związku z tym ja nadal tkwię w pieprzonym zeszłym roku, a ona już dawno poszła do przodu, i to parę lat świetlnych. O mnie zapomniała, zapomniała kilku innych, którzy byli potem. To podobno kobiety są uczuciowe. Wrażliwe i pamiętliwe! Utarło się przekonanie, że facet dopina portki i odchodzi, kiedy ma ochotę. A ja... – zaciąga się i krzywi – nie umiem już rozmawiać z moją „dwudziestopięcioletnią” żoną, z moimi dziećmi. Nie patrzę im w oczy jak kiedyś, bo wiem, że one wiedzą, że ja wiem... I one wiedzą, że ja wiem, że one wiedzą, rozumiesz, Trist? Życie jest jak pogo. Najpierw masz haj i kręci cię jak wir w rzece, wciąga, a później sprawia, że każdy twój miesiąc wyje z bólu. Nie powinieneś obawiać się pierwszej miłości, tylko ostatniej...

– Co ty pieprzysz?

– Tak, wiem, co mówię. Ta kobieta jest wyjątkowa. Niestety często zmienia repertuar, w dodatku uwielbia krótkie formy wypowiedzi.

– Postanowiłeś mnie ostrzec? Już za późno na przestrogi, za późno nawet na współczucie.

– Daj spokój, brachu! Nie zwykłem być miły dla rywala. To wino mi do łba lezie. Weź przykład z Keitha, biedak... On swojej miłości nie przeżył.

– Mówisz o tym aktorze? Rzeczywiście się zabił, bo go rzuciła?

– Spytaj ją. Facet się nieźle wypalił...

Tristan ma dość tej smętnej rozmowy. Odchodzi, machnąwszy ręką.

– E, zaczekaj! Wiesz, że jesteś do niego podobny?

Paul nie ma z kim skończyć butelczyny. Wstając, potrąca ją i wino się wylewa, a potem wsiąka w trawę.

*

Mrówka żwawo biega po kartce papieru. Stella wyprzedza ją koniuszkiem długopisu, znacząc te miejsca, gdzie jeszcze nie zdążyła dotrzeć i odurzyć się zapachem atramentu. A może teraz nie używa się atramentu? Przypomina jej się film o przemyśle trującej substancji we wkładach do długopisów.

„A jeśli sama piszę cyjankiem po papierze?”

– Chciałem się z tobą pożegnać.

Tristan. Stoi w progu. Zjawił się bezszelestnie, jak kot na miękkich łapach. Robi się podejrzliwa. Może skradał się, by ją podejrzeć? Przyłapać na dziwacznym zajęciu: śledzeniu mrówki? Ubrany w białe dzinsy, jasnoniebieską sportową marynarkę i sprany T-shirt nieokreślonego koloru. Nieco wyniosły w swej doskonałości, chociaż traktuje ją jak coś, z czym się urodził. Po prostu – nie miał wyboru.

– Jadę do Florencji, a stamtąd lecę do Wiednia – oznajmia od progu, poirytowany.

Boże, jak ją poraża ta jego estetyczna rutyna. Wysoki. Smukły. Jasnowłosy, opalony i taki młody. Nawet tembr głosu ma nastrojony niczym

perfekcyjny instrument. A ona całe życie szuka ideału. Chciałaby mu okazać sympatię, której nie uzna za uwielbienie, i obojętność, której nie odbierze jak skrywanego żalu.

– Wiedeń... – rozmarza się Stella – miasto jarzących się świateł i licznych pomników.

Dlaczego on od razu wie? Musi wiedzieć. Że tak bardzo jej się podoba. Nieomal gasi oddech w płucach tylko tym, że tu stoi; przyszedł do niej z własnej woli i jest obrażony. Albo daleki i zrezygnowany. Jak ktoś, kto już pogodził się z tym, że jest bankrutem. Nie, to ona przegrała! Chciała za bardzo i dlatego jej nie wyszło. Chciała, żeby tym razem było inaczej. Tylko że on jest za młody, zbyt bezczelny i pewny siebie. To mu daje przewagę nad nią. Sprawia, że czuje się odpowiedzialna za nich oboje.

– W gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego ten cały Wiedeń – gasi jej entuzjazm Tristan. – Podobnie jak ciężki i pozbawiony wdzięku pałac cesarski.

– Nie zostaniesz do końca?

– Koncerty, zobowiązania...

– Rozumiem – mówi, choć to nieprawda, wszystko poszło nie tak, wszystko zepsuła. – Dziękuję, że zechciałeś tu przyjechać. Byliście wspaniali. Szkoda, że tak wyszło.

– Ja też żałuję. Przyjechałem do ciebie, dla ciebie i z myślą o tobie, ale potraktowałaś mnie jak ćwiczenia na poligonie.

„Czyżby i jemu było żal?” – zastanawia się Stella.

– Nie rozumiem... – Tym razem wszystko jest jasne i czytelne; ona woli kłamać, bo wydaje jej się, że ten sposób okaże charakter. – Czymś cię uraziłam?

– Może po prostu mam dość natykania się na twoich licznych byłych i przyszłych kochanków!

– Robisz mi sceny o kochanków? – Udaje, że ją to bawi. – Zapomniałeś,

ile ja mam lat?

– Chcę wiedzieć, czy te wszystkie nikczemne plotki mówią prawdę – atakuje Tristan, nie kryjąc emocji.

– Robisz w jednym zdaniu masę błędów. – Stella sądzi, że odzyskała panowanie nad rozmową. – Przecież plotki zwykle nie mówią prawdy. A skoro są nikczemne, to dlaczego ich słuchasz?

– Lubisz bawić się słowami. Twoje powieści są jak partytury dla orkiestry. Adresowane do wielu, choć zawsze w jednoznaczny sposób. Nie pasuję do tego, co wymyślasz dla swoich egzaltowanych, mało wymagających czytelniczek. Zarazem czuję się tak, jakby mnie bezustannie egzaminowano. Te niekończące się debaty na temat wadliwej sylwetki albo palców zgiętych na gryfie...

– Chyba mnie z kimś mylisz, Tristanio.

– Tak, właśnie widzę – ironizuje – tkliwa bogini przeciętności!

Wczuwa się w jej dialektykę, dla efektu gotów sprzedać samego siebie. Cały czas gorzko improwizuje, bo dławi go i męczy świadomość, że zainteresował się kobietą z przeszłością. Ta jej bogata w miłostki biografia erotyczna upokarza go, przez sam fakt, że trafił do jej annałów.

– Bezustannie mnie obrażasz – żali się z przekąsem Stella. Zastanawia się nad fatum, które każdego mężczyznę czyni zarazem łowcą i niewinnym debiutantem.

– Nie zaprzataj sobie tym główki. Mnie tu w ogóle nie było. Przyjechał na kilka dni fagas, którego kiedyś raczyłaś wziąć do łóżka. Męczennik twojego kaprysu!

Nie broni się, nie chce tego. Ustępuje mu. Obnażona poprzez medialne awantury i gadatliwość swoich wrogów oraz pseudoprzyjaciół, od dawna żyje w świecie, który prawdziwe uczucia „kreuje” tylko dla pieniędzy, wykorzystując bogobojność i łatwowierność naiwnych.

– Jesteś na mnie zły? Te złoty młodych to dla mnie szczególny czas.

Dziękuję, że zabrałeś skrzypce i zechciałeś tu dla nich zagrać.

– Te skrzypce miały chrypkę i oddech starego astmatyka.

– Co ty wygadujesz?

– Już milczę! Tylko wisteria, czy jak wolisz, glicynia zwiesza się nad nami, a sztachety w płocie szczerzą zęby do nieba, które trwa i jest nieruchome... – Teatralnie zawiesza głos, by po chwili kontynuować: –

Wiem, nieudolnie podrabiam twój styl. Miałem tu czas, żeby przeczytać powieść *Na strunach grzechu*. Preferujesz muzyków, prawda? I jesteś zepsuta do szpiku kości. Lubisz zabawiać się w ten sposób. Czy już zauważyłaś, że żaden inny instrument tak jak skrzypce nie czyni z muzyka „ofiary”? Tylko skrzypek, swoją postawą w trakcie gry, ułożeniem ramion, brody i dłoni, naśladuje Chrystusa na krucyfikach! Wygląda podczas występu, jakby go nieudolnie ukrzyżowano. Też do drzewa, ale mniej autentycznego!

Stella drętwieje pod wpływem jego słów. Nie rozumie albo udaje, że tak jest. Nie chce się przyznać przed sobą, że ją to obchodzi. Zauważa jego upokorzenie.

– Po prostu bronię się przed tobą...

Stiller ma już wyjść, ale słyszy te słowa i rozbraja go bezsens jej wyznania. Woli jasne sytuacje od „dekorowanych”, odwraca się i pyta po prostu:

– Dlaczego?

– Boję się...

– Że będzie jak z Keithem Moragiem?

To decyduje o wszystkim. On chce ją pograżyć. Nie mogąc zmienić tego, co było w jej życiu, stara się je okrutnie podsumować. By choć przez chwilę poczuć, że coś od niego zależy. Wspomnienie... Samo to imię, wymówione głośno, miesza jej w głowie, wyostrza czujność.

– Idź już, skoro tak!

Tristan znajduje sedno jej kiczowatych opisów i ciska nim:

– Rozpłynęliśmy się w dominancie?

Na moment oboje łagodnieją. On staje w drzwiach niezdecydowany. Liczy, że ona coś powie, żeby go zatrzymać. Ale Stella milczy, więc Tristan wychodzi, obdarzony jedynie błagalnym spojrzeniem. Dla niego to stanowczo za mało.

*

– Jak uporać się z obroną praw autorskich? Co robić, gdy ktoś, często bardziej od nas ceniony i popularny, bezczelnie korzysta z naszych pomysłów? Cwaniak czyta książki niszowe i zwyczajnie kradnie. Bo wydaje mu się, że jemu nikt nie zarzuci plagiatu, a osoby, od której coś po chamsku zerznął, i tak nikt nie skojarzy. Czy dysponujemy wystarczająco skutecznymi środkami, by się bronić? Jak uniknąć takiej bezczelnej kradzieży?

– Zwyczajnie: zacząć się na gościa i nakłaść mu po mordzie!

Pierwszą reakcją jest salwa śmiechu. Stella, która sprowadziła prawnika i specjalistów od prawa autorskiego, przedstawia swoich gości i żegnana brawami odchodzi, by dopilnować dostawy wody pitnej i świeżych ryb.

*

– Proszę pani... – Dziewczyna ma na sobie dzinsy i czarny podkoszulek, włosy związała w krzywą kitkę i gryzie nerwowo długopis. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Tak, chodźmy do ogrodu, tam będzie przyjemniej.

Chwilę później Stella przysiada na kamiennej ławeczce i wskazuje nieznaną jej miejsce obok siebie.

– Nazywam się Iwona Cieślik, przyjechałam z Krakowa. Napisałam książkę i...

– Cieślik, Cieślik... Ta od opowiadania o zbuntowanej ryjówce?

– Pamięta pani?

– Tak, uważam, że było świetne!

– Dziękuję. Naprawdę pani tak myśli?

– Powinnaś pisać krótkie historyjki, potrafisz zawrzeć w małej formie sporo treści, a to wcale nie jest łatwe.

– Ja... napisałam właśnie... coś większego. Powieść. Wysyłam od roku do

wydawnictw i nic.

– Nic? Dlaczego?

– Pani nie wie, jak jest w Polsce. Kilku etatowych bestsellerowców i przypadkowi debiutanci. Kompletnie bez promocji, a co za tym idzie i bez sprzedaży.

– O ile wiem, w Polsce nie trzeba mieć agenta, można samemu słać teksty i czekać na odpowiedź.

– Tak, trwa to nieraz latami.

– Może trzeba się przypomnieć?

– Tak, tylko komu?

– Nie wiem... wydawcom? Nie masz nic do stracenia, prawda? Pisać, wysyłać, wszystko, co się da, czekać, i robić dalej swoje. To w gruncie rzeczy jest też kwestia szczęścia. Jeśli chcesz, wyślij do mnie plik z tą powieścią, przeczytam i wspólnie pomyślimy, co dalej.

– Szczerze mówiąc... to ponad pięćset stron w Wordzie. Nie wydaje mi się, by pani znalazła czas...

– Wydrukuję i przeczytam, spokojnie.

– Ale... tekst jest po polsku.

– Nie szkodzi... – Stella waha się przez moment. – Postaram się znaleźć tłumacza. Popatrz. – Sięga po gałąź, która zwiesza się nad nimi. – Akacja. Napisałam kiedyś humoreskę o niej. Akacja protestuje, że ludzie obrywają jej listki, by sobie powróżyć. Dlaczego właśnie ona cierpi? Jest tyle innych drzew. Na przykład kasztanowiec. Liście ma większe, nawet ślepy je zobaczy...

– Wydrukowali pani?

– Tak... w pewnej gazecie, lata temu. Dostałam nagrodę, której nie odebrałam, bo nie miałam w co się ubrać. Pieniądzy też nie miałam, żeby coś sobie kupić i jakoś wyglądać. Posłałam tylko tekst do redakcji, pod

pseudonimem, i nigdy nikomu nie wyjawiałam, jak się nazywam. Tą nieodebraną nagrodą była książka i dyplom. To też dobry temat na opowiadanie, nie sądzisz? Życie stale podsuwa nowe tematy, ćwiczenia stylistyczne. Trzeba pisać, o czymkolwiek, grunt, by nie ustawać. Może, kiedyś... Nie trać nadziei, jeśli nie dziś, nie za rok, to może za rok i jeden dzień? A poza tym gubi was, młodych, to parcie na druk. Coś napiszecie i od razu chcecie się chwalić. Potrzeba sporo odwagi, by udźwignąć własny debiut. To nie tylko satysfakcja. Wraz z debiutem narażasz siebie i swoje dzieło na przytyki innych. Na „trollowanie” pod swoim adresem, bezkarne, bo na przykład internetowe, anonimowe. Ludzie w jednym nigdy nie zawodzą: potrafią, a jakże, być naprawdę wredni. Czasem wydaje nam się, że to już to, ostatnia wersja, że nic nie trzeba poprawiać. Tekst się trochę odleży... i wrócimy do niego z poczuciem pustki i niespełnienia. Pozmieniamy, przeredagujemy, wyrzucimy to i owo, zwłaszcza owo! A potem sami zobaczymy, że jednak jest lepiej. Wiesz, co jest w pisaniu najważniejsze? Nie wolno zatracić samej siebie, żeby się innym przypodobać. Kusi, by się dopasować, być mniej lub bardziej w jakiejś mierze, bo inni, tacy właśnie „mniej” lub „bardziej”, się sprzedają. Nie. Trzeba nabierać poczucia własnego stylu. A to wymaga czasu, doświadczenia, zaś kłody rzucane pod nogi, wierz mi lub nie, pomagają w kształtowaniu charakteru bardziej niż sukcesy.

Dziewczyna jest rozgoryczona, bo nie tego oczekiwała, chociaż ta obietnica przeczytania... Myśli sobie, że łatwo tej kobiecie gadać o własnym stylu z pozycji autorki bestsellerów, że w jakimś stopniu się z niej naigrawa, a sama jest ponad to.

– Pewnie cię moje słowa rozczarowały? Bo tak ci truję, podczas gdy sama jestem uznaną autorką, drukują mnie i już nic nie muszę?

– Nie...

– Przyznaj się. – Stella uśmiecha się serdecznie. – To naturalne. Ja to wiem, a ty się dopiero uczysz. Spostrzegać, obserwować, oceniać. Czasem dobre tematy mamy za oknem, a szukamy czegoś lepszego. Ja od lat piszę

bzdury i bujam w obłokach. Wiesz dlaczego? Pisanie to rodzaj terapii. Odreagowuję pewne rzeczy. Pewnych ludzi. Sytuacje. Nie chcę o nich pisać, nie mam zamiaru ich nobilitować. Świadomie unikam pewnych kwestii, uciekam w fikcję. Podążam za światłem w tunelu. To nie zawsze jest taki rodzaj pisania, jaki preferują wydawcy. Im stale chodzi o prawdę, o przygnębienie, malowanie kolorami burymi, brudem życia i jego pospolitością. A czytelnik nie zawsze szuka właśnie tego. Na pisanie rzeczy zwykłych szkoda mi czasu. Chcę ocalić mój świat od zapomnienia, ale to nie jest dokładnie mój świat, tylko taki, który sobie tworzę. Minęły lata, odkąd zrozumiałam, że upływ czasu to jest wartość dodatnia. Także w projektach artystycznych. Co czeka, kiedyś zaistnieje. Musisz zacząć doceniać te trudności, bo nie ma innej rady. Bez nich się nie uda, a z nimi, skoro już są, warto się przy okazji czegoś nauczyć. Nie zastanawiało cię na przykład, że wydawano na pniu wszystkie powieści Hemingwaya, nawet te niedokończone? Lub innych nieżyjących już pisarzy. Czasem stara szafa albo zapomniany regał na czyimś strychu wypluwają jakieś szpargały i ludzie widzą w tym znak, żeby to koniecznie opublikować. A biedny autor nie może się już bronić, tłumaczyć, że to były jego juwenalia, że w jego pojęciu nie są wystarczająco dobre, a zachował je z sentymentu, bo nie miał serca tych wczesnych prób po prostu wyrzucić. Tak się dziwnie w życiu plecie, że wartościowe rzeczy muszą walczyć, przebijać się, a nie trwać w zapomnieniu i czekać na odkrycie. Nie każdy stary zapisek autorstwa znanego twórcy jest od razu genialny...

– Pani debiut był spektakularny. Rzeczywisty sukces i od razu sława. – Dziewczyna nadal nie rozumie sensu tej całej przemowy, wie swoje.

Stella doskonale pamięta ten dzień, w którym rozdzwoniły się telefony. Powietrze tak samo pachniało, była śnieżna zima za oknem, marzły jej dłonie w rękawach grubego swetra, a stopy wyglądały pociesznie w góralskich skarpetach. Siedziała osowiała na kanapie i nie docierało do niej, że nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ruszyła medialna machina. Nie miała teraz ochoty, by o tym opowiadać, ale obiecywała sobie od dawna, że kiedyś to wszystko opisze, komuś... Może potrzeba więcej czasu, by

przyznać się do pewnych rzeczy, zobaczyć je takimi, jakie były w istocie. Tym razem uznała, że należy zmienić temat:

– Czym się zajmujesz w... u siebie w domu? Na co dzień.

– Studiuję bankowość.

– Stąpasz twardo po ziemi!

– Trzeba. Z czegoś muszę żyć, a z pisania się nie da. Ta moja szkoła jest płatna, chesne wynosi siedemset złotych na miesiąc, dorabiam jako kelnerka w hotelu. Właściwie... adekwatnej byłoby powiedzieć, że tracę nerwy za pieniądze, nie takie znowuż godne, ale dobrze, że w ogóle jakieś. I o tym, co przeżywam w pracy, po części jest moja powieść. Bo ja... mnie jeszcze nie stać na luksus tworzenia własnego świata. Czerpię z tego, co widzę i muszę znosić.

– Zdrowe podejście. Żeby ci tylko nie wyszedł przydługi felieton.

– Racja! Ale jak człowiek widzi, ile żarcia ląduje w koszu na śmieci po każdym spotkaniu biznesowym, może się wkurzyć. Czy pani wie, że nic nie można zabrać? Chociaż żeby kotu na ulicy rzucić. Już nie mówię o tych trzydaniowych obiadach podawanych na godzinę dwudziestą... Nikt nic nie je albo udaje, że je. Albo od razu mówi, żeby mu sprzed nosa zabrać taki, dajmy na to, krem z zielonego groszku. A przy stołach kelnerują studenci głodni jak wilki, bo wiadomo, że im się nie przelewa. I nie mogą nic zjeść! Nietkniętego dania, tylko „w powietrzu” odmówionego, nie można podać komu innemu. Trzeba od razu wylać do kibla, na oczach kierownika, bo pilnuje. Gorzej niż gestapo! Ale... może u pani, na tych przyjęciach, bywa tak samo? Ale trafiłam, rany!...

– To są przepisy unijne. Jak widzisz, wydane przez ludzi pozbawionych elementarnej wyobraźni. Nie, ja niczego nie wyrzucam. Takie dyrektywy mnie nie obchodzą.

– To co się dzieje z jedzeniem, które zostaje z tych uczt? Przecież ludzie nie są w stanie wszystkiego od razu zjeść.

– Od razu nie, to fakt. Ale jak wyjadą oficjalni goście, zapraszam na „poprawiny” całą okolicę, bawimy się razem do upadłego. Zlewkami karmią miejscowe świnie. Tylko cicho sza, bo to tajemnica poliszynela! Miejscowe świnie są bardzo sympatyczne, te urzędowe oczywiście.

Dziewczyna wybucha śmiechem. Bardzo naturalnym.

– To mi się podoba!

– Widzisz, regularnie zaopatruję w jedzenie schronisko oddalone o dwieście kilometrów, daleko, ale taki mam kaprys. Ten krem z groszku... też mogły zjeść choćby psy z waszego przytuliska dla zwierząt. Nie macie jakiegoś pod Krakowem? Dodany do karmy, bardzo by im na pewno smakował.

– Tylko że ktoś by musiał po niego przyjechać i jeszcze slalomem ominąć aż czterech kierowników, którzy chyba za punkt honoru stawiają sobie to wyrzucanie wszystkiego do śmieci.

– Może jakiś ich krewny tam na to czeka?

– Niezbyt śmieszne – stwierdza rezolutna dziewczyna.

– Tak, masz rację. Transport na pewno jakiś by się znalazł. Kierownicy trzęsą portkami, bo oni też mogą za bezdurność wylecieć. Trzeba ich zrozumieć. Ktoś na górze nie myśli, reszta to widzi, ale nie protestuje. Trudno przerwać taki kordon osłów stojących dzielnie w szeregu i starających się być w zgodzie z przepisami. Zwyczajna rzecz, każdy ma przesrane, boi się, że straci pracę, jak się wychyli. Trzeba z nimi spokojnie pogadać, przedstawić konkretną propozycję.

– Szynka, same wędliny, które wywalam za każdym razem. Jak się nie zje czegoś potajemnie w kiblu albo zwyczajnie do kieszeni nie schowa... A i tak potrafią zrobić rewizję! To są gnoje, z nimi się nikt nie dogada! Wymagają, żeby w najmniejszym nawet pomieszczeniu paliło się full światła. Muszę czyste, bez jednego pyłku dywany odkurzać wielkim smokiem, który prądu żre tyle, co końska trojka siana, ale rozwieszają kartki z uwagą, żeby... ha, ha, ha, oszczędzać serwetki! I papier toaletowy! A ta

kuchnia! Zaplecze? Wszystko się tam sypie, chłopcy malowani, a pod spodem brudni! A jak jest szwedzki bufet, to ferajna przychodzi i nabiera wszystkiego na talerze po same pachy. Wiadomo, darmo dają, to trzeba brać! Teraz się namnożyło fundacji, sponsorów, nasiadówek; wszędzie polega to głównie na żarciu i pierdzeniu w stołki, niczego nie przybywa od takich spotkań biznesowych, poza nadwagą. A czego nie zjedzą, też bach do śmieci! Myślę sobie czasem, że pod ten hotelowy śmietnik mądre żule przychodzą, bo wypas taki jak w czterogwiazdkowym hotelu, tylko podane na nieco gorszej zastawie. Żeby było zabawniej, zastawę wypożyczamy z pobliskiej knajpy, więc stale ją musimy odnosić i brać na nowo, jakby nie dało się tego usprawnić. A sztucce kupili nowe! I nikt ich przed podaniem nie umył. Łyżki miały od spodu etykiety z ceną. Szybko, szybko, nikt tam pod ten spód nie zajrzał, położyli na stołach i zrobiła się afera. Czterech kierowników nie upilnowało! Zresztą zmywak działa tak, że cały tłuszcz wycierany jest w ścierki, bo wszystko wychodzi po myciu tłuste. Musieli by ci goście to zobaczyć!

– Szwedzki bufet zawsze rozzuchwała.

– Nietknięte pieczywo, zamknięte jogurty, opakowane porcje masła, małe nutelle, dżemy, pełne szklanki soku i dzbanki wystygłej herbaty. Niczego nie wolno zjeść ani zabrać. Jak nam kiedyś baba pozwoliła po kawałku placka skosztować, to potem była afera, że jemy wszystkie naraz, a robić nie ma komu. Pokroiła nam tak mikroskopijne porcje, że ciężko było zauważyć ten przejaw dobroczynności.

– Cóż, wydawać by się mogło, że Polacy to dobrzy chrześcijanie... – wyraziła przypuszczenie Stella.

– Owszem, kościoły u nas pełne, zwłaszcza w święta, czyli Boże Narodzenie i Wielkanoc. Do komunii to ludziska biegną tyralierą, ale kiedy wracają, pomodlą się chwilę i zaraz po wyjściu ze świątyni, gdy na schodach robi się tłok, gotowi są bliźnich w łyżce wody utopić.

– To smutne. Nadal... to znaczy ciężko jest nieść dekalog przez życie, większość traktuje go jak szlachetne wariactwo, którego nie sposób stosować

w praktyce. Chociażby sztuka przebaczenia. Często spotykam się z takim podejściem: ja ci tego nie zapomnę!

– Prawdziwe świństwo trudno jest wymazać z serca i głowy. Pani zawsze wybaczają?

– Nie umiem długo chować urazy. Poza tym człowiek, który potrafi wybaczają, nie zatruwa sobie duszy. Bo obmyślanie rewanzu i dokonanie zemsty przynoszą marną satysfakcję, tylko zwiększają gorycz wcześniej doznanej krzywdy. Tak, wybaczam. Cóż innego mogłabym robić? Sama nie jestem bez grzechu, a chęć zemsty to pycha. Nikt z nas nie jest godzien być sędzią kogoś innego.

– Zauważyłam, że w pani książkach ludzie bywają niewiarygodnie szlachetni.

– Niewiarygodnie? Zapewniam cię, że żadna fikcja nie jest tylko fikcją; ktoś kiedyś przed nami albo po nas zrobi dokładnie to, o czym piszę. Życie wybiega przed konfabulacje, marzenia... Weryfikuje wszystkie pomysły, nawet te najbardziej szalone i karkołomne. Dostaję listy, w których nieznani mi ludzie opowiadają z przejęciem, że opisałam ich życie. Że oni się w mojej powieści odnaleźli, co więcej, mają żal do siebie, bo kiedyś postąpili inaczej, a teraz widzą, że mogli być lepsi. Sztuka wybaczania polega na braku powodów. Trzeba sobie uświadomić, jak mylnym stworzeniem bywa człowiek. Każdy z nas. Każdy. Tylko ludzie pozbawieni elementarnej przyzwoitości łatwo wartościują innych, zapominając przy tym o własnych sprawkach. Wybaczanie jest do spokoju i życia potrzebne jak deszcz roślinom na polach i w ogrodach. Nawodnieni, od nowa nabieramy siłę, potrafimy dalej żyć, mimo czegoś, kogoś i „na przekór”. Znowu widzimy sens i mamy siłę, by się podnieść.

– Mówi pani jak kaznodziejka!

– Wiesz, kiedyś myślałam, krótko, ale jednak... myślałam o życiu w zakonie. O kontemplacji własnej duszy. Pomyśl tylko, jaki spokój mają ci ludzie.

– Nie wydaje mi się... Tyle teraz się mówi o dewiacjach w klasztorach.

– Tak, dewiacje istnieją, odkąd jest na ziemi człowiek. Ale to nie znaczy, że wszystko jest z gruntu złe! Powiedz mi, w Polsce były liczne zmiany, chyba również na dobre?

– Tak, pewnie, tylko że namnożyło się też wiele absurdów. Na przykład menadżerowie stoisk z mięsem albo z serami. To po prostu śmieszne!

– Menadżerowie? Menadżera to powinien mieć artysta; menadżera i dobrego agenta.

– O agentach od serów nic nie wiem, ale menadżerowie już są. Łażą po sklepie, bo zatrudniałam się też w marketach. Łażą i węszą, czym by tu personel udreńczyć, żeby tylko nie miał chwili wolnego. Na przykład kasjerkom zabrać krzesła, żeby stały przez wiele godzin. Albo nakazać, by wszystkie sery poukładać tam, gdzie wędliny, i odwrotnie.

– Po co?

– No właśnie, ja też się pytam: po co? Od tego są menadżerowie. W Polsce ser salami ma menadżera, który decyduje, z którego kąta lodówki należy po niego sięgać. Tak, ludzie na ludziach lubią się wyżywać; to nie ustroje są chore, tylko ludzie. Myślę, że u nas pod każdą władzą będzie podział na „my” i „oni”. Zawsze będzie tak, że społeczeństwo władzy nie rozumie i działa wbrew niej. Do dobrego tonu należy oszukiwanie państwa, niepłacenie podatków, nieprzyznawanie się do tego, co się kupiło albo zyskało, lepiej narzekać, bo malkontenctwo to nasza cecha narodowa.

– Sama teraz narzekasz.

– Przecież pani pytała!

– O ile wiem, Polacy żyli długo pod zaborami, a kiedy tworzyły się zręby współczesnych państwowości, pozostawali pod rządami totalitarnymi i też nie mogli sami o sobie decydować. Jakoś to, historycznie, weszło narodowi w krew, że władzę należy oszukiwać, zwodzić, że lepiej coś zataić, bo wówczas więcej można zyskać. W Ameryce największe kary wymierza się za

przestępstwa podatkowe, bo one uderzają w państwo. A państwo to jest wartość, ale też odpowiedzialność, dla wszystkich. Polska musi przejść jeszcze długą drogę, zanim zrozumie, że wolność zależy wyłącznie od nas samych, nie od innych.

Dziewczyna nie jest przekonana i mówi tonem wyrzutu:

– Zawsze stara się pani wszystkich usprawiedliwiać?

– Każdy ma swoje racje. Tak, usprawiedliwiam. Być może dlatego, że żyję już spory kawał czasu i ten naturalny u ciebie bunt mam już za sobą.

Obie kobiety odwracają się, słysząc odgłos kroków. Nadbiega Delia, wołając:

– Giuseppe się piekli, że pani nie ma, a on nie wie, ile czego miało być. A jest śmietanki za mało, a twarogu za dużo! – oznajmia zdyszana. – Utrapienie z tym starym dziadem, w kółko powtarza, że się nie ruszy, bo miał z panią umowę i teraz tylko pani może to poświadczyć!

Stella wstaje i z westchnieniem oznajmia:

– Choćby się waliło i paliło, Giuseppe jest najważniejszy! Wybacz, ale... Giuseppe!

Iwona Cieślik kiwa głową wyrozumiale.

– I tak poświęciła mi pani sporo czasu. Nie wiedziałam, że tu taki młyn. Powinam się domyślić, ma pani na głowie całe imprezowe zaplecze.

– Nie całe! Tego by moja głowa nie zniosła. Jednak, sama widzisz, muszę iść i sprawę odkręcić. Giuseppe ma swoje lata, ale jest bardzo popędliwy, gotów wywołać trzecią wojnę światową z powodu śmietanki!

Ze śmiechem żegna Iwonę, bierze pod ramię Delię i obie zmierzają do głównych zabudowań, skąd już po chwili dobiega głos starca, który wyklóca się z młódkami i powtarza:

– Wasza gospodyni tu jest potrzebna! Głupie jesteście i nic nie wiecie, makolągwy jedne!

*

U mężczyzn odwaga polega na tym, żeby walczyć, ryzykując życie. U kobiet, tak przynajmniej wszyscy mówili, odwaga polega na wytrwałości. Mężczyźni okazują odwagę w nagłych wybuchach, kobiety w cierpliwym znoszeniu swej doli. Może odpowiada to ich naturze, mężczyźni są bardziej drażliwi, skorzy do gniewu, niż kobiety. A może odwaga wymaga gniewu? Mężczyźni szli stawić czoło światu; kobiety zostawały w domu i okazywały odwagę, znosząc ich nieobecność. Potem, pomyślała Jean z sarkazmem, mężczyźni wracali i wpadali w gniew, a kobiety okazywały odwagę, znosząc ich obecność¹.

Kolejny dzień rozmów i debat. Tym razem o ulubionych cytatach. Każdy z seminarzystów stawiał się ze swoją propozycją zapisaną na kartce albo z powieścią, w której tkwi fiszka, zaznaczająca dany fragment. Czytają po kolei, a potem rozmawiają. Czasem omal nie dochodzi do kłótni. Tak jak teraz, gdy mowa, po raz kolejny, o jakże istotnych różnicach płci w sensie emocjonalnym.

– To przecież napisał facet! – odcina się od reszty obrażona Sara. Omotana kolorowym poncho, cała zbiera się do skoku; jest jak pantera.

– Sama sobie przeczysz – ripostuje Aron, potrząsając nad dziewczyną kartką ze swoim cytatem. – Jeśli faceci nie mają pojęcia o kobietach i wypisują same bzdury na ich temat, to po co je potem czytasz?!

– Właśnie dlatego!

Stella siedzi razem z nimi i nie bierze udziału w dyskusji, bo postanowiła tym razem w ogóle się nie odzywać. Może jedynie, jak ją o to poproszą, przeczyta jakiś fragment *Jednorożca* Iris Murdoch, którego wzięła ze sobą na spotkanie. Siedzą na błoniach, w pobliżu namiotowej wioski; od strony strumienia pachnie miętą. Jest późne popołudnie, nawet Latynosi zakończyli już swoją sjęstę i energia rozpala wszystkich, zwłaszcza że do kolacji niewiele już czasu pozostało. A emocje wzmagają apetyt. Wiadomo, że posiłek będzie się między innymi składał z zupy pomidorowej z ryżem

i zapiekanych w cieście naleśnikowym polędwiczek z grzybami. Tu należy dobrze zjeść na kolację, bo prawdziwe życie zaczyna się wieczorem. Nie tylko występy, ale też dyskoteka na błoniach, a niektórzy pozawierali już znajomości z okolicznymi mieszkańcami i umawiają się na regularne randki.

Oliwy do ognia dolewa kilku obecnych pisarzy; sami młodzi nie mają takiej energii jak właśnie sprzeczący się ze sobą autorzy. Stella zaczyna nieco gubić wątek, zamyśla się, powoli podsumowuje miniony czas i szuka odpowiednich słów, by im zapowiedzieć jutrzejszą wizytę ekipy telewizyjnej.

– Stello, czekamy... – John Devine podchodzi do niej, zachęca gestem.

– Tak?

– Wydaje mi się, że nie jesteś teraz z nami... – To brzmi jak wyrzut.

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć, że jutro z rana przyjedzie kilku reporterów i będą przygotowywać materiał dla telewizji. Niestety uparli się, by nam towarzyszyć przez cały dzień, ale chyba sobie z nimi poradzimy, co?

– Jasne jak plecy anioła!

– Nie będzie pismak pluł nam w twarz. – Tego roku ekipa z Polski jest wyjątkowo aktywna.

– A twój fragment? – pyta John. – Widzę, że masz Iris. Co nam zaproponujesz?

Stella spogląda na książkę, otwiera ją na chybił trafił i zaczyna czytać:

– ...powędrował daleko w górę strumienia i kiedy Effingham go dogonił, był już całkiem bez tchu. Pozwolił, by zwierzyna zyskała nad nim dużą przewagę, i ruszył w pościg Maxowym humberem, którego zostawił na dole przy nadmorskim wale. Potem wspiął się stromym liściastym jarem wzdłuż strumienia, który spadał wąskimi, ogłuszającymi kaskadami w ciemne, kręte rozpadliny, minął szereg wapiennych schodów i kolumn – wziął je za ruiny jakiejś osiemnastowiecznej budowli ogrodowej, ale później zrozumiał, że są dziełem natury – i wreszcie wyszedł na porośnięty wrzosem i trawą płaskowyż, gdzie strumień rozlewał się w szerokie, lśniące stawy, którym

*czyste, jaskrawe niebo nadało barwę metalicznego błękitu. Tam właśnie był Pip...*²

Czytając, podążała myślą za obrazami, tak plastycznie przedstawionymi przez jedną ze swoich ulubionych, od lat podziwianych pisarek.

– *Cześć, Effie. Trochę nie w formie, co? Sapiesz jak stary mors. Przyszedłeś na lekcje?*

– *Nie, dziękuję. Nadal nie mam ochoty się uczyć. Chcę tylko z tobą porozmawiać, Pip.*

Zrozumiał już oczywiście, zobaczywszy w stawie tę samotną, zaabsorbowaną, pełną wdzięku postać, że idiotyzmem było prosić o grzeczność maniaka, któremu przeszkodziło się właśnie w folgowaniu jego manii.

– *Zawsze jestem gotów do rozmowy, Effie. Masz zapaliki? Wziąłem fajkę i tytoń, ale zapomniałem zapalek. Spadasz mi jak z nieba*³.

Stella czyta długi fragment, z upodobaniem modulując głos, zmieniając go nieco na potrzeby toczących się dialogów:

– *Gdzie to ma skrzydła?*

– *Nie są potrzebne. Pstrągi nie widzą skrzydeł, wiesz? A liczy się ich spojrzenie.*

– *Z czego to jest zrobione?*

– *Ze sztucznego jedwabiu i ludzkich włosów.*

Effingham wbił wzrok w rudozłote niteczki, wstrząśnięty nagłym, irracjonalnym dreszczem.

– *Czyich?*

– *Carrie. Pokojówki chętnie wyświadcząją mi tę grzeczność. Tak również, ale jego sierść jest ociupinkę za ciężka*⁴.

Stella urywa na moment, kaszle, potem wznawia czytanie. Nikt nie śmie

jej przerwać, chociaż czyta już dość długo.

– *Nie jestem pewien, co ci się należy, Effie – odparł Pip. – Ale przypisujesz mi zbyt wielką wiedzę. Nie wiem nic. Tak jak ty.*

Zaczął bawić się muchą.

– *Cholerny łgarz – mruknął Effingham⁵. Przepraszam.* – Stella jakby się nagle przebudziła. Wzdrygnęła się, włosy wysunęły się zza jej ucha miękkim zwojem.

– Przeczytałam najdłuższy fragment, ale to dlatego, że uwielbiam tę książkę. Czy są w waszym życiu takie książki, że podczas ich lektury macie ochotę gryźć ziemię z żalu, bo to nie jest wasza powieść? Bo nie wy ją napisaliście i już nie napiszecie?

Dostaje w odpowiedzi gromkie oklaski i wodzi pytającym spojrzeniem po wszystkich.

– Czy to kurtuazja należna mi jako gospodyni? Dziękuję, ale chyba mnie rozumiecie...

Jeden z pisarzy, potężny jak transatlantyk, autor makabrycznych horrorów Owen Grey, podchodzi do niej, obejmuje i ściska po przyjacielsku.

– Jesteś wielka w tej zazdrości, do której się przyznajesz. Nikt z nas nie uczyniłby tego w tak bezpośredni sposób.

*

Tristan ma koncert w Operze w Zurychu i przedpołudniową próbę akustyczną z towarzyszeniem orkiestry. Wcześniej, w innych salach, występował z zespołem; grali nie tylko repertuar klasyczny i występy przebiegały w dość przyjacielskiej, luźnej atmosferze. Dzisiaj czeka go oficjalne, nobilitujące show przed wieloma znakomitościami, nie tylko z operowego świata. Ten koncert to wyjątkowa okazja, by po raz kolejny udowodnić swoją klasę wykonawczą. To szansa na podpisanie znakomitego rocznego kontraktu na występy w Europie. Wszyscy się denerwują. Tylko nie sam wirtuoz. Albo potrafi świetnie się maskować. Jego impresario kiepsko

spał, zwłaszcza że podopieczny poprzedniej nocy nieźle zabalował i wstał z lekkim kacem. Właśnie myje zęby, pamiętając o starannym szczotkowaniu (w końcu pali papierosy, a poprzedniego dnia niczego sobie nie odmawiał) przez pięć minut. Może niekoniecznie z zegarkiem w ręku, za to z laptopem, bo usiłuje, ze szczoteczką w ustach, gdzieś mailować.

– Ty jeszcze nie wstałeś? – Phil, jeden z muzyków z jego zespołu, zarazem serdeczny przyjaciel i towarzysz wczorajszej popijawy, wpada do hotelowej łazienki bez pukania i zastaje Tristana w nie najświeższym stanie. Wcześniej ogarnął krytycznym wzrokiem rozbabraną pościel. – Stary, ruchy! Wiesz, że dzisiaj jest twój dzień? Dzień, który już się nie powtórzy? – Przystępuje do niego nazbyt energicznie i potraça tak nieszczęśliwie, że Tristan gubi szczoteczkę. Stiller z trudem się po nią schyla; jest mu niedobrze.

– Coś taki świeży jak wróbelek przed inicjacją?

– Szkoda, że o tobie tego nie można powiedzieć. Co to, blogi czytasz? I...

– Milknie na moment, wzdycha, a potem naciera: – Jeszcze ci nie przeszło?

Na ekranie laptopa widać reportaż ze zlotu młodych u Stelli Mangione.

– Co niby miało mi przejść? – Tristan płucze szczoteczką do zębów, a potem moczy ręcznik i przykłada go sobie do twarzy, wsparty o umywalkę biodrem, bo jakby lekko się chwieje.

– Myślałem, że Stella M. to już przeszłość, jak Wonności Wschodu.

– Jakie wonności? Co ty pieprzysz?! – Tristan podchodzi do laptopa, klika i wszystko znika, tyle że tapeta przedstawia zdjęcie pisarki w seksownym body, siedzącej na kanapie, z długimi nogami na pierwszym planie.

– No te, jak im było...? Tancerki brzucha z... Gdzie to było?

– W Egipcie.

– Umawiałeś się ze wszystkimi, po kolei i... – Phil zaśmiał się, kręcąc głową, jakby nadal w to nie mógł uwierzyć. – Coś pokręciłeś po pijaku, bo

przyszły dwie naraz...

– Trzy.

– No, przecież mówię, że...

– Trzy przyszły. Co z tego?

– Nic, tak sobie myślę, że powinieneś mierzyć siły na zamiary, bo nie oszczędzasz się ostatnio.

– Próbuję jej dorównać! – Tristan wskazuje seksowny portret pisarki. – Może... pojechalibyśmy jeszcze raz, w lipcu? Co o tym sądzisz?

– Gdzie, do Toskanii? Masz tak napięty terminarz, że nie dasz rady.

– Ba, żeby to tylko mój terminarz był napięty! – stwierdza z rozbrajającą szczerością Tristan. Ponownie moczy pod kranem ręcznik, a potem zupełnie bez sensu rzuca go obok luster i wkłada pod kran całą głowę, pryskając wodą na wszystkie strony. W tej niezbyt wygodnej pozycji kontynuuje swą wypowiedź: – Może sam do niej pojedę?

– Sam? Czy ty słyszysz, co ja mówię? Przecież nie masz wolnego wieczoru w lipcu, ani jednego! No, dwa weekendy, ale to szaleństwo, żeby jechać do Włoch ze Stanów na tak krótko! I po co? Będzie tak samo jak poprzednim razem. Ona jest zajęta całe lato!

– Właśnie. Wytlumacz mi, po cholere jej ten spęd smarkaczy?

– Sam jesteś smarkacz, tak się zachowujesz! Zrób coś ze sobą, masz próbę za dwie godziny... – sprawdza na zegarku, a potem podchodzi do laptopa – dokładnie za półtorej. Nie dorównasz tej babie, bo jesteś od niej dużo młodszy. Najlepsze, co teraz możesz zrobić, to wytrzeźwieć. Za pół godziny przyjedzie tutaj twój agent, a wtedy inaczej pogadacie. Skup się i posłuchaj, co mówię.

– Dlaczego tobie nic nie jest, a ja mam takiego potwornego kaca?

– Lata praktyki, stary. Ty pod wpływem tej znajomości chciałbyś od razu przejść na emeryturę, a tak się nie da. Więc dobrze ci radzę, wypij mocną

kawę i zacznij myśleć o kontrapunktach. Bo Beethoven nie pił tyle przed występami, a Bach był w ogóle abstynentem.

– Dobrze ci tak gadać... Chyba się w niej zakochałem.

W tym momencie drzwi się otwierają i do łazienki wchodzi łyśawy playboy ze słuchawkami na uszach. Widząc, że jego podopieczny ma zły dzień, od razu przechodzi do konkretów:

– Jeśli dzisiaj skrewisz, zaskarżę cię do sądu.

– Czy ktoś cię tu zapraszał? – atakuje Tristan. – Poza tym pamiętasz, po co wymyślono drzwi!?

– Puk, puk – rzuca niedbale przybysz. – Mam wielką, przemożną ochotę popukać cię w czoło! Nie zmuszaj mnie do użycia drastycznych środków nacisku. Zrób wszystko, żeby ta kawa postawiła cię na nogi, i to w przeciagu kwadransa. Możesz się nawet wyrzygać dla dobra sprawy, nie interesuje mnie, jak to zrobisz. Zaraz tu wrócę i sprawdzę, jak zadziałał dzbanek kawy, który właśnie dostarczyli do twojej sypialni, maestro! A... – Agent ostentacyjnie spostrzega Philipa – tobie powiem tylko tyle, że jak go nie przypilnujesz, staniesz przed tym świętym gremium zamiast niego.

– Ja? Chyba cię pogięło, Owen!

– Na razie, panowie. Trist, spotykamy się na próbie punktualnie i pamiętaj, że masz być cacy i wyglądać jak Wirtuoz Stiller, żadnej innej opcji nie dopuszczamy do siebie, ani ja, ani dyrygent! A gdybyśmy się jednak pomylili, ty nam za te stracone złudzenia zapłacisz. Słono!

Szybko wychodzi, rzuciwszy po drodze okiem na frak, który przyniósł boy hotelowy. Stiller wchodzi do swojej sypialni i rzuca się na łóżko, byle jak przyklepuje poduszki.

– Daj mi pół godziny...

– Zwariowałaś? Ubieraj się, masz tu kawę, pij do oporu!

– Chcesz powiedzieć, że on tu naprawdę był?

– Więcej, on tu wróci. A wtedy oboje będziemy się mieli z pyszna. Cokolwiek to znaczy.

*

Postawienie do pionu skacowanego muzyka jest rzeczą trudniejszą niżli gra na jednej strunie. Aczkolwiek nie równa się zagranie zamiast niego. Ten argument przemawia do wyobraźni Philipa jak żaden inny.

Tristan na próbie jest jeszcze w kiepskiej formie i nie najlepiej rokuje to na wieczór. Po próbie śpi dwie godziny; a grał tylko godzinę, co zaniepokoiło nawet jego przyjaciół z zespołu. Nic nie je, zaś przed wyjazdem do Opery zamyka się w swoim pokoju, by niby skupić się przed występem. W rzeczywistości dzwoni do Stelli.

– Zaraz mam bardzo ważny koncert. Myślałaś o mnie?

– Tak, żałuję że nie mogę być w Zurychu. Opera mnie potwornie przytłacza, mam wrażenie, że ze ścian wyłażą jakieś dawno zmarłe primadonny, każda z potworną nadwagą. A żyrandole zaczynają się chwiać pod wpływem wysokich tonów i...

– Kontynuuj, bardzo jestem ciekaw.

– Może to nie jest najlepszy moment na tę wizję...?

– Ależ proszę cię.

– Właściwie zupełnie nie rozumiem, o co nam ostatnio poszło?

– O drobiazg: kilka tabunów twoich byłych kochanków.

– To znaczy, że ci jeszcze nie przeszło?

– Nie rozumiem, co niby miało mi przejść? Już drugi raz słyszę dzisiaj to pytanie.

– Ale nie ode mnie. Tristanio... ktoś próbuje otruć moje psy. Poczekaj, ktoś do mnie przyjechał, może to weterynarz...

– Stell, co psy mają ze mną wspólnego? Myślałem, że rozmawiamy o nas.

Stell! Jesteś tam? Gdzie się podziewasz? Na co miałbym czekać? Przyjadę, jak tylko będę mógł, spadnę na ciebie jak nagły huragan, albo letnia ulewa, ta od Vivaldiego! Słyszysz mnie? Stell... Stell? Cholera, wyłączyła się!

*

Zachowanie pisarki mobilizuje go do występu. Publiczność w Operze Wiedeńskiej obdarza solistę gorącymi brawami i Tristan podpisuje kontrakt, co więcej, jesienią ma zagrać w filmie.

Nie, żeby jakoś przejął się jej ogromnymi psami, narażonymi na zatrucie, bo raczej unikał tych bydlaków przez cały pobyt w Villa Breve, a ich los kompletnie go nie obchodzi, ale podoba mu się, że jest smutna. Smutnej kobiecie potrzeba pociechy. Smutne kobiety bywają skłonne do negocjacji.

Niestety zupełnie nie znalazł czasu na wizytę i pomimo obietnic nie zdołał dotrzeć do Toskanii w lipcu. Sierpień wydaje mu się idealną porą na odwiedzin u pisarki w jej tokańskim raj, zważywszy, że beznadziejnie się do niej wrywał od kilku tygodni, dopóki nie dowiaduje się, że i w tym miesiącu Stella postanowiła zaprosić młodych piszących na ostatni tegoroczny turnus. Jakże jest rozczarowany! Znowu to samo! Musi szukać idiotycznego pretekstu, by się z nią zobaczyć.

Bez porozumienia ze swoim amerykańskim impresariem namawia chłopaków z zespołu na trzydniowy wypad do Villa Breve, mając nadzieję, że w końcu dobieje targu, to znaczy dogada się ze Stell i zaplanują wspólny pobyt w dowolnym miejscu na ziemi. Warunek jest jeden: będą tam tylko we dwoje. Ze zdumieniem odkrywa, że bardzo mu na tym zależy. No ale oficjalnie przyjedzie, by wystąpić, tym razem z lekkim repertuarem, bo szereg koncertów stricte klasycznych na jakiś czas go znużył. Stella kojarzy mu się z rozkosznym zapomnieniem i pragnie, by stała się odskocznią od wyczerpujących występów przez całe lato. Właściwie traktuje ją jak atrakcję rozrywkowo-erotyczną, z naciskiem na tę ostatnią funkcję.

*

„Pewnego dnia to zrobię. Przyjdę i zamienię twoje życie w koszmar...”

*

– *Zajęłeś miejsce przy stole suto zastawionym?* – Stella unosi kieliszek, wygłaszając toast. – *Nie otwieraj nad nim gardzieli i nie wołaj: „Jakże wiele na nim”. Pamiętaj, że źle jest mieć oko chciwe (...). Jedz, co leży przed tobą, jak człowiek, nie bądź żarłoczny, abyś nie wzbudził odrazy*⁶. Kochani, niechaj ten fragment z pouczającej i bodaj najbardziej życiowej księgi Starego Testamentu będzie myślą przewodnią naszej uczyty, spotkania przyjaciół. Wasze zdrowie!

– Kolejne obżarstwo w gronie ludzi miłujących życie! – zauważa jeden z pisarzy.

– Przede mną leżą tylko koszyczki z pieczywem, a porcje mięsa są jakiś metr dalej... – Ktoś sprawia wrażenie autentycznie dotkniętego. – Nie jestem łabędziem z królewskiego stawu, nie zadowolę się bułeczkami!

– A ja mam tylko paterę z owocami!

– Widzę... ciasto mandarynkowe. Chyba.

– Wino jest na sąsiednim stole, a koło mnie karafka z wodą...

– Mili ucztujący! Nasyćcie oczy i uruchomcie wasze kończyny dolne. Ruch podczas jedzenia zalecają najlepsi dietetycy, to nie Rzym, tylko Toskania. Smacznego! – podsumowuje gospodyni.

*

Znowu to samo. Tristan zaczają się w jej pokoju i kiedy Stella wchodzi, od razu przystępuje do szturm:

– Skąd to upodobanie do tłumów? Oblepiają cię jak ptasie guano w niesprzątanym kurniku. Bycie pisarzem to chyba kameralne zajęcie? Siedzi się nad kartką papieru albo otwartym laptopem i... wymyśla! – Mężczyzna wykonuje gesty, które bardziej niżli z pisaniem kojarzą się z fechtunkiem. –

Skąd bierzesz ten cały narybek literatury? Zlatują się chmarami jak szarańcza!

– Z bloga, który prowadzę. Czatujemy, mailujemy, przysyłają mi swoje teksty. Wybieram najlepsze, a jeśli znają dobrze angielski, zapraszam na lato. Lubię ich u siebie gościć.

– Dobrowolnie ściągasz ich sobie na głowę. Jakbym miał taki dom, nie spraszałbym hołoty, żeby wszystko zdeptała, do szczętu mnie obzarła i obsrała na koniec. Stell... – zniża głos i stara się mówić pojednawczym tonem – naprawdę wolałbym marnować lato na błogim lenistwie. Nie cenisz spokoju i szlachetnej nudy?

– Ty też tu przyjechałeś po raz drugi.

– Do ciebie! Miałem nadzieję, że nie będziesz oblegana przez kłębiącą się tłuszcę, niczym mury miasta przez morowe powietrza. Na własne życzenie przepierdalasz całe lato!

Pociągała ją jego nieskrępowana niczym młodość, spontaniczność i swoboda, ale...

– Muzyk klasyczny, który gra na tak subtelnym instrumencie jak skrzypce, mógłby staranniej dobierać słowa i metafory.

Oczywiście reaguje po swojemu.

– Tak? To umyj mi buzię mydłem w ramach perwersyjnych zajęć edukacyjnych z młodocianymi! Słyszałaś może, jak rozmawiają twoi adepci literatury?

– Od ciebie mam prawo wymagać więcej, bo jesteś uznanym artystą!

– A literatów słyszałaś? Nie stronią od wulgaryzmów, poza tym kurwią się... przepraszam, integrują z miejscową ludnością jak króliczki. Mam prawo zakląć, jeśli się wkurzę! Skrzypce służą też do wydobywania dźwięków ciemnych i matowych.

– Wkurza cię moja gościnność i otwartość? – Stelli trudno się pogodzić z jego beznadziejnym egoizmem.

– Całe lato urządzasz tu Rondo Allegro Vivace! Cholery można dostać, nic tylko uprawiasz dobroczynność! Chcesz przekupić Pana Boga postawą

służebną? Wyobrażasz sobie, że zapomni o twoich grzechach cielesnych? Jesteśmy Italiano, Stell! Jak dojrzałe w słońcu owoce, soczyste i o wyrazistym smaku. Czekasz, aż zaczniemy fermentować?!

Jej twarz zmienia się pod wpływem tych słów. Oscyluje na krawędzi... niezdecydowania? W końcu oboje wiedzą, że on jej się podoba. Nigdy nie kryła, że lubi się pogrążyć w pieszczotach i czerpać radość z bliskości atrakcyjnego ciała płci przeciwnej. Do tego dochodzi świadomość, że sama mogłaby wiele zaofiarować.

– Mam wrażenie, że jesteśmy osadzeni w bytach równoległych, a nasze korytarze czasowe są przeźroczyste – wnioskuje Tristan. – Dlatego mogłabyś uczynić gest i podać mi rękę.

Stella nie traktuje poważnie jego gry słownej. Ktoś powinien być mądrzejszy.

I tym kimś postanawia być on.

– Zaiskrzyło, pamiętasz? Była, i mam wrażenie, że nadal jest między nami, doskonała chemia. Nie marnujmy czasu! Ile jeszcze częściej gadaniny potrzebuje twój duch, by ciało zechciało obudzić się z letargu? Nie przywykłem do takiego „tańczenia przy ognisku”! Podejrzewam, że ty też bywasz w reakcjach szybsza. Więc może zrezygnujemy ze słów i przejdźmy do czynów? Ty nie jesteś Jane Austen, nie muszę olśnić twoich krewnych swoją pozycją i bezinteresownością, jeśli chodzi o posag, jesteś Stella Mangione...

Może by nawet do czegoś doszło, lecz do pokoju wpada Delia i od progu krzyczy:

– Flawio przyniósł miód i miodówkę. Czy weźmie pani... o przepraszam!
– Ogląda się za siebie, na drzwi, jakby chciała sprawdzić, czy na pewno pukała.

Bo nie pukała.

Tak czy siak, Stella czuje się zwolniona od odpowiedzi. Wzrusza

ramionami, spogląda na Tristana i mówi do dziewczyny:

– Skoro to Flawio, a nie kto inny, nie ma rady. Trzeba iść i sprawę dopiąć jak guziczki przy sukience. Lubisz miód, Tristanio?

– Tylko ten z uszu, moja piękna.

*

– Powiedźcie sami! Nie można dziecku po prostu włożyć czapki na głowę, trzeba ją „osadzić”? A po zapałki leżące na stole ktoś musi się „rzucić”? Pretensjonalne brednie! To trochę tak, jakby Picasso nakładał farbę na płótno nie za pomocą pędzla, ale koparki! – Stella jest w swoim żywiole, rozmawia z młodymi nie tylko o swoich sukcesach, ale i o porażkach. – Facet mnie totalnie zjechał! Tyle opowiadań, nie tylko mojego autorstwa, a on wytknął, że słabe były „ghost stories”, bo on nie lubi, gdy ktoś pisze w konwencji sprawozdawczej! O ile wiem, tylko mnie przydarzyło się takie popełnić. Nie pojął, że to taka sama konwencja jak gadająca lodówka czy więdźmy latające na... mopach. Wiadomo, że pisanie kryminałów czy horrorów wychodzi najlepiej felietonistom. Bo pisarze skupiają się na szczegółach dotyczących emocji, a ludzie sięgający po suspens czy grozę nie są ich tak bardzo spragnieni. Powiedzmy sobie szczerze, trudno dzisiaj stworzyć oryginalny film czy książkę. Niektórzy reżyserzy już dawno postarali się o to, żeby strachy nie robiły wrażenia. Tak jak w filmie pornograficznym nic mnie nie podnieca. Bo czy wytwórnia wędlin albo wylewanie na hot-doga ketchupu działa ekscytująco?

*

Kolejnym punktem programu jest wspólne zbieranie grzybów, głównie okazałych borowików, które tego lata obrodziły nad podziw. Wszyscy łączą się w pary albo grupki i z koszykami, zaopatrzeni w scyzoryki, wchodzą do lasu. Stelli towarzyszy Tristan. Na wszelki wypadek nikt do nich nie dołącza. Usuwają się dyskretnie, jakby przeczuwali z góry, że tych dwoje nie będzie zbierać grzybów...

– Uwielbiam chodzić po lesie! Te ukośne promienie słońca, które

przebijają się przez korony drzew... Posłuchaj, jak ptaki śpiewają...

– Obawiam się, że jeden się do ciebie wyrywa... Właściwie, cholera, dlaczego nie? – Tristan podchodzi do niej i bierze ją w ramiona.

– Oj, przestraszyłeś mnie! Co tak gwałtownie...

– Bo mi apetyt rośnie w miarę niejedzenia!

Stella obejmuje go, przytula i jakiś czas po prostu całują się w promieniach słońca.

– Hop hop! – słyszą oboje. – Jest tu kto?

– Nie odpowiadaj, zaraz sobie pójdzie! – szepce muzyk.

– Ale... to gdzieś blisko, może nas zobaczyć. – Stella odsuwa się, podnosi z ziemi koszyk i rusza przed siebie.

– Gdzie się wybierasz? Tu jest w sam raz, zobacz, jaki miękki mech... Nie będziesz miała siniaków. Stell, zaczekaj!

Ale ona już uchodzi w las, słysząc okrzyk radości.

– Mam! Chodź, zobacz, jaki ładny. Borowik szlachetny! Ej, gdzie jesteś? Chcę ci go pokazać! Naprawdę dorodny!

Młody mężczyzna miał inne plany w związku z wyprawą do lasu, widzi jednak, że ona woli zbierać owoce runa. Niechętnie idzie za nią, mamrocząc pod nosem:

– Chętnie pokazałbym ci... sromotnika bezwstydnego!

*

Nie ma na nią rady. Znowu niedostępna i tym bardziej przez to pożądana.

Przed koncertem przychodzi jednak do jego pokoju.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że zdecydowałeś się jeszcze raz wystąpić. W dodatku nie załatwiłam ci orkiestry...

– Musiałabyś się przespać co najmniej z trzydziestką muzyków, wliczając

altowiolinistów i perkusistę. To zrozumiałe, że zabrakło ci czasu... A! Jeszcze dyrygent! Ze swoją... batutą.

Stella postanawia to zignorować. Wieczór zapowiada się wspaniale. Jest ciepło i powietrze pachnie po burzy. Chce życzyć mu powodzenia przed występem, chociaż nie dostrzega oznak tremy. Muzyk ma na sobie dżinsy i podkoszulek z napisem REBEL, co zdaje się potwierdzać jego złośliwość, by nie powiedzieć – wredność. A z pewnością zgryźliwość. Pisarka podchodzi do otwartego futerału, w którym spoczywa drogocenny instrument z pociemniałego drewna. Dotyka go z czcią.

– *Del Gesù?*

– Bartolomeo Giuseppe Guarneri. Interesuje cię jego bogata przeszłość?

– Ty mnie interesujesz. Lubię na ciebie patrzeć, gdy grasz. Trudno mi jednocześnie patrzeć i uważnie słuchać. Nazywają cię aniołem ze skrzypcami. Bogiem. Co robisz, by mimo tego stać mocno na ziemi i pozostać człowiekiem?

– Dziwne, że akurat ty zadajesz mi to pytanie. Wystarczy, że bezskutecznie usiłuję się do ciebie dobrać.

Stella podchodzi do niego, dotyka dłonią policzka, szyi, ramienia...

– Jesteś seksualne zwierzę, Stiller. Trochę się ciebie boję, bo cały czas ostrzysz sobie na mnie zęby, a ja już zapomniałam, jak to jest zapadać się w szaleństwo po szyję... Wolę myśleć, że jesteś aniołem ze skrzypcami. Co zagrasz? – Patrzy na lipskie wydanie nut, pożółkłe nieco i pachnące jak starodruk, oraz nowsze, edytowane przez Waltera Davissona.

– Nie chciałbym zanudzić twoich podopiecznych. Schubert, Bazzini, Rode, Tartini, Viotti... To będzie koncert dla ciebie. Tłumy dostały swoje ochłapy. Dzisiaj zagram wykwintnie i zza drzew powychodzą otyłe primadonny, te z Zurychu... Przywiozłem ich całe naręcze. Nie ma żyrandoli, ale oliwki, drzewa mandarynkowe i żarnowiec. Kochankowie spleceni w uścisku gniotą koniczynę nad leśnym strumieniem, a księżyc i gwiazdy rozgrzeszają ich ze wszystkich pozycji miłosnych, których się od siebie uczą,

podobnie jak architektury swoich ciał...

Stella wraca do skrzypiec spoczywających na stole. Dotyka miękkiego aksamitu wyściełającego wnętrze futerału. Wdycha delikatną woń drewna i kalafonii. Obwodzi palcem połyskujące krawędzie. Dotyka gryfu, potem strun...

– Przestań, proszę... – słyszy jego namiętny szept. – Ja czuję! Jak mnie dotykasz...

Stella potrąca opuszką palca kwintę. Jedna struna wprawia w drżenie cały pokój. Wibruje pomiędzy nimi powietrze. Kobieta przymyka oczy, pozwala się objąć od tyłu, przytula plecy do jego brzucha. Opiera głowę i...

– Teraz jest najprzyjemniej – wyznaje.

– Bo wiesz, jak ciebie pragnę?

– Tak. Jesteś tym ledwo uchwytnym momentem, kiedy pociągam za koniec kokardy, która wieńczy mój prezent. Nie wiem, co to jest, ale jest mój, i to mi chwilowo wystarcza.

– Przyjadę do ciebie jesienią – zapewnia Tristan żarliwie. – Kiedy wszystkie ślady zmyje deszcz i porozwiewa wiatr. Będziesz czekała?

– Nie psuj wszystkiego dosłownością!

– Cholera, Stell!

– I nie targuj się ze mną, bo wszystko przepadnie. – Kobieta stanowczo odrywa się od jego ciała, podchodzi jeszcze raz do stołu i dotyka wieka futerału.

– Nie, zostaw, będę jeszcze grał. Rozgrzewka przed koncertem.

To jest dla niej impuls do wyjścia.

– Dobrze, zatem nie przeszkadzam.

– Ilekroć zamykam skrzypce, czuję się tak, jakbym zatrząskiwał wieko trumny... – słyszy za sobą. Ogląda się, stojąc przy drzwiach, z dłonią na

klamce.

- W tej samej niemal chwili czarujesz i sprowadzasz do parteru.
- Zaczynij mnie doceniać! – żąda Stiller.

*

Koncert rozbija nie tylko Stellę, choć nieco obawiała się, jak zostanie przyjęta taka porcja klasyki na dobranoc. O dziwo, trudne pasaże i stylistyczne popisy nikogo nie nużą. Zarówno młodzi, jak i ci dojrzalsi obserwują w zachwycie nie tylko atrakcyjnego wirtuoza, ale i naturalną dekorację, którą za jego plecami zainscenizowało niebo. Różowo-fioletowe smugi znaczą drogę zachodzącego słońca. Rzeczywiście, trudno oderwać oczy! Skrzypek porusza się na scenie z takim samym animuszem, jak jego smyczek po strunach. Niepokorność gestów, żywiołowość, zabawne wstawki wtrącane zręcznie podczas gry, a także skupienie widoczne w nieskazitelnych rysach, gdy tego wymaga interpretacja – czarują i nawet jeśli są wystudiowane, sprawiają wrażenie naturalnych.

Stella z zachwytem śledzi jego poczynania. Nie może nawet na moment przymknąć z lubością oczu, bo wpija się wzrokiem w jego zgrabną sylwetkę i łagodny profil. W gładko zaczesane włosy i jasne, podwiewane przez wiatr kosmyki, które uwolniła ekspresja gry. Wydaje się człowiekiem szczęśliwym, kimś naprawdę kochającym to, co robi zawodowo. Gra bez wysiłku, naturalnie i ze swadą. Dynamizm, bijąca zeń energia i siła witalna odróżniają go od wielu artystów. Jego wykonanie *Zapateado* Pabla Sarasate jest porywające, chociaż akompaniuje mu tylko fortepian. Chciałoby się oglądać go w akcji bez przerwy. Na dwa utwory wchodzi na scenę jego przyjaciel i kontrapunktuje melodię altówką.

Tristan nie jest do końca pewny, czy istotnie udało mu się wprawić słuchaczy w euforię; lubi na finał swojego show uraczyć publiczność wisienką na torcie. Kończy występ potoczną wiązką wariacji na tematy beatlesowskie. Pisarka okryta swetrem, bo wraz z ciemnością nadciąga też chłód, słyszy za sobą niewielkie zamieszanie. Mona przeciska się przez grupę

koczujących na trawie ludzi i podchodzi do niej. Coś mówi wprost do jej ucha, ale gromkie oklaski ją zagłuszają, więc powtarza znowu, lecz Stella nadal nie rozumie.

– Co takiego?

– Gia, proszę pani... Coś niedobrego jej się stało.

Kobieta wstaje gwałtownie, spogląda na scenę, ale zaraz słyszy, tym razem wyraźniej:

– Mastifka... Gia. Proszę do niej iść. Wezwałam doktora Trallo.

*

Suka drży na całym ciele i jęczy z udręczenia, tocząc z pyska różową pianę. Weterynarz ma skupioną twarz, kiedy oznajmia ze smutkiem:

– Nic nie mogę zrobić, jedynie skrócić jej cierpienia.

Stella myśli, że to, co się dzieje, jest tylko koszmarem, z którego lada moment się obudzi. Nie reaguje, bo nie ma takiego zamiaru, nie chce przyjąć do wiadomości okrutnej prawdy. Ktoś otruł jej psa! Dlaczego?! Dlaczego ludzie robią innym takie rzeczy? Czy już nie warto być człowiekiem? Czy jej życie komuś wyrządziło krzywdę? Czy ona komuś zawadza? Przeszkadza? Tak trudno przejść obojętnie, nawet jeśli się czegoś, kogoś nie akceptuje? Dlaczego, na miłość boską?! Te wszystkie chaotyczne myśli krążą, zbierają się nad jej głową... Na zewnątrz wydaje się spokojna, prawie... martwa. Patrzy i nie rozumie. Nic jej nie powstrzymało przed byciem sobą. Nic nie było na tyle chore czy kalekie, by ją wystraszyć i wymusić zmianę planów. A teraz siedzi obok swego konającego psa i czuje tylko odrętwienie.

Z oddali słychać, że Tristan jeszcze raz bisuje. Zrozpaczona kobieta głaszcze potężny łeb osadzony na krzepkim karku, dotyka usztywnionego bólem grzbietu mastiffki.

– Pani Stello – mówi weterynarz – tak trzeba.

Pisarka bezradnie klęczy obok psa i wciąż od nowa przesuwa dłońią po masywnym grzbiecie. Głaszcze czule płową, dotąd aksamitną i miękką

w dotyku sierść, zjeżoną pod wpływem przeżywanej gehenny. Dotyka też łapy, którą wstrząsają drgawki. Wydaje się zupełnie oziębiała, chociaż w jej głowie aż roi się od pytań. Za nią stoją Delia i Mona, obie popłakują, ocierają oczy dłońmi. Zjawia się też Antonio. I żona starego Giuseppe. Wszyscy w milczeniu przeżywają tragedię pani domu.

Doktor Trallo otwiera swoją torbę lekarską, wyciąga z niej strzykawkę, szykując się do wykonania iniekcji w kark zwierzęcia, za uchem, gdzie przebiega tętnica. Nim to jednak uczyni, spogląda pytająco na opiekunkę, zdrętwiałą z żalu, i czeka. To ona musi podjąć decyzję, potwierdzić bodaj ruchem głowy, że się zgadza.

Tristan schodzi ze sceny i ktoś mu natychmiast donosi, że Stella jest przy swoim otrutym psie. Idzie szybko na wskazane miejsce, na szerokie schody prowadzące do domu. Słyszy, jak wiatr porusza okiennicami, które skrzypią żałością. Ogarnia wzrokiem grupkę ludzi, skupionych wokół Stelli i jej psa; dopiero teraz ze zdumieniem zauważa, że całą fasadę starego domu oplata dzikie wino. Widzi dwuskrzydłowe drzwi, w otoczeniu kolumn, na których wspiera się taras z żeliwnymi, fikuśnie pozwijanymi tralkami. Spogląda na najbliższych domowników, a potem spostrzega, że Stella kiwa głową, dając znak weterynarzowi. Lekarz dokonuje iniekcji. Stella przytula się do psa całym ciałem, jakby dopiero teraz chciała pokazać światu, dlaczego potrzebuje takich ogromnych zwierzątek. Obciera pysk mastiffki dłonią, a potem korzysta z podanego przez Monę ręcznika. Masuje cały grzbiet suki, jakby to było teraz najważniejsze. Jest przy swojej pupilce do końca...

– Gia... – szepce i przytula wielki łeb do swojej piersi.

Tristan przeciska się przez tłumek, podchodzi, przyklęka obok. Słyszy westchnienie i ostatni, w pół zamarły oddech umierającej suki. Stella wybucha płaczem. Nikt inny nie śmie się odezwać, nawet poruszyć. Ludzie szybko przekazują sobie smutną wiadomość. Wciąż ktoś nowy dołącza do grupy na schodach. Tworzą zwarty tłum, który faluje niespokojnie, towarzysząc w milczeniu tej szczególnej chwili. Tristan sięga po rękę Stelli, zamyka ją w swoich dłoniach. Ciszę przerywa jakiś ptak, przelatując

z trzepotem skrzydeł. Księżyc oświetla ten obraz smutku i solidarności. Weterynarz musi zadać jeszcze jedno pytanie:

– Życzy sobie pani, bym ją zabrał?

– Nie... – Stella szlocha. – Nie... Nie chcę, żeby została spalona jak śmieci!

Lekarz żegna się i oddala bez słowa do samochodu. Podchodzi Antonio, również klęka, dotyka ciepłego ciała mastiffki.

– Gia... – mówi, jak umie najczulej, żegnając się, a potem, po kilku długich, milczących minutach decyduje się powiedzieć: – Trzeba ją pochować.

Kobieta płacze, pozwala, by Tristan ją objął i przytulił.

– Tak mi przykro, Stell...

Łka w jego ramionach, poddaje się łagodnemu kołysaniu. Czując, jak gładzi jej włosy, jeszcze bardziej zapamiętuje się w bólu.

Antonio wstaje i oznajmia:

– Idę wykopać grób. Tylko gdzie?

Wszyscy patrzą na tę z pozoru silną kobietę, która od wielu tygodni dba o swoich gości, zabiega, by im niczego nie brakowało. Jakie to niesprawiedliwe! Spotkało ją nieszczęście. Nie jest w nim osamotniona. Każdy z obecnych, mniej lub bardziej jej współczuje, co wrażliwsi połykają łzy. Stoją za nią murem milczącej solidarności.

– Proszę pani... gdzie? – ponagla Antonio.

– Pod... – Stella stara się powstrzymać szloch, zacina się, ponownie wybucha płaczem, odrywa twarz od ramienia Tristana. – Pod tym mangowcem, gdzie w maju uderzył piorun... i... weź jej posłanie z domu, dobrze? I... zabawki.

Nikt go nie zauważył, nie zwrócił uwagi. Hektor podbiega do swej martwej towarzyszki i piszczy żałośnie jak szczeniak. Wyczuwa, że stało się

coś złego, choć nie rozumie dlaczego, jak inni. Liże swoją panią po rękach. Na swój sposób chce ją pocieszyć. Nikt nie ma przy sobie chustek do nosa. Mona podchodzi i podaje Stelli lnianą kuchenną ściereczkę, by obtarła twarz. Tristan podnosi ją z klęczek; kobieta czuje w nogach cierpkie armie mrówek. Już nie płacze, odgarnia z twarzy mokre od łez włosy, pociąga nosem. Czeka, aż Antonio wróci z białym prześcieradłem, które skwapliwie wyszukała Mona. Kilku chłopaków pomaga ułożyć psa na płótnie jak w hamaku, unoszą ciało mastiffki i podążają za Antoniem do ogrodu. Wszystkim robi się potwornie niezręcznie. Nie wiedzą, czy iść za tym małym konduktem, czy może lepiej zostać. W końcu jednak podążają do ogrodu i tłum na schodach rzędnie. Stella zostaje, bo nie chce widzieć, jak Gię przysypuje ziemia.

Tristana nie dziwi jej rozpacz i ponura rezerwa. Widział, jak bardzo była przywiązana do psa; stara się zrozumieć jej ból i milczy. Właściwie powinien ją zostawić samą. Ale jak? Nie znajduje żadnych trafnych słów, nic sensownego nie przychodzi mu do głowy. Nigdy nie miał zwierzęcia, nie wie, jak to jest. Zapada cisza, ciężka jak zawartość płótna, z którym odeszli świadkowie tego ponurego wydarzenia. Stiller myśli, że też powinien odejść, ale nogi ani drgną. Trudno mu podjąć jakąkolwiek decyzję. Został przy niej tylko on, nawet Mona i Delia się oddaliły. Siada na schodach, nadal uparcie milczy, nie patrzy na Stellę. Od strony sceny biegnie Phil, który wyszedł przed końcem koncertu; zbliżywszy się do obojga, pyta:

– Komu dałeś skrzypce?!

Tristan uświadamia sobie, że na wieść o tym, co się stało, wręczył je byle komu i pospieszył do kobiety czuwającej przy konającym mastiffie. Teraz wzrusza ramionami.

– Na pewno się znajdują...

– Tak? Bo jakoś nigdzie ich nie widzę!

Ta sytuacja pomaga Stelli się otrząsnąć. Spogląda na nich obu i mówi, zaniepokojona:

– Chodźmy ich poszukać.

Sprawa szybko się wyjaśnia. Instrument odniesiono do pokoju, w którym zamieszkał muzyk. Leżą na łóżku, bo ktoś wolał ich sam nie wciskać do otwartego futerału. Phil oddycha z wyraźną ulgą, jakby instrument należał do niego. Wyjaśnia Stelli:

– Wiem, że to nie jest najlepszy moment, ale te skrzypce są warte kilka milionów. Pierwszy raz byłem świadkiem takiej lekkomyślności ze strony Tristana. Jeżeli ktoś mógł otruć psa, to dlaczego miałyby nie ukraść *Del Gesú*...

– Stary! – powstrzymuje go muzyk. – Zamknij się, dobrze? To rzeczywiście nie jest odpowiedni moment.

Pisarka spuszcza głowę. Phil jest zażenowany.

– Rozumiem, że... Dobranoc. – Cicho zamyka za sobą drzwi, jakby wychodził z kościoła.

Tristan podchodzi do drżącej kobiety.

– Wiesz, kto mógł to zrobić? Nie zleciłaś sekcji? Przecież to sprawa kryminalna!

Stella nie ma ochoty o tym rozmawiać, więc on chwilowo nie nalega. Odkłada skrzypce i zatrzaskuje cicho futerał. Słysząc kliknięcie elektronicznego zamka. Bulwersująca sprawa nie daje mu jednak spokoju.

– Ktoś niefajnie potraktował twojego psa, ale chodziło mu o ciebie... – Bierze głęboki oddech, by rozwinąć temat i przedstawić jej swoje wątpliwości, ale wtedy słyszy:

– Mogę z tobą... zostać?

Ta kobieta jest niemożliwa!

– Akurat teraz?! Wiesz... nie licz na mnie, ta... – Przełyka głośno ślinę, niczym sztubak pod tablicą w trakcie odpowiedzi. – Ta cholerna afera... kompletnie zamroziła mi jaja.

Stella kiwa głową na znak, że rozumie. Chce odejść, ale jeszcze się waha.

Zatrzymuje się w drzwiach i mówi bardzo cicho, ledwo ją słysząc:

– Nie chodziło mi o seks. Chciałam się do ciebie... przytulić. Nie chcę być teraz sama. Pójdę się umyć i przebrać. Mogę potem tu wrócić?

Stiller jest wyraźnie zakłopotany. Zaskoczony!

– Stell, nie jestem dobry w te klocki, nie nadaję się na... konfesjonał. Wolałbym po prostu cię przelecieć, ale czuję, że niewiele bym wskórał... eee... raczej nie dam rady. Więc może idź do kogoś innego, co? Mam na myśli... zwierzenia, rzecz jasna. Nie chodziło mi o seks – powtarza po niej.

Kobieta patrzy na niego niezdecydowana, nie chce wyjść, ociąga się, w końcu mówi:

– Jednak wrócę... Możesz na mnie nie czekać, idź po prostu spać. Trochę mi zejdzie. Wiesz, kobieca kokieteria, zwłaszcza w moim wieku... kandelabrow i wina zabrakło, to muszę się przygotować. Położę się obok ciebie, zwinę w kłębek i...

– Stell, nie rób ze mnie impotentą.

Zastanawia się, czy mu w ogóle coś powiedzieć, w końcu wypala z politowaniem:

– Jesteś beznadziejny, wiesz? Ale i tak tu wrócę...

*

Tak się dzieje. Po godzinie wchodzi bez pukania do jego pokoju, ubrana w jedwabną pidżamę i szlafrok w kolorze mięty związany w talii. Włosy ma rozpuszczone i jeszcze mokre. Zastaje Tristana na zabiegu wyjmowaniu soczewki kontaktowej. Po odłożeniu małego krążka do pudełka z płynem zakrapla oko. Na jej widoczną reakcję, czyli przesadne zdumienie, odpowiada beznamiętnie:

– Wolałabyś mnie w okularach? Mam nieregularny astygmatyzm i jedynie soczewki go korygują.

Stella uśmiecha się filuternie:

– Ja też...

– Tak?

– ...noszę soczewki. I jestem astygmatyczką. Witaj w klubie!

Tristan wyciera ręce, kładzie się na łóżku i pyta:

– Przyszłaś do mnie „w” czy „bez”?

– Bez bym nie trafiła – wyznaje Stella. – Na jedno oko jestem prawie ślepa.

– Hmm... – Jego reakcja wydaje się mało emocjonalna.

Kobieta wchodzi do łóżka i przesuwa się bliżej ściany; oparta plecami o poduszkę, wyciąga z kieszeni szlafrocza gumkę, by spiąć włosy na karku. Mają podobne fryzury, tylko inne włosy. Tristana są jasne, kontrastujące z zaskakująco ciemnymi oczami i ich oprawą, jej zaś – ciemnobrązowe. Ugina nogi w kolanach, jej stopy wydają się małe jak u dziecka. On leży obok, nieprzykryty, dla przyzwoitości założył bokserki.

– Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym był w łóżku razem z atrakcyjną kobietą i nic. Ale wiesz... ten twój pies...

– Suka.

– Twoja suka kompletnie mnie wyprowadziła z równowagi. Chyba w ogóle dziś nie zasnę.

– To się świetnie składa, bo mnie też się nie chce spać. Twoja szczerość powaliła mnie na łopatki! Nie myślałam, że kiedykolwiek spotkam faceta, który tak... otwarcie przyzna się do niemocy!

– Chyba lepiej tak, niż gdybyś sama zauważyła.

– Jesteś wielki. Naprawdę!

– Wołałbym, żebyś się tym tak nie entuzjasmowała.

– Ależ... – Stella parska śmiechem, mimo niedawnej tragedii. A może właśnie tak sobie z nią radzi. – Nawet celebryci korzystają z rzyci! Oj... nie patrz tak na mnie! Głupi żart, wiem. Nie masz tu jakiegoś wina? Zejdę do kuchni, tylko nie pal! – Powstrzymuje jego dłoń sięgającą po papierosy. – Nie o tej porze!

– Pójdę z tobą – oferuje się, jak każdy nałogowiec szukając na gwałt alternatywy.

– Nie! – Jej reakcja jest nerwowa. – Nie... – mówi spokojniej – szybko się uwinę. Zaraz wracam.

Istotnie nie trwa to długo. Wraca z winem, kieliszkami pod pachą i korkociągiem. Od progu wyczuwa dym.

– Palisz?

– Na balkonie – odpowiada Tristan.

– Och, jesteś okropny!

Odbiera od niej butelkę i szybko otwiera, chcąc użytecznością zatrzeć złe wrażenie. Napełnia kieliszki i podaje jeden Stelli. Wracają do łóżka, oboje wygodnie się sadowią, wspierając na poduszkach. Jednak ona, zamiast w ciszy delektować się rubinowym napojem, musi mieć ostatnie słowo:

– Dym nie szkodzi twoim skrzypcom? Bo płuca to sprawa drugorzędna, złogi cholesterolowe też... Powiedz mi, jaki sens ma wydmuchiwanie

substancji smolistych, poza...

– Stell... – słyszy jego szept – porozmawiajmy o twoich nałogach. Dawno cię chciałem o niego zapytać...

– A, rozumiem, nadal słuchasz plotek.

– Trudno cię od nich oddzielić, wiesz? – To brzmi jak zarzut. – Ja nie pozwalam nikomu szargać mojego imienia. Każdą brzydką insynuację od razu ucinam, dziennikarze wiedzą, że moje życie prywatne nie powinno ich obchodzić!

– Wyśmienicie, ja tak nie umiem. Widzę, że coś cię nurtuje, nie krępuj się. Chcesz przestudiować galerię moich kochanków? Może powiesz mi coś, czego jeszcze nie słyszałam.

– Podejrzewam, że usystematyzowanie tych panów zajęłoby nam resztę nocy.

Stella od razu wpada w sardoniczny nastrój.

– Skąd pewność, że to tylko panowie? Coś cię wstrzymuje przed zapytaniem o panie, a nawet konie, psy i koty? Może jeże? Nie pojmuję... Skoro sam tak dbasz o swoją prywatność, czemu mnie odmawiasz do niej prawa? Co cię upoważnia do zadawania mi intymnych pytań?

– Obchodzi mnie to, bo sam trafiłem do twego zbioru. I czuję się w tym tłumie niekomfortowo. Zapytam tylko o jednego. Bo... ponoć go przypominam. Nie znałem gościa, ale oglądałem kilka jego filmów. W horrorze *Matryca czasu* był fascynujący. Zaintrygował mnie jako artysta.

Stella zamyśla się, wpatrzona w zawartość kieliszka.

– Wiesz... to dziwne. Owszem, jesteście do siebie podobni. Te same oczy, włosy, to znaczy Keith... jemu włosy naturalnie się kręciły, a twoje są proste. Ale niemal identyczne sylwetki, wzrost, dłonie...

– ...fiuty? – podpowiada Tristan, dolewając sobie wina do kieliszka.

Ona nie zwraca uwagi na ten pikantny wtręt, jakby mówiła do kogoś

innego albo rozmawiała sama ze sobą.

– Od razu spostrzegłam to podobieństwo... Keith miał brata bliźniaka.

– Co się z nim dzieje?

– Gdy miał siedem lat, potrąciła go ciężarówka, zginął na oczach brata. Jechali szosą na rowerkach, Keith zjechał na pobocze, a Craiga potrącił jakiś drań i zbiegł z miejsca wypadku, nie udzieliwszy pomocy. Nigdy go nie odnaleziono.

– Co za rodzinka! Pozwolili takim szczyłom jeździć po uczęszczanej trasie? Bez opieki?!

– O to właśnie chodzi, że Keith pochodził z jakiejś irlandzkiej dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc. Zazwyczaj nic tamtędy nie przejeżdżało. Wypadek zdarzył się na jego oczach! Był przy bracie, kiedy ten umierał, i twierdził, że dusza chłopca przeniknęła do niego i odtąd żyli obaj w jego ciele.

– To mało oryginalne dość... – skomentował Tristan, niby to podziwiając kryształowy kieliszek. – Jim Morrison jako dzieciak widział wypadek i martwego Indianina na poboczu drogi. Siedział w samochodzie rodziców, gdy przejeżdżali mimo, i wówczas poczuł, jak dusza umierającego szamana... I tak dalej, w ten deseń...

Pisarka знаła tę historię, gdzieś o niej czytała. Nie chciała się jednak rozwodzić nad szczególną paralelę, tylko kontynuowała:

– Oboje, jak zapewniał, mnie pokochali. Grali razem w filmach, żyli o wiele za szybko i zbyt intensywnie. Na jakieś... dwieście procent.

– Kochałaś go? Ich?

Stella podejmuje szybką decyzję.

– Skoczę jeszcze po parmezan, lepiej będzie nam wchodziło wino. – Wyskakuje z łóżka, poprawia wiązanie szlafroka i wsuwa stopy w miękkie pantofle.

– Nie zbywaj mnie, Stell. Mamy okazję pogadać i lepiej się poznać!

– O, tak. Twoje śledztwo ujawnia zupełnie nowego Tristana i wiesz co? Nie mam nastroju, by poznawać go lepiej!

Wychodzi po ten ser – naprawdę ma na niego ochotę albo tylko taki pretekst wymyśliła, by uniknąć niechcianych pytań.

Stiller, z natury zamknięty w sobie – rzadko kto z jego otoczenia potrafi odgadnąć, o czym myśli – jest zły na siebie, że źle się zabrał do tej indagacji. Nie wystarczy pytać, trzeba jeszcze tę ciekawość uzasadnić, a jemu nie chciało się brnąć w wielkie słowa. Ma ostatnio kiepskie „wejścia”, sam tak siebie ocenia i wciąż żałuje pochopnych decyzji. Carrie, do której pojechał owego wieczoru, kiedy nie powiodło mu się ze Stellą, uzurpuje sobie od tamtego czasu prawo do niego. Uznała, że między nimi coś zaszło, a skoro tak, to wolno jej o tym rozpowiadać, nie dostrzegając albo nie chcąc dostrzec jego rezerwy.

Muzyk jest przede wszystkim ambitny. Zależy mu na karierze. Nieformalny związek z fascynującą pisarką odpowiada jego planom, bo ma prawo podejrzewać, że kobieta tej klasy będzie dyskretna i wdzięczna, skoro on jest taki sam. Pasuje też do jego zasady niewiązania się z nikim na stałe. Coś mu jednak w tym układzie przeszkadza. Ilekroć jest ze Stellą, niepokoi go i intryguje... Nie potrafi ignorować jej bujnej przeszłości, jej sławy, którą wykreowali dziennikarze. Coś w nim pała żądzą ataku, gniecie go nieznośnie świadomość, że jest tylko „jednym z wielu”. Budzi to w nim przemożną chęć odwetu, chce ją koniecznie zranić i chociaż częściowo obciążyć odpowiedzialnością za swoją zazdrość.

Stella wraca z talerzem, na którym ułożyła grube kostki sera. Wzięła też drugą butelkę, słusznie przewidując, że ich rozmowa jeszcze potrwa.

– I po co ja myślę zęby? – wzdycha poczęstowany serem Tristan.

– Ba! A po co paliłeś papierosa?

Oboje lokują się na łóżku i sięgają po swoje kieliszki.

– Ja... właściwie nie przepadam za parmezanem... Ten jego słodkawy smak... – rozważa mężczyzna, oglądając ze wszystkich stron kawałek sera. W końcu wkłada go... do jej ust. – Zdecydowanie do takiego wina wolę...

– Nie interesuje mnie twoje upodobanie do serów lub jego brak. Zrozumiem w końcu, że ja tu rządzę, a nie ty! Proponowano mi napisanie scenariusza o moim związku z Keithem. Ale nie zgodziłam się ze względu na jego żonę Naomi i córeczkę.

Tristan nie docenia bodaj słowem jej delikatności. Co innego zdaje się go teraz nurtować, marszczyć brew.

– Był osieroconym bliźniakiem? Powiadają, że bliźnięta są ze sobą bardzo związane, zwłaszcza te jednojajowe.

– To prawda, zawsze po takiej stracie ten pozostały przy życiu odczuwa irracjonalny brak. Jest niekompletny. Keith ciągle ten wypadek pamiętał, uporczywie wracał do dnia, w którym to się stało. Myślę, że podobnie czuje się skazaniec, który nie potrafi zapomnieć dnia, w którym kat pozbawił go ręki. Co więcej, bywa, że ta ręka wciąż go boli...

– Interesujące. Przez fakt bycia bliźniakiem niczego się nie zyskuje, trzeba od początku walczyć o tlen, zabiegać o jedzenie, już w łonie matki rywalizować z kimś, wydawałoby się, najbliższym. Zaś po jego śmierci traci się część tego, co było nieodzowne, a co bliźniak zarazem odbierał, plus kawałek własnej osobowości, tej z lustrzanego odbicia... Musiało mu być ciężko... samemu.

– Od pewnego czasu czuję jego obecność. Keitha – dodała, widząc, że się zamyślił nad sensem własnych wynurzeń. – Jakąś nieuchronność pamięci. Wracam często do wspomnień, choć wolałabym zapomnieć. Dziwnie skupiam w sobie jego gesty, żywiołowość reakcji, wszelkie przejawy jego istnienia. Jakbym stała się szafarką jego osobliwości. Pozbierałam w swojej pamięci i złożyłam razem całą jego odrębność, to, co go wyróżniało i zbliżało do mnie. I... tak jak wiem, że musieliśmy się spotkać i wzajemnie zadreczczać, tak też rozumiem, że jego śmierć... Już mnie nic nie rozprasza, rozumiesz?

Dopiero po jego odejściu zdołałam go poznać takim, jaki był naprawdę. Umieję o nim opowiadać. Wcześniej zbyt emocjonalnie reagowałam. Sprzedałam dom w Los Angeles, wszystko mi go tam przypominało. Szczegóły, na które nie zwracałam uwagi, zawieszono pod sufitem nasze awantury. Tkwiły tam dalej, choć jego już nie było... Moje napięte nerwy reagowały na każdy szelest. Któregoś dnia zamknęłam wszystko na klucz i oddałam pośredniczkę handlu nieruchomościami. Mój prawnik pojechał tam ostatni raz, jako mój pełnomocnik, podpisać umowę sprzedaży. Życie z Keithem... było jak niekończąca się podróż latającym dywanem. W każdej chwili spodziewałam się bolesnego upadku. Niczego nie byłam pewna. Był człowiekiem nieumiarkowanym. Pił, ćpał, ulegał lekomanii, lubił się bawić, kochał ludzi i życie, okropnie dużo palił i miał potworne ADHD. To wszystko sprawiało, że nie sypiał. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy żyć z kimś takim pod jednym dachem. Miał bezustannie mnóstwo planów, kipiał od pomysłów i co gorsze nie rzucał słów na wiatr, co rusz któryś z nich wcielał w życie! Biegał z aparatem albo kamerą, naprzykrzał mi się, bez przerwy filmował, skakał wkoło mnie i wszędzie za mną łąził, mówiąc, co robię i jaka jestem piękna, jak mnie szalenie kocha, i relacjonował: „Stella zjadła brzoskwinie! Teraz chodzi po ogrodzie i myśli, gdzie by tu zasadzić pestkę”. Po którymś razie miałam ochotę go udusić! Kręcił etiudy z amatorami, teledyski, realizował jakieś projekty. Udzielał w jednym dniu kilku wywiadów, jeździł o wiele za szybko, surfował, zapraszał zespoły aktorskie; wracając ze studia do domu, wpadał gdzieś na zakupy i znosił góry jedzenia, a potem mnie wołał, pokazywał i mówił: „Chyba wszystkiego nie zjemy, kochanie? Więc... co? Robimy imprezę?!”. Nie jesteście podobni mentalnie, na szczęście. Narkotyki i leki, które brał od lat na ADHD... Nie wiedziałam, ile w nim było prawdy. Brał też coś na sen, który nie przychodził, i na pobudzenie, bo nie potrafił żyć na zwolnionych obrotach... Jego miłość była przerażająca, despotyczna. Chciał, bym uznała, że jest tylko on, wściekał się o byle co, kiedy na przykład pomalowałam paznokcie albo poszłam gdzieś bez niego. Domagał się bezustannych deklaracji. Przysiąg. Nalegał, bym wytatuowała sobie jego imię na piersi. Chciał mieć ze mną dziecko. Był... taki bezwzględny we wszystkim, co sobie zaplanował.

– Może jedynie bardzo zakochany? Dlaczego nagle go rzuciłaś?

– Na miłość boską! Nie każ mi znowu do tego wracać!

– W internecie jest cała wasza historia do poczytania. Robi wrażenie! Może to ktoś z jego rodziny cię prześladowuje? Otruł ci psa? – dywaguje Tristan.

– Co ty wygadujesz? Dlaczego?

– Bo wini cię za jego śmierć.

– Przestań w końcu powtarzać te brednie!

– To mi powiedz, jak było naprawdę!

Stella się zamyśla, a potem stwierdza, wskazując na opróżnioną do połowy butelkę:

– Nie dam rady tego opowiedzieć na trzeźwo.

Wyskakuje z łóżka, sięga po ciężki srebrny kandelabr i świecę.

– Zgaś światło i podaj mi zapałki.

– Mam tylko zapalniczkę. – Przytula ją do siebie, całuje we włosy, potem w kark, gdy ona pochyla głowę i zapala świecę; wsuwa rękę za poję jej szlafroka. – Robisz nastrój, kotku? Te zabiegi odmrożą mi jaja...

– Wolisz słuchać czy się pieprzyć?

– Muszę koniecznie wybrać?

– Nalej mi jeszcze.

Młody mężczyzna posłusznie sięga po butelkę, gwałtownie ją przechyla i wino z chlupotem wpada do kieliszka. Blask świec oświetla jego nagie ciało i gra refleksami w jasnych włosach, na skroniach i zwilżonych ustach. Wydłuża cienie długich, gęstych rzęs. Stella przygląda mu się z zachwytem i zdumieniem, zadając sobie pytanie, czemu wspomina przy nim innego...

– Keith – posłusznie wraca jednak do tematu – przyjaźnił się z wieloma artystami, w bardzo różnym wieku. Z podróżnikami, sportowcami. Wszędzie

go było pełno. Ekstremalnie naładowanego energią, i to była energia kosmiczna! Jeśli akurat nie płonął to dlatego, że wybuchał. Spalał się własnymi słowami, szaleństwem pomysłów. Znasz tego performerera Terence'a Wilde'a?

– Z Wilde'ów znam tylko Oscara, Billy'ego i Gene'a. A muszę?

– Prawdę mówiąc, to świr, jak oni wszyscy. Znali się z Keithem i uzupełniali. Obaj zdrowo stuknięci, ćpali i pili na umór, a nade wszystko uważali, że każdy głupi pomysł warto realizować. Keith uparł się, żeby kolejny wernisaz Terry'ego był „nagi”, rozumiesz? To znaczy, że wszyscy jego uczestnicy musieli przyjść nago, wolno sobie było pozwolić na dodatki typu zegarek, muszka, spinka do mankietów, ewentualnie gumka od majtek. Oraz rekwizyty: teczka, książka, gazeta, nawet parasol czy wózek dziecienny. Na zaproszeniach podano, że obowiązuje „strój biblijny”. Ktoś się zjawił w wieńcu laurowym i wygłosił odę. Ktoś przyszedł z papierośnicą, której nie mógł schować do kieszeni.

– A ty? – zainteresował się muzyk, z trudem zachowując powagę. W końcu był świadkiem jej zwierzeń, otwierała się przed nim, wyznawała swoją niełatwą przeszłość.

– Ja nie poszłam. Ale Keith owszem, w seksownych okularach. Najgorzej było jednak, kiedy wrócił. Przywiozła go do domu policja, bo zakłócał na ulicy porządek publiczny. Wlepili mu grzywnę, a jak odjechali, Keith, kompletnie nawalony, poszedł do szopy ogrodnika po piłę tarczową i zaczął mi ciąć meble. A kiedy próbowałam protestować, cóż, przestraszył mnie. Wyglądało, że i mnie jest gotów przeciąć na pół! Uciekłam z domu i pojechałam na posterunek, żądając, żeby go uciszeli, zanim mi zdemoluje cały dom. Dobrze ci się śmiać. Byłam przerażona! Z trudem opowiedziałam, co się u mnie dzieje. Przyjechało ze mną kilku osiłków. A Keith? Jak gdyby nic leżał w wannie i wyśpiewywał na całe gardło kuplety z *Opery za trzy grosze*. Wiesz, *Show me the way to the next whisky bar, oh, don't ask why...* Tak, tak, to jest diabelnie śmieszne dla kogoś, kto tego nie przeżył. Na szczęście policjanci rozejrzeli się i zauważyli, że część mebli nadawała się

tylko do wyrzucenia, więc sobie tej opowieści nie wyssałam z palca. Ale co mieli robić? Po namyśle poszli, życząc mi... dobrej nocy! Innym razem sprowadził mi do domu trupę teatralną, jakieś trzydzieści pięć osób. I razem z nimi odgrywał w holu *Makbeta*! Do tej pory pamiętam jego monologi. Był za młody do tej roli, ale dojrzały aktorsko. Potrafił na zamówienie ziać nienawiścią i łkać jak potępieniec. Sprawiał, że wierzyło się jego słowom i zapewnieniom. Chciał z mego domu zrobić teatr. Wieczny, oryginalny, koszmarny teatr.

– Mieszkał u ciebie?

– Zostawił dom żonie i swojej córeczce. Sunny Moon Morag. Tak jej dał na imię. Tylko on mógł nadać córce imiona Słoneczko Księżyc. Wprowadził się do mnie bardzo szybko, nim zdążyłam zaprotestować. Zaraz po tym, jak pierwszy raz się ze sobą przespaliśmy. Następnego dnia zajechała bagażówka i obcy muskularni faceci zaczęli po kolei wносить do mojego ogrodu meble, mnóstwo sprzętu fitness, postawili też fortepian... biały, pomalowany w smoki przez tego świra Terence'a. Na końcu zajechał z fasonem sam Keith w sportowym jaguarze! Bez owijania w bawełnę wyjaśnił, że nie mam wyboru, jestem mu odgórnie przeznaczona, a skoro tak, mój opór jest bez sensu i powinnam pozwolić na wniesienie do domu chociaż fortepianu. A potem już mnie prawie nie odstępował... Namawiał, bym pisała sztuki teatralne, z rolami specjalnie dla niego. Ekstremalnymi. Życie toczyło się inaczej. Jeśli wyjeżdżałam, nie wiedziałam, co zastanę w domu po powrocie, drżałam na myśl, co on może wywinąć. Urządził kiedyś „Bal Transwestytów”, wszyscy byli poprzebierani. Poginęły moje ciuchy, biżuteria, kosmetyki. Kot trzy dni nie wracał do domu, bo jak ruszył w trakcie imprezy, to... – Stella macha ręką. – Keith nie lubił mojego kota, twierdził, że kopie pod nim dołki. Kot? Dołki kopie! Chciał, żebyśmy sprawili sobie dużego psa, i stale się bałam, że nagle jakiegoś przyprowadzi albo komuś ukradnie, jak Szwejk! Tak, widzę, jak cię to bawi! Wszystko to jest bardzo śmieszne. Niestety festiwal radości się skończył. Keith wciąż pił, ćpał, nie chciał chodzić na terapię, leczyć się, ograniczać! Wściekał się, ilekroć próbowałam go kontrolować, sprawdzać, co brał lub pił. Nawalony

chciał uprawiać seks i miał zwykłe u narkomana problemy z erekcją. Całymi... – ściszyła głos do żalnego szeptu, choć przecież nikt ich nie mógł podsłuchać – całymi godzinami mnie męczył, nie mogąc skończyć, dojść... rozumiesz? Złościł się, gdy udawałam, że w końcu dopiął swego. Twierdził, że to wszystko moja wina, bo go nie kocham.

– Wtedy się między wami zepsuło?

– To nie tak. Było źle od początku, tylko ja wierzyłam, że coś naprawię, przekonam go do leczenia. Obejrzyj jego ostatnie wywiady. Zwróć uwagę na nieumiejętność skupienia się na twarzy rozmówcy. Keith się kręci, drapie, robi miny, ma jakieś tiki. Jest nieskoordynowany ruchowo, bez potrzeby się pochyla, garbi lub na moment wstaje, jakby kończył wywiad. Nie potrafi skupić wzroku na pięć sekund! Widziałam, co się z nim działo, ale nie chciał mnie słuchać. Dzwoniłam do Naomi, prosiłam, żeby przyjechała z małą. Wybrałam się na plan filmu, w którym grała, błagałam, żeby do niego przyjechały! Wobec wszystkich publicznie mnie zelżyła, nazywając dziwką, która jej zabrała męża, a córce ojca. Powiedziała, że nadal jest jego żoną i skoro nie mogę go utrzymać, bo zauważył, że jestem stara i nudna, to ona poczeka, aż on ją przeprosi i sam do niej przyjedzie. Miałam nadzieję, że jak nie dla mnie, to dla nich zacznie się leczyć i zrezygnuje z narkotyków. Po tym, jak mnie potraktowała Naomi, postanowiłam z nim zerwać. Wróciłam, znowu był nawalony, spakowałam go i oświadczyłam, że ma się wynieść, że koniec z nami i niech robi dalej, co chce, ale nie ze mną! Jak wytrzeźwiał, zaczął mnie na kolanach przeproszać, kajać się i korzyć. Błagał, żebym dała mu kolejną szansę, obiecywał, że od jutra zacznie leczenie, ale już mu nie wierzyłam. Mówił tak, ale wcale nie chciał się zmienić. Kiedy wyjechał, postanowiłam: nigdy więcej! Na wszelki wypadek wymieniłam zamki. Jednak on nie przyjął mojej decyzji do wiadomości. Potrafił mnie wypatrzeć z końca ulicy i biec, krzycząc; prześladował mnie, gdziekolwiek się spotkaliśmy. Publicznie robił z siebie ofiarę, mówił, że go zdradzałam i to przeze mnie rozpadł się nasz związek, że nadal mnie kocha i na świadków tej miłości wzywał wszystkich, nawet samą Naomi!

– A jego rodzice?

– Keith nie utrzymywał z nimi kontaktów, podobnie jak ze swoimi siostrami, oni chyba też się nim nie interesowali, póki nie został sławny. Uciekł z domu jako piętnastolatek i odtąd żył na własny rachunek. Rodzina się znalazła, kiedy mu pośmiertnie wręczano Oskara. Na ceremonię przybyła też Naomi razem z córką i odebrała statuetkę. Hollywood uwielbia takie obrazki. *Standing ovation* w wykonaniu tych, którzy za życia zazdrościli mu wszystkiego, nawet spektakularnych nałogów. Bo umierając tak młodo, dołączył do wielkich i niezapomnianych. Do Jamesa Deana i Jimmy’ego Hendriksa. Żył szybko, kochał mocno, umarł nagle kilka lat przed trzydziestką. Przefrunął jak sirocco. Energii, którą zużył na swoje krótkie życie, innym starczyłoby do siedemdziesiątki.

– Spytam jeszcze raz: kochałaś go?

Stella nie umie odpowiedzieć.

– Wiele razy zadawałam sobie pytanie, czy mogłam, czy byłam w stanie go uratować. Demonstrował pod moim domem, przychodził z tłumem ludzi i skandowali razem, że mam go wpuścić: „Stella, otwórz swój dom i serce!”. Dawał anonse do prasy, groził, że się zabije, jak będę trwać w okrutnym uporze.

– Tak niewiele cię to obchodziło?

– Nie masz pojęcia, jak mi było! Kilka razy siłą wdarł się do mojego domu. Nie chciałam sprowadzać policji. Zgłaszać włamań i... – Kobieta milknie i patrzy w jeden punkt, jakby tam spodziewała się jakiejś pomocy. –

Był wówczas zawsze bardzo agresywny. Nie tylko zmuszał mnie do seksu, ale... używał przemocy. Bił. A raz mnie tak uderzył, że pół dnia dzwoniło mi w uszach. Tak, nie powiedziałam nikomu, bo nie chciałam, żeby inni wiedzieli. Bałam się go... Myślałam o załatwieniu zakazu zbliżania się. I kiedy... pewnego ranka... zadzwonili z wiadomością, że on nie żyje, a ja mam zidentyfikować zwłoki, bo Naomi odmówiła... – Stella podnosi dłonie do policzków, przyciska je i wydaje się taka słaba, taka bezradna. –

Pomyślałam, że to znowu jakiś jego głupi kawał. Po prostu nie wierzyłam, cały czas nie wierzyłam... Byłam pewna, że przyjdzie na galę, sam odbierze

tego swojego Oskara, inni też tak myśleli! A jego twarz była taka spokojna, miał na ustach lekki uśmiech, jakby sen nareszcie sprowadził na niego spokój... – Łzy płyną po jej policzkach.

– Cóż, stężenie pośmiertne każdego wyszlachetnia i rozjaśnia od środka – zauważa bezdusznie Tristan, chcąc pokryć zmieszanie i wzruszenie.

– Tak, fizycznie przypominasz go... bardzo. Byłam przerażona, kiedy cię ujrzałam. Zaczęłam chodzić na twoje koncerty, byłam na piętnastu. Staralam się dostrzec w tobie... ciebie, nie jego! Ale bywało, że wpadałeś w pasję i grałeś tak, jak on by to „zagrał”. Wyrasta za tobą jakby... jego cień i pochyła się, nieomal cię dotyka... Naigrawa się z mojego strachu. Jesteś inny. Opanowany, nie tak impulsywny. Widzisz, tam, przy umierającej Gii, kiedy przyszedłeś i mnie objąłeś... bardzo potrzebowałam takiej bliskości. Jestem ci wdzięczna, że tam ze mną byłeś. Właśnie w taki sposób. On by chwycił za karabin, posłał serię w tłum, krzycząc: „Który to zrobił? Przyznać się, bo wszystkich pozabijam!”.

– I może byłby skuteczny. Ta sprawa z psem nie daje mi spokoju. Potrzebujesz ochrony.

– To miło, że tak się troszczysz, już mnie ostrzegął weterynarz, i dawno zgłosił wcześniejsze próby otrucia na policję...

– To znaczy, że... to nie pierwszy przypadek?

– Nie będę o tym rozmawiać. Koniec, kropka! – Stella zaciska usta w uporze.

– Nadal uważasz te twoje spędy za dobry pomysł? – Młody mężczyzna jest wściekły.

– Nie zamierzam rezygnować z tego, co mi sprawia radość. Zamierzam żyć dalej, po staremu, nikomu nie wyrządzam krzywdy, wierzę, że ludzie mnie akceptują.

– Zawsze tak było? Przypomnij sobie, dlaczego tak naprawdę wyjechałaś z Los Angeles – atakuje ją Tristan.

– Wiesz... nie jest miłe wypominanie mi tego wszystkiego! Tak, po śmierci Keitha rzucono we mnie jajkami i pomidorami. Hordy jego zawiedzionych fanek koczowały pod moim domem, skandując, że jestem dziwką winną jego śmierci. Może już wystarczy wspomnień?

– Dlaczego im nie powiedziałaś prawdy? Że potrafił uderzyć i był świrniętym narkomanem.

– Ponieważ żyje jego córka... Poza tym nie muszę za wszelką cenę ratować swego tyłka. Większość czasu spędzam we Włoszech. W Nowym Yorku tylko pracuję, ale... ja już nie muszę tyle pracować.

– Facet pozostał ikoną talentu i... zawiedzionej miłości, podczas gdy ty...
– próbuje podsumować Tristan.

– Dajmy temu spokój! Stale tylko mnie krytykujesz. Tak zdecydowałam. Było, minęło... Ty też nie szargałbyś pamięci zmarłego.

– Gdyby zakłócał moje relacje z ludźmi...

– Tristiano, on nie żyje. To się już zdarzyło, a tak naprawdę liczy się tylko to, co jest, dopóki starczy życia! Każdy ratuje, co się da, póki może. Śmierć wszystkich nas czyni równymi.

– Gówno prawda! Miałem sposobność tę... równość poobserwować. Jedną z moich zagorzałych fanek była czternastolatka, dziewczynka, która chciała kiedyś grać na skrzypcach, ale los nie dał jej takiej możliwości. Chorowała na zanik mięśni czy jakieś inne cholerstwo, nie pamiętam nazwy. Pewna fundacja przysłała mi list, w którym dziewczyna opisała swoją miłość do muzyki, do skrzypiec właśnie i... poniekąd do mnie. Z prośbą, bym zechciał przyjechać do hospicjum i zagrać. A mój agent w ramach ocieplania wizerunku uznał, że to jest fantastyczny pomysł! Nikt mnie nie uprzedził, nie przygotował na te... widoki. Już sam fakt, że dziewczyna umiera... że, do diabła! Wszyscy tam jedynie umierają... koszmarne miejsce!

– Zagrałeś?

– Niby co miałem zrobić?! – prychnął zdenerwowany Stiller.

– To wspaniale! Musiała być szczęśliwa.

– Trudno powiedzieć – wnioskuje okrutnie Tristan. – Wyglądała na martwą od dłuższego czasu. Przeraziłem się na jej widok, dosłownie ścierpła mi skóra. Zatkąło mnie! Wyglądała... nie jak człowiek. I ci wszyscy ludzie wokół niej, traktujący ją jak jakieś święte guru. W pierwszej chwili chciałem stamtąd uciec. Byłem wściekły na Toma, że mnie w takie miejsce przyprowadził!

– Ale... przemogłeś się?

– Zagrałem. Wpadłem w trans, bo wolałem grać, niż patrzeć na tę dziewczynę. Nie miała siły nawet mówić. Dawała znaki. Gdy skończyłem grać... bo w końcu musiałem, choć jakaś siła mnie powstrzymywała i gdybym jej uległ, grałbym pewnie do teraz! Więc gdy skończyłem, podeszła do mnie jej matka, zupełnie normalna kobieta, i powiedziała, że musi mnie uściskać, bo tego życzy sobie jej córka. Że właściwie to ona chciałaby mnie uściskać. I żebym się do tej... postaci na kanapie zbliżył, dotknął jej. Długo nie mogłem się na to zdobyć, opanować... Współczucie walczyło we mnie ze wstrętem. Ktoś mi powiedział, że Kathy, bo tak miała na imię, jest we mnie zakochana. Wyobrażasz sobie?!

– Biedactwo. Co z nią teraz?

– Kilka dni po mojej wizycie zmarła. To w ogóle był cud, że tak długo żyła. Zwykle osoby z tą chorobą wytrzymują kilka lat, a u niej wykryto ją we wczesnym dzieciństwie. Miałem... zostałem poproszony o zagranie na jej pogrzebie. Odmówiłem. Stanowczo!

– Dlaczego?

– Na ten pogrzeb przyjechały rodziny i chorzy tacy jak ona. To miała być jakaś ich „manifestacja solidarności i siły”. Kathy dawała im nadzieję, miała swój blog, nie wiem, sama go chyba nie prowadziła, tylko ktoś w jej imieniu. Och, Stell, nie patrz tak na mnie, jakbym osobiście ją zamordował. Nie mogłem tam pojechać, nie chciałem patrzeć na zgromadzenie tych wszystkich nieszczęśników!

– Popatrz na siebie i zadaj sobie uczciwie pytanie, czy akurat ty miałeś prawo im odmówić?

– To kwestia wrażliwości, Stell.

– Właśnie!

– Nie mogłem na to patrzeć! Nie każdy może! – tłumaczy się Tristan.

– Wiesz, co powinieneś teraz zrobić? Nagrać singiel z dedykacją dla Kathy i cały dochód przeznaczyć na hospicjum albo jakiś inny podobny cel.

– Mój agent jest tego samego zdania. Wytłumacz mi, dlaczego niepełnosprawni terroryzują sprawnych? To nie jest normalna sytuacja. Tylko proszę cię, nie rób ze mnie faszysty! Co w tym dziwnego, że uciekam od widoku cierpienia i ułomności? Przyznaję się do tego. Ktoś mnie za to przykładowo powiesi? Oskarży o brak... czego? Uczuć? Ależ ja właśnie mam uczucia i się ich nie wypieram. Zażenowania, przykrości... Moje współczucie nikomu nie pomoże lepiej cierpieć. Nikomu też nie doda sił. Przecież ci ludzie, najczęściej właśnie oni, brzydzą się fałszywym współczuciem. Solidarność? Jaka solidarność? Czy mam pojeździć na wózku inwalidzkim, żeby się wczuć? A może zaproponować komuś bez nóg partię tenisa?

Stella nie ma ochoty na kolejną dyskusję, jest znużona całym dniem; wino w końcu zaczyna ją usypiać.

– Dobrze już, rób, jak uważasz, ale nie przybędzie ci od tego fanów... Nie wiem jak ty, ale ja wracam już do siebie, bo jednak się położę. Nim świt na dobre się rozbieli.

*

Kiedy za ostatnim gościem zamyka się brama wjazdowa posiadłości Villa Breve, Stella smutnieje. Po pierwsze, czuje się tym wszystkim zmęczona. Po drugie, kolejne lato przeminęło i nadchodzi jesień. Ta pora roku jest pełna nostalgii i różnorodnych przemyśleń. Nie można jej tak w pełni akceptować, bo niebo się chmurzy, szarzeje, a księżyc w pełni zwiastuje już inną aurę. Tylko moc dojrzałych owoców, ich wyszukana słodycz i kolorystyka pozostają

niezmienne. Apetyczne i jednak beztroskie. Gruszki, winogrona, jabłka, brzoskwinie, śliwki, melony... A także orzechy. To pora na wypiekanie pysznych makaroników i babeczek migdałowych.

Do posiadłości zostają zaproszeni, tradycyjnie już, okoliczni mieszkańcy i przez kilka dni trwa jeszcze radosne ucztowanie, będące zarazem pożegnaniem lata, z jego wszystkimi urokami. Na stole pojawiają się grzyby i dziczyzna. Wiele smakowitości przygotowanych z owoców i pierwsze tegoroczne konfitury.

*

Po kolejnej sprzeczce z młodym kochankiem, który nie mógł zgrać swoich terminów z jej pragnieniem bliskości, Stella zaprasza do swojej posiadłości Nancy i kilka pseudo-przyjaciółek, wobec których czuła się zobowiązana. Cztery pijane kobiety rozmawiają zbyt głośno o tym, co tylko im wydaje się śmieszne. Dzisiaj, bo kiedyś takie nie było. Są nazbyt szczere wobec siebie, bo alkohol zabija w nich poczucie zagrożenia i oswaja z tą postacią zwierzeń, które wydają się być najbardziej intymne, wręcz tajne. Nancy ciągnie niekończącą się frazę o swoich nieudanych związkach, nie szczędząc pikantnych szczegółów pożycia. Wszystkie wyglądają na rozbawione, łącznie z samą opowiadającą. Jest tu Debbie, plastyczka po czterdziestce, niemogąca się do końca zdecydować na swoją płęć – tym razem w stroju dandysa z lat dwudziestych ubiegłego stulecia – o rysach efebów bez wieku, ni to dziecka, ni to chłopca, ni młodej kobiety.

– Mój pech polega na tym, że zawsze się wstrzele w miejsce, gdzie... – Debbie zanosi się śmiechem, nie mogąc skończyć – jest jakaś osobowość poszkodowana przez płęć. Rozumiecie? Nie? Facet, którego żona regularnie bije przed kolacją, bo nie potrafi utrzymać rodziny i jest fajtłapą. Albo kobieta, którą zdręcza szef w pracy. Nie, nie mówię tu o seksualnym molestowaniu ale... mobbingu, który w czystej postaci jest bezpłciowy, właściwie...

– Słuchajcie! Muszę wam coś powiedzieć. – Marcy jakby dopiero się przebudziła z drzemki. Jest w tym gronie najmłodsza i na trzeźwo onieśmiela

ją obecność koleżanek, ale teraz granice się zatarły. Wszystkie panie sporo wypity i śmieją się z byle powodu.

Stella opróżnia swój kieliszek i wstaje, by otworzyć kolejną butelkę. Wino idzie do głowy, ale w ten najprzyjemniejszy sposób. Nie ma przekazu o zagrożeniu, jest chwiejnie i... bosko. Oczywiście najlepiej się omawia sprawy mieszane, to znaczy męsko-damskie, choć te najbardziej pikantne historie nie wychodzą z ust gospodyni, o której reszta myśli, że miałyby najwięcej do opowiadania.

– Wiecie... Charlie... miał specyficzne upodobania seksualne.

– No, no, no? – niecierpliwia się koleżanki.

– Właściwie... – Stella się waha, pomimo wypitego alkoholu – nie powinnam wam tego mówić!

– Nie ufasz nam?

– Ale z ciebie zołza!

Siedzą wszystkie przy kominku i objadają się ciastkami z orzechowym nadzieniem, jakby żadnej nie zależało na utrzymaniu szczupłej sylwetki. Dzisiaj chcą się zabawić, dobrze podjeść, wypić za dużo i posłuchać ekscytujących opowieści.

– Nie powinno się ufać nikomu, zwłaszcza po alkoholu! – stwierdza filozoficznie pisarka. – Ale nie o to chodzi. Mnie samą wciąż to... krępuje.

– No? Zaciekawiasz coraz bardziej, tylko się nie rozmyśl i nawijaj!

– Opowiedz nam!

– Rzecz w tym, że nie uprawialiśmy normalnego seksu.

– Tak podejrzewałam. – Marcy kiwa głową. – Był stary.

– Doznawał pełni seksualnego odprężenia kiedy... całował i... lizał moje stopy. Był podofilem.

– „Po” co? Jakim delfinem?

– Nie „pe” a „po”. Uwielbiał moje stopy w pończochach i szpilkach. Musiałam paradować w czarnej albo białej bieliźnie, to zależało od jego nastroju, czasem też czerwonej albo niebieskiej, pończochach samonośkach i butach na obcasie. Podniecał go widok moich stóp. Zdejmował mi buty, a wcześniej je lizał... nawet podeszwy! To go niesamowicie nakręcało. Akt zdjęcia butów i wdychanie zapachu mojej ciepłej stopy w pończosze... to doprowadzało go do orgazmu.

– Eee... – Margo spogląda niepewnie na koleżanki – taka spocona stopa przecież... no... niezbyt ma ten zapaszek, co nie?

– Oj, nie przesadzaj, przecież Stella dba o stopy i stać ją na te wszystkie bajery!

Nancy wybucha śmiechem.

– Ale jaja! Cóż, miałam w college’u kumpla, który lubił, jak dziewczyna na niego siusiała. Płacił za to niezłe sumki, mówię wam...

– Się załapałaś? – pyta niedyskretnie Margo.

– O rany! Ale zboki!!! Że też ja nie mam do takich szczęścia! – Marcy wygląda na rozżaloną. – Mnie to się dotąd nawet ekshibicjonista nie trafił, a ponoć są ich całe szwadrony w Nowym Yorku. Biegają stadami po Central Parku...

– Yyy... chyba mylisz ich z tymi, co tam... jogging... eee... uskuteczniają!

– No, serio, Tristan też tam biega – potakuje Nancy.

– Tristan? Co za Tristan? A... ten – odpowiada sobie zaraz Bliss. – No ja wiedziałam, tylko mi się nie chciałaś przyznać! – Grozi Stelli palcem.

– Dobra, kobiety, nie odbiegajcie od tematu! – przywołuje je do porządku Marcy. – Stella, ja nie miałam pojęcia, że coś takiego...

– Ja też nie!

– Nawijaj, robiłaś to? Bo aż wypieków dostałam.

– On robił, ja... pozwalałam. Uwielbiał leżeć nagi u moich stóp i czuć, jak

go depcę po twarzy. W butach. Odpycham nogą, następuję na szyję i piersi... a on mnie błagał o pozwolenie... Rozumiecie? Całował, zdejmował mi pończochę i ssał po kolei palce stóp. Tak osiągał erekcję, a potem, stymulowany stopą... miał wytrysk, najczęściej do moich butów.

Marcy, najbardziej zaaferowana, podnosi dłonie do twarzy i tłumi okrzyk, nie wiadomo: grozy czy raczej rozbawienia.

– Sądziysz, że zawsze był taki? – pyta Nancy.

– Z tego, co się zdołałam zorientować, tak. Jego żony nie wiedziały, zaspokajał swoje fantazje z panienkami. Mnie też kupił, dlatego traktował jak prostytutkę. Wymagał. Byłam posłuszna, w sumie wołałam tak niż... tradycyjnie. Chciał, bym go zdominowała. Uwielbiał być przeze mnie ponizany.

– I od razu załapałaś, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie, jasne, że nie! Jakiś czas nie rozumiałam. Myślałam, że mnie traktuje jak swoją boginię. Że jestem boginią, a on moim wyznawcą, tak do mnie zresztą mówił. Ale kiedy usiłowałam dodać coś od siebie, podczas tych naszych seansów, kompletnie nie rozumiał, o czym gadam. Na co dzień normalny facet, uprzejmy, dowcipny, poważny biznesmen. Ludzie się z nim liczyli, wręcz się go bali, czuli respekt, rozumiecie? A w gruncie rzeczy... kiedy pozwalał się deptać... kładłam mu stopy na twarz, stawałam na niej, ugniatałam policzki, a on powtarzał, że jestem cudowna, że mnie pragnie i uwielbia...

– Robiliście to każdej nocy?

– Nie, raz, dwa razy w miesiącu. Na początku częściej, potem za bardzo go to absorbowало. Bywał wyczerpany po takim seansie. Jego lekarz rozmawiał ze mną i właściwie stanowczo zabronił. Tak naprawdę nie wiem, ile lat miał dokładnie Hennesy, gdy umarł. Niektórzy twierdzili, że był grubo po osiemdziesiątce. To by znaczyło, że dużo wytrzymał i do śmierci był aktywny. Odszedł z powodu rozległego zawału. Nie rozmawialiśmy o tym, co działo się w sypialni, jakby na co dzień ta sfera życia nas nie dotyczyła. Po

prostu wiedziałam, na co ma ochotę, kiedy mówił mi podczas wspólnego podwieczorku, wycierając usta w serwetkę: „załóż wieczorem Louboutina” albo „chciałbym zobaczyć twoje czarne szpilki od Choo”. Buty to był jego fetysz. Zasypywał mnie nimi. Wszystkie zazwyczaj na wysokim obcasie, z lakierowanej skóry. Kiedyś dołączył do takiej pary pejcz i kajdany, kazał się skrępować i chłostać. Właśnie tego dnia podpisał jakiś arcyważny kontrakt, nad którym jego prawnicy pracowali od miesięcy! Polewał mi uda szampanem i spijał strugi z nóg, chciał, żeby spływały aż do stóp... Dla mnie to wszystko było... ohydne. Kiedy go widziałam wśród ludzi... Potrafił być uroczym kompanem, duszą towarzystwa, tryskał dowcipem i imponował wiedzą na wielu polach. Był błyskotliwy, ktoś mu proponował karierę polityczną, ale odmówił. No więc kiedy widziałam go w towarzystwie, zawsze zaczynałam wierzyć, że może mu... przeszło. Łudziłam się do czasu, aż znowu mi proponował tę... mroczną zabawę.

– Rozmawialiście w trakcie?

– Nie. Miałam swoją rolę do odegrania, liczył się tylko on. Milczałam, robiłam swoje, a on się wił i pełzał u moich stóp, powtarzał, jak mnie pragnie i że nie jest godzien mnie uwielbiać. Tej gry nigdy nie zmieniał. A ja wiedziałam, że jestem li tylko dodatkiem do jego fantazji i w każdej chwili może mnie zastąpić inną „boginią”. Tak. Wyciągacie ze mnie intymne zwierzenia... Po raz pierwszy wyartykułowałam to głośno, do kogoś...

– Nie napisałaś o tym w żadnej książce?

– Świadomość, że robiłam, co chciał, czyniła ze mnie współniczkę jego perwersji. I choć się bardzo wstydziłam, choć żenowało mnie to, jak go traktuję... zawsze się godziłam. Nigdy nie zareagowałam tak, jak czułam. Nie okazałam mu wstrętu czy uprzedzenia, choćby... współczucia. Wydawało mi się, że to coś więcej, niż kiedy się przy mnie obnażał. To było okazanie słabości. Może sam sobą za to pogardzał. Niewolnik chorej namiętności.

– Tego rodzaju anomalie można leczyć, wiesz?

– O ile pacjent rzeczywiście chce się z nich wyzwolić. A jeśli dawały mu

rozkosz? To uczucie najbardziej nas demaskuje. Myślę, że nie znalazłam w sobie dość siły i odwagi, byłam zbyt wygodna, by stanowczo zaprotestować – mówi Stella, bardziej do siebie niż do reszty towarzystwa. – Wydawał się ze mną szczęśliwy. Okazywał wdzięczność na wiele sposobów. W końcu mnie nie krzywdził. Może gdyby nie doszedł do takich pieniędzy, nigdy by w sobie nie odkrył tej ciemnej strony...

– Tak i do końca życia pozostałby frustratem, o ile wcześniej nie ułałby tej goryczy w jakiś inny, może jeszcze bardziej perwersyjny sposób – stwierdza Nancy, kiwając głową.

– Albo żyłby w upokorzeniu i niemożności zrealizowania tych specyficznych pragnień – kontynuuje swe wywody Stella. – Dziwne w tym wszystkim jest to, że uczestnicząc w owej grze pomiędzy boginią i niewolnikiem, czułam się zawsze zbrukana... a on wydawał się zupełnie nieporuszony. Nadal nie potrafię tego pojąć...

Zapada cisza, w której słychać tylko brzęk kieliszków i chlupot wina.

– To Charles, obrzydliwie bogaty staruszek, wypromował przy pomocy swych pieniędzy moją pierwszą sztukę, scenariusz i książkę! Nie będę się wdawać w szczegóły, powiem tylko, że po wydaniu *Olśnienia* sam wykupił przy pomocy podstawionych ludzi pół miliona egzemplarzy owego „dzieła” i opłacił krytyków, którzy napisali, że oto w ciągu zaledwie tygodnia wykupiono debiut. Ludzie, którym można wszystko wmówić, uwierzyli, że nie czytali jeszcze „bestselleru” i natychmiast ruszyli szturmem na wydawcę, by dodrukował już teraz milion egzemplarzy... Śmieszne? Reklama powoduje, że ludzie uwierzą, iż kij od mopa może być Stradivariusem! Dziś wstydzę się mojego pierwszego powieścidla, bo było po prostu ohydnie tandetne, grało prostacko na najniższych instynktach i wmawiało wszystkim, że „cukier jest słony”. Kolejną powieść pisałam już w atmosferze szalonej kampanii medialnej. Maleńkie, skromniutkie wydawnictwo, nieznane nikomu Cordon Place, kierowane przez zubożałych rosyjskich emigrantów i garstkę Sycylijczyków, bynajmniej niepowiązanych mafijnie, stało się w ciągu dwóch lat potęgą wydawniczą, którą z rozkoszną satysfakcją przejął Charles.

Odtąd, żartobliwie nazywane Condom Race, budowało swoją potęgę, wydając każdego roku moje dwie, trzy bestsellerowe powieści. Podpisywałam z nimi bajeczne kontrakty, de facto tworząc owo imperium. Po śmierci Charlesa sprzedałam wydawnictwo, które było w świetnej kondycji i zostało wchłonięte przez koncern wydawniczy. Ten z kolei rozparcelował fundusze na firmy-córki, zadbał też bym nadal była jego flagowym nazwiskiem. Świat filmu potrzebował sugestii, że jestem dobra, a Charles wiedział, gdzie uderzyć, do kogo się uśmiechnąć, komu ordynarnie wysłać ciężarówkę Dom Pérignona. I okazały koszyk trufli z Toskanii. Ciepłe befsztyki, mewie jaja, karczochy i kaczki w pomarańczach. Filmowcy, którzy lubią dobrze wypić i zjeść, szybko odkryli, że moje bestsellery to po prostu gotowce do tłuczenia kasowych przebojów. Moja pierdolona seria o podróżującym w czasie rudzielcu Nicze doczekała się czterech filmów, które pobiły wszelkie rekordy kiczu i zdobyły największą ilość Malin w historii kina! W końcu mi to obrzydło i zaczęłam pisać dla siebie, wydając pod nazwiskiem Stelli Mangione. Nim odkryli, że to ja, czyli Nicoletta Hornery-Versalis, miałam już niezłą pozycję; oczywiście pierwsze powieści Mangione współfinansowałam.

To wyznanie sprawia, że wszystkie panie milkną i pokornieją. Mają już mocno w czubie i chyba powinny zakończyć świętowanie, położyć się albo stosownie rozdzielić, żeby uniknąć kolejnych kłopotliwych, nazbyt szczerych zwierzeń i komentarzy, które na trzeźwo będą dla nich krępujące. Widocznie jednak brakuje w towarzystwie jednej silnej osobowości, która zaczerpnie ze źródła rozsądku. Siedzą wszystkie na dwóch kanapach, w dość rozluźnionej atmosferze i odzieży, mają wypieki i jeszcze nie skończyły. Teraz przyszła pora na omawianie konkretnych facetów. Zawsze tak jest, na każdym babskim zjeździe, bez względu na skład. Oni o nas, a my o nich! I następuje obróbka potencjalnych zdobywczy... ale Stella znów jest górą i w końcu wszystkie przerzucają się na szczegółowe omawianie jej trofeum.

– Och... Tristan... Te jego niesamowicie dłuuuugie nogi! – Nancy się rozmarza. – I włosy! Gdy się kochacie, to je rozpuszcza? Mieszacie się tak ze sobą na poduszkach? Robicie z włosków melanż?

– Nie, moje droga. I kto powiedział, że na poduszkach! – Stella wzrusza ramionami.

– No właśnie! Pewnie wolicie miejsca bardziej ekstremalne! Facet wygląda na szalenie zmysłowego. Te jego usta... jak u rozkapryśzonego dzieciaka! Brakuje smoczka do nuplania!

– On sobie nie robi zastrzyków z kolagenu? Wiesz, wygląda, jakby go osy pożądliły... ale nie, nie unoś się, to jest słodkie!

– Tristianio jest całkiem naturalny, włosów też nie farbuje, ma od urodzenia jasny blond przy prawie czarnych oczach. – Stella daje się im podejść, zamiast zignorować głupie zaczepki.

– Ciekawe po kim, widziałaś jego mamuszkę?

– Uchowaj Boże!

– Oszaleć można! – kontynuuje niez mordowanie Debby. – I ten jego *charme*... o który wcale się nie stara, abnegat jeden! Łazi w podartych portkach i byle jakiej koszulce, ale i tak dostaję gęziej skórki, nie chcesz wiedzieć gdzie, na jego widok. I te... ramiona!

– Mhm... apetyczna szyjka... Powiedz nam, on się depiluje na kłacie? Bo z jakiejś sesji...

– Jesteście niewyżyte, słowo daję! Żenujące!

Stella nie chce opowiadać o tych szczegółach, ale sporo już wypła, rozwlekła dużo intymności po kątach; i trudno jej będzie teraz trzymać język za zębami i tylko zagadkowo się uśmiechać.

– Jak to jest w łóżku z takim młokosem?

– Tristianio ma dwadzieścia osiem lat! Nie jest... – oponuje.

– No... powiedz! – żądają wszystkie, jakby się desperacko dopominały potężnej porcji zabójczych kalorii.

– Obłeśne z was babska, ani mi się śni, nic nie powiem!

– Oj, jesteś świnka.

– My nie wiemy...

– Ale sobie wyobrażamy!

– Wypożycz go nam na babski wieczór, może nie będzie miał nic przeciwko.

– Ma w tych swoich ciemnych oczach diabelski urok, na pewno uwielbia „te rzeczy”. Nie bądź zazdrosna, przecież jest duży i sporo dla ciebie zostanie!

– Oduście sobie, bo wam założę śliniaczki!

Na moment się uspokajają, ale każda swoje myśli. Pierwsza wraca do tematu Marcy:

– Musi mieć obłądne ciało. Widać tę cudowną grę... mięśni... kiedy gra....
Ha, ha, ha!

– Wirtuoz... chyba w każdym calu, co?

– Jesteś paskudna żółta, wiemy, że potrafisz opowiadać, dlaczego się nad nami znęcasz?

– Co ci takiego zrobiłyśmy?!

– Kompletne z was idiotki! – Stella bezskutecznie przywołuje je do porządku. – Zachowujcie się, no, jak damy!

Wszystkie naraz, łącznie z samą pisarką, parszają śmiechem.

– Skąpisz nam kilku pikantnych szczegółików?

– Pamiętaj, siostró, że szczęście krótko trwa, zabiera to, co da... No? Hę?

– Odwalcie się! – Stella wstaje, nalewa kolejny raz wino do wszystkich kieliszków, zrzuca buty i siada na kanapie, podkurczając nogi. Troskliwie umieszcza stopy pod jedną z poduszek. Sukienka podjeżdża, ukazując światu koronkowy brzeg pończoch i spory kawałek ciała na szczupłym udzie.

– Właśnie widzimy, czym ty go kuisz...

– Tristanio nie ma z tym nic wspólnego, to Hennessy nauczył mnie tak się ubierać – wyjaśnia Stella.

– I postanowiłaś kultywować jego pamięć w ten wyszukany sposób? Tyle lat po śmierci rzeźzonego konesera?

– Przy tej okazji uwodzisz sprytnie każdego faceta!

– Nie każdego, tylko tych, na których mam ochotę... ha! A wam ktoś zabrania?

– Równie łatwo poszło ci z Tristanem? To inne pokolenie. Chyba woli kobiety przebojowe i... samowystarczalne, a nie mimozy w szpilkach i pończoszkach? – chce wiedzieć Nancy.

– Co za określenie? Samowystarczalne. – Stella parska śmiechem. – To znaczy, że co? Wolę nie zgadywać! Ale nikt nie zabrania ci próbować. Ja nie trzymam Tristiania w złotej klatce, nie zakładam mu obroży z moich podwiązek... ha, ha, ha. – Bierze kosmyk włosów i okręca go sobie wokół palca. – To albo się ma, albo nie. Podobnie jest u niego. To przystojny mężczyzna, obiektywnie, wysoki, zgrabny, ładnie się rusza. Tak. Ale to, co mnie w nim kręci, a także was, wypływa z czego innego. Z tego, że może być tuzin przystojniaków, ale tylko on robi te swoje miny... Uśmiecha się w wyjątkowy sposób, aż ciarki mi biegają po plecach! Dotyka w niepowtarzalny sposób, a kiedy to robi... nie jestem już sobą, nie należę do siebie... tracę oddech... zapadam się... I wygłupia się zupełnie jak szczeniak, rzuca zniecka wulgaryzmem, który zamiast protestów... budzi we mnie dziką namiętność. To wynika z jego inteligencji i naturalnego poczucia humoru. Poza wszystkim cudownie się złości i... bywa zazdrosny!

– Ale z ciebie podła małpa!

– Dlaczego?

– Jesteś w nim zakochana? – pyta Marcy. – Powiedz.

– Tak... – przyznaje Stella po prostu. – Jestem. Wystarczy, że usłyszę gdzieś jego imię, że się wyświetli w moim telefonie... a ja... no wiecie. Skóra

mi tak... niebiańsko cierpie na dźwięk jego głosu. Uwielbiam dotyk jego dłoni o specyficznie szorstkich opuszkach, nadwyrężonych ciągłym dociskaniem strun.

– Mówiłaś to samo o Paulu, on jest gitarzystą – wtrąca przytomnie Nancy.

– Mam ogólnie słabość do muzyków. Tak jak ty do... fizyków jądrowych!

– Rany boskie, Nan, to prawda? – Debbie opanowuje nagła groza.

– To takie ekscytujące, kiedy muzyk zamienia instrument na twoje ciało...

– Stella dopija swój kieliszek i czuje... nie, nie ciarki, czuje, że za moment albo zaśnie, albo pobiegnie z pilną sprawą do toalety. – I... im-pro-wi-zuje – mówi, ziewając.

– Ale co jest najbardziej ekscytujące...?

– W muzykach, w Tristanie?

– Ooo... – Stella znów ziewa. – Poczytajcie sobie moją najnowszą powieść... – Po tych słowach zasypia w dość niewygodnej pozie.

*

„Nauczyłaś się żyć beze mnie! Przekonasz się jeszcze, że to był błąd. Znajdę cię i zamienię twoje życie w piekło, gorsze od śmierci. Wiem, że lubisz dobre życie. Ale czy na nie zasługujesz?”

*

Stella wkracza na teren przyległy do planu filmowego, wie, że dalej iść nie powinna, zamierza poczekać, może pojawi się ktoś znajomy. Stoją tu rzędem białe przyczepy, wszystkie idealnie sterylne, jak nowe. Bo też pewnie są nowe! Germańsko doskonale. Rozgląda się trochę bezradnie, szukając Claudia, ale zaraz kojarzy, że jego tu dziś nie ma. Przyjechała bez uprzedzenia. Claudio wróci ze Stanów dopiero pod koniec tygodnia, teraz zastępują go asystenci. Może któregoś zna, choćby z widzenia... Nikt jej o nic nie pyta, mijają ją różni ludzie, nie zatrzymując się, w biegu. Przemyka między przyczepami, wychodzi na ostre słońce, dostrzega rząd krzesel

z wygodnymi oparciami, technicznych, jak je zwykle nazywa. Na jednym z nich, z tyłu, widnieje biały napis „Stiller”. Ktoś na nim siedzi, ale od razu widać, że to nie on. Włosy blond, zwinięte pod jakąś klamrą; Tristan dla potrzeb scenariusza filmu zmienił uczesanie. Wzrost też nie ten i ramiona zbyt wąskie. Siedzi tam jakaś kobieta. Stella czuje nieprzyjemne ukłucie w sercu. Przecież pewnego dnia on i tak... Wie o tym. Nie powinna aż tak przeżywać obecności kobiet w jego pobliżu. Należy zachować rozsądek, a nie wpadać od razu w panikę! Tym razem jest fatalnie, nie wie, kto to, a pierwszą reakcją jest ucieczka. Po co tu przyjechała?! Żeby się przekonać, że on ma inną? No to lepiej, żeby jej tu nie zobaczył. Robi szybki zwrot i...

– Stell! – słyszy.

Tristan idzie ku niej szybkim krokiem, rozpościera ramiona. Zagłębia się w nich z prawdziwą ulgą, przytula, jak może najbliżej... Przywiera do jego piersi i obejmuje w pasie. Lgnie z całych sił do ciepłego brzucha i unosi ku niemu twarz:

– Musiałam cię zobaczyć, okropnie tęskniłam!

Muzyk nie odpowiada, tylko uśmiecha się szeroko i promienieje. Ale nie zapomina o tamtej, odwraca się i mówi:

– Mamo, pozwól, to jest Stella.

Dopiero teraz biegnie wzrokiem ku postaci, która wstała z krzesła opisanego jego nazwiskiem. Smukła, wysoka blondynka zmusza się do kurtuazyjnego uśmiechu, podaje dłoń o kościstych palcach. Na jednym z nich iskrzy się diament w złotej oprawie. Jakie to nieuniknione! Pomyśleć tylko, że ona nigdy nie dostała od nikogo takiego pierścionka. Patrzy na kobietę, która urodziła Tristana. Jej Tristania! Teraz stoi obok swego syna, obserwując, jak on przytula do siebie inną kobietę. I wyrokuje, że jest nieodpowiednia.

– Stella Mangione. – Pisarka powtarza bezwiednie suchy uścisk, który wyraża stanowczość i silny charakter.

– Bianca Stiller. – Lekka chryпка w głosie zdradza skłonność do używek.

Ależ tak, ona jest Włoszką, chociaż zewnętrznie przypomina stuprocentową Niemkę. Zasadnicza, sztywna, rozciąga w uśmiechu wąskie wargi, jak dwie czerwone nitki wyhaftowane na twarzy o surowych rysach. Tristan jej w niczym nie przypomina. Ma pełne usta słodkiego efeba i wilgotne, sarnie oczy typowego Latynosa. Nawet cień kładzie się inaczej na jej rysach. Niebieskozielone oczy, haczykowany nos, kanciasty podbródek, z lekka zapadłe policzki. Przenikliwy zapach werbeny. Stella myśli w panice, że ta kobieta odczynia nad nią złe uroki, bo przecież werbena odgania czarownice i pomaga zatrzymać miłość ukochanej osoby. W tej chwili pani Stiller wydaje jej się wiedźmą, która zostawiła swoją miotłę na parkingu w samochodzie. A może... straszylem z bajek opowiadanych dzieciom na dobranoc? Nie. Jest zadbana, elegancka, świetnie się prezentuje w porównaniu z pisarką, która jechała tu pół dnia i jest zmęczona. W dodatku ma na sobie zwykłe džinsy i płowy sweter, włosy splecione pod chustką i pachnie samochodowym odświeżaczem powietrza... To nie to samo co delikatny kwiatowy zapach i kostium od Diora. Stella posiada swój styl, któremu poddaje się, kiedy jest w swojej willi. U siebie nosi luźne, szerokie spódnice i skąpe bluzki spadające z ramion, chętnie zakłada sukienki z białej tafty, satyny i koronek, z jedwabiu i batystu. Przemyka półnaga, smagła, zawsze trochę nieobecna. Ilekroć opuszcza swoje miejsce, traci charakter, wydaje się nijaka i pogrążona w chaosie. Źle dobiera buty, kolory, dodatki.

Bianca robi wrażenie znudzonej albo może życzy sobie, by tak ją odbierano. To jasne, że panie nie przypadły sobie do gustu. Tristan przeprosza matkę i odciąga kochankę na stronę, bierze w dłonie jej twarz i całuje. A potem znów. I jeszcze raz. W końcu ona całuje jego. Zarzuca mu ręce na ramiona i tuli się z całych sił.

– W którym hotelu się zatrzymałaś?

– Nie miałam do tego głowy, musiałam najpierw cię zobaczyć. Wiesz, rozmawiałam z Claudiem o tobie i o filmie...

– Jedź do Sheratona. Czekać, zadzwonię, żeby mi zamienili pokój na większy, bo chcę cię mieć przy sobie.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

On już wydaje dyspozycje. Stella spogląda dyskretnie na jego matkę: zapaliła papierosa i wygląda na poirytowaną. W zestawieniu z bujnością włosów i kształtów pisarki jej wizerunek tchnie ascezą. Nie może znieść widoku tej pulchnej brunetki w pobliżu swego syna. Tego, że omal go nie pożarła na jej oczach jak wygłodzona wilczyca. Ciemnowłosa, drapieżna i nachalna! Bianca to inny świat, kostyczność, upór, niemal hibernacja! A przede wszystkim opanowanie, całe życie przestrzegała zasad. Teraz cierpi, spoglądając na syna, który jak przyszczaty sztubak dał się złapać w sidła takiej... prostytutki.

– Jedź do hotelu i czekaj tam na mnie.

– Planowałam pozwiedzać Wiedeń – stwierdza zakłopotana Stella.

– Ani mi się waż! Masz leżeć, pachnieć i... wyglądać mojego powrotu.

– Ani mi się śni! – Stella śmieje się i jest jej lekko. Nic ją nie obchodzi ta zasadnicza kobieta, niech sobie o niej myśli, co chce.

Tristan znów ją przytula i znowu się całują, tym razem jak szaleni. Stelli zupełnie przestaje zależeć na ukrywaniu się. Błyska flesz, potem drugi. Ktoś im robi zdjęcia. Całują się, niby to chcąc już przestać, mimo to wciąż od nowa zbliżając się do siebie. Są tacy głodni i syci zarazem. Niby tylko próbują, a przecież jedzą pełnymi łyżkami. Ich usta co rusz się spotykają. Pisarka muska wargami jego policzek, kiedy on pochyla się nad nią. Jej dłonie gładzą włosy Tristana, palce delikatnie błędzą po jego twarzy, ustach, szyi, jakby od nowa go poznawała.

– Jesteś inny, te włosy... Nie, nie przyzwyczaję się do ciebie.

– Musisz!

– Nic nie muszę, panie... Obcy! – Stella wybucha śmiechem, spontanicznym i beztroskim.

– Nie mów tak... – Jest mu wyraźnie przykro.

– Masz gościa – przypomina mu o matce. – Opiekuj się nim starannie.

– Za kilka godzin zaopiekuję się tobą, bądź pewna, że nader starannie!

Stella ma motyle w brzuchu i sama siebie gani, że jest taka głupia. Tristan uderza jej do głowy. Swoim głosem, bliskością, zapachem. Jeszcze nie mogą się rozstać, całują wciąż od nowa, zdumieni, że tyle im narosło długów do spłacenia, a przecież nie oszczędzili niczego w tej miłości. Nie chowali na później, na potem, na jakiś inny, lepszy czas. Tristan popada w chłopięcy entuzjazm, bo ona nic sobie nie robi z obecności reporterów i plotkarzy. Muszą i chcą sprawiedliwie obdzielić się narosłą tęsknotą. Dlatego ich usta nie potrafią się od siebie uwolnić. Nie chcą! W końcu Stella wysuwa się z jego objęć.

– Jadę do hotelu, pa!

Ich dłonie są jeszcze splecione, palce wolno i niechętnie suną po skórze, by w końcu, jednak... rozdzielić się, rozstać z żalem i... Stella kiwa głową, omal dyga, w stronę pani Stiller, z oddalenia, jakby się bała, że gdy podejdzie bliżej, tamta porazi ją piorunem ciśniętym spod przymkniętych powiek. Nie ogląda się, odbiega lekko do swego samochodu, stojącego na pobliskiej ulicy. Ta część miasta jest oddzielona taśmą, ze względu na pracę ekipy filmowej.

Tristan wraca do matki i od razu widzi, w jakim jest humorze.

– Ta bezwstydną kobieta nie chciała cię wypuścić ze swych szponów.

– Nie masz pojęcia, jak mnie to cieszy – wyznaje z prostotą jej syn.

– Afiszowanie się z nią zniszczy ci karierę!

– No popatrz! A są tacy, którzy myślą, że mi ją ułatwi... – jawnie kpi Tristan.

– Wiesz, jaką ona ma reputację? Ilu miała kochanków? Nie jesteś ani pierwszym, ani zapewne ostatnim – dawkuje krytykę jego matka, z impetem równym swojej niechęci.

– Wiem jedno, nie masz wyjścia, musisz ją zaakceptować. A teraz wybacz, wracam na plan i radzę ci też pojechać do hotelu.

– Zapewne nie będziesz miał już dla mnie czasu.

Nie odpowiada, tylko postępuje krok do tyłu, odwraca się i idzie do swojej przyczepy. Bianca dzwoni do męża, jest wzburzona.

– Wiesz, kto ośmielił się tu zjawić? Ta kobieta! No jak to: jaka? Ona, rozumiesz? Ta... Ta... Bellucci spod ciemnej gwiazdy, ta Amerykanka z piekła rodem! Wiem, że jest Włoszką! Nie obchodzi mnie jej pochodzenie! Niewyżyta!... Co za tupet! To... zwyczajna dziwka! Nie wyrażam się, słów, którymi należałoby ją określić, nie ma w moim słowniku. Musiałabym poszukać zwrotów pomiędzy ludźmi z marginesu! Tylko dosadność może w pełni... Bronisz jej? Czy wiesz, jak ona się zachowywała? Dosłownie kleiła się do Tristana na moich oczach. To było wstrętne! Ach tak? Jesteś naiwny jak on. Powiadam ci, że jest wulgarna i że dwadzieścia lat od niego starsza! Przesadzam? Ona go bezczelnie uwodzi. Oplata jak jakaś przeklęta modliszka!

*

Ta noc jest długa, bo bezsenna. Wciąż na nowo się odnajdują i wyrażają namiętność na wiele sposobów. Także milcząc wspólnie, wsłuchując się w rytmiczne uderzenia swoich serc i przyspieszone oddechy. Obojgu nie braknie sił, inwencji i ochoty.

– Zwariowałam... – szepce Stella, śmiejąc się z samej siebie.

– To bardzo dobrze – odpowiada jej kochanek.

Akurat odpoczywają, leżą spleceni jak bujna winorośl, która oplata zewsząd dom w Toskanii. Nabierają z wolna mocy do wznowienia miłosnych zapasów.

– Twoja matka nie wyglądała na zachwyconą...

Tristan wzrusza ramionami.

– Musi w końcu zrozumieć, że czasy, gdy była najważniejsza, minęły.

– To okrutne, matka powinna być stale na poczesnym miejscu.

– Jestem dorosłym facetem, gram od jakiegoś czasu na skrzypcach w rozmiarze cztery czwarte!

– Widziałam nadto dobrze jej karcący wzrok. Spróbuj ją zrozumieć.... –

Stella nadal przeżywa konfrontację z tą zimną kobietą. – Nie takiej życzyłaby sobie osoby u boku syna. Jesteś jedynakiem i jej oczkiem w głowie.

– Ty ją usprawiedliwiasz? – podkpiwa Tristan.

– Musiałam jej podpaść... Chyba wiem, co mogła czuć, kiedy się obok całowaliśmy.

– Powinna ogłosić abdykację! Nawet jeśli uznaje, że jesteś samozwańczą władczynią mego serca i ciała. To wzruszające... – Przysuwa się do niej i próbuje ponownie wyłuskać spod kołdry, ale Stella siada, opiera się o poduszki, podciąga kolana pod brodę, osłania przed jego wzrokiem piersi

i zamyśla się głęboko, patrząc w dal, czyli na przeciwległą ścianę, pod którą stoją butelka po winie i kieliszki.

– Nie dopuść do tego, by mnie znienawidziła. Idź zaraz do niej albo zadzwoń... zaproś na obiad i okaż, że ci na niej zależy.

– Zjemy obiad we trójkę? To może być zabawne. – Tristan szuka pozytywów.

– Idź sam. I nie wspominaj o mnie ani słóweczkiem. Pokaż jej, że jest ważna.

– Już nie najważniejsza. – Obejmuje ją i przechyla ku sobie. Oboje wznawiają seans uścisków i pieszczot. Stella całuje jego piersi i ramiona, składając mu na skórze szeregi pieczęci, jakby dopełniała aneksji terytorium. Bywa niezmordowana w szczegółach tego typu. Skupia się na swoich pocałunkach, nie słuchając, co on do niej mówi.

– Yhm... – mruczy i przymyka oczy.

– Ej, ty mnie w ogóle nie słuchasz.

– Nie słucham. Nie chcę, by twoja mama mnie znienawidziła. Spędźcie ten dzień we dwoje...

– Kochanie, ja tu przyjechałem, żeby pracować. Nie spotykam się z kobietami mojego życia, za godzinę muszę być na planie, a jeszcze nawet nie wypilem kawy!

– Jesteś jej dumą i radością... – Patrzy, jak Tristan wysuwa się spod kołdry i nagi zmierza do łazienki. – Niech nie myśli, że chcę was rozdzielić, że jestem zaborcza wobec ciebie, bo to nieprawda.

Słyszy zza przymkniętych drzwi, przez szum wody, jak odpowiada z emfazą:

– Piękna i szlachetna czarodziejko! Nie przekonasz do siebie mojej matki, ona uważa, że nie ma takiej osoby, która spełniałaby kryteria jej doboru naturalnego. Bywam dyskretny, jeśli chodzi o sprawy męsko-damskie, bo staram się jej oszczędzić bolesnych rozczarowań. Raczej nie afiszuję się

z miłośkami, bo wiem, że ona nie polubi żadnej kobiety, na którą spojrzę! Poza tym wiesz, jak cię nazywają? I co o tobie mówią? Hollywoodzka Bellucci. Masz ponoć diabelskie sposoby na uwodzenie biednych mężczyzn. Moja matka wzmogła czujność i przegrupowała siły, by stanąć z tobą do otwartej walki, konno lub pieszo, na sztylety, pogrzebacze, szpady albo... karabiny! Możesz podjąć wyzwanie albo udać, że cię to nic nie obchodzi. Proponowałbym to drugie.

Stella też wychodzi z łóżka, zakłada długi ażurowy sweter i podchodzi do drzwi łazienki, próbując spiąć niezdarnie włosy rozsypujące się na ramionach.

– Ta Bellucci mi schlebia... Nie pamiętam już nawet, kto mnie tak nazwał pierwszy... – Wyjmuje spomiędzy zębów kolejną wsuwkę, by nią umocnić rozpadający się kok. Podchodzi bliżej, otwiera drzwi i obserwuje, jak Tristan się wyciera, czesze mokre włosy, a potem ogląda krytycznie policzki i sięga po maszynkę do golenia. – Wiem, że twoja mama uważa mnie za kobietę bez czci, poza tym jestem dla ciebie za stara i miałam kilku kochanków. Byłeś jej całym światem, a teraz musi konkurować z taką skandalistką jak ja! Muszę być dla niej obiektem poza wszelką kategorią!

Tristan wklepuje w policzki wodę toaletową, a potem podchodzi do Stelli, przepasany na biodrach ręcznikiem, i schyliwszy się, całuje ją w czoło.

– Kochanie, mija dziesięć lat, odkąd sam decyduję o „obiekciech”. Dziesięć lat to sporo czasu.

– Co nie zmienia faktu, że masz dziś spędzić dzień ze swoją mamą. I ani słowa o mnie, nawet o tej... aktorce Bellucci!

– Stell, ja tego nie wytrzymam! Poza tym coście się tak na mnie uwzięły? Mam sporo pracy, a jutro koncert charytatywny! Teraz jadę na plan, jak wrócę, będę ćwiczył, a z tobą spędzę kolejną nieprzespaną noc... o ile nie wyzionę wcześniej ducha z powodu wyczerpania organizmu.

Obrażona Stella odpala z iskrą złości w oczach:

– Dobrze, już mnie tu nie ma!

Demonstracyjnie zaczyna się pakować, chociaż nie zdążyła jeszcze... rozpakować się na dobre. Szasta ciuchami, które zbiera z krzesła i upycha byle jak do walizki na kółkach.

– Co ty wyprawiasz?

– Wracam do siebie, nie widać?! Wyśpisz się... biedaku!

– Stell, proszę cię, nie zachowuj się jak moja matka!

– Chcesz powiedzieć, że ona zrobiła to samo? To po co ja się wysilam i...

Widząc, że on śmieje się z całego serca i potakuje, dodaje ze złością:

– Pieprzony maminsynek!

*

Bycie ze sobą okazjonalnie jest łatwe. Tęsknota, upływ czasu i tak wiele jest do opowiadania o tym, co było, minęło, co wydarzyło się pod czyjąś nieobecność... ale kiedy dni razem spędzane kleją się do siebie jak rozpuszczona czekolada z galaretką... Kiedy ślizgamy się po tej samej posadzce trzeci dzień z rzędu, spotykamy w tej samej łazience na zabiegach... upiększających, wszystko, co było tajemnicą, zaczyna nużyć, powszednieć i Stella wie, że jeśli zaraz nie zwieje, przywyknie do Tristana jak do jaśka w swoim łóżku. Bez niego już nie zaśnie!

*

Otwieranie poczty elektronicznej, w której mogą się czaić podłe anonimy, zaczyna straszyć niespodzianką trudną do strawienia – jak ciasto, które ma zakalec. A należy trzymać rękę na pulsie, regularnie odbierać pocztę, bo przecież mogą się odezwać z filmu. Poza tym czeka na nowe recenzje i redakcję swego najnowszego tekstu, przeznaczonego do wydania. Ma w głowie tyle pomysłów, na film, na wieczór autorski w swojej posiadłości, jeszcze jest zamówienie na dwa wywiady z innymi pisarzami do stylowego periodyku o sztuce... I od miesiąca ktoś próbuje ją umówić na sesję do magazynu dla kobiet. Jednak ręka jej drży. Palce na klawiaturze na moment zamierają i... zaczyna myśleć. Czy znowu się odezwie? Ktoś, kto nie podaje

rzecz jasna swojego nazwiska czy choćby imienia, ktoś przyczajony, acz nieokreślony. Swobodny w swej podłości, bo bezkarny. Dręczy ją samą nieuchronną obecnością, tym, że powinna coś zrobić, a nie robi nic. Ostatni klik, nim się przekona czy znowu? Jest... Tylko jedno słowo. Fame. Znak rozpoznawczy złożony z czterech liter. Znowu napisał. Napisała?

„Już niedługo przekonasz się, ile są wari twoi przyjaciele. Najbliższe ci osoby. Zobaczysz wkrótce, suko, co znaczy anektować to, co należy do mnie!”

Szybko usuwa wiadomość, za każdym razem mając nadzieję, że to już ostatnia. Od jakiegoś czasu przychodzą nieregularnie, zawsze pełne gróźb i wyzwisk. Czasem dwie, trzy w jednym dniu, to znów jedna w trakcie dwóch tygodni. Ta dziwna częstotliwość niepokoi bardziej, niż gdyby pojawiały się codziennie. Czego może chcieć od niej ten ktoś? Kim jest? Dlaczego ją prześladuje? Przecież nie miała nigdy zapędów, by się na kimkolwiek odgrywać, mścić, choć po tylu latach pewnie miałyby za co. Nie jest szczególnie pamiętliwa, wybacza i sama stara się tak żyć, by nikomu nie podpaść, nikogo nie skrzywdzić, nie ująć komukolwiek czegokolwiek... Jak się bronić, kiedy nie wiadomo przed kim? Policja? Nie, nie zastraszą jej, nie pokaże nikomu, że jest słaba i ma sobie coś do zarzucenia, bo nie ma! Szuka w popłochu, przebiega galerię postaci ze swego życia, teraźniejszego i przeszłego, usiłuje natrafić na jakiś szczegół, może zapomniany... wydobyć z pamięci to, co mogłoby stać się przyczyną tej jawnej już agresji. Tym razem pojawił się pewien szczegół, którego dotychczas nie było. Sugestia, że Stella anektuje coś, co nie jest jej... Coś, a może... kogoś? Po tej linii biegnie szybko i po wielu innych osobach dociera do... Tristana. Tak. To zaczyna się układać. Może to po prostu zazdrosna inna? Kobieta, o której jej nie powiedział, być może dlatego, że nigdy nie pytała. A nie pytała, bo bała się odpowiedzi. Bo nie umiała już dłużej udawać, że to ją w gruncie rzeczy nic nie obchodzi. W końcu nie ma złudzeń, wie, że to, co jest między nimi, prędzej czy później się rozpadnie. Może... wysłać odpowiedź? Zapytać, czy o niego jej chodzi? Jej... bo to z pewnością jest zazdrosna kobieta! Może jakaś jego była? Może fanka, niezrównoważona psychicznie? Trzeba

wreszcie się odezwać, skoro mail ma jakiś adres zwrotny i... Tak, należy w końcu odpowiedzieć, zamiast ignorować. Brak już jej sił, by udawać, że nie istnieje to, co ją od dawna dekoncentruje i sprawia, że dostaje gęsiej skórki, kiedy siada, by otworzyć pocztę. Następnym razem... Poczeka jeszcze... Jeśli przyjdzie kolejny, odpisze, zapyta, czego ten ktoś chce. Musi być powód i jakieś rozwiązanie. Nie będzie w nieskończoność tylko grozić i obrażać! Od kiedy te wiadomości... A jeśli to jednak ma jakiś związek z zatruciem psa? I Trallo ma rację, że grozi jej niebezpieczeństwo? Właściwie z niewiadomych przyczyn wmawia sobie, że nic jej nie grozi, bo tutejsi ludzie są tacy życzliwi, pełni energii i wewnętrznego ciepła, jakby je kumulowali w sobie, czerpiąc ze słońca, które całymi tygodniami zdaje się nie opuszczać nieba...

Tylko że już coraz bliżej jesień...

*

Sanelli kieruje wzrok na Tristana i pyta ze zjadliwym uśmiechem:

– A pan, młody człowieku, nawet plasterka nie ruszy? Nie skosztuje łaskawie?

Stella czuje się w obowiązku spieszenie wyjaśnić, poruszona tym pytaniem, jakby zapowiadało wybuch skandalu:

– Tristianio jest wegetarianinem.

Bruno ma bujną, siwą czuprynę, jak starzejący się lew albo postać rodem z Biblii. Przerzuca bystre spojrzenie na Stellę, potem wraca do swego współbiesiadnika i oznajmia, wciąż zaczepnym tonem obrażonego Mefista:

– Słyszałem, że wegetarianie uprawiają seks oralny częściej niż ci drudzy.

– Chciałeś rzec, padlinożercy? – spieszy z żartem Stella. Wyraźnie czuje się niekomfortowo, jakby spodziewała się wybuchu podłożonej pod stołem bomby.

Bruno swoje wie. Nie spuszcza orlego spojrzenia z młodego mężczyzny, niemal wypalając wzrokiem dziurę w jednym z pokrytych zarostem

policzków.

– Pan to potwierdza, mój przyjacielu? – pyta z naciskiem.

– Dla pana to, jak podejrzewam, kwestia smaku. Może wolałby pan spytać o to moje kochanki? – Zagadnięty uśmiecha się, nie ulegając presji.

Skrepowana Stella wstaje gwałtownie, udając, że ma coś pilnego do zlecenia w kuchni. I przeprosiwszy, wychodzi. Oni mogą się w tym czasie pozabijać! Gdy jej pełna wdzięku sylwetka niknie, Bruno wytacza na swoje oblicze uśmiech rajfura i wygłasza tonem herolda:

– Jestem od kilku lat niezmiennym wielbicielem pańskiego talentu, Stiller. To wyjątkowe szczęście móc słuchać pańskich interpretacji Bacha, Tartiniego i Corellego. Te błyskotliwe nagrania bezustannie radują moje serce! Byłem obecny na wielu koncertach, zawsze daleko od sceny, jak najdalej, byle na pana nie patrzeć! Jednocześnie nie uronić niczego z melodyjnych wizji, co mi zapewniała wspaniała akustyka. Dobrze, że występuje pan w miejscach godnych i przystosowanych dla szerokiego audytorium...

– Tym zajmuje się mój impresario.

– Niewątpliwie łączy pan w sobie wszystkie te gwiazdorskie cechy, które posiadał kiedyś ów demon Paganini, z jednym wyjątkiem: jest pan od niego znacznie przystojniejszy! Na dodatek zupełnie na nic nie choruje. Nie wlecze pan za sobą traumy z upokarzającego dzieciństwa. W takich przypadkach jak pański, kiedy natura okazała się tak rozrzutna w rozdawaniu zalet, zastanawiam się, gdzie przebiega subtelna granica między uwielbieniem a nienawiścią. Bo szczerze pana nienawidzę! Za to, jakim jest pan człowiekiem i szczęściarzem, choć poważam w panu wybitnego artystę.

Tristan się uśmiecha.

– Nienawidzę też pańskiego doskonałego młodzieńczego uśmiechu. To dzięki temu specyficznemu grymasowi takie kobiety jak nasza gospodyni zupełnie nie zwracają uwagi na mężczyzn takich jak ja! I choćbym otrzymał w jednym roku Nobla, Pulitzera i kilka innych prestiżowych dla człowieka

pióra nagród, co więcej uznano by mnie za geniusza i zgarnąłbym fortunę za sam fakt przyjscia na ten podły świat, ona będzie wolala podziwiać talent kogoś takiego jak pan, mimo że połowa pańskich niewątpliwych zalet to po prostu geny. Pan nie obnaża dziaseł w obleśny sposób, tylko mimowolnie prezentuje nienaganne uzębienie. Ten błysk w oku, którego nigdy nie musiał pan ćwiczyć przed lustrem. I naturalność, z jaką inni mają do czynienia wyłącznie od święta, i tylko wtedy, gdy bardzo, ale to bardzo się starają... Zastanawiał się pan kiedyś, od czego zależy, że pewne rzeczy widzimy i odbieramy pozytywnie, podobają się nam i przyjmujemy je z entuzjazmem, a inne z góry i z niechęcią odrzucamy? Coś jest piękne, niezaprzeczalnie ujmujące albo po prostu regularne i dopracowane w każdym calu. A coś innego wydaje się nam obrzydliwe lub po prostu głupie czy prostackie. Albo nieharmonijne. Za duże albo za małe, śmieszne lub koślawe. Nic mi pan nie odpowiada?

– Słucham. Pan nie oczekuje riposty, bo wszystko już wie, prawda?

– Miałem nadzieję, że jest pan chociaż niezbyt inteligentny! W każdym razie muzyk z pana wyśmienity. Z goryczą uznaję ten wyjątkowy talent, też pewnie wynikający z udanej sekwencji genetycznej!

– Dziękuję w imieniu mojego nieznośnego talentu.

Stella, stojąc nieopodal, przysłuchuje się wymianie zdań. Po tym ostatnim podchodzi do stołu, zasiada naprzeciw Bruna, a obok Tristana, i spoglądając raz na jednego, raz na drugiego, mówi:

– Pojedynkujecie się?

Sanelli wzdycha przeciągle.

– Czy chciałabyś być nagrodą dla zwycięzcy?

Kobieta się uśmiecha, wstaje, podchodzi do krzepkiego starca i całuje go w policzek, zanim ten zdąży zaprotestować.

– Byłabym niepokieszona, gdybyście kazali mi wybierać. Ponieważ obu was uwielbiam.

– Tak... – Bruno mruży oczy. – Ale jednego znacznie bardziej!

– Inaczej.

– To „inaczej” rani mi duszę i sprawia przykrość, wiesz? – Bruno wstaje, szukając wzrokiem laski ze złotą gałką. Sięga po nią. – Moja piękna, nie zostanę na kolacji...

– Ależ dlaczego? Jesteś nieznośny! Miałam nadzieję, że zjesz z nami jutrzejsze śniadanie...

– O nie! Tego bym po prostu nie przeżył.

– ...oraz wszystkie posiłki, które podadzą nam w trakcie weekendu.

– Może innym razem, jak będziesz mniej zajęta... Panie Stiller, raz jeszcze *chapeau bas*! Dla pańskiej biegłości w kwestii skrzypiec, o innych wolę się nie wypowiadać. Dla pańskiej swady muzycznej i... temperamentu. Wirtuoza, rzecz jasna! A teraz zechciejcie mi wezwać taksówkę z porządnym szoferem.

Odprawiany przez oboje aż do drogi, milczy zawzięcie i uparcie, mimo że Stella stara się żartować i zaintrygować go miejscowymi plotkami. Gdy kierowca otwiera przed nim drzwi, odwraca się i mówi ze smutkiem:

– Wiesz, że kocham się w tobie od lat, beznadziejnie! Bo albo byłaś w tym czasie zamężna, przy czym jeden z twoich mężów był moim serdecznym przyjacielem, albo... – wzdycha – jesteś zaambarasowana aktualnym kochankiem. I to takim, że nie mam żadnych szans!

– Jesteś niesprawiedliwy. Sam mi niedawno mówiłeś, że stałeś się biernym koneserem doskonałości. Rozkosze stołu zostają na całe życie.

– Moja droga, nie przypominaj mi, ile mam lat. To w tej sytuacji po prostu nietaktowne.

– Ależ ja nie dlatego! Jutro na obiad będzie pieczeń z jagnięcia.

Tuż przed wejściem do taksówki nie odmawia sobie złości. Ona też zostaje na całe życie.

– Zapomniałaś, że twój kochanek nie jada mięsa? Spragniona odmiany?

– Staram się dogodzić twemu wybrednemu podniebieniu. Delia przywiezie jutro sery...

– Na takie ekstrawagancje nie zezwala mi już mój dietetyk.

Stella i Tristan jednocześnie wybuchają śmiechem.

– Jesteś sybarytą, a tego się nie leczy!

Urażony Bruno jest uparty jak toskański osioł. Kiwa głową Tristanowi, ściska i całuje Stellę, a potem zasiada z godnością Matuzalema w samochodzie, na tylnej kanapie. Gdy wreszcie odjeżdża, Stiller wydaje z siebie głośne westchnienie ulgi.

– Coś ty mu takiego powiedział?!

– Ja?

– Przecież nie ja! Był wyraźnie zde gustowany.

– Chyba nie żałujesz tego capa?

– Wiesz, że w młodości grywał na wiolonczeli?

– Wyobrażam sobie niejedno z jego młodości. Teraz to przede wszystkim snob i wyliniały arystokrata.

– Proszę, byś go szanował. Znam go od wielu lat. Kiedyś... bardzo mi pomógł, przy rozwodzie z Brisem, moim trzecim mężem, który okazał się hazardystą i był gotów cały mój majątek przegrać w kasynie. Wówczas Bruno postarał się o dobrych adwokatów, do dziś korzystam z ich usług i porad. Sam był moim świadkiem w sądzie...

– Pewnie liczył na wdzięczność. A kto go ubiegł? A tak... domyślam się... ten aktor, który potem się przez ciebie zabił.

– Nie chcę o tym rozmawiać!

– Dobrze już, nic nie mówię...

– Bruno jest wybitnym filozofem, erudytą. W dzieciństwie chorował na

polio, dlatego ma takie kłopoty z chodzeniem.

– Jak Perlman. To go zniechęciło do wiolonczeli?

– To wybitny umysł. Po prostu gra przestała go interesować. Uświadomił sobie zbyt szybko, że nigdy nie będzie najlepszy. A przeciętnych jest wystarczająco wielu. Bruno nie toleruje bylejakości. Jego adorowanie schlebia mi; jest pozbawione seksualności, bo to piewca słowa, jak D’Annunzio!

– Moja droga! – Tristan świetnie naśladuje głos starego dżentelmena. – Mężczyzna w jego wieku już nie kojarzy, dlaczego w ogóle adoruje jakąś kobietę. Po prostu nie pamięta przyczyn.

– Dobrze ci tak mówić. Też będziesz kiedyś w jego wieku!

– Jakie on może mieć do ciebie pretensje? Kobieta taka jak ty mogłaby mu co najwyżej termofor zmieniać!

– To człowiek, który miłuje przede wszystkim wiedzę!

– Tak, tak, filozof. Sam już uwierzył w swoje posłannictwo. Wygłasza każde słowo z namaszczaniem, jakby od nowa redagował dekalog. Tymczasem Mojżesz nie był erudyta.

*

– Kim pani jest? Jak się tu pani dostała?

Przed Stellą stoi młoda kobieta ubrana w białe spodnie i ażurowy, turkusowy sweter, z torebką przewieszoną przez ramię. Długie ciemne włosy związała w koński ogon, ale pojedyncze kosmyki, lekko sfalowane, wymykają się spod gumki. Szczupła, więcej niż średniego wzrostu. Z napiętym wyrazem twarzy. Ładnej twarzy. Milczy. Może nie może znaleźć właściwych słów? Czasem potrafią kogoś zabić. Także... ocalić?

– Proszę stąd natychmiast wyjść albo wzywam policję!

Kiedy Stella podbiega do telefonu, nagle słyszy wymawiane po polsku słowa:

– Jest pani moja... nie, nie matką. Kobieta, która mnie urodziła.

Rozumie. Odruchowo zaciska powieki, jakby to mogło sprawić, że się zbudzi z koszmaru.

– Proszę opuścić mój dom – odpowiada po angielsku, konsekwentnie.

Młoda kobieta, niezrażona jej impulsywną reakcją, postępuje kilka kroków.

– Tak. Urodziła mnie pani. Nie poszła na zabieg, nosiła przez dziewięć miesięcy w swoim łonie, karmiła swoim ciałem, osłaniała i donosiła do porodu. Zdecydowała pani, mimo komplikacji, że mnie urodzi. Wychowali mnie przybrani rodzice. Wspaniali ludzie i bardzo ich kocham. Ale to pani podarowała mi życie. I wiele zrobiłam, poświęciłam, nie szczędząc też bólu moim ukochanym, by tu przyjść i podziękować za dar... najcenniejszy! Dar życia.

Stella usilnie próbuje zniknąć, rozplątać się w powietrzu. Słowa w języku, którego nie umie zapomnieć, chociaż bardzo się o to starała... Od tylu lat. Całą siłą woli, mocą charakteru powstrzymywała chęć ucieczki. Życzyła tej osobie, by przestała istnieć, wbrew temu co się rozgrywało, a na co nie miała żadnego wpływu.

– Czego pani chce ode mnie? Wywołać kolejny skandal? Proszę odejść i nigdy więcej nie wracać! – Upiera się przy angielskim, jakby z tych, a nie innych głosek czerpała energię do odparcia ataku. – Proszę dać mi spokój...

– Nie spodziewała się pani, że kiedykolwiek mnie zobaczy? Po tym, jak w wieku piętnastu lat, tuż po moim urodzeniu, uciekła pani ze szpitala?

– Jaką mam gwarancję, że to nie jest prowokacja? Niby dlaczego miałabym uwierzyć w te brednie?!

– Mam dowód. – Młoda kobieta podchodzi całkiem blisko, sięga do swojej torebki, chwyta coś w garść i podsuwa zaciśniętą pięść przed oszołomioną twarz Stelli. A potem bez uprzedzenia rozwiera wszystkie palce.

– Naszyjnik, taki dziecinny, z kukurydzianych ziaren... Moja... ta, która

mnie urodziła, nosiła go na swojej szyi i... nim uciekła, zanim zostawiła... Wcisnęła go do niemowlęcej rączki. Dlaczego? Być może miała nadzieję, że kiedyś ją odnajdę...

Stella nie musi dokładnie się przyglądać. Poznaje. Zakrywa usta, lecz mimo tego obronnego gestu z jej ust wymyka się stłumiony okrzyk. Pełen niezmiernego bólu. Wieloletniego. Nigdy niewyjawionego nikomu... Nie może go utrzymać, dłużej blokować w swoim sercu. Łzy, najgorętsze, napływają zdradliwie do oczu. Chwieje się, cofa, na oślep szukając za sobą jakiegoś oparcia. Widok szczególnego naszyjnika budzi w niej dawno umarłe wspomnienia. Łka, zupełnie rozbrojona. Przykłada dłonie do twarzy, bo wstydzi się, że tak zwyczajnie płacze i nie ma siły, by powiedzieć bodaj słowo.

– Gdyby nie to, nie szukałabym pani. Ale... przecież musiał zaistnieć ten moment wahania. Ta jedna chwila, w której postanowiła go pani dać małej dziewczynce, nim ją porzuciła. Niekiedy taki ułamek sekundy więcej mówi o człowieku niż cała fantastyczna reszta jego życia.

*

Czasem niewiele wystarczy, by świat zmienił całą optykę; by widzenie tego świata zacząć budować całkiem od nowa. Bywają też wydarzenia, po których już nie wróci dawny obraz nas samych, które skłaniają do rewizji wszystkiego. Brutalnie zmieniają priorytety, wkraczając bezwzględnie w całość dotychczasowej egzystencji. A skoro się tego nie spodziewaliśmy...

Stella potrzebowała kilku dni. Chodziła na spacer z psami, jeździła po okolicy rowerem, odwołała stanowczo wizytę kochanka, nie myśląc, że może go tym urazić. Bo nie podała żadnej przyczyny, wysłała tylko esemesa: „Błagam cię, nie przyjeżdżaj! Teraz NIE”.

Oznajmiła wszystkim swoim pracownikom, że kobieta, która do niej przyjechała, jest specjalnym gościem, należy ją traktować z szacunkiem, wygodnie zainstalować i zadbać, by niczego jej nie brakowało. A także pilnować, by nie kontaktowała się z samą gospodynią, która ma aktualnie

kaprys świętego spokoju. I choćby się paliło i waliło, nie wolno jej tego spokoju niczym zakłócać.

Odosobnienie Stelli było tak szczególne, że unikała też kontaktów z tymi, którzy zawsze mieli do niej dostęp. Stary Giuseppe odjechał z kwitkiem, nie zobaczywszy się z „jasną panią”, chociaż nie mógł pojąć tego zakazu i bardzo nalegał. Nawet psy wyczuwały, że coś się stało. Nieufnie rozglądały w trakcie długich spacerów po okolicy, nie odstępowały Stelli, trwając w milczącej obecności. Ponieważ były psami, nie zadawały pytań. Dlatego idealnie nadawały się na towarzyszy jej przemyśleń. Wracała nierzadko po długich godzinach, z obolałymi stopami; brała kąpiel w ziołowym naparze z lawendy i rozmarynu, a potem zamykała się w swojej sypialni. Długo w noc paliły się świece przy oknie, w złożonym, ciężkim kandelabrze... Nikt z domowników nie śmiał zapukać. Jedynie Mona, jak zawsze bardzo dyskretna, podsuwała jej ciepłe ziółka i świeży miód. Albo lampkę chianti na długą, gęstą noc.

Rankiem, po kilku dniach tego pustelniczego życia, Stella wchodzi na taras w obłoku z błękitnej sukienki. Siada na patio i kiedy zauważa swego gościa, jak nieśmiało zerka w jej stronę, gestem zachęca do bliższego kontaktu.

– Dzień dobry – mówi, wchodząc na stopnie młoda kobieta.

– Witam panią, proszę zjeść ze mną śniadanie.

– Nie chciałabym nadużywać pani gościnności, poza tym...

– Przede wszystkim powiedz mi, jak ci na imię. I proponuję skończyć z konwenansami, jestem Stella. Stella Mangione. Przynajmniej pod takim nazwiskiem piszę większość książek i scenariuszy. I wyznam, że czasem muszę pomyśleć, jak się aktualnie nazywam.

– Wobec tego i ja mam propozycję, byśmy rozmawiały... po polsku.

– Nie powiem, by mnie to zachwycało. Wieki minęły od tych czasów, gdy...

– Tego się nie zapomina.

– Ja... chciałam zapomnieć! Dobrze, spróbujemy. Wydaje mi się, że nadal myślę po polsku. Choć niekoniecznie także śnię.

– Mam na imię Izabela. Izabela Bałtros. Po mężu.

– A po rodzicach?

– Czelabińska.

– Proszę, jak ładnie! Izabela Bałtros-Czelabińska.

– Raczej, hmmm... Czelabińska-Bałtros. – Młoda kobieta uśmiecha się nieśmiało.

– Cóż porabiasz w swoim życiu, Izabelo? – Zwyczajne pytania, gdyż nadeszła pora na ich zadawanie, bez lęku o to, jakie będą odpowiedzi. – Przyjechałaś tu sama?

– Mąż, który się o mnie martwi, wziął urlop, by mi towarzyszyć.

– Masz mądrego męża.

– To prawda. Zatrzymał się w hotelu w Sienie, razem z naszą córką.

– Chyba powiadomiłaś go o wszystkim? To znaczy... o tym, że cię przygarnęłam.

– Oczywiście, chociaż nie bardzo wiedziałam, co o tym twoim „zamknięciu się” myśleć...

– Potrzebowałam tego czasu, by jeszcze raz spojrzeć na siebie, w lustrze. Wiesz, jak to jest... Nie wiesz? Mężczyźni robią to w trakcie golenia. Miny i takie tam; wyszczerzają zęby, sprawdzając ich stan, wydymają policzki, wytrzeszczają oczy albo ćwiczą spojrzenia, o których sądzą, że są zabójcze. – Śmieje się. – A kobiety, zwłaszcza gdy się zaczynają starzeć... cóż... one sądzą, że same przed sobą mogą się przyznać do wszystkiego. Tylko muszą mieć lustro, rozumiesz? Cóż, nie musisz.

Zapada kłopotliwe milczenie, podczas którego obie zdają sobie sprawę

z tego, że są do siebie podobne jedynie fizycznie. Iza nie chce tracić czasu. Ma tyle zaległości do nadrobienia. Wierzy, że obie pragną sforsować mur, który je dzieli.

– Planowaliśmy, że jeśli nie uda mi się do ciebie... z tobą spotkać, będzie to atrakcyjny wyjazd turystyczny. Chociaż tyle. Uparłam się, że sama do ciebie dotrę. Bałam się, mogłaś mnie poszczuć psami... – Uśmiecha się z pytającym wyrazem twarzy.

– Psy tu żyją, bo je kocham. Nikogo nimi nie szczuję. To nie ich rola. Zatem... poniekąd... jestem już...

– Tak, jesteś babcią.

– Nie, babcia to pani... Czelabińska. Gdzie mieszka?

– W Krakowie.

– O, Kraków, moje bardzo odległe wspomnienie... z wycieczki...

– Matka zmarła przed rokiem na raka. Ojciec bardzo przeżył tę śmierć, ja też. Jakoś sobie radzi, dzięki internetowi mogę z nim być w częstym kontakcie. Kiedy się zdecydowałam na tę podróż... Ale może cię nudzę?

– Skądże! Bardzo chciałabym się dowiedzieć... nie powiem, że wszystkiego, bo to niemożliwe, ale jak najwięcej. Ile lat ma twoja córeczka?

– Sześć.

– Będę trochę skakać, nim to uporządkuję... Widzisz, nic o tobie nie wiem – tłumaczy spokojnie Stella.

– Rozumiem, to naturalne. I trochę... niesprawiedliwe, bo ja o tobie wiem sporo.

– Oby to nie były same brednie.

– Jesteś poniekąd moją dumą. Bo chyba mogę tak o tobie myśleć? – podpytuje ostrożnie Izabela. – Długo cię w moim życiu nie było, ale za to kogo znalazłam!

– O Boże! Wolałabym być anonimowa.

– Dlaczego? Odnalazłam interesującą osobę – orzeka szczerze Iza. – Fascynująca! Na swój sposób to sprawiedliwe, nie sądzisz? Bo jeśli wziąć pod uwagę, ile straciłyśmy...

– Cóż, pewnych rzeczy już nie naprawię... – Stella wzdycha ze smutkiem – choćbym najgłośniej biła się w piersi. Musiałaś się tym szukaniem natrudzić?

– Owszem, wynajęliśmy kilku prywatnych detektywów. Cofaliśmy się w czasie... Istnieje coś takiego jak tajemnica adopcji, praktycznie nie ma możliwości poznania biologicznych rodziców w takich wypadkach.

– Pieniądze pomagają obejść prawo.

– Wiedziałam, że jestem adoptowana. Mój ojciec nie chciał, by powiedział mi o tym ktoś obcy, przypadkowy, wolał to zrobić razem z mamą, nim poszłam do szkoły. Żeby nikt nie mógł mnie tym zranić. Zapewnili mnie, że byłam chciana i wymodlona, ale... jednak nie mama mnie urodziła. Zachowali też jedyny ślad po tobie, wiedzieli, że byłaś młodzieńcem i uciekłaś ze szpitala, a policja nigdy cię nie odnalazła.

– To szlachetnie z ich strony – zauważa z uznaniem Stella. – Mogli ten śmieszny naszyjnik po prostu wyrzucić. Co ich obchodziła gówniara, która porzuciła własne dziecko...

– Coś ich powstrzymało. Podobnie jak ciebie, kiedy postanowiłaś zniknąć z mojego życia nie tak całkiem bez śladu... – Izabela zamyśla się i po chwili kontynuuje z pasją: – Wiem, byłam okrutna! Otaczali mnie swoją bezpieczną, troskliwą miłością, a mimo to zawsze twierdziłam, że kiedyś cię znajdę. To było silniejsze niż świadomość, że sprawiam im ból. Byłaś obecna w moim życiu... jak nikły, odległy ślad, ale byłaś. Mimo całej przeszłości. Na przekór temu, jak ze mną postąpiłaś.

– Miałam tylko piętnaście lat, właściwie... czternaście, gdy zrozumiałam, że zaszłam w ciążę. Byłam w podstawówce, wybierałam się do liceum. Niestety nie mogłam liczyć na swojego chłopaka, który pobił mnie

i zwymyślał... Zwyczajnie wystraszył się odpowiedzialności. Miał szesnaście lat i po prostu się wszystkiego wyparł. Głupi smarkacz, który chciał zaliczyć dziewczynę, by pochwalić się przed kumplami. Nic go nie obchodziły konsekwencje! A moi rodzice... Dla nich byłam dziwką, która się puściła, bo źle ją wychowali! Matka umówiła mi wizytę u znajomego ginekologa. Zamknęli mnie w pokoju i dali szlaban na wszystko, zabronili kontaktów z koleżankami, nawet jedzenie mi wydzielali. Kiedy zrozumiałam, że chcę, bym się pozbyła dziecka... Dla mnie to był szok. Matka... jeszcze sama mogła rodzić dzieci. A tu taki wstyd! Córka, która się puściła z byle kim. Może z kilkoma? Albo robiła to z każdym? Może tych hipotetycznych ojców była cała chmara! Uciekłam od rodziców, wylazłam nocą przez okno, z plecakiem i pieniędzmi wytrząsniętymi ze świnki skarbonki. Stopem uciekłam jak najdalej. Jak na gigancie! Nie chciałam pamiętać nawet nazwy tego miasteczka! Dojechałam do klasztoru, o którym słyszałam wcześniej, że przygarnia samotne matki. Tam się zgłosiłam pod obcym, wymyślonym imieniem i nazwiskiem. Siostry nalegały, żebym wyznała prawdę, mówiły, że namawianie do aborcji jest karalne, że rodzice powinni się o mnie zatroszczyć. Mają obowiązek! Należałoby ich do sądu podać, a nie kryć! Ja zaś niezmiennie powtarzałam swoje wymyślone dane i groziłam, że jeśli będą dalej mnie dręczyć, od nich też ucieknę. Dziwne, że policji nie wezwały. Dopiero potem pojęłam czemu... O rodziców też wypytywały, by uniknąć kłopotów. Chciały mieć pewność, że nikt nie będzie mnie szukał. Pracowałam w ogrodzie, przy suszeniu ziół, w prasowni zakonu. Za jedzenie i łóżko do spania. Siostry zorganizowały kilka rodzin, z których jedna miała się zaopiekować moim dzieckiem, kiedy je w końcu urodzę. Myślę, że czerpały z tego procederu niezłe zyski. Wśród tych rodzin byli Australijczycy. I dwie rodziny niemieckie. Jacyś dziwni ludzie zaczęli się koło mnie kręcić, kiedy byłam w ósmym miesiącu. Zrozumiałam, że handlują dziećmi z Polski, nie wnikając, jaki jest ich los po adopcji. Zupełnie się tym nie interesują. Więc kiedy brzuch mi się opuścił, znów uciekłam. Podkradłam się i wlałam do bagażówki, która wywiozła mnie na drugi koniec kraju, do Szczecina. To była szalona podróż, zupełnie zwariowana, leżałam osiem godzin na workach wypełnionych sianem; jak się potem okazało,

przemycano w nich za granicę wódkę i papierosy. Całą tę koszmarną drogę modliłam się, żeby od wstrząsów nie zacząć rodzić. Dobrzełam pod szpital i koczowałam w parkowych krzakach niczym kloszardka. Kradłam jedzenie albo wyjadałam ze śmietników... Ludzie wyrzucają czasem zupełnie dobry, trochę tylko czerstwy chleb i lekko zwiędnięte owoce. Najgorzej, że musiałam się ukrywać. Byłam nieletnia i w każdej chwili mogła mnie zgarnąć milicja...

– Musiało ci być... – Izabela milknie, poruszona usłyszaną historią.

Stella spostrzega jej wzruszenie. Uznaje, że to jeszcze nie jest pora na wspólne lanie babskich łez. Podchodzi do tego z humorem:

– Jedna z moich powieści opowiada dokładnie tę historię. Dzięki niej zarobiłam milion dolarów, jeszcze ją zekranizowano! Widzisz, ja niczego z tamtych dni nie uroniłam, ja to wszystko dokładnie opisałam. Nie wymyśliłabym sama pojedynczych anegdot, o których pilnie chciałam zapomnieć, jednak dopiero po opublikowaniu powieści. Takie doświadczenia dodają człowiekowi sił, bo nie od dziś wiadomo, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Fakt, kiedy poczułam pierwsze skurcze, po prostu obleciał mnie strach i położyłam się przed wejściem, zza którego wyjeżdżały karetki. Czekałam na cud. W bólach zabrali mnie na salę porodową... Jak przez mgłę pamiętam, że urodziłaś się po trzech godzinach, zdrowa jak ryba! Ważyłaś trzy kilo dwieście i przez chwilę byłam z ciebie dumna!

– Tylko tak krótko?

– Na więcej nie miałam czasu! Wezwali do szpitala gliny i jakiegoś kuratora, szukali rodziców, a dla mnie oni umarli. Po pierwszej dobie uciekłam w kradzionych, za dużych ciuchach. Znow pojechałam stopem, na inny jeszcze koniec Polski. Z tego czasu najlepiej pamiętam rwący, straszny ból piersi. I odciąganie pokarmu... Beznadziejny proceder. Próbowałam to pić, wmawiając sobie, że nie mam wielkiego wyboru, jeżeli chodzi o posiłki, ale... brzydziłam się. Szary płyn, z oczkami tłuszczu, jak cienki rosółek. Strzykał z moich piersi, z maleńkich dziurek, wprost do niezbyt czystego słoika, znalezionej na śmietniku... Kłopoty z podpaskami, których nie

można było normalnie kupić, bez stania w kolejkach... Ukradłam z czyjegoś balkonu prześcieradła, podarłam na mniejsze kawałki i prałam je na stacjach benzynowych, w śmierdzących toaletach, z małymi, brudnymi umywalkami. Tak kiedyś było, zanim zaczęło się zmieniać na lepsze... Słyszałam, że teraz toalety w Polsce mają mniej prząsne oblicza, że się polepszyły...

– Nic prostszego, jak pojechać i zobaczyć te cudenka na własne oczy! – z werwą proponuje Izabela.

– O nie! Ja już nie chcę do Polski, nigdy i *never*.

– Szkoda, bo może teraz miałabyś okazję... Ale opowiadaj dalej! – zachęca córka.

– Krwawiłam po porodzie wiele tygodni. Okropieństwo! Byłam słaba, parę razy podwożący stopem kierowcy próbowali mnie zgwałcić. Wiedzieli, że nie miałam pieniędzy, chcieli sobie odebrać zapłatę w naturze. Może i byłabym skłonna do takiej wymiany, ale... wciąż krwawiłam i dlatego wylatywałam na najbliższym postoju na szosę, żegnana stekiem wyzwisk.

– O rany!

– Wiesz... dzisiaj mogę się do tego przyznać. Całymi latami tłamsiłam to w sobie, zbyt bolało. Teraz, o dziwo, już nie. Właśnie dlatego musiałam przeżyć te kilka dziwnych dni w odosobnieniu. Musiałam wziąć się za bary z moim dawnym losem. Może zagrać mu na nosie? Minęło wiele lat, zmieniłam się, moje życie jest zupełnie inne niż wtedy. Wszystkie tak zwane okoliczności... cały ten cholerny świat, w którym czułam się nikomu niepotrzebna, całkowicie zbędna i porażająco samotna! Człowiek nie zna swoich możliwości, swojej siły. Nie wie, do czego jest zdolny, dopóki czegoś po prostu nie przeżyje. Nie skończyłam żadnych studiów, nie mam nawet matury. Nim cię urodziłam... miałam iść do liceum. Jednak życie nie oferowało mi warunków do nauki. Wszystkim wciskałam kit, że jestem starsza. W tamtych czasach trzeba było mieć na wszystko papierek, pokrycie. Nieważne, co w głowie, mniejsza o umiejętności i dobre chęci. Papier się liczył. A ja nie miałam żadnych papierów. I bałam się nawet spróbować je

załatwić, dopóki byłam taka smarkata. Kradłam wtedy na potęgę, wszystko, co się dało! Głównie jedzenie, ciuchy... Owoce ze straganów. Ale też garnki ze sklepów... gospodarstwa domowego. Tak się wówczas nazywały te sklepy. Są jeszcze?

– Chyba tak, chociaż ludzie najchętniej kupują w marketach, tam są działy AGD. Są też sklepy nastawione na ten asortyment, ogromne magazyny.

– Tak? Ja pamiętam małe sklepiki. I trochę większe, gminne. Mieli tam mydło i powidło. Piramidy żeliwnych wiader. Łopaty, rowery, pasze dla zwierząt, nawozy, kleje... Butapren. Zdarzyło mi się go wachać. Kilka kropel w foliowym woreczku... aż zaczynało ścisnąć w skroniach...

– Dlaczego?

– Co dlaczego? – nie rozumie Stella.

– Dlaczego to robiłaś?

– Tobie się zdaje, że moje życie było takie kolorowe? Wciąż się kryłam, uciekałam. Wtedy zaczynał swą słynną działalność Marek Kotański. Gadało się i pisało sporo o Monarze i o tym, że w Polsce są narkomani. Z niczego się nie wzięli! Było elenium na uspokojenie, syrop guajazyl na kaszel... Kompot z makowin, takie śmierdzące badziewie, które wstrzykiwali sobie w żyłę. Byle jaką strzykawką wielokrotnego użytku, podobnie jak igłą. Najlepiej w kiblu.

– Robiłaś to?

– Ja nigdy nie miałam forsy. Ale jeśli pytasz, czy chciałam wtedy „odlatywać” i mieć wszystko gdzieś, to tak. Bo cóż mnie powstrzymywało? Byłam sama. Brudna, głodna, z pryszczami, tłustymi strąkami włosów... Wciąż się drapałam po całym ciele. Tak, miewałam wszy. Dopiero jak obciąłam włosy... wyglądałam jak chłopak, ale byłam drobna i... zaczepiali mnie geje na ulicach, dworcach, w zaułkach. Najczęściej wyglądałam na menelkę, narkomankę właśnie. Bywało, że śmierdziałam, bo spałam po stajniach, oborach, gdzie się dało! Aby tylko znaleźć ciepły kątek. Czasem

wyżerałam świniom z koryta, jeśli akurat dostały siekaną pokrzywę z gotowanymi ziemniakami. To było nawet dobre. W ogóle pokrzywy są smaczne, zwłaszcza wczesną wiosną, podobnie jak mlecz rosnący w rowach, dzika szałwia, koniczyna... Kradłam bułki lub chleb, akurat zaczynały się pojawiać bagietki... Siekałam zielone i wpychałam do pieczywa, jak się udało, to skrapiałam olejem rzepakowym... A jak jeszcze miałam sól w kieszeni... to była uczta! Wykładałam też jajka z kurników. Na wsi było łatwiej się wyżywić, ale nie dało się tam na dłużej zostać. Każdy obcy, przybłęda był natychmiast zauważony. Obgadany. Ludzie mnie odpędzali jak żebraczkę, patrzyli ze zgrozą na moje za duże ciuchy i brudne trampki z odpadającymi podeszwami... Nawet się mnie bali. Patrzyli ze strachem, rzadko ze współczuciem.

– Pewno szukała cię policja?

– Wówczas nie było policji, tylko MO, Milicja Obywatelska, i nie pytaj mnie, jaka to różnica.

– Zapominasz, że ja mieszkam w Polsce i trochę znam naszą historię.

– Wtedy pieluchy były wyłącznie tetrowe, w dodatku na kartki. Przysługiwały dwa śpiochy na krzyż, takie z anilany. Sztuczne, po każdym praniu nogawki miały dłuższe. Z jednego po jakimś czasie materiału starczało na dwa. Taka pożał się Boże matka jak ja, bez dokumentów, i co za tym idzie kartek, nie miała żadnych szans na wychowanie dzieciaka! Bawełna stanowiła rarytas. Waty, ligniny nie było. A papier toaletowy?

– Znam to z filmów Barei!

– Jak każdy satyryk nieco przesadzał...

– Nie próbowałaś o tym pisać?

– A ktoś by to zechciał wydać i przeczytać? Amerykanie pochylają się z troską nad cudzym nieszczęściem, ale wielu rzeczy zwyczajnie nie mogą pojąć. Są niezaradni. Nie mają zmysłu praktycznego, podobnie jak Anglicy. Ich nie interesują braki. Oni przy byle niewygodzie strajkują!

– Nasi teraz też.

– Polityka to gówno! Tyle pamiętam. Unikam, zawsze unikałam polityków. Brzydzą się tym ich procederem. Czy twój mąż nie jest przypadkiem...?

Izabela śmieje się, kręcąc głową.

– Jest stomatologiem.

– O!

– Boisz się? Twoje zęby... przepraszam, że pytam, są naturalne?

– Powinnaś dostać klapsa! Za bezczelność. Pewnie, że prawdziwe, z wyjątkiem kilku implantów. Wracając do twojego męża, poproś go, niech tu przyjedzie, razem z waszą córeczką. Zostańcie wszyscy moimi gośćmi. A teraz, wybaczone, muszę tu trochę porządzić. Tej rozmowy długo nie dokończymy. Po prostu odłóżmy dalszy ciąg na jutro, dobrze? Muszę teraz napisać kilka listów, zadzwonić do kochanka i... – Stella mruży jedno oko, porozumiewawczo – wiesz... trochę się przed tobą otworzyłam. Teraz to sobie pozbieraj. Nie od razu Rzym zbudowano!

– Pozwól, że jeszcze spytam... Gdyby mój mąż okazał się politykiem...?

– Wówczas nie miałby tu wstępu, czego się spodziewałaś? – odpowiada Stella z rozbijającym uśmiechem.

*

„I co? Czy już zaczęłaś się bać?”

*

Stella cierpi na „zespół niespokojnych nóg”. Ta przypadłość dręczy ją od lat, zwłaszcza wtedy, gdy czuje się szczególnie zmęczona i marzy o śnie, kojącym i odnawiającym sfatygowane siły. Doznaje wówczas dziwnego wrażenia, że oto w połowie jej ciała przebiega granica. Góra jest śpiąca, oczy się kleją. Emocje powoli gaszą wszystkie światła na scenie. Już nie ma przemyśleń, dręczących pytań, wątpliwości. Znikają, by dać odpocząć skołataną głowę. Nawet włosy miękną, łagodnieją rysy twarzy... Dół zaś, no cóż... Nogi nie przyjmują tego do wiadomości. Stopy podskakują samorzutnie, jakby tańczyła czardasza! Aż ma ochotę kląć wniebogłosy, bo cóż to za udręka! Wie, że jak pojawiają się te symptomy, spanie musi sobie odpuścić.

Rozzłoszczona wychodzi więc z łóżka i bosy przemyka na patio, skąd może przynajmniej obserwować księżyc. Księżyc to też dobry towarzysz do pogawędki:

– Co? Gapisz się na ten wspaniały świat i nudno ci, bo wszyscy szczęściarze śpią, tylko ja jedna nie mogę, za cholere! Cóż... Tak już mam, że im bardziej chcę, tym bardziej nie mogę. Nie masz nóg, to co ci będę gadać. Jak się czegoś nie ma, to przynajmniej nie jest żal... Zdenerwowałam się kilka dni temu, teraz to ze mnie wychodzi. Mam córkę, wiesz? Straszna sprawa. Miałam jej nie mieć, a tu... jest. I co ja teraz Tristanowi powiem? Że jestem babcią?! Wolne żarty! Mogłam sobie fruwać, jak rodziny nie było w pobliżu. Ale się znalazła! Gdybym chciała, to nie. Jak nie chciałam, tak! I ta córka jest niczego sobie... Jednak nic o niej nie wiem, tyle się życia poza nami przetoczyło. Teraz mi głupio nie tylko dlatego, że ona jest już dorosła i że tak bardzo chciała mnie znaleźć... Głupio, bo moje życie nie jest... hmmm... wzorem cnót wszelakich. Sporo się może plot nasłuchać, i to takich najgorszych. Wiem, co mówię, wystarczy tablety pośledzić. Tyle mi tam

nawciskali do życiorysu... Jak teraz być babcią dla tej małej? Babcia wymaga szacunku. Jak to się ma do... skandalistki? Babcia, która miała trzech mężów. I paru kochanków... O Jezu! Trzeba się chyba... ustatkować czy jak? Tak... To też jest dziwne, bo pomyśl tylko. Tamci rodzice się starali, całymi latami kochali ją przykładnie, dali dom, a w nim serdeczność, bezpieczeństwo... Czytali bajki, przygotowywali najlepsze przysmaki, śledzili pilnie postępy w nauce, odbębniłi wszystkie okropnie nudne wywiadówki, znosili jej kolegów i bezczelne koleżanki, zgadzali się na psa, kota lub szczura w domu... Mimo to ona myślała o mnie, chciała odnaleźć tę żołą, która najpodlej w świecie zostawiła ją w betach i zwiła! Jak powiadają: krew nie woda, gówna nie smark! Ile trzeba komuś tej krzywdy wyrządzić, żeby plunął i żył sobie dalej, olewając przeszłość? Oni, ci przybrani, trudzili się, dzień po dniu, latami! Ale to ja siedziałam w jej głowie. Ta nieznaną paskuda, która uciekła. Córka... Dziwnie się jakoś czuję... Nie zaatakowała mnie pretensjami, zjawiła się, bo chciała mi... – usta Stelli wyginają się w podkówkę – ...podziękować. Za dar życia. Tamci ją zawsze kochali jak głupi, a ona, ladaco, mnie przysłała podziękować. I bądź tu, człowieku, dobry! Bądź szlachetny! Tylko ci za to w podzięce cegła na głowę spadnie! Co to za niesprawiedliwość, rany boskie! Wszędzie tak jest. Kujona nikt nie kocha, ale jak leser łączy do szkoły w kratkę, który nie uczy się i zlewa całokształt, nagle odrobi to, co wszyscy inni w pocie czoła odrabiają zawsze, to zaraz by go chcieli zgłosić co najmniej do Orderu Legii Honorowej. Bo okazuje się, że on też ma potencjał!

W kieszeni szlafrocza rozlega się fragment *IX symfonii* Beethovena granej na skrzypcach. Zdziwiona Stella spogląda na ekran. Któż to dobija się o tej porze? I jakim cudem w ogóle ma przy sobie komórkę? Domyśla się, że Mona, ten duch opiekuńczy, tak, to ona, na pewno, włożyła jej telefon do kieszeni, bo... Tristan dzwoni już po raz nie wiadomo który. Sprawdza. Szesnaście nieodebranych połączeń... Szesnaście! No to sobie jeszcze poczeka. Stella odnosi telefon; wyłączywszy go uprzednio, rzuca aparat na łóżko, bo nie chce jej się podchodzić do stolika, a na pościeli przynajmniej miękko wyląduje. Wraca na patio i kontynuuje monolog do księżyca.

W międzyczasie zjawia się Łotr, ulubiony labrador Stelli, i kładzie się koło jej nóg. Wiernie, po przyjacielsku, niczego w zamian nie oczekując.

– Tak samo jest z facetami. Nie wolno im okazać uczuć, bo szybko się znudzą i pójdą polować gdzie indziej. Tam, gdzie trudniej cokolwiek złowić. Wolą ochłap cienkiego uśmiechu u tej, co zgrywa twierdzą, niż pełen asortyment pieszczot u niebogi, która się zakochała i na swoje nieszczęście gotowa jest to okazywać! Jak kochasz, to pogoń mu kota, kobieto, puchu marny, bo nie może tego wiedzieć. Musi się starać, wciąż od nowa, a najlepiej jak co pewien czas ześlesz go na galery! Skoro już się zakochałam... a nie powinnam, wiem to, skoro jednak... to nawet dobrze, że on nic nie wie. Muszę go przygotować na tę... babcię. Jego matka zupełnie zrozumiale mnie nie znosi, bo nie jestem odpowiednią partią dla jej cudownego dziecka. Na jej miejscu nasłalabym na przewrotną dziwkę płatnych morderców, i to skutecznych, bo tu nie wystarczy tylko nastraszyć. A zresztą jak Tristanio zobaczy moją córkę, rychło zwinie żagle! Niech sobie jeszcze trochę podzwoni, pomyśli, poniepokoi się... takie emocje dobrze mi robią na cerę! Z Tristianem poniosłam klęskę batalistyczną na całej linii. Zupełnie nie stawiałam oporu. To raz może sobie trochę poczekać. I tak wiem, że to się wkrótce skończy. Sen złoty Stelli Mangione ma na imię... Księżyc! Ty jesteś kochankiem... kochanką? No tak, w języku angielskim jesteś przecież rodzaju żeńskiego. A ja od dawna nie monologuję po polsku... więc co się dzisiaj ze mną dzieje? Ech, księżycu, jesteś idealny, bo nic nie gadasz i nie robisz głupstw. Niech sobie Tristanek pocierpi... Wiadomo, że facet gotów góry przenosić, jak nie ma pewności co do kobiety. To dla tych, które nie powiedziały „tak”, waliły się mury i zgrzytał oręż! Iluż ich było, tych historycznie starających się o rękę... a raczej, nazwijmy rzecz po imieniu... dolną partię brzucha, do której ponoć każdy klucz pasuje, no ilu? Dla nich Wenus z Milo to ideał partnerki! Oj, chyba się zagalopowałam. Istnieje przecież coś takiego jak dobra kuchnia. A tu bez rąk... to raczej byłoby krucho. Tak czy owak, kobieta ma wiele zalet ciała i umysłu, ale nie ja to wymyśliłam, że najważniejsze w niej jest zawsze to jedno jedyne miejsce... do którego dopuszcza bądź nie. I tu się rodzi dylemat, bo dzisiejsze

dziewczyny tego nie rozumieją, niestety, że najlepiej jest wtedy, gdy jeszcze nic nie ma. A potem to tylko może nadejść nuda, zwana niesłusznie przywiązaniem. Lub co gorsza przyzwyczajeniem. Nie warto być dobrą... Lepiej fascynować, hipnotyzować, niepokoić, skłaniać do zazdrości, mnożyć powody! Nie takie do rozwodu w sądzie, tylko... powody do podejrzeń, do rozterek, do cierpień, niekoniecznie dusznych, werterowskich... I druga sprawa... nie jest tak, że kiedy już jesteś z kimś, to możesz sobie wiele spraw odfajkować, postawić ptaszka i gites!

Przychodzi jej na myśl, że powinna ten monolog nagrać na dyktafon, niestety za późno, ale co tam. Jeśli coś rodzi się w jej głowie, zapewne tam pozostanie, zatem... innym razem. Pochyliła się nad Łotrem i tarmosi go za ucho, co pies przyjmuje ze stoickim spokojem.

– Widzisz, ty też skapcaniałeś, zaczynasz przypominać małżonka z długim stażem. Jest rzeczą wielce naganną taka... cierpliwość, powinieś teraz zaszczekać. No, daj głos. Daj! E... starzejesz się...

*

Małżonek Izabeli nie robi na Stelli piorunującego wrażenia, może dlatego, że jest niski, pulchny i łysawy. Starszy od żony o jakieś piętnaście lat. No ale ma niewątpliwie, poza gabinetem stomatologicznym, cały szereg zalet... Ukrytych! Córeńka jest podobna do taty, co tu dużo mówić. Blondynka z widoczną tendencją do rudości, piegowata, ale tak uroczo, ma szare oczy i zadarty nosek. Od razu obejmuje ją za szyję i szepce do ucha:

– Kocham cię, babuniu. Jesteś bardzo ładna, wiesz?

Stella nie potrafi postępować z dziećmi, uśmiecha się sztucznie, krzywi, jest zakłopotana. Podaje dłoń Stefanowi Bałtrosowi, nie mogąc opędzić się od myśli, że zarabia na życie dłubaniem w cudzych zębach.

A potem wszyscy udają się na obiad, który właśnie podano.

*

– Pozwoliłam Matyldzie zobaczyć koniki. Rafael, twój stajenny, taki

zabójczo przystojny, zabrał ją do stajni. Czy to godny zaufania człowiek?

– Teraz mnie o niego pytasz, jak już z nim poszła? Czujna matka tak nie postępuje!

– Jezu, a co? – Izabela zrywa się z fotela.

Stella śmieje się głośno.

– Spokojnie, nie zatrudniam zboczeńców! Przynajmniej dotąd mi się nie zdarzyło. No ale tu nigdy nie było dzieci... Jeśli ktoś jest pedofilem, do tej pory nie miał potrzeby, by się kamuflować...

– Co ty mówisz? Idę po nią!

Pisarka przestaje się śmiać.

– Jakaś ty dosłowna! Nie widzisz, że sobie dworuję? Nie mam aż tylu wnuczek, by je marnotrawić. Wybacz, ale tej jednej nikomu nie oddam. I siadaj, zaraz podadzą nam soki i owoce. Chyba że wolisz kieliszek chianti?

– Jak możesz tak żartować?!

– Wybacz, ale mogę. Gdzie Stefano?

– Stefano?

– Wygląda jak pewien włoski książę... zubożały, ale z dystyngowanym stylem bycia.

– Chodzi po okolicy, jeśli mojego męża masz na myśli. Robi zdjęcia, to jego konik, hobby.

– Muszę go zatem oprowadzić, natrzaska tyle zdjęć, że do końca roku będzie miał czym zanudzać waszych znajomych. Oj, nie patrz tak na mnie, przecież wiadomo, że się wygłupiam.

– Nie wiem... do końca nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy jesteś poważna. Na czym ostatnio stanęliśmy?

– Chcesz usłyszeć mój życiorys?

– Przynajmniej o swoich mężach opowiedz. I kiedy zafundowałaś sobie

te implanty? To pewnie ten mąż milioner, jak mu tam...

– Hennessy? Myślisz, że ożeniłby się ze szczerbatą?

– Z miłości popełnia się głupstwa.

– Zaczynasz łąpać mój *pure kind of humor*! Starszy o pięćdziesiąt lat mężczyzna żeni się z żądzy, nie z miłości. W dodatku bywa zawiedzionym fantastą, bo rzadko kiedy może tę żądzę zaspokoić. Ale dobrze, po kolei, implanty sfinansował mój pierwszy mąż Robert. Milioner poznał mnie już w pełnym garniturze. Miałam siedemnaście lat, gdy wyszłam za mąż. Powiedziałam wówczas w urzędzie, że skończyłam już dziewiętnaście. W przyszłości moi biografowie pourywają sobie łby, zażarcie kłócąc się o moją *date of birth*!

– Dlaczego się postarzyłaś?

– Musiałam mieć dowód osobisty. Wyrobiłam sobie wcześniej, na fałszywe nazwisko i okoliczności.

– Nikt tego nie sprawdził, nie próbował podważyć?

– Był przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, wchodziła wielkimi krokami transformacja, ludzie mieli co innego na głowie. Robert był hydraulikiem. Świetnie nam się powodziło. Miał swój warsztat, dwóch czeladników, klientelę z górnej półki. Wtedy trudno było cokolwiek dostać. Brak rur, zaworów, kolanek nadrabiał pomysłem i rzemiosłem. Był dobrym... jak to się mówi? Fachurą. Nie brakowało mu zręczności, sprytu i zamówień. Czasem musiał rezygnować, bo nie wyrabiał się z robotą. Na rynek stomatologiczny u nas dopiero wchodziły implanty. Mój tryb życia, zaniedbanie, brak pieniędzy na leczenie czy choćby pastę do zębów... cóż, zrobiły swoje. W najlepszym gabinecie się leczyłam i wstawiałam zęby. Musisz wiedzieć, że lata poniewierki kosztowały mnie wszystkie zęby mądrości. Musiałam sporo plombować. Wcześniej zwyczajnie nie miałam na dentystę. Ból zębów to kolejne cierpienie, które pamiętam, latem pomagały napary z mięty, zimą okłady z lodu i śniegu. Zęby mi w młodości po prostu... no gniły! Robert mi wszystkie remonty

sfinansował.

– Taki hojny? Czy kochający?

– Robił to dla siebie. Jak się poznaliśmy, wyglądałam gorzej niż marnie. Ale byłam bezczelna i pyskata, czym zwróciłam jego uwagę. W Polsce brakowało wszystkiego, nawet mydło było na kartki. Włosy myłam w płynie do naczyń o wdzięcznej nazwie „Ludwik”.

– Jest w produkcji do dzisiaj.

– Coś takiego! Kiedy tylko mogłam, używałam do włosów naparów z ziół. Wszystko jedno jakich: szaławii, pokrzyw, piołunu, mniszka lekarskiego. Dzisiaj robię kompresy z lawendy, mięty albo cytrusów. Nie było kremów, odżywek, niczego! To znaczy... było, ale za dolary w... tym, no... Peweksie. A Roberta było stać na takie zakupy. Stamtąd miałam swoje pierwsze porządne ciuchy. Dżinsy... hm... wycieruchy marki Fortunatex, z kombinowanymi, plecionymi kieszonkami. A potem kolejne. Białe Wranglery. A nawet Tiffany! W Peweksie były wszystkie rozmiary i miła obsługa. Rajstopy też stamtąd miałam. Popatrz tylko, co za słowo... Rajstopy! Czy to świadomie tak wypadło?

– Idylla – podsumowała Izabela.

– Owszem, tylko że chcieliśmy więcej. Robert chciał. Nie wystarczało mu powodzenie w kraju. Zapragnął kosić kasę w Ameryce. Sprzedaliśmy więc wszystko: warsztat, klientelę, mieszkanie, samochód z garażem, działkę... yyy... rekreacyjną pod miasteczkiem i ruszyliśmy na podbój Ameryki. To był błąd.

– Ile lat wtedy miałaś?

– Dwadzieścia. Czyli większą część życia spędziłam poza Polską. I dobrze. Nic mnie do kraju nie ciągnie. Nadal polityka i politycy uprawiają tam swoje poletko. Solidaruchy się odkuły. Komuchy jeszcze szybciej, bo mieli pieniądze, by od razu przebranzowić się na kapitalistów i biznesmenów. A przeciętny człowiek? A polityka prorodzinna? Jest tam w ogóle coś takiego? Poza hasłem?

– O, widzę, że się orientujesz.

– Niespecjalnie. Ale znam rodactwo. Wiem, jakie potrafi być pazerne. Tam jedna osoba bywa redaktorką naczelną dziewięciu czasopism! Jedna. Tutaj tego nie ma. Ludzie są chytry na pieniądze wszędzie, ale nigdzie nie robią tego w tak wulgarny sposób. Nigdzie nie jest tak, że partactwo i chamstwo czemuś ostentacyjnie przewodniczy, dostaje się do mediów, do koryta i rządu! Nie ma takiej bezczelnej promocji szmiry, głupoty, mizerii intelektualnej, przeciętniactwa. Nie jest tak, że jedna osoba siedzi we wszystkich produkcjach serialowych i decyduje o czyimś być albo nie być, w sensie artystycznym.

Mona przynosi Stelli komórkę z prośbą, by odebrała. Dzwoni Tristianio. Stella wzrusza ramionami i odkłada telefon, przyciszając dzwonek.

– Na czym stanęliśmy?

Telefon znowu wygrywa brawurową partię skrzypiec.

– Oryginalny sygnał... – zauważa Izabela.

Zniecierpliwiona Stella zerka, kto zacz, i... o dziwo, odbiera.

– Tak? No i co z tego, owszem... Ja? A dlaczego ja, przecież to ty dzwonicz! Rozumiem, tylko że... Tak, wiem. Co z tego? I jak podejrzewam, sam to sobie wykoncypowałam, w dodatku jako anonimowy informator podałam do prasy. Tak, tak, wiem. Tak robią. – Stella przewraca oczami, żeby okazać swoje znudzenie ospałą konwersacją. Niestety ktoś ją uparcie więzi przy telefonie prawie kwadrans, podczas którego ona robi cierpiętnicze miny, puka się w czoło i patrzy znacząco w niebo, jakby tam szukała pocieszenia. Wreszcie z niemałym trudem udaje jej się rzecz całą pomyślnie zakończyć. Ze szczerym uśmiechem ulgi mówi: „to cześć”, a po wyłączeniu komórki dodaje: „spadaj!”. A potem spogląda na Izabelę i wyjaśnia:

– Nie znoszę palantów, którzy pukają do kogoś, choć nie mają nic do powiedzenia. Dziwię się też, jak bardzo ludzie potrafią być głupi. Chociaż znają ledwie kilka słów po angielsku, piszą źle nawet „hello”, to odzywają się na fejsbukowym czacie. Nie mają kompletnie nic do powiedzenia i pytają

mnie: „co słytać”! Skoro ktoś dzwoni i już na wstępie prosi: „no, powiedz mi coś od siebie...”, czuję się jak Ściana Płaczu. Ktoś przychodzi, wciska we mnie swój żalony kwitłech i wyobraża sobie, że jestem tu wyłącznie po to, by on mógł doznać oczyszczenia. Ludzie czasem potrzebują innych, by móc usłyszeć własny głos. Ten nieśmiertelny amerykański bajer *Everything's gonna be all right*.

– Jesteś cierpliwa, mimo że to cię irytuje i męczy – komentuje z uśmiechem Izabela.

– Bo mimo wszystko kocham ten cały *human race*. Dobra, koniec z wtrącaniem angielskich słów i powiedzonek. Rozmawiałyśmy o moim pierwszym małżeństwie... Chcesz wiedzieć więcej?

– Tak, bardzo proszę.

– Czuję się trochę tak, jakbym udzielała wywiadu-rzeki! Zawsze konsekwentnie odmawiałam prasie czegoś podobnego, więc jeśli masz zamiar to opublikować bez autoryzacji, wiedz, że moi prawnicy z rozkoszą podadzą cię do sądu. Nie patrz tak na mnie, ja nie żartuję. Dziennikarze naruszyli moje dobra osobiste już wiele razy, może nie wszystkie procesy wygrałam, kilka jeszcze się toczy, ale nie pozwolę, by ktokolwiek robił z mojego osobistego życia arenę dla gladiatorów.

– Rozumiem, że mnie nie znasz, ale przesadzasz, naprawdę!

– Życie nauczyło mnie jednego i tego się trzymam. Nie ufam nikomu, absolutnie nikomu.

– To straszne, nie można tak. Przecież są wokół ludzie, którzy cię kochają.

– Deklarują, że kochają, to spora różnica.

– No wiesz, to... dla mnie dosyć szokujące wyznanie – ocenia Izabela. – Po cóż mieliby kłamać? Twój pierwszy mąż cię nie kochał?

– Widzisz, podchodzę do ludzi z ufnością i naprawdę chciałabym im ufać, ale nie okazuję tego – wyznaje Stella. – Cieszę mnie twoje słowa, bo

świadczą o tym, że ludzie cię nie zawodzą, wierzysz im i żadna zmora dotąd tego nie przekreśliła. Cóż... skoro o Robercie mowa, powiedziałam ci: wyjechaliśmy, bo nie bawiło go życie w kraju i marzył o kokosach w Ameryce. Widział w wyobraźni swoje El Dorado i do niego postanowił się udać. A ja? Cóż, ufałam mu, sądziłam, że skoro był ode mnie o dziesięć lat starszy, to z pewnością też mądrzejszy. W każdym razie nie ryzykowałby. Miał szereg kontaktów, znał jakichś rodaków, tyle że po przyjeździe okazało się, iż większość tych kontaktów była lipna. Nagle wszyscy znajomi poznikali i nikt nie miał ochoty nam niczego ułatwić, w niczym pomagać. Nikt. Adresy były lewe albo po prostu fałszywe, a Polacy nie są zbyt skorzy do pomocy, kiedy zwietrzą konkurencję. Polonia jest chytra i fałszywa, oni już nawet po polsku gadać nie potrafią, bo jak się odkuli, to zgrywają Amerykanów, a nawet jak potrafią, to nie są życzliwi. Rodaka to by w łyżce wody utopili! Dla nich stary kraj to jak Mazowsze przyjeżdża i z przytupem śpiewa o góralach, co im żal. Zapomnij o życzliwym polactwie w Ameryce. Prędeż ci nogi z dupy szczypczykami do jedzenia szyjek rakowych wydłubią, niżli w czymś pomogą! Żyliśmy więc z oszczędności, początkowo nie zrażając się trudnościami. Wciąż zmienialiśmy miejsce pobytu, bo wydawało się nam, że wszędzie lepiej, gdzie nas nie ma. Chicago zmieniliśmy na Seattle, a potem przenieśliśmy się do małych miasteczek, coraz mniejszych, gdzie czynsz za wynajem coraz gorszy był skromniejszy. Pieniądze topniały, Robert łapał co bądź, bo chciał ambitnie opłacać moje kursy angielskiego, i oczywiście o niczym mi nie mówił, żebym się nie martwiła. Dla niego Ameryka wciąż była krajem wielkich możliwości. Nierzadko to ja nas utrzymywałam, bo szybciej niż on znajdowałam jakieś dorywcze zajęcia. Z tych czasów nauczyłam się zasady, że najgorsza prawda jest lepsza od lukrowanych kłamstw, od przemilczeń, od ciszy, która zastępuje brak informacji i daje złudny spokój w rodzinie. Rynek pracy był wypełniony fachowcami, może nie lepszymi od mojego męża, ale za to tańszymi. Oni nie pozwalali sobie odbierać klienteli. Pobito go kilkakrotnie, wdał się w jakieś podejrzanе interesy i nic już nie wiedziałam poza tym, że jest fatalnie, ale o tym nie dało się z nim szczerze porozmawiać. Kłamał, że ma plany, zna jakichś przedsiębiorców, a ja widziałam, że jest

coraz gorzej. Dziwni ludzie o niego pytali, nie wracał do domu na noc, ukrywał się, szukała go policja... Wziął mnie dosłownie z rynsztoka i nie chciał, bym do niego wróciła, obiecywał, że się wszystko ułoży. Ale ja przecież nie byłam aż tak głupia i ślepa! Zaszłam w ciążę i kurczowo uchwyciłam się tej nadziei. Z drugiej strony bałam się mu powiedzieć o dziecku, bo widziałam jego nerwowość, rozbiegane oczy... Zaczął pić. Wszystko się waliło. Dziecko mogło nas pogrzyźć, nie chciałam, żeby i tym się martwił. Boże... ileż razy układałam mowę, w której go będę pocieszać! Pełną optymistycznych zapewnien, że dziecko to nasza szansa, nadzieja, że z nim zaczniemy nowy rozdział wspaniałego życia. Niestety nie zdążyłam mu tego powiedzieć. Któregoś dnia znalazłam go w obskurnej łazience na półpiętrze. Mieliśmy wspólną z sąsiadami toaletę i prysznic, w norze, którą wynajmowaliśmy. Powiesił się na rurze od prysznic...

– O Jezu... Myślałam, że się rozwiedliście!

– Wiesz, jak wygląda wisielec? Nie wiesz, no bo skąd? I całe szczęście. Był siny, z wybałuszonymi oczami i wywalonym nienaturalnie językiem. Pod nim kałuża moczu i cuchnącego, luźnego kału. Wisiał na oberwanym sitku... które musiałam potem naprawić za własne pieniądze, a nie miałam już męża hydraulika... Oczywiście straciłam dziecko, poroniłam, i postanowiłam już nigdy nie ryzykować pieprzonej ciąży. Żadnej i z nikim! Miałam dwadzieścia trzy lata i znów byłam sama, do tego cholerne długi, spłacałam jakieś ubezpieczenie i koszty pochówku. Musiałam się stamtąd wynieść, bo sąsiedzi nie dawali mi spokoju po tym wszystkim... Robert był człowiekiem, któremu ufałam. Nie pomyślał o mnie, kiedy postanowił odebrać sobie życie, był pijany, sekcja wykazała w jego krwi ponad trzy promile alkoholu. Nie miał odwagi zrobić tego na trzeźwo. Cud, że zdołał się powiesić taki spity!

– O Boże, to niesprawiedliwe! – buntuje się Iza. – Miałam nadzieję, że twoja wczesna młodość wyczerpała limit nieszczęść... To straszne! Czy nie myślałaś, by wrócić do Polski po tym wszystkim?

– Nie, nic mnie tam nie ciągnęło, równie dobrze mogłam być sama w Ameryce. Tu i tam byłam skazana wyłącznie na siebie, a to nie było

solidne oparcie. W tym czasie zaczęłam pisać... To znaczy... nie! Pisałam już jako dziewczynka, zapisywałam i pokrywałam obrazkami szesnastokartkowe zeszyty w kratkę jeszcze w domu moich rodziców. Lubiłam otworzyć czysty zeszyt i się zamyślić. Co w nim będzie? Kto się pojawi? Kot, może misiu albo bałwanek? Pisałam śmieszne dziecięce wierszyki, ale kiedy chciałam je poczytać moim rodzicom, nigdy nie mieli czasu. Podejrzewam, że nie mieli ochoty tego słuchać. Nawet nie próbowali mnie zrozumieć. Nie obchodziło ich moje pisanie i rysowanie. Twoja Matylda ma sześć lat, nie rób jej tego, proszę. Zawsze miej czas i ochotę, nie kalecz jej obojętnością! To straszne, kiedy dziecko widzi i zaczyna rozumieć, jak mało obchodzi swoich rodziców. Jak mało znajdują przyjemności w obcowaniu z nim.

– Ba! Nie musisz mi tego mówić, wiem, jak wiele czasu poświęciła mi mama, ile ze mną rysowała, malowała, lepiła z plasteliny. Nie była uzdolniona manualnie, ja też nie, ale... wiele razem natworzyliśmy i wiesz mi, to są wciąż najmiłsze wspomnienia... – Urywa. – Ale może ja ci teraz sprawiam przykrość?

– A skąd! To wspaniale, że miałaś cudowne dzieciństwo, cieszę się z tego z całego serca. To bardzo dla mnie ważne. Bardzo! A teraz, wybaczone, opuszczę cię na trochę... mam na dzisiaj dosyć wspomnień, wracam do pisania mojej powieści. Wszystko jest do waszej dyspozycji, może... może po obiedzie wybierzemy się razem do Sieny? Co ty na to? Całą rodziną? W końcu mam jakąś rodzinę, chociaż myślałam, że... nie...

– Chętnie. Pokażesz mi swoje ulubione miejsca?

– Oczywiście, chociaż jeden dzień może nam na to nie wystarczyć.

*

Siena. Zwiedzanie w końcu trzeba przerwać, bo aparat ciąży na ramieniu, nogi mimo wygodnego obuwia zaczynają pobołewać... Kawa pachnie na jednej z uliczek i obie kobiety zwabione jej aromatem siadają wygodnie w wiklinowych fotelach, na tarasie pełnym kwiatów, i zamawiają po małej czarnej.

– Wiesz... kiedy cię oprowadzałam po swoich ulubionych zaułkach, pomyślałam, że muszę ci coś wyznać. Ludzie mi zarzucają, że w moich książkach jest za wiele opisów. Twierdzą, że te fragmenty niczego nie wnoszą do treści, spowalniają akcję i zwyczajnie ich irytują. Są zupełnie bez sensu. Niepotrzebnie piszę o koniach, orchideach, wyrobie serów czy winnicach, bo to nikogo nie interesuje. Moje podróże, celtyckie obrzędy i wierzenia... Moja ulubiona muzyka... Ich to nie ciekawi. Wręcz męczą i pomijają takie strony z ostentacją! Niepotrzebnie według nich dzielę się z innymi swoją ewentualną wiedzą na dany temat czy choćby tylko amatorską pasją. Pomijam już żal z powodu braku zrozumienia. W opinii tych ludzi całe fragmenty dodaję na siłę, byle powieści były grubsze. Te fragmenty mogłyby w ogóle nie istnieć, bo są zwyczajnie nudne, i po co ja się tak chwale? Nie potrafią dostrzec, że poza opisami są tam istotne akapity dotyczące bohaterów oraz ich charakterystyki, czasem gubią dowcip albo go nie dostrzegają.

– Nie przejmuj się opiniami głupich, zawistnych ludzi. Zazdroszczą ci po prostu! – Izabela wzrusza ramionami i popija z lubością kawę z małej filiżanki. Do kawy podano też wodę w kieliszkach, by każdy łyk aromatycznego napoju oddzielać łykiem świeżej, źródlanej wody, nie zatracając smaku kawy, nie pozwalając mu fermentować na języku.

– Zawiść... to forma uwielbienia. – Stella się zamyśla, patrząc w dal, jakby mówiła do kogoś innego. – Żywią ją ludzie ułomni, którzy nie potrafią w inny sposób wyrazić podziwu. Wyznaj mi, kto ci zazdrości, a będę wiedzieć, ile osiągnęłaś. Tak...

– Ci zawistnicy zwyczajnie nie mają pojęcia, ile w życiu przeszłaś.

– Wierz mi, niektórzy zazdroszczą nawet nieszczęść. Zastanawia mnie wielkość i małość człowieka. Drażę ten temat w swoich powieściach, nie daję mi spokoju ta sprzeczność natury, ten dualizm. Odwieczny doktor Jekyll i mister Hyde. Byłam w Kosowie... pojechałam tam w dziewięćdziesiątym siódmym, żeby przyrzeć się z bliska działaniom wojennym.

Izabela reaguje spontanicznie.

– Ja nie mam pojęcia, o co im wtedy poszło! Ta jakaś wojna...

– Tereny Kosowa zamieszkuje ludność różnorodna pod względem etnicznym, historycznym, wyznaniowym: przede wszystkim Albańczycy, Serbowie, ale również Romowie, Chorwaci, Bośniacy. Prawosławni i muzułmanie. Po rozpadzie sowieckiego bloku państw, po demontażu Jugosławii...

– Ach, daruj sobie, jak będę to chciała wiedzieć, to znajdę w wyszukiwarce.

– Podejrzewam, że dojście do prawdy jest trudne, bo zadziało naraz wiele sił. Chciałam z bliska zobaczyć wojnę, by potem ją opisać. Uparłam się. Te zbrodnie na ludności cywilnej... Wówczas nie schodziły z pierwszych stron gazet. Ludzie mieli na ten temat jeden punkt widzenia... Nie, chyba tak nie można powiedzieć. Jedno zdanie? Opinię? To też mi nie brzmi... Nieważne! Byłam tam przez tydzień, z ochroną i paszportem dyplomatycznym. Zabawiłam się trochę w korespondentkę wojenną. Dzisiaj mi po prostu wstyd. Pojechałam z grupą mediatorów. Po dwóch dniach chciałam wracać. Właściwie już po dwóch godzinach miałam dosyć! A jednocześnie coś mnie tam dalej trzymało, nie pozwalało zamknąć oczu, odwrócić głowy. Człowiek jest... bywa... taki niebotycznie szlachetny, zdolny, tworzy wspaniałe rzeczy. Urzekającą muzykę, obrazy, wrażenia... jest wizjonerem. I ten sam gatunek, podły ludzki gatunek jest zdolny do okrucieństwa, które wykracza poza moją wyobraźnię! Człowiek bywa demonem. Kosowo... Straszne, co tam wyprawiano z kobietami. Do jakich zwyrodnień na tle rasowym, etnicznym... ilu ludzi wypędzono z własnych domów... Jak daleko sięga przemoc, którą dyktuje garstka wojskowych? Same naloty NATO spowodowały zniszczenia liczone w miliardach. Mosty, kościoły, zabytki! Nie potrafiłam tego wszystkiego opisać. Głodu, strachu, ruin, trupów... Nie umiałam być bezwzględnie szczera, bo łąpałam się za serce, ilekroć chciałam wiernie opisać te obrazy, które miałam przed oczami, w soczewkach lornetki, które widziałam przez okno helikoptera. Nie mam talentu, swady, nie potrafię być bezkompromisowa jak Oriana Fallaci. Człowiek w takim miejscu jest nie tylko świadkiem. Czuje się winny swego

człowieczeństwa, swoich wspólnych z oprawcami korzeni. Cierpi niemal na równi z ofiarami. I wydaje się taki bezsilny. Czuję do samej siebie wstręt na myśl, że w ogóle coś podobnego przyszło mi do głowy: żeby przyjechać z bezpiecznego domu, z luksusu, do tych ludzi tam... Nie umiem pisać o wynaturzeniach, tych realnych, prawdziwych. O bólu, jaki rodzi się na krawędzi śmierci. O tym strasznym pragnieniu życia, nawet w poniżeniu, brudzie, ułomności, strachu. Rok później wydano mój zbiór opowiadań. Znalazło się w nim i to będące cieniem impresji z podróży na Bałkany objęte ogniem wojny. Wojny bezrozumnej, wieloprzyczynowej i zarazem takiej, której nie można niczym wytłumaczyć. Paradoksalnej jak każda wojna! Opowiadanie nosi tytuł *Diabeł zstąpił do Kosowa*. Wszyscy, którzy je czytali, uważali, że to świetny, hardcorowy horror. A ja opisałam w nim prawdę... Człowiek nie musi bać się piekła, bo sam je tutaj tworzy.

Cisza zalega na dość długo. Nie odczuwają potrzeby, żeby ją przerwać, ale czas nieubłaganie goni do przodu, nasuwa myśli o konieczności powrotu. O drodze, którą muszą pokonać, nim się zupełnie ściemni. Nic już z tego wieczoru się nie powtórzy... Chłód z wolna nachodzi i łapie je za ramiona.

– Dopij swoją kawę, choć może nie, bo na pewno wystygła... – mówi Stella, sięgając po sweter.

– Nie pojmuję! Potrafisz pić kawę po tym, co mi powiedziałaś? – dziwi się Iza.

– Tak. Co więcej, martwię się o to, że nie pokazałam ci całej Sieny. Ale musimy wracać.

– Zatrzymaj się jeszcze przez moment, daj tę chwilę ciszy ludziom, którzy zginęli w Kosowie.

– A po co im cisza? Nie! Raczej kilka minut muzyki kogoś absolutnie fenomenalnego! – zauważa Stella.

– Pięknego! – zgaduje jej córka.

– Niekoniecznie. Kiedy potwory rozpętują wojny w imię swoich... dewiacji, inni krzeszą iskry ze swoich talentów. Otaczają hojnie

doskonałością.

– Myślę teraz o kimś konkretnym. O wybitnym talencie połączonym z miłą dla oka... wizualizacją – upiera się Izabela.

– Czyli zadowolasz wszystkie zmysły naraz?

– Wszystkie...? – Śmieje się. – Nie. To byłaby przesada! Przyznaj się jednak, że wolisz, jak ten wybrany artysta ma... przynajmniej piękne oczy! – zagaduje niestrudzenie Iza.

– Każdy z nich ma piękne oczy. – Stella nie daje się wciągnąć w tę grę.

– E, banalizujesz! To jakaś bzdura – ocenia krótko Iza.

– Itzhak Perlman ciężko chorował w dzieciństwie – odpowiada Stella. – Utracił zdolność poruszania się jak przeciętny człowiek. Byłam na kilku jego koncertach. To wspaniały pedagog, fantastyczny artysta i przeuroczy człowiek. Pełen wewnętrznej siły i światła. Widziałam, z jakim trudem, powoli, mozolnie idzie na scenę, wspierając się na kulach. Człowiek wrywa się ze swoją głupią litością. Chciałby mu pomóc, jakoś przyspieszyć ten proces wstępowania na schody w sali koncertowej, nieprzystosowane dla ludzi niepełnosprawnych. Bo nikt nie przewidział na tej sali Perlmana. Nikt go sobie wcześniej nie wyśnił. Patrzę ze współczuciem, jak prawa noga artysty zatacza wciąż ten sam półokrąg przy stawianiu każdego kolejnego kroku. Czekam jak inni, cierpliwie, aż on w końcu wejdzie. Bez swego instrumentu, ma przecież pod pachami kule, ma za mało rąk, by wziąć ze sobą skrzypce i smyczek. Wstępuje na scenę, staje na czele orkiestry, obok podestu dyrygenta. A potem siada i wszyscy oddychają z ulgą. Bo w końcu... jest na swoim miejscu. Odstawia kule po obu bokach, tak by wygodnie mógł je ująć, kiedy skończy występ i będzie się kłaniał, dziękując publiczności za aplauz. Za euforię! Wyciąga z kieszeni batutę, mówi, że to nie jest smyczek, ale za moment wejdzie tu jego przyjaciel, który poprowadzi orkiestrę i ma wszystkie kończyny sprawne. On mu przyniesie smyczek oraz instrument. Tak się dzieje. Dyrygent otrzymuje batutę, a wręcza w zamian skrzypce i smyczek. Perlman opiera swojego stradivariusza na ramieniu, bierze

smyczek, bo jego dłonie są sprawne i zupełnie nienaruszone przez chorobę. Miał to niewiarygodne szczęście, że kaprys losu ominął jego ręce, pozwolił im na tkliwość. Na biegłość i perfekcję. Idealną wrażliwość. Zapada cisza. Orkiestra zaczyna grać. Wreszcie następuje ten urzekający moment w czasoprzestrzeni. Perlman zaczyna występ. Przenosi słuchaczy w swój wyjątkowy świat. Czaruje i zaklina. Pochłania ludzkie umysły. Pieści łagodnie i spontanicznie. Pozwala zapomnieć o całym niegodnym i bluźnierczym bycie. O szpetocie i śmierci. Jest ponad to wszystko. Dzięki swej muzycznej wyobraźni, talentowi, charyzmie...

– Chcesz mi wmówić, że szukasz wokół takich aniołów talentu, by znaleźć w nich przeciwwagę do bestialstwa? – atakuje pytaniem Izabela, zdumiona tym, co właśnie usłyszała.

– Ja nie muszę szukać. Anioły są. I już! Wielkość człowieka to owa sprzeczność pomiędzy złem i dobrem. To świadomość wyboru. I wolności wyboru. Zawsze możemy przecież opowiedzieć się po którejś ze stron. Dobrowolnie.

Wiedzą obie, że już pora wracać do samochodu, że będą się po drodze zmieniać za kierownicą, żeby jak najszybciej przejechać te sto kilometrów, bezpiecznie, bocznymi drogami.

*

„Tak naprawdę nie jestem Fame, tylko Salibe. Mogę być dla ciebie Salibe, zresztą i tak nic o mnie nie wiesz. Pojęcia nie masz, że w ogóle istnieję! Czeka cię duża niespodzianka, niekoniecznie przyjemna. Jedną już miałaś... Pamiętasz Gię? Pomyśl, że obserwuję cię dzień po dniu...”

*

– Nikogo nie poznałaś po śmierci męża? – Stella i Iza kontynuują wspólne rozmowy. Matka dzieli się przeżyciami z niedawno poznaną córką.

– A wiesz, byli różni, bo nie chciałam być sama. Franek, taki cwaniak z Polski – wspomina z uśmiechem pisarka, jakby sięganie pamięcią do odległych czasów przynosiło jej ulgę – nie był najgorszy, tylko strasznie

dużo kopcił. Nawet w łóżku! Dostał namiar na robotę. Kursował ogromniastą ciężarówką, z kominem i spaniem nad szoferką, w kabinie. Woził trefny towar, jakieś papierochy, tytoń, sprowadzane nielegalnie z Kuby cygara. Wpadł, bo nie chciał komuś podzyrować czy na coś przymknąć oka... Groziło mu dziesięć lat odsiadki. Powiesił się na żyrandolu... Daj spokój, byłam już przyzwyczajona do widoku wisielców. Skończył ze sobą w pokoju tego, który mu nagrał tę robotę. A ja zamiast kondolencji usłyszałam pogróżki, że jak nie odrobię kasy „wiadomymi usługami”, to też na ten żyrandol trafię albo jeszcze gorzej. „Pracując” u klienta, tak, tak... w jego willi w Parano poznałam Boyle’ów, którzy znali Worda. A Word był jedną z szarych eminencji Eda. A Ed grał w golfa z Charlesem. I tak, poprzez Boyle, Worda i Eda, doszliśmy do Charlesa. Ktoś mi kazał wyskoczyć z tortu na jego kolejnych od lat „55” urodzinach, tylko w kremie i wisienkach. Zrobiłam to. A co! Charles po... wylizaniu kremu i wyrzuceniu wisienek... – Stella macha ręką, drugą sięgając po drinka. – Zadowolona jesteś? Twojej... tej, co cię urodziła, udało się! Ale nie tak szybko, jak to sobie wyobrażałaś!

Izabela słucha uważnie, zamyśla się, mruży oczy, jakby szukała punktu zaczepienia, żeby zacząć całkiem nowy wątek w ich rozmowie.

– Sprawdzalam same tytuły. *Dyskretny urok kobiecości. Bosa jak przy urodzeniu. Kobieta w lustrzanym odbiciu*. Jakie są te twoje książki?

– Są takie, na jakie wyglądają. Co ci będę mówiła. Czytałaś jakąś?

– Jedną, jeszcze w Polsce. *Czarna satyna*.

– Hmm... nie napisałam czegoś takiego. Jesteś pewna, że...

Izabela śmieje się serdecznie.

– Tłumacz nadał taki tytuł. Nie domyślasz się której?

– Jakieś perwersyjne romansidło.

– Nie piszesz takich?

– Piszę. Ale jest ich tak wiele, że... wybacz! Nie pamiętasz oryginalnego tytułu?

– Niestety, tylko ta pożał się Boże satyna.

Stella rozpiera się w wygodnym leżaku, unosi wyżej nogi i kładzie stopy na rzuconym niedbale szalu. Bierze miskę oliwek i ułożywszy ją na podolku, co rusz sięga po kolejny owoc i wkłada go sobie do ust.

– Mój wyjątkowy przyjaciel i cichy adorator Bruno powiedział kiedyś, że piszę o kobietach, które mają siłę i odwagę, żeby się odsłonić. Nawet jak popełniają głupstwa, czynią to z wdziękiem prawdziwych samiczek.

– No ja nie wiem, czy to jest komplement – wyraża wątpliwość Izabela.

– Przeważnie nie żałują swoich grzechów, a popełniają je masowo... – kontynuuje Stella – i oczywiście głównie dla facetów, którzy im do pięt nie dorastają. A tak poważnie, to on wyniósł z moich powieści wniosek, że...

– Czytał je wszystkie?

– Nie wiem, czy wszystkie. Sporo. Także tych ambitniejszych. Otóż on uważa, że kobiecość to cecha charakteru. Tak. Istnieje wiele kobiet, które zachowują się jak mężczyźni.

– Mają w sobie więcej testosteronu?

– Niekoniecznie. To typy androgeniczne. Nie chodzi o problem z identyfikacją płci, tylko o kwestię zachowań kulturowych, które są bardziej zbliżone do typowo męskich. Czyli są dominujące, żyją w poczuciu autonomii i nie ulegają tak szybko presji społecznej. Z kolei mężczyźni robią się coraz bardziej wrażliwi, czuli i potrzebują tkiwości z zewnątrz.

– Czy kobiecość to głupota? – rzuca pytanie Izabela.

– Lekkomysłność, zmienność nastrojów, balansowanie na granicy cnoty i występku... – głośno rozważa Stella – także duża umiejętność w tłumaczeniu się z tego wszystkiego. I zdolność do konfabulacji, biegłość w kłamstwie. Bo przecież zawsze trzeba kogoś chronić... Wiesz, że mężczyźni to gatunek zanikający w przyrodzie? Tak, *Seksmisja* coraz bliżej. Sami się wyniszczają, poza tym dawno już dali impuls kobietom, by rozwijały się w kierunku coraz to większej samodzielności

i samowystarczalności. No i ten ich chromosom Y jest coraz mniejszy w genotypie.

– Co to oznacza?

– Że za jakieś dziesięć milionów lat mężczyźni przestaną istnieć. Nie ma już odwrotu. Nie jesteśmy domatorkami siedzącymi przy ognisku, z kilkorgiem dzieci przy cycku. Nie czekamy biernie, aż pan i władca wróci z jakąś padliną z polowania i zechce, po zaspokojeniu głodu, zaspokoić instynkt popędu seksualnego ze zgadzającą się na wszystko samicą, która na ten kwadrans odpędzi od siebie gromadkę dzieciaków.

– Wszystko to dostrzega Bruno w twoich powieściach? – Izabela podkpiwa, ale z wyrozumiałością.

– Nie – odpowiada Stella. – On uważa, że moje książki pokazują jeszcze kobietę przed transformacją, może nie tę z jaskiń, ale powiedzmy z przełomu XIX i XX wieku. Nim feministki zaczęły wszystko zmieniać. Trzeba jednak rozróżnić pierwszą falę feminizmu od drugiej, tej w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia. Czym innym bowiem jest wyzwolenie kobiety z roli bezmyślnego, posłusznego, luksusowego mebla, przyznanie jej prawa do głosowania i edukacji, a czym innym jest zmuszanie do przejmowania ról społecznych dotychczas przypisywanych mężczyźni i dekonstrukcja tożsamości płciowej. Dzisiaj mieszają się pojęcia i role społeczne. Mężczyźni wydają się coraz bardziej zagubieni i najwyraźniej pojawił się kryzys w normalnych relacjach pomiędzy płciami. W najprostszym ujęciu sprowadza się to do kwestii, kto ma zapłacić za kawę w restauracji. I na tym poziomie bywa jeszcze do zniesienia. Popatrz, jakie chmury gromadzą się na zachodzie, chyba będzie deszcz... Chodźmy pod dach, bo zaraz zmokniemy!

Zbierają szybko swoje rzeczy i drobnymi kroczkami wbiegają na patio, gdzie wśród oplecionych dzikim winem kolumn czekają wygodne fotele.

– Dlaczego wybrałaś Toskanię i tu postawiłaś swój dom, a nie wróciłaś do Polski?

– Po pierwsze tam jest zimne morze. Po drugie zapomniałam o Polsce,

znam włoski, angielski, francuski, polski zapominam...

– Uważam, że świetnie sobie radzisz jak na tak długą przerwę.

– Bo nie jestem jak modelki, które żyły kilkanaście lat w kraju, a potem wyjechały do pracy i od razu zapomniały, jak się mówi po polsku. Ich akcent przypomina romb rubinu, ostry, kanciasty, twardy... Weźmy przykład Polańskiego, tyle lat za granicą, a jego mowa jest nieskazitelna. Jeśli ma okazję, wygłasza piękne, naturalne zdania. Czasem sami się karykaturujemy. Przybieramy jakieś dziwne formy, bo chcemy być trendy.

– Jak długo tworzyłaś tę swoją przystań?

– Już za życia Hennessy’ego. On kupił ziemię i ten wielki stary dom, kiedyś były tu jeszcze inne zabudowania, potwornie zrujnowane po pożarze stajnie i budynki folwarczne. Na ich fundamentach powstały nowe, ale według dawnych planów, z odtworzeniem poprzednich elewacji zewnętrznych. Udało mi się zachować pierwotny układ sadu, dokupiłam gaj oliwny i z pomocą fachowców od krajobrazu założyłam mój zielnik na wzgórzach.

– A winnice?

– Nie są moje. Ja tylko współfinansuję ich eksploatację, mam prawo do wstępu na teren, ale wierz mi, piekielnie trudno wyprodukować dobre wino. Podobnie jak ser. Tworzenie tych dzieł oddałam w ręce specjalistów. Co oczywiście nie pozbawia mnie splendoru, ilekroć smakuję sera o moim imieniu... Tenże ser nie śmierdzi i ma wyszukany, orzechowy smak. Nie jest, jak dla mnie, intensywnie maślany, pikantny i wystarczająco pełny... Wolę te zalatujące gnijącymi skarpetkami i ostre!

– Fakt, jadłam już tutejszy przysmak. Walił okropnie! Gdybym go miała oceniać po zapachu... Na szczęście smak rekompensował ten odór – opisuje swoje doznania Izabela.

Istotnie zaczyna padać deszcz. Zrazu delikatny werbelek zapowiada, co się święci, potem zrywa się gwałtowny wiatr i kołysze drzewami, by po kilku minutach przejść w szczerą ulewę. Siedzą obie na patio i wdychają z lubością

zapach mokrej ziemi, która oddycha i paruje po ciepłym dniu.

– Skandynawowie wystawiają na słońce mięso reniferów. Psuje się zwyczajnie, kilka tygodni, obsiadają je muchy, cuchnie potwornie, ale o dziwo daje się zjeść, jeśli wyłączyć zmysł powonienia. W dodatku smakiem może śmiało konkurować z najzacieńszym parmezanem!

– Nikt po nim nie umarł?

– Nie. Suszenie mięsa na słońcu to bardzo stara metoda. Gdyby była zabójcza, ludzkość dawno by wy...w...wyginęła. O! widzisz! Brakowało mi tego słowa, przez moment miałam zaćmienie. Oto przykład, że język polski powoli opuszcza moją pamięć. Na razie to sporadyczne, ale...

– Nie martw się, masz mnie! – oferuje swe usługi Iza.

Stella spogląda na młodą kobietę jakoś dziwnie, podejrzliwie, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie łączącą je relację.

– Nie czujesz do mnie żalu?

– Staram się to zrozumieć... – odpowiada szczerze Izabela. – Nie próbowałam potem skontaktować się z rodzicami?

– Nie.

– Wciąż masz do nich żal?

– Umarli dla mnie przed wielu laty.

– Nie chcesz im dać jeszcze jednej szansy?

– Nadal przynosiłabym im wstyd. To byli bogobojni katolicy, chociaż ojciec należał do partii i by zostać chrzestnym, musiał pojechać na chrzciny poza Poznań, z obawy, by nikt na niego nie doniósł. Cała uroczystość odbyła się w Pipidówku Dolnym. Moja ciąża ich przerosła! Woleli mnie wypędzić z domu, doprowadzić do tego, że uciekłam... – poprawia się szybko – niż przyznać, że źle wychowali córkę. Dla nich byłam dziwką, która się puściła, nie istniało inne wytłumaczenie. Tylko ich osąd i problem, co ludzie powiedzą! Nie wnikali, czy miałam dostateczną ilość miłości w domu, gdzie

mijaliśmy się obojętnie jak statki w porcie. Przespała się z byle kim, to im wystarczyło. Co innego ty... Jesteś jak tatuaż, odcięto mi pępownię, ale... ślad pozostał. Nie tylko fizyczny. Nigdy się go nie wyprę. Każda matka, wydając na świat dziecko, nabiera świadomości, że jest po tym doświadczeniu inna.

*

Stella uwielbia jeździć po okolicy na rowerze. W szpilkach i sukience. Nie przejmuje się spojrzeniami, które rzucają tak ubranej cyklistce przechodnie.

Dzisiaj jest ciepło, słonecznie. Założyła cieliste sandały na obcasie i białą, zwiewną sukienkę w groszki. Włosy spięła w koński ogon i jedzie przez wieś, uważając na wszelkie wystające z ziemi korzenie i kamienie o ostrych krawędziach. Wie, że jej spektakularny upadek rozbawiłby niejednego. Ludzie przez tydzień mieliby o czym plotkować w tawernie, śmiejąc się do rozpuku. No i dba o kolana. Kolana to widoczna metryka każdej kobiety! Mija znajomych, kłania się starszym, odpowiada na powitania młodszych i nie zwraca uwagi na bezczelne gwizdy i zaczepki. Przynajmniej się stara... Bo czasem cmoknięcie oraz rzucone w ślad za nią *bella* sprawia Stelli przyjemność i nie potrafi ukryć uśmiechu.

Na skraju wioski wybiega ujadający wściekle pies, potem żona niejakiego Antonia, na końcu on sam. W kapeluszu, po którym chyba właśnie przejechał traktor albo co najmniej kosiarka! Pies szczeka, para wrzeszczy. Stella się zatrzymuje, schodzi z siodełka i stojąc z rowerem między nogami, z nieco podciągniętą nad kolana sukienką, stara się dowiedzieć, o co chodzi. Przybiega ktoś jeszcze i jazgot robi się nieopisany. Carmela, córka krzyczącej pary, wyjaśnia sytuację:

– Proszę pani! Marco się spił jak świnia, a Margarita rodzi!!!

Mija chwila, nim Stella zrozumie w czym rzecz. Margarita, siostra Carmeli. W ciąży. Z czwartym dzieckiem. W domu trójka drobiazgu, bo dziewczyna rodzi co roku. Marco, jej mąż, to bezrobotny bawidamek zaglądający często do kieliszka. Niektórzy przypisują mu znacznie więcej

potomków w okolicy.

– To na co czekacie? Wołajcie lekarza!

– Marco leży jak snop...

Co za przesadny patriarchyzm! Stella opiera rower o płot, sięga do plecaka.

– Jaki tam numer, do przychodni?

– Wody odeszły, nim lekarz się przytarabani, będzie po wszystkim... a akuszerka odbiera inny poród w Dolmino! To kawał drogi stąd!

– To zadzwonię po kogoś, żeby jeepem przyjechał i zabrał...

– Ani chybi nie zdąży!!! Toć główkę już widać!!!! – wrzeszczy od progu domu jakaś babina, załamując ręce.

*

Tristan, zaniepokojony tym, że Stella nie odbiera telefonu, postanawia wykorzystać pierwszy wolny termin, by przyjechać i sprawdzić na miejscu, co jest powodem jej milczenia. Trafia na dobre połączenie z Mediolanu, gdzie akurat przebywał u rodziców; jeszcze przed dotarciem do Sieny udaje mu się zamówić samochód, którym następie rusza do Monte Fiore. Zadowolony, że wszystko mu tak świetnie przypasowało, wjeżdża do posiadłości z fasonem, korzystając z podjazdu przed domem dla gości. Na spotkanie wybiega mu Mona.

– Serdecznie witamy! – Dziewczyna jest tak przejęta, jakby to właśnie do niej przybył. W ostatniej chwili hamuje i powstrzymuje się, by nie zarzucić mu rąk na szyję.

Tristan odpędza dręczącą go myśl, że wszyscy w Monte Fiore cieszą się na jego widok – poza tą jedną osobą, na której szczególnie mu zależy! Stella nie ma o jego wizycie pojęcia. Może na tym polega urok tej kobiety, że nigdy nie może być niczego pewien. Na próg wychodzi nieznajoma, która przypomina mu Stell, jej włosy i uśmiech... lecz jest wysoka, postawna i ma szersze ramiona. O nic nie pyta, choć czuje na sobie jej paraliżujący,

natarczywy wzrok. Mona wydaje się niczego nie zauważać. A on nie ma ochoty o tę obcą kobietę zagadywać. Dziwnie go od niej odrzuca, mimo iż na pierwszy rzut oka wydaje się podobna do Stelli. Uznaje, że to złudzenie i postanawia nieznaną ignorować.

– Gdzie gospodyni? – Rozgląda się wokół z nadzieją, że lada moment dostrzeże biegnącą ku niemu koronkową postać z otwartymi ramionami i rozwianym włosiem. Niestety!

– Pani Stella pojechała do wsi...

– Rozumiem. Kiedy wróci?

– Nie wiemy...

Krzywi się, choć planował zachować pozory obojętności. Jednak przy tej obcej, a niby skądś znanej kobiecie nie udaje mu się to, co świetnie odgrywał wobec innych. Wystarczy sama aura jej obecności, by skrępować jego naturalną skłonność do konfabulacji i obracania wszystkiego w żart. Jest o to wściekły na samego siebie. Nie potrafi znaleźć odpowiedniej riposty, więc dziewczyna zaczyna tłumaczyć:

– Margarita rodzi...

– Aha. – Tristan kiwa głową. – To ulubiona suka?

– Nie!

– Krowa? Klacz?

– Nie, to córka Antonia – spieszy z wyjaśnieniem Mona, czując, co się kłębi w głowie Tristana, choć jego twarz wydaje się stężoną od nadmiaru spokoju maską.

– I co z tego?

– Nie ma w pobliżu akuszerki, to znaczy jest, ale we wsi, odległej...

– No dobrze, ale co ma do tego Stella? Ten jakiś Antonio jest miejscowym notabłem? Zaleca się do niej?

– Nie... – Mona się śmieje. – To hodowca świń.

Młody mężczyzna spogląda w niebo, szukając pokładów cierpliwości.

– Margarita jest jego maciorą championką? Jakąś wysoko ubezpieczoną medalistką rozplodową?

Mona spogląda na stojący obok samochód.

– A może pan pojechałby po akuszerkę? – rzuca pomysł. – Pani Stella byłaby zobowiązana! Bo Margo ma jakieś problemy przy rozwiązaniu. Główka jest zbyt duża i... Bettina!!! – Mona krzyczy na otyłą, opaloną nastolatkę, która podpira murek i raz po raz ze znudzoną miną rzuca kotu kłębek wełny. Usłyszawszy swe imię, podchodzi z ociąganiem, żując gumę.

– Leć po Carla.

– O jeny... nie chce mi się... – jęczy dziewczyna, robiąc zboląłą minę.

– On wie, gdzie jest teraz akuszerka.

– A na co ona komu teraz?

– Leć, nie marudź. No, już cię nie ma!

Nastolatka chichocze.

– Ktoś na gwałt szuka akuszerki? – Zerka na Tristana palącego papierosa.

– On? No! Chyba że tak.

Niezapowiedziany gość stoi w pobliżu, ale nic nie słyszy, zajęty galopadą własnych myśli, powstrzymywaniem narastającej irytacji i próbą zrozumienia, co tu się właściwie dzieje. Nadal nie wie nic konkretnego. Mona to wyczuwa i podchodzi do niego, by wyjaśnić kojącym głosem:

– Pani Stella wyłączyła komórkę, bo pewnie odbiera poród. Carlo popilotuje pana do wsi, gdzie powinniście zastać akuszerkę. Jestem pewna ogromnej wdzięczności pani Stelli, jeśli zdąży pan na czas z pomocą dla tej biednej dziewczyny. To się... hmmm... panu opłaci. Proszę tam pojechać jak najszybciej, pani była spanikowana, nim się rozłączyła...

Bettina wiedzie za sobą młodzieńca w słomkowym kapeluszu, podartym podkoszulku i roboczych spodniach do kolan. Jego niedbały ubiór uzupełniają sandały na brudnych stopach. Tristanowi papieros wypada z ust.

– O, jesteś, Carlito! Poprowadzisz pana, usiądź obok – żąda stanowczo Mona, nie dociekając, czy kierowca ma ochotę na takie towarzystwo. Chłopak pakuje się do auta i rzuca uśmiech ubranemu w białe spodnie i błękitną koszulę elegantowi. Osobliwa para zamyka drzwi wozu i odjeżdża. Samochód kołysze się na nierównościach terenu, choć kierowca, znając tutejsze wyboje, jedzie na drugim biegu.

*

– Nagotowałam wody, psze pani... – Carmela zakasuje rękawy i wlewa do miski wrzątek z dużego gara.

Stella ociera pot z czoła rodzącej dziewczyny.

– Odpocznij chwilę... niewiele brakuje. Jesteś bardzo dzielna!

Stare kobiety tłoczą się w dusznej izbie jak stadko kur, gdacząc miarowo swoje modlitwy, jakby to było czuwanie przy zmarłym, a nie poród. Za drzwiami inne sąsiadki jazgoczą zajadle. Na zewnątrz gromadzą się mężczyźni, szykując zawczasu trunki do wypicia pępkowego, ale żona Antonia przegania ich do stajni i ogrodu na tyłach domu, obawiając się, że coś zapeszą swoim gadaniem i kurzeniem fajek.

*

Tristan przeżywa męki z niedomytym, spoconym towarzyszem podróży. Wyłączył klimatyzację i pootwierał wszystkie okna, w nadziei, że uda mu się wywiać wszędobylski zapach dojrzałego sera, ale nie może bez końca ignorować jego ożywionej, wręcz zajadłej elokwencji. W końcu zaczyna podejrzewać, że to, co czuje, to nie zapach nóg delikwenta, jak początkowo podejrzewał, lecz nieświeży oddech z jego ust. A ponieważ most mijany po drodze okazuje się obiektem w remoncie, musi skorzystać z objazdu, by dotrzeć do celu swej niefortunnej podróży, i trudno mu opanować złość. Tłumaczy sobie, że przecież byle co nie wyprowadza go z równowagi, a na

końcu tej odysei czeka cudowna, upragniona kobieta, która mu zrekompensuje wszystkie te zawirowania, jednak jest u kresu wytrzymałości. Odpowiada uprzejmie, choć półgębkiem, na przydługie, rehotliwe monologi i stara się wytrwać, z cierpkim uśmiechem na twarzy. Ot, pokutuje za wrodzony takt i genetyczne obciążenie dobrym wychowaniem, którego nie zmieniła postawa buntownika w świecie muzyki klasycznej, manifestowana ostatnimi czasy.

*

– Przyj, Margo! Jeszcze trochę. Mocno!

Teraz to Stella ma pot na skroniach, jej mokre włosy wiją się na karku, a dłonie zaciskają z całych sił. Czuje wewnętrzne napięcie, jakby sama rodziła.

– Dawaj, Margo! No!

Dziecko wygląda jak ryba, oblepiona śluzem i nitkami krwi. Biała maź skleja mu zapuchnięte powieki i wypełnia usta. Omal nie wyslizguje się Stelli z rąk. Noworodek ma zaciśnięte piąstki i wydaje się martwy. Kobiety zbiegają się wokół, wykrzykując niezrozumiałe słowa, brzmiące jak zaklęcia starych wiedźm. Nie ma pojęcia, czego od niej żądają. Spogląda bezradnie. Wtem jedna z bab chwyta dzieciaka za stópki i kieruje jak ustrzelonego zająca główką w dół, jednocześnie uderzając rąbkiem fartucha w małe pośladki. Rozlega się skrzek jak krakanie kruka w polu, a potem nagle, ile sił w płucach, dziecko zanosi się płaczem. Wszyscy czują ulgę. Pierwsze, czego małeństwo zaznało na świecie, to klaps. Za jego sprawą zaczyna poznawać ciężar życia. Stelli robi się słabo, osuwa się na podłogę i opiera plecami o drewnianą, staroświecką ramę łóżka, na którym spoczywa zmęczona i milcząca położnica. Któraś z kobiet podaje samozwańczej akuszerce kubek z wódką i kiedy po wzięciu solidnego łyka krztusi się, zaskoczona, wybucha zgodny śmiech.

*

Męczarnie Tristana, który zajeżdża na podwórze wyłożone płaskimi, omszałymi kamieniami, kończą się wreszcie. Natychmiast podbiegają do auta jacyś ludzie, rozwierają wszystkie drzwi. Dobity gadaniną akuszerki – krzepkiej, rumianej kobiety z palcami tak czerwonymi, jakby je wciąż trzymała we wrzątku – wysiada i oddycha parnym powietrzem późnego popołudnia. Kobieta, którą przywiózł, zdawała się nigdy nie milknąć i nie tracić tchu. Klepała całą drogę jak osobliwe *perpetuum mobile*, zdolne napędzać gadaniną świat! Na przemian dialogowała z Carlem, zaczepiała Tristana i odmawiała różaniec przeplatany zaklęciami. Zauważył, że nie lubiła Carla, bo już na wstępie obiała go solidnie po gębie, przy czym poszkodowany ani myślał protestować.

Młody muzyk rozgląda się, podejrzewając, że i tu nie zastanie osoby, dla której znosił to wszystko. Jednak dostrzega ją w tłumie, który niemal niesie Stellę na rękach. Płynie z rozgadaną falą ku niemu, tuląc do piersi jakieś zawiniątko.

- Tristianio? Co tu robisz?
- Przywiozłem akuszerkę.
- Ale... skąd się tu wziąłeś?
- Tak mnie witasz?

Jest jakaś rozgorączkowana, włosy kleją się jej do czoła, mimo zmęczenia wygląda promiennie, zwycięsko i młodo. Radośnie. Chce ją przytulić i zacałować na śmierć za te wszystkie okropności, i wówczas zauważa, że Stella trzyma w ramionach niemowlę...

- O... spóźniłem się...
- To jest Michael Angelo! Tylko spójrz, co za dorodny chłopak!

Krzywi się lekko. Jest zarazem zakłopotany i rozbudzony jej promiennością, upragnioną bliskością. Pożąda jej i nie wie, co powiedzieć, tak jest odległy swymi emocjami od tego, co tu się rozgrywa.

- Wybacz, nie znam się na... oseskach.
- Proszę cię, nie mów głupstw.
- Dlaczego nie odzywałaś się do mnie tyle czasu ?!
- To... długa historia.
- Więc mi ją opowiedz!
- Teraz?
- Tak. Chcę ją usłyszeć. Masz kogoś innego, do diabła?!!

Z domu wylegają tłumy jak z rozkopanego mrowiska. Aż dziw, że tyle ludzi zdołał pomieścić w swych ścianach. Chyba cała okolica się zebrała, by witać nowo narodzonego mieszkańca.

– Jego matka odpoczywa. Świetnie się spisała – mówi z entuzjazmem Stella. – To jej czwarte dziecko! Czwarty chłopiec.

Mały szkrab biegnie im na spotkanie. Bosy i brudny. Nagle się zatrzymuje, dostrzegłszy Tristana. Wydaje się spłoszony jego obecnością. Zaczyna metodycznie dłużyć w nosie.

– Antonio! Widziałeś już swego braciszka? – Stella klęka i czeka, aż malec odważy się podejść.

– Daj spokój – mówi Tristan popędliwie. – Zawołaj jakiegoś starszego, ten nic nie rozumie!

Przygląda się chłopcu z ostrożnością i jakąś błagalną nadzieją, że lada moment to wszystko się skończy i zostaną ze Stellą sami, tylko ze sobą i tylko dla siebie.

– Antonio jest najstarszy, nosi imię po swoim dziadku.

– Litości! Oddaj dziecię jego rodzicom i wskakuj do samochodu. Nic tu po nas!

Stella chce podnieść się z klęczek, ale otacza ich gromada wieśniaków.

– Nie mogę teraz odejść. Oni są nieskończenie wdzięczni za pomoc. Zobacz, to jest Antonio senior i jego żona Marta. O! Widzę, że Marco w samą porę wytrzeźwiał.

Zmierza ku nim solidny „byczek” w spłowiałych, obszarpanych dżinsach, z sianem we włosach i tatuażami na dorodnych ramionach.

– Niezły z niego aparat ssąco-tłoczący – zauważa Tristan, komentując fakt, że młody mężczyzna trzyma w ramionach otwartą butelkę wina. – Czy on w ogóle słyszał o czymś takim jak prezerwatywy?

Marco podchodzi do nich, kłania się i z energią szybkostrzelnego karabinu zaczyna coś mówić. Przerywa na chwilę, bierze noworodka od Stelli, całuje wielokrotnie jego ciemną główkę, i dalej trajkuje ze śmiechem.

– On powiada, że da mu na pierwsze Tristan, na twoją cześć. Miłe, prawda? Tristan Michael Angelo Mazotti.

– Prawie jak... Buonarroti – cedzi niezbyt zachwycony imiennik malca.

Stella go ignoruje. Patrzy na Marco i rodziców położnicy, słucha, a potem oznajmia: – Oni proszą, byśmy zostali rodzicami chrzestnymi dziecka. Tak na szczęście!

Tristan ma już dosyć tokańskiej kordialności.

– Ich szczęście? Czy nasze? Może jeszcze kogoś innego? Słuchaj, Stell, zaczynam się wkurwiać. Jechałem tutaj od samego rana, z Mediolanu. Najpierw samolot, potem...

– Nie chcesz być moim kumem? – Kobieta nie ma ochoty słuchać jego utyskiwań.

– Kumem? Ha, ha, ha! – śmieje się sarkastycznie muzyk. – Nie! Akurat twoim... kumem nie chcę zostać!

– Dlaczego?

– Bo mam jeszcze czas na takie cyrki!

– Ale... – Stellę opanowuje nagła wesołość. – Będziesz tylko ojcem

chrzestnym, proszę cię. Poczekaj! – Nie pozwala mu odpowiedzieć, kładzie palec na jego ustach, starając się wyłowić sedno z tego, co wygłaszają zgromadzeni ludzie. – Oni chcą nas teraz zaprosić na świętowanie. Otwierają beczkę najlepszego wina, będą piec prosiaka i częstować szynką natartą czosnkiem i ziołami. Co się tak gapisz? Nie rozumiesz? Chcą nas ugościć!

– Cholera jasna, Stell!! Nie tłumacz mi, o czym mówią, bo ich rozumiem! Jestem przecież Włochem!

– Ale tylko w połowie! Przepraszam, nie unoś się, możesz mieć z tym problem, bo jesteś z północy i posługujesz się dialektem padańskim, a nie mediano...

– Z jakiej północy? Urodziłem się we Florencji! Dialekt toskański jest podstawą włoskiego!

– Ale całe życie spędzasz...

– No, gdzie? Gdzie spędzam całe swoje życie?! I co to ma do rzeczy!?! – Nagle budzi się w nim duch patriotyzmu lokalnego.

– OK, nie chciałam cię urazić...

– Nie uraziłaś, Stell! Powiedz im, że jestem tak wzruszony i wkurzony, że nie mogę przyjąć tego zaszczytu.

– Dlaczego sam im nie powiesz? Zwalasz na mnie ten przykry obowiązek, bo wiesz, że tym ludziom się nie odmawia!

W tym momencie klamka zapada. Tristan musi ulec, a żalosna, pełna wykrzykników opowieść o tym, co dzisiaj przeżył, musi poczekać – nie do zachodu słońca, ale nieco dłużej.

– Jak mam pić, skoro prowadzę? – marudzi jeszcze.

– To jednak nie rozumiesz. Oni nam proponują nocleg...

– O kurwa! – Muzyk się załamuje.

– ...w starym domu rodziców Margarity. W ich osobistej, małżeńskiej sypialni...

– Ze skrzypiącą podłogą, szafą i modrzewiowymi okiennicami? Może jeszcze w osobistej szlafmocy Antonia? – ironizuje Tristan.

– Ze skrzypiącym łóżkiem... – Stella uśmiecha się.

Mężczyzna wzdycha, bynajmniej nie jest zachwycony tą perspektywą. Raczej zrezygnowany i zwyczajnie tym wszystkim zmęczony. Na dodatek głodny.

– Dobra, powiedz im, że idę do samochodu po skrzypce.

– Masz je tutaj?

– Nawet się nie rozpakowałem!

– Cudownie! – Rzuca mu się na szyję, ledwo do niej dosięgając. Kiedy Tristan się pochyła, całuje go z głośnym cmoknięciem w policzek.

– Mam nadzieję, że mi to wynagrodzisz – szepce, chowając twarz w jej włosach, które ekscytująco pachną krwią i potem.

*

Tańce, śpiewy i ochotne świętowanie wypełniają im pół nocy.

Na wielkim rożnie pieką się prosiaki, gospodyni częstuje esencjonalnym bulionem, grubymi plastrami szynki oraz pajdami chleba z domowego wypieku. Wszystko smakuje fantastycznie, podobnie jak suszone pomidory zanurzone w oliwie z kaparami i czosnkiem, ciasteczka jaśminowe, placek z wiśniami oraz winogrona podawane w koszach. Ludzi zebrało się sporo; wszyscy składają życzenia i wymieniają coraz to nowe toasty, spełniane smakowitym czerwonym winem. Pojawiają się muzykanci. Jeden z tamburynem, zdobionym sylwetkami tancerzy narysowanymi na rozpiętej skórze. Drugi z akordeonem, trzeci z gitarą oraz cała armia wykonawców z różnymi instrumentami perkusyjnymi, a wśród nich – trójkąty, drewniane deszczułki, zawieszane na szerokich skórzanych paskach, w które uderza się kijkiem, oraz ludzkie dłonie, którzy klaszczą rytmicznie lub stukają, czym się da, w szklanki, stoły i talerze. Wielce popularne są tamburyna, zwane zupełnie niesłusznie baskijskimi bębenkami, w które lubią

uderzać mali chłopcy. Ogólnie nikt się nie oszczędza. Tu każdy na czymś gra, śpiewa lub tańczy i klaszcze. Gdy dołącza do tej orkiestry Tristan ze swoim *violino*, od razu przejmuje partie wiodące i szybko łapie każdą tutejszą melodię, intonowaną przez kogoś ze starszych. Muzyce często towarzyszą dość sprośne i złośliwe przyśpiewki. Co rusz na środek trafia ochotnik z tłumu, ustawiony jak pod pręgierzem, i biesiadnicy zaczynają o nim śpiewać, nie przebierając w słowach. A to, że lubi coś zwędzić sąsiadowi, bo ma lepsze ręce, a to, że ma okazałe rogi na łbie i cała okolica się z niego śmieje, a to znów, że jego matkę lub teściową nawiedza nocą diabeł i zabiera na sabaty! Nikt się nie obraża, śmiechom nie ma końca; tak powstają, niemalże od ręki, gotowe teksty piosenek, ale nikt ich poza Stellą nie zapisuje, bo ludzie „pożyczają sobie rymy” jeden od drugiego i nikt nie zgłasza pretensji do praw autorskich.

Stella tańczy wraz z wszystkimi tarantelę, a później bardzo skoczne saltarello – podstawowym elementem są tu obroty partnerki, podczas których partner charakterystycznie przytupuje. Stella zgrzała się i wygląda jak młoda dziewczyna hasająca na własnym weselu; Tristan nie może oderwać od niej wzroku. W pewnym momencie podbiega do niego i woła: – Chodź, zatańczyć ze mną!

Waha się, w końcu kręci głową.

– Nie mogę... boję się zostawić skrzypce!

Ona się martwi i widać, że jest jej przykro.

– Myślisz...? Podejrzewasz tych ludzi o chęć kradzieży?

– Nie – spieszy z wyjaśnieniem – ale rozejrzyj się, zobacz, ilu z nich dymi się już nieźle z głów. Jeśli ta pani w czerwonym poncho osunie się zmęczona na pozostawiony przeze mnie instrument, choćby całkiem nieświadomie, niewiele zostanie z pudła rezonansowego. Trzysta lat bogatej historii będzie w drzazgach! A ja jestem przywiązany do... moich instrumentów.

– Tylko tych z drewna...?

– Do tego żywego też! – Śmieje się, a ona wraca do tancerzy, wołając na odchodnym: – Wiesz mi jeden taniec, pamiętaj!

Nagle dopada do niej stary Giuseppe, który tak się rozochocił, że wywiódłszy ją na stronę, zaczyna opowiadać, jaki był z niego kawaler. Przechwałki się urywają, gdy przypadkiem rozmowa schodzi na Mussoliniego. Wówczas zażywny starzec opluwa się jedzonym właśnie serem, a potem wstaje gwałtownie od stołu i żegna szybko towarzystwo, jakby co najmniej nasłano na niego karabinierów z rozkazem aresztowania. Zapomina nawet zabrać swoją sękatą laskę!

Tristan trochę podjada, pije niewiele i gra niezamordowanie ponad trzy godziny – wszyscy są nim zachwyceni. Chętnie akompaniuje przyśpiewkom, przytupując sobie zawzięcie, i wygląda pośród tubylców jak anioł, w swoim jasnym ubraniu i z rozwianymi blond włosami, których kosmyk opada raz po raz na gryf skrzypiec, powiewając podczas gry jak skrzydło nieziemskiej zjawy. Młode dziewczyny są wpatrzone w Tristana jak w święty obrazek, co prowokuje miejscowych poetów do niewybrednych żarcików. Mężczyźni, zwłaszcza młodzi, spoglądają w jego stronę niezbyt przychylnie, winszując sobie, że jest wyraźnie zainteresowany tylko jedną kobietą na tej zabawie, a ona i tak jest dla nich nieosiągalna. Podczas kolejnej dłuższej przerwy znów do niego podchodzi – i wszyscy widzą, jak skrzypek pochyla się ku niej i namiętnie całuje, przytrzymując szyję Stelli dłonią ze smyczkiem, by nie mogła mu przerwać przydługiego smakowania jej ust, choć podejmuje taką próbę.

– Nie jesteś na mnie zły, że wprzęgłam cię do takiej ludowej zabawy? To chyba... Wiesz... Twoje uszy nie cierpią?

– Skąd! Lubię takie klimaty.

– Zarywasz noc... – Uśmiecha się przepraszająco.

– Daj spokój! Często zarywam noce.

W końcu wszyscy zwalniają tempo, zarówno tańców, jak picia. Wielu drzemie pokotem na ławkach i pod drzewami. Niektórzy idą świętować

w miejsca bardziej ustronne... Stella zaczyna ziewać, co natychmiast spostrzega Antonio i proponuje, że zaprowadzi ją do przygotowanej przez żonę sypialni. Skuszona wizją poduszki, do której mogłaby przytulić głowę, i tego, że w końcu zrzuci buty i da odpocząć stopom, rusza za nim ochoczo. Zauważa to Tristan i natychmiast przerywa grę, wstaje od stołu, żegna uprzejmie obecnych, przyjmuje z uśmiechem porcję oklasków i biegnie za Stellą i gospodarzem ze skrzypcami pod pachą.

– Chwila! Ja też już idę spać! – woła, gdy nikną mu z oczu za rogiem domu.

Antonio odwraca się, spogląda pytająco na Stellę, która kiwa głową, co uznaje za zgodę, i nie komentując, kieruje się w stronę drzwi.

– Pójdę do samochodu po swoje rzeczy – mówi Tristan, przekonany, że trafi do swojej kobiety, choćby została zamknięta w wysokiej wieży na skraju wsi.

Duży pokój jest ciemny, bo ściany i sufit pokrywa poczerniała boazeria. Pachnie tu starym drewnem, jak w niektórych kościołach ze stallami, woskiem pszczelim, użytym do podłóg, oraz lawendą. W centrum ulokowano wielkie łóżce. Po jego zewnętrznych bokach ustawiono stoliki nocne, zaopatrzone w dwie szuflady z ozdobnymi gałkami i jednakowe lampy z haftowanymi abażurami. U wezłowia królują dwie wielkie poduszki a na całości ogromnego mebla spoczywa olbrzymia, puchata pierzyna, okryta wełnianą narzutą z frędzlami. Aż strach ową „budowlę” ruszać! Na ścianie za łóżkiem wisi duży krucyfiks z umęczonym cynowym Chrystusem, a pod nim – obraz przedstawiający młodą parę. Z trudem można rozpoznać Antonia i Martę uwiecznionych w dniu, gdy po raz pierwszy weszli do tego pokoju i doczekali wspólnie rana...

– A gdzie jest łazienka? – pyta Stella, by jakoś zatuszować zmieszanie, którego doznaje na widok srogiego wzroku gospodarza. Antonio zerka z dumą na obraz, a potem posyła jej pełne wyrzutu ojcowskie spojrzenie. Kobieta czuje, iż nie jest zachwycony, że ten wyjątkowy pokój, nieomal sanktuarium długoletniego przykładnego małżeństwa, ugości osobę, którą

podziwia za wiele cnót, ale też potępia. Już choćby za to, że zamierza oddać się rozpuście z dużo młodszym mężczyzną, któremu bliżej jest do roli zięcia niżli jej kochanka. Skądinąd wie, że przebywa u niej od jakiegoś czasu dorosła córka i tym bardziej nie potrafi gładko przełknąć zachowania Stelli, chociaż nie zdobywa się na głośną reprimendę.

Ma jeszcze nadzieję, że może się myli w ocenie jej postępowania, liczy, że para zaśnie znużona przeżyciami dnia i wieczoru. Nadchodzi Tristan, rzuca okiem na łóżka i coś diabelskiego błyska w jego czarnych jak czeluść studni oczach. To coś nakazuje staremu zapomnieć o pozorach przyzwoitości. Wzdycha w myślach. Czuje, że jest już za stary na to, by komukolwiek udzielać nauk umoralniających; żegna się szybko, lecz Stella pyta ponownie o łazienkę.

– Chcielibyśmy się umyć... – wyraża nieśmiałą prośbę.

Tristanowi przychodzi na myśl, że oto trafił do wioski, gdzie jeszcze posługują się motyką, i podejrzewa, że o standardowe wygody może być tu trudno.

– Wychodek jest na tyłach domu, w ogrodzie – oznajmia ze złośliwym uśmiechem gospodarz.

Jest to zwykły domek z serduszkiem...

– Jest tam też pompa z wodą zdatną do mycia – dorzuca z satysfakcją Antonio.

– Po...m...pa? – jąka się Stella, lekko blednąc.

– Łaskawa pani się dziwi? Tu nie ma zbytków jak w pałacach. One tylko rozpuście służą, niczemu więcej – dodaje ostrzegawczo. – Kąpiemy się w morzu albo strumieniu...

– Ale... – Stella nie kryje zawodu.

Widząc to, Antonio oznajmia dobrodusznie:

– No, już nie będę dłużej straszył! W zeszłym roku zięć zrobił łazienkę i ustęp. W domu młodych. Trzeba tylko przejść przez ogród, drzwi od strony

warzywnika są otwarte. W sieni na lewo znajdziecie wszystko, co trzeba. Zawczasu włączyłem bojler, żeby się woda zagrzała. Żona naszykowała mydło i ręczniki. Tak... pójdę już, dobrej nocy, mam w Bogu ufność, że będzie wygodnie! – Posyła Tristanowi groźne spojrzenie spod krzaczastych brwi i kłaniając się, wycofuje tyłem. Na koniec zamyka cicho drzwi.

Młody mężczyzna oddycha z ulgą: motyka to najwyraźniej kwestia indywidualnego wyboru tubylców.

– Pójdę pierwszy, będzie szybciej – proponuje, zdejmując już koszulę. Łapie neseser oraz ręcznik i w samych spodniach zamierza wyjść.

– O, nie! Potem może nie być ciepłej wody! – Stella nie ma stroju do spania. Odsuwa ozdobną kapę z łóżka po swojej stronie i znajduje koszulę z haftami, złożoną w kostkę. Bierze ją ze sobą, licząc, że będzie tylko trochę za duża. – Nie czekaj na mnie, idź spać... – oznajmia łaskawie.

– Jak to: nie czekaj? A łazienka? Muszę czekać, aż ją zwolnisz, kochanie.

Po jej wyjściu słyszy skrzypienie podłogi. Siada na łóżku, bierze twarz w obie dłonie i wzdycha...

– Jasne, madame! Przyjechałem na czterdzieści osiem godzin i zamierzam je wykorzystać!

Po chwili rozlega się nieśmiałe pukanie.

– Proszę! – mówi zdziwiony.

W drzwiach staje Satine, najmłodsza córka Antonia. Uśmiecha się jak pensjonarka.

– Zaprowadzę cię do pompy w ogrodzie. Tam się umyjesz. Wszyscy mężczyźni tak robią. – Widząc jego wahanie, dodaje ze śmiechem: – Będę czerpać wodę, pomogę ci się opłukać. I obiecuję nie podglądać! No... chodź! Noc jest całkiem ciepła.

Odwraca się, gdy on zdejmuje spodnie i przerzuca ręcznik przez ramię ręcznik, a potem bierze go śmiało za rękę i wyprowadza z bijącym sercem do ogrodu.

*

Przemykając po kąpieli do domu, Stella spostrzega scenę przy pompie. Nagi Tristan śmieje się nazbyt głośno i parska jak źrebak pod strumieniem zimnej wody, zaś stojąca nieopodal ślicznotka nawet nie udaje, że go nie podgląda. Przy całkiem jasnej poświacie księżyca! Rozzłoszczona kobieta przyspiesza kroku; chce jak najszybciej nakryć się kołdrą i zasnąć kamiennym snem. Ten księżycowy flirt był nazbyt prowokacyjny! Antonio niech lepiej pilnuje smarkatej, żeby mu wstydu na całą okolicę nie zrobiła. I to wkrótce!

*

Tristan wchodzi do pokoju z ręcznikiem na biodrach i mokrymi, rozpuszczonymi włosami. Jasne kosmyki wiją się na jego plecach i ramionach. Mężczyzna odkłada swoje rzeczy na stary, poprzecierany fotel, rzuca na podłogę ręcznik i wskakuje do łóżka po swojej stronie.

– Skorzystałem z pompy, żebyś nie musiała na mnie w nieskończoność czekać, skarbie. Zobacz, jaki jestem zimny... Brrr! Ale też napalony!

Lecz Stella ani drgnie, odwrócona do niego plecami.

– Ej... ogłuchłaś? – Bez pardonowo chwyta ją i odwraca ku sobie, przy akompaniamencie jęków licznych sprężyn. – Ale orkiestra! Myślałby kto, że niewprawny dzieciak dorwał się do skrzypiec i wgniatając smyczek w struny, trze nim ile sił! Chcesz podrygować, maleńka?

– Tobą? – Melancholijna wizja Janka Muzykanta przemyka w wyobraźni pisarki, lecz jako kobieta potrafi wziąć się w garść. – Chcę spać!

– Nie wierzę. – Okrywa jej twarz pocałunkami i nie zważając na protesty, osacza ją swoim ciałem. Kładzie dłonie na jej wzniesionych do góry rękach. Wsparty na kolanach i łokciach, by jej zanadto nie przygniatać, poczyną zębami rozwiązywać sznurówkę przy niewielkim dekolcie koszuli.

– Jesteś mokry! I zimny! – protestuje.

– To mnie rozgrzej! – Lekko opada na nią, czuje jego ciężar na swoim

ciele i zaraz po tym doznaniu przychodzi fala słodkiego jak krew pożądania. Już go nie powstrzymuje, pozwala mu na wszystko. Sprężyny grają swoje, na przekór rytmowi ich ciał i oddechów. Zza przymkniętych okiennic przenika korowód cieni, snujących się sennie w blasku naftowych lamp i księżycowego światła. Słysząc pojedyncze odgłosy zabawy. Wahają się. Jeśli zamkną okna, zrobi się duszno, chociaż mury zdają się zatrzymywać chłód. Gdy pozostawią je otwarte, będzie wnikał do środka hałas, a na zewnątrz usłyszą odgłosy z sypialni...

Rozchylili na oścież okiennice i okna! Firanka powiewa w każdym z nich, kołysana drobnymi podmuchami wiatru. Niesie się zapach popiołu i stygnącego paleniska. Samotne głosy podejmują śpiew, to wznosząc się, to opadając w intonacji, by wreszcie ucichnąć.

Ich seks był równie intensywny jak wpadające już przez okna promienie wschodzącego słońca. Tristan sądzi, że wie o niej wszystko, bo – jak mu się zdaje – znalazł to w jej książkach. Nie epatowały erotyką tak mocno, jak wcześniej podejrzewał, ale każda zawierała kilka scen, w których jego Stella całkowicie się obnażała. Lubił na nią patrzeć, na jej szczupłe ramiona, szyję, obojczyk... oplecione zwojami ciemnych włosów. Na drobne, równo wysklepione piersi, które reagowały szybciej niż myśl na jego pieszczoty. Cała jej postać była perłowa i pachniała jaśminem. A jednocześnie wiedział, że tuż pod włosami wyczuje aromat ciepłego mleka, wanilii i olejku mandarynkowego, jakby całe życie spędzała na wyciskaniu soku z dojrzałych owoców i mleka ze swych małych piersi. Chciał kiedyś doczekać chwili, w której ona powie „dość”, ale to on w końcu odstępował od jej ciała, na krótko zaspokojony, z wizją ucieleśnionej delikatności i wyrachowania. Jest niespożyta, a z pozoru krucha i bezbronna. Fascynuje go jej niewierność i choć wie o niej więcej, niżby chciał, po cichu ją usprawiedliwia. Obawia się, że pewnego dnia on też ją znuży i wymknie się z jego ramion jak ptak, któremu obiecywał wyłącznie otwartą klatkę.

– Cholera, drzazga mi weszła w stopę – słyszy tuż przy uchu Stella.

Młody mężczyzna siada na łóżku i ogląda ranę. Po chwili empatia bierze

w niej górę i Stella też siada.

– Pokaż, zaraz ją wyjmę. – Łapie jego stopę i pochyla się, by obejrzeć miejsce, gdzie drewniana zadra wystaje spod skóry. Chwyta ją paznokciami i delikatnie wysuwa; sączy się strużka krwi. – Trzeba zdezynfekować. Ale czym...? Zabrałeś płyn po goleniu?

– Przyjechałem na dwa dni i nie zamierzałem się w tym czasie golić. – Tristan wydyma usta. – Widziałem po drodze samotną butelczynę, jeszcze nieotwartą...

– Na pewno już jej tam nie ma..

Mężczyzna wyskakuje z łóżka i nagi udaje się na poszukiwania. Nie zdążyła go powstrzymać. Czuje w ustach gorzki smak. W plecaku znajduje gumę do żucia, usuwającą osad z płytki nazębnej, jeśli wierzyć reklamom. Tristan wkracza triumfalnie do pokoju, z butelką pod pachą.

– Bezwstydniku! Ktoś mógł cię zobaczyć!

– A co? Mam coś nie na swoim miejscu? – pyta buńczucznie.

Stella, licząc, że wino, ten napój bogów, przywróci jej energię, która uszła wraz z ostatnim zbliżeniem, rozsiada się na łóżku, nie odrywając wzroku od butelki.

– Jak otworzysz?

– Mam korkociąg przy kluczykach od samochodu.

– Coś takiego! Od kiedy to jesteś taki przezorny?

– To nie moja zasługa, podobnie jak samochód. Wypożyczyłem drania w Sienie. Wszystko... dla ciebie! – oświadcza, otwierając zgrabnie butelkę i natychmiast wypijając z niej kilka solidnych łyków.

– Ej, miałeś się zdezynfekować!

– A co niby robię? Chcesz? – Podaje jej wino. Stella wypija ostrożnie mały łyk i nim zdąży w nim zasmakować, Tristan odbiera jej butelkę.

– To teraz sobie pogadamy, moja pani.

– Zabrzmiało groźnie...

– Powiesz w końcu, o co chodzi? Masz kogoś, tak?

Stella parska śmiechem.

– Ty i te twoje śmieszne podejrzenia! Wracasz mi siły i dobre samopoczucie. Istotnie działasz jak balsam odmładzający!

– Masz, tak?!

– W pewnym sensie...

Zdesperowany odstawia butelkę na podłogę i rzuca się wprost na rozsunięte poduszki.

– Wiedziałem!... Kurwa, te hafty drapią mnie w tyłek.

Zdumiona jego doborem argumentów, nie do końca przekonana, co go tak mogło podłamać, pyta ostrożnie: – Jesteś... zazdrosny? Czy przewrażliwiony? A może tylko twój... tyłek? Bo przyznaję, że w moim towarzystwie często spotyka cię coś przykrego. Jak nie hafty, to zgubione w łóżku kolczyki...

– Ostatnio też okruchy ciastek... – dodaje, zapominając, że powinien trwać w załamaniu. – Wiesz, był taki jeden facet w książce po tytulem *Nana* niejakiego Emila Zoli, który...

– Tak, wiem, chciał zabić za okruchy w łóżku.

– Ja? Zazdrosny? – Przypomina sobie, o czym mówili przed dygresją. – Musiałbym upaść na głowę! Miałaś więcej gachów niż jest gwiazd na niebie. Niż wszystkich, którzy mają dzisiaj solidnego kaca!

– Wiesz... – Stella przeciąga się lubieżnie, ignorując jego groźne grymasy. – Lubię cię, dlatego nie zwracam uwagi na twoje impertynencje, bo wiem, że próbujesz nadrabiać miną, zawsze jak nie umiesz się sensownie wysłowić.

– Więc gadaj tu zaraz, kto to jest! – Szarpie ją, wydobywa spod kołdry i haftów, bo zdążyła z powrotem założyć koszulę, lecz nie związała sznurówki, i w ferworze złości odsłania jej piersi. Dotyka jednej z nich...

– Dobrze, że są dwie... – zauważa z zadowoleniem.

– Dlaczego?

– Bo drugą dajesz byle komu i nie chcesz się do tego przyznać! Przynajmniej jednej mogę być pewien!

Śmiesz ją taki argument i prowokuje do żartów.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć... – wyznaje, odsuwając jego dłoń.

– Powiedziałaś już najgorsze. Wystarczy, że dokończysz. Przekręć teraz zgrabnie nóż, którym mnie ugodziłaś, żebym się porządnie wykrwawił.

– Tak, jest ktoś... Nie odzywałam się tyle czasu do ciebie, bo... to może wszystko zepsuć... między nami, rozumiesz? Wręcz zakończyć!

– Chcesz mnie rzucić w kąt jak kiepską partyturę?

– Raczej ty to zrobisz, gdy poznasz prawdę.

– Co może być gorszego? Stello Mangione, jesteś dziwką, która nie odmawia siebie nikomu. Mam wrażenie, że nawet ów Antonio już cię kiedyś posiadał... bo dziwnie na ciebie patrzył...

– Oszalałeś?!

– Jeszcze nie, ale zaraz do tego dojedzie, jeśli się nie dowiem, kto to jest! Wpadnę w szal i cały *furioso* urządzę ci porządny koncert brandenburski!

– E... wolałabym coś mniej oklepanego.

– Wybrzydzasz?

– Pieprz się, dzieciaku!

– Stell, ja nie jestem z drewna. – Przygniata ją całym sobą i znów czuje, że jej pragnie. A ona nie protestuje, kiedy po raz kolejny pozbawia ją koszuli, bezceremonialnie rozsuwa jej nogi, a potem wchodzi w nią zdecydowanie

i nie zważając na to, że zamknęła oczy, szybko się zaspokaja. – Musisz wiedzieć, że to ty mnie rzucisz i zostawisz, nie na odwrót! – oznajmia na koniec. Schodzi z niej i odwraca się, oddychając szybko po akcie, który niewiele miał wspólnego z wyrażeniem głębokich uczuć. Przypominał tankowanie na stacji paliw.

– Mam dorosłą córkę, głupolu – mówi Stella. – I jestem babcią od kilku dobrych lat. Mieszkają u mnie od jakiegoś czasu. Nie powiedziałam im o tobie, bo moja córka jest w twoim wieku.

– No pewnie, znowu to mój wiek jest wszystkiemu winien – burczy niezadowolony, bo nie od razu dociera do niego to, co powiedziała. – Cooo? Jesteś... babcią? – Zaczyna się śmiać. Jego ciałem wstrząsa równomierna, rytmiczna kaskada niepohamowanego rechotu i Stella ma ochotę go zabić. Dobry humor pryska. – O rany! Świetny dowcip! Wykorzystał cię ktoś w przedszkolu? – Wciąż się śmieje, a w niej narastają wściekłość i żal, że mu w ogóle wyznała prawdę. Żeby jakoś z tego wybrnąć, w skrócie opowiada swoją historię. Dopiero przy dziesiątym zdaniu Tristan przestaje się śmiać, a przy kolejnym poważnieje.

– Nie jesteś Włoszką? Ani Amerykanką?

– Jestem Polką.

– Zawsze mi coś w tobie... nie do końca... grało...

– Dzięki.

– Nie zrozum mnie źle, ale masz dziwny akcent.

– Nie wywyższaj się. Rozmawiamy ze sobą po angielsku. To nie jest twój *native language*. Też masz kieski akcent, pieprzony Florentczyku!

– A ty gdzie się urodziłaś? W Warszawie?

– Wydaje ci się, że tylko Warszawa leży w Polsce? Typowe!

– A gdzie? – Nie rozumie jej ironii albo niewiele go to obchodzi. – W Krakowie? Miałem kiedyś koncert w Krakowie, na zamku. Na... Wawelu. I w Poznaniu. Grałem Wieniawskiego.

- Super! Wieniawski też był Polakiem, wiesz?
 - Żydem raczej. Oni nie mają narodowości, tylko religię, i żyją wszędzie, gdzie się da, podkreślając swą odrębność.
 - Sądząc po twojej reakcji, powinnam była zachować te rewelacje dla siebie.
 - Sama tego nie wiedziałaś, ładnie... nie ma co... Trochę dziwne, że od razu jej zaufałaś i uwierzyłaś. Po tylu latach? Może to oszustka?
 - Jak ją zobaczysz, przestaniesz wątpić.
 - Taka do ciebie podobna? – W tym momencie przypomina sobie dziewczynę, która stała obok Mony poprzedniego dnia i wzbudziła w nim instynktowną niechęć.
 - Miała ze sobą coś szczególnego. To na pewno ona.
 - Czego chce?
 - Dlaczego myślisz, że ...
 - Nie udawaj naiwnej, Stell, takie rzeczy zawsze mają jakiś podtekst. Jesteś bogata, a duże pieniądze często wzbudzają nagłe uczucie miłości i bywają... patologiczną przyczyną łączenia się rozproszonych po świecie rodzin. – Dostrzegłszy, że jego uwaga sprawiła jej przykrość, postanawia to jakoś naprawić, bo przecież nie rości sobie praw do nieomyślności. – Zdrowie twojej córki, Stell!
 - Zdrowie Tristana, który przyszedł na świat z moją pomocą – stwierdza przekornie pisarka. Jego to głównie bawi, a ona już nie protestuje, tłumacząc sobie tę bez troskę objawem młodości.
- Rozlega się pukanie do drzwi.
- Zapraszamy na śniadanie. – To chyba głos Satine. – A może woła państwo zjeść w łóżku?
 - Nie, zaraz będziemy – odpowiada Stella, przekrzykując śmiech

kochanka.

Ale on nie ma zamiaru się ruszyć. Przystaje się z niej wyśmiewać, przybiera poważny wyraz twarzy, a to, co mówi, nie brzmi żartobliwie. Kompletnie zmienia front, bo niepokoi go postać dziewczyny z wczoraj; wyraźnie jej nie ufa, w przeciwieństwie do Stelli.

– Sporo w sobie kryjesz niespodzianek...

– Przeszkadza ci to?

– Może i przeszkadza... Jestem gotów się założyć, że nie wiem najważniejszego.

– A po co ci ta wiedza? – pyta prowokacyjnie Stell. – Będzie ci przez to lepiej ze mną w łóżku? Ja nie mam złudzeń co do jakości twoich uczuć, nie liczę, że mi się oświadczysz albo zechcesz któregoś dnia, świadomie, obdarzyć potomkiem...

Tristan jest młody, pełen życia, nie szuka komplikacji, a kobiety prawie zawsze oznaczają problemy, niekończące się oczekiwania i pretensje. Stella to inna liga i doceniał tę jej zaletę. Wiedział, że niczego się po nim nie spodziewa, na nic nie liczy. Dlatego nadal godził się na ten niezobowiązujący układ, o którym nie mieli ochoty ze sobą rozmawiać. Znosił cierpliwie jej humory i tryb życia nazbyt uwikłanej w swoje sprawy pisarki, wybaczał zdrady, których był pewien. Nie musieli sobie nawzajem tłumaczyć, że łączy ich seks – jakkolwiek nie było to szczytem romantyzmu – a reszta pozostaje dodatkiem, mniej lub bardziej... uciążliwym lub niewygodnym. Byli dla siebie atrakcyjni, bo na skutek różnych zobowiązań widywali się rzadko i na ogół to on musiał się nieźle nagimnastykować, żeby do niej przyjechać, wykradając z zapelnionego grafiku kilkanaście godzin. Ona była mądra, a on beztroski i niezmordowany. Te role rzadko się odwracały... bo ona nie miała złudzeń, a on cenił swoją wolność i niezależność, bardziej niżli bliskość i przywiązanie.

– Dlatego mnie tak stale zwodzisz? – pyta mimo wszystko z wyrzutem. – Dręczysz?

– Robię to, co każda kobieta na moim miejscu powinna. Usiłuję nie być nudna! Teraz możesz mnie rzucać! – oświadcza, wychodząc z koronek, haftów i falban. Bosa i naga podchodzi do krzesła, na którego oparciu wisi jej sukienka, i zaczyna się ubierać. Zauroczony Tristan śledzi każdy jej ruch.

– Twój wiek nie ma dla mnie znaczenia – mówi spokojnie, gdyż całkiem minęła mu ochota do podkpiwania. – Jeszcze nigdy nie pragnąłem tak żadnej kobiety! Jesteś wyjątkowa, może dlatego, że taka... rozpustna.

– Nie pozwalaj sobie, smarkaczu!

– Uwielbiam twoją klasę, namiętność i to, że jesteś nienasycona jak ja...

Podchodzi do niej i znów zaczynają się całować.

Śniadanie może poczekać...

*

Powrót do Monte Fiore nie jest już tak męczący; wracają sami i ta podróż mija w milczeniu, jeśli nie liczyć nagrań, wybieranych przez Tristan, głównie dynamicznego Lenny Kravitz, którego on uwielbia a ona, powiedzmy, toleruje. Gorzej, że młody muzyk ma zwyczaj słuchać jednego utworu dwadzieścia razy z rzędu... Stella tego nie komentuje, nie sprzeciwia się, ale pod koniec drogi drażni ją słuchany po raz kolejny *Mr Cab driver*. Znów uświadamia sobie, jaka przepaść ich dzieli; Tristan pewnie dużo lepiej dogadałby się z jej odnalezioną córką. Jeśli ktoś zadowala cię w łóżku, to jeszcze nie znaczy, że poza nim też się zgracie.

– Kiedy wracasz? – rzuca Stella, udając, że zainteresował ją plan Mediolanu, który właśnie znalazła w schowku.

– Ledwo przyjechałem... nie zauważyłaś? – Mężczyzna domyśla się, że rozdrażnił ją powtarzany do znudzenia utwór, i wyłącza odtwarzacz. Wcześniej rozmawiał kilka razy przez komórkę i to też wyraźnie jej się nie podobało, więc wyłączył zestaw głośnomówiący i przerzucił się właśnie na muzykę.

– Wkrótce udaję się na tydzień do Londynu, podpisać umowę na... –

Stella urywa i przygląda się kochankowi. Jasne włosy związał byle jak na karku. Trzeba mieć talent, żeby zrobić to tak beztrudno; kosmyki wymykają się i powiewają po twarzy, a on nie reaguje, jakby nie przeszkadzało mu to w kierowaniu pojazdem. Założył okulary przeciwsłoneczne, pewnie ma soczewki kontaktowe. Stella dostrzega tatuaż na przedramieniu, bo założył przyciasny szary T-shirt z chińskim smokiem i trykot opina mu biceps. Chyba utył... albo zmężniał... Mimo wszystko wygląda na smarkacza, który popisuje się przed nią swoimi dziwactwami, jak choćby czarnymi koralikami z hematytu na szyi i grubą bransoletą z czaszkami i azteckimi totemami na nadgarstku. Z profilu wygląda równie perfekcyjnie jak *en face*. Prosty nos i dołki w policzkach, kiedy się uśmiecha. Co za mężczyzna! Chyba tak samo podoba się kobietom jak gejom, przychodzi jej na myśl.

– Co jest? – rzuca bezpośrednio, spoglądając na nią oczami jak dwie studnie.

– Nic. – Stella wzrusza ramionami.

– Już dojeżdżamy, cierpliwości. Nie musiałaś znosić tego co ja...

– Czy... – zaczyna Stella. – Słuchaj... – Szuka odpowiednich słów. – Czy kiedykolwiek... pociągał cię inny mężczyzna?

– Co takiego? – Tristan wybucha śmiechem, to jego normalna reakcja. – Jeszcze nie myślałem o czymś takim... Szczerze mówiąc, mój tryb życia, fakt, że stale jestem daleko, w ogóle mnie nie skłania do szukania kogokolwiek. Bo teraz realizuję się zawodowo. Muzycznie. To mnie wypełnia i daje mi satysfakcję.

– Ale ja nie przeprowadzam z tobą wywiadu, tylko pytam, jako ja.

– A ja ci odpowiadam – mówi niezrażony. – Wolisz posłuchać anegdoty? Siedziałem kiedyś w autobusie naprzeciw atrakcyjnej laski i byłem strasznie spięty. Podobała mi się. Miałem na sobie luźne szorty, ale powtarzałem sobie w duchu: nie miej wzrodu, nie miej wzrodu, nie miej wzrodu. Dosłownie modliłem się, żeby ona niczego nie zauważyła. I co? Wzwód był, po chwili, ale... u niej.

– Jak to...?

– Nie rozumiesz? To był facet, transwestyta i... zagustował we mnie, ha, ha, ha!

Stella wywraca oczami, ubolewając nad jego niedojrzałością, i traci ochotę na pogaduszki.

*

Powrót nie jest miły, bo okazuje się, że laptop pisarki został zniszczony i nikt nie wie, jak do tego doszło. Ktoś najpierw skasował cały zapis na dysku, a potem, dla podkreślenia i unaocznienia straty, oblał wszystko, łącznie ze starym rzeźbionym biurkiem rokoko, jakąś substancją przypominającą w działaniu kwas. Wszystko zostało wypalone, aż do podłogi...

Stella jest kompletnie rozbita, siada na krześle obok i wpatruje się w obraz zniszczenia.

– Dlaczego?

Tristan podchodzi i ogląda okno. Jakby szukał śladów...

– Masz wroga, lepiej go nie lekceważ, w dodatku ta osoba ma dostęp do twojego pokoju, do twojej pracy... Nie dasz rady tego odtworzyć?

– Moja sekretarka ma... Nie! – Patrzy na niego przerażona. – Tam były moje polskie zapiski, o Izabeli i o tym wszystkim, co jej opowiadałam...

– Gdzie ona jest?! – Tristan jest wściekły. – Wpuszczasz tu byle kogo, wierzysz mu i pozwalasz, by rujnował całe twoje dotychczasowe życie!

Stella nie godzi się na scysje z dopiero co odzyskaną córką.

– Nie wtrącaj się, to nie jest twoja sprawa.

– Stell! Masz takie bezgraniczne zaufanie do wszystkich...

– Powiedziałam, żebyś dał spokój.

– Wezwij policję, to sprawa dla nich! Na co jeszcze czekasz?!

- Nie.
- Dlaczego?
- Zostaw mnie, chcę być sama.
- Jak chcesz, ale... popełniasz cholerny błąd, Stell.

Tristan wychodzi, wyraźnie wściekły; na piętrze natyka się na Izabelę, którą dopiero co oficjalnie poznał. Chce przejść obojętnie obok, ale ona rzuca mu nieprzychylnie spojrzenie, omija szerokim łukiem, jakby brzydko pachniał, i to go prowokuje. Chwyta ją za rękę i rzuca ze złością: – Jesteś pewna, że dobrze zrobiłaś, odnajdując matkę, która cię nie chciała?

Izabela ma na ustach ironiczny półuśmieszek. Zadziera głowę. Jest znacznie wyższa od swojej matki i może odważnie spojrzeć mu w oczy.

- Jednego jestem pewna: nie ty będziesz o tym decydował!
- Taaak? Może myślisz, że ci pozwolę na scalenie tej... niedopasowanej rodziny?
- Wydaje ci się, że obsługa mojej matki w łóżku daje ci jakieś prawa? Idź lepiej ćwiczyć swoje gamy, bo jeśli ona będzie musiała wybierać, nie zawaha się ani chwili pomiędzy córką a... jednym z nazbyt nerwowych kochanków.

Dziwnym trafem Stella słyszy tę pełną pogardy wymianę zdań, choć nie od razu się ujawnia. Zastanawia ją agresja pomiędzy osobami, na których jej autentycznie zależy. Czuje po tym zasłyszonym dialogu niesmak i zastanawia się, gdzie popełniła błąd. Czy to źle, że chciała, by się poznali? Kto kogo pierwszy znienawidził? Bo to uczucie jest tu ewidentne. Tylko... dlaczego?

*

Tristan nie zostaje na kolacji – ma samolot do Mediolanu – opuszcza gościnne progi, żegnany przez domowników, wśród których brakuje Izabeli. Godnie zastępują ją mąż i córka.

- Co tak nagle postanowiłaś wyjechać? – pyta Stella, nie wierząc, że ma

jakieś pilne sprawy.

– Może mam też swoje życie? – rzuca obojętnie.

– Ach tak... – Stelli robi się przykro. Okazuje się, że jego uczucia szybko zmieniają temperaturę, od stanu wrzenia do chłodu.

Kiedy jego samochód znika za drzewami, zaczyna podejrzewać, że zniszczenie laptopa ma jakiś głębszy sens i... może go nie doceniała...

Oczywiście liczy się z tym, że pełen życia młody muzyk pewnego dnia porzuci ją bez żalu, bez wyjaśnienia... Mimo wszystko czuje się jak ktoś niesłusznie posądzony o zdradę i długo nie może sobie po jego wyjeździe znaleźć miejsca.

Mona wyczuwa nastrój Stelli. Gdy wieczorem przynosi lampkę wina i herbatę ziołową na dobry sen, nieproszona zamyka za sobą drzwi i siada koło niej, aby w razie czego służyć swoim towarzystwem i rozmową.

Stella siedzi przy nowym laptopie, wprowadza do niego dane, zachowane na pendrive'ie, i przegląda notatki w zeszytach. Na tapecie jest duże zdjęcie Tristana. Fotograf uchwycił go w momencie, kiedy rozmawia przez telefon i odchyła głowę do tyłu, śmiejąc się. Stella zmienia tę fotografię na inną, na której muzyk, ubrany we frak, pozuje *en face*, trzymając pod pachą skrzypce. Regularne rysy twarzy. Pełne, ładnie wykrojone usta, nieco zanadto wydęte, prosty nos, starannie zaczesane jasne włosy. Szyja, gdzie nagle urywa się linia zarostu, ściśnięta przez kołnierzyk i białą muchę. Stiller w wersji klasycznej, tuż przed jakimś tradycyjnym koncertem. Stella przybliżyła i powiększyła jego twarz, kadruje dokładnie, a potem bierze kartę z biurka i przysuwa do monitora tak, by zasłoniła połowę twarzy.

– Popatrz, ta strona jest anielska. Zwróć uwagę na dobrotliwe, łagodne, miękkie rysy. Sama słodycz! A teraz? – Zakrywa drugą stronę. – Diabelska, prawda? Widzisz iskrę w oku? Wzrok ma pożądlivy i obcesowy. Ten sam człowiek. Ma w sobie Jekylla i Hyde'a. Uczciwego obywatela ze wszystkimi zdolnościami i drania, który tylko żeruje na innych i wygląda okazji, by sobie bezkarnie poużywać.

Mona wydaje się zaszokowana.

– Jak można tak mówić o panu Tristanie? On pani gotów nieba przychylić!

– Nie sądzę. Daję ci przykład na dualizm ludzkiej natury. Zdradza go jego własna twarz. Nie tylko ona. Ten człowiek potrafi nagrać ckliwą serenadę Schuberta, wyjątkowo rzewną, a zaraz potem na tym samym instrumencie odstawić żywiołową toccatę, właściwie swoje wariacje na jej temat, i to tak, że ciarki człowieka przechodzą, a sam Bach niechybnie przewraca się w grobie.

– To chyba świadczy o skali jego talentu, nie charakterze.

– Każda z twarzy ma jasną i ciemną połowę. Dlaczego mówimy, że jeden profil mamy lepszy? Kiedy bliźnięta jednojajowe, z reguły niemal identyczne, położą się na boku naprzeciwko siebie, wcale nie wydają się podobne, bo każdy z nich pokazuje inną stronę twarzy! A ludzka twarz nie jest symetryczna. Zrób komuś zdjęcie *en face*, a potem zegnij je wzdłuż osi, pozornej osi symetrii, którą wyznacza linia nosa. Każda ze stron jest inna, czasem to wynika z asymetrii brwi, kącików ust, różnie.

Mona pochyla się i przygląda krytycznie obliczu Tristana na zdjęciu i przecząco kręci głowę.

– Brwi są regularne. Usta też, po obu stronach.

– Czy ty się przypadkiem w nim nie zadurzyłaś?

– A niech Pan Bóg broni! – zarzeka się dziewczyna.

– Ha, ha, ha... Dlaczego? To nie Antychryst.

– Ale przecież jest z panią...

– Dzisiaj może tak. Kto wie, czy jutro też...

– Sama pani licho kusi, tak mówiąc. Dziwny to związek, w którym kobieta nie tęskni za swoim wybrankiem i lada chwila spodziewa się zdrady.

– Mona, doceniam twoje dobre serce, ale to młody mężczyzna, jeszcze

sto razy mu się odwidzi. Nie od dziś wiadomo, że z ładnej miski kiepska strawa.

– Za to z brzydkiej nie smakuje.

– Jak człowiek głodny, to i z ziemi podniesie, by zjeść. Wiem, co mówię!

*

Korzystając z nieobecności kochanka matki, Izabela – wciąż na miejscu, chociaż szykują się już do powrotu – przychodzi do Stelli, by porozmawiać o tych różnych oznakach agresji z nie wiadomo czyjej strony. Nie ma żadnych konkretnych powodów do oskarżeń, ale i tak dzieli się ze Stellą swoim niepokojem, troską i... podejrzeniami.

– Wiesz... tyle ludzi tu do ciebie przyjeżdża, z każdym jesteś do bólu szczerą i otwartą. Może powinnaś bardziej na siebie uważać?

– Rozmawiałaś z moimi prawnikami? – odgryza się pisarka, widząc, że Izabela przybyła z jakąś konkretną misją. – Widzisz, od kilku lat jest mi dobrze tak, jak jest. Nie zamierzam kulić ogona i niczego zmieniać. Nie dam się zastraszyć. Nie mam sobie nic do zarzucenia!

Izabela jest zdumiona jej reakcją, zbyt gwałtowną i nerwową.

– Kto może tak o sobie powiedzieć? Nie uważasz, że właśnie ten twój upór może irytować? A poza tym, co wiesz na przykład o swoim... ulubieńcu?

– Kogo masz na myśli? – docieka, chociaż zna odpowiedź.

– No jak to? O tym muzyku z nieskazitelnym obliczem, a być może piekłem w duszy... Tak mi się skojarzyło, bo lubisz takich bohaterów w swoich powieściach. Fascynuje cię zło z pięknym obliczem.

– Zło? Wiedziałaś, że to jego oskarżysz. Słyszałam waszą wymianę zdań i przeraziło mnie, że tyle w niej było zawiści.

– Powiedziałaś mu o tym?

– Miałam nadzieję, że się polubicie, jak... rówieśnicy! Znajdziecie wiele tematów...

– Na przykład ciebie? Wybacz, ale on nie traktuje cię jak ja, a ja nie zmiernam o tym, jak on traktuje ciebie, rozmawiać! Z nikim.

Po raz pierwszy łagodna, uśmiechnięta, wręcz ciepła Izabela prezentuje

swój dotąd uśpiony temperament. To zazdrość? Wszak ma męża dużo starszego od siebie... I sama obecność pięknego Tristana w posiadłości mogła ją zelektryzować, a co dopiero fakt, że jest tu na specjalnych prawach.

– Może masz rację... jestem kobietą... jestem... – Szuka odpowiedniego słowa, którym sama siebie ubiczuje, jakby ten osąd mógł coś zmienić i naprawić. – Powinnam ci oszczędzić tej relacji, wyraźnie nie jesteś na nią gotowa. Wybacz. Całe życie byłam potworną egoistką, za późno by to zmienić, nawet w obliczu przeznaczenia.

– O czym ty mówisz? – irytuje się Izabela.

– O swoim życiu, nie było ani godne szacunku, ani...

– To nie ciebie osądzam, lecz jego! Poza faktem, że jest przystojny, niewiele dobrego mogę o nim powiedzieć, a ty mu bez reszty zaufałaś!

Stella jest mimo wszystko zaskoczona tym atakiem.

– Jak możesz? Tyle złości pod adresem kogoś tak... niefrasobliwego? Nie polubicie się, to widzę, ale może chociaż zechcecie się tolerować? Z doświadczenia wiem, że takie łagodne traktowanie przeciwnika może przynieść więcej korzyści niżli jawna wrogość. Zresztą jakim on może być zagrożeniem dla ciebie?

– Żadnym!

– No właśnie. Czy wiesz, że jest jednym z najzdolniejszych artystów swego pokolenia? To również twoje pokolenie, powinna ci być bliska jego gra i...

– Wybacz, ale nie znoszę opery, filharmonii i tych wszystkich snobistycznych miejsc, w których brak inwencji nadrabia się elegancją, przesadną kurtuazją i zaśniedziałym tradycjonalizmem.

– Słucham? – Stella jest zaszokowana.

– Nie próbuj mnie do niego przekonać, bo ci się to nie uda!

– Okej, tylko go nie krzywdź opiniami wyssanymi z palca! Bo nic o nim

nie wiesz, skoro wygłaszasz podobne zdania. On nie jest tradycjonalistą, wręcz przeciwnie...

– Możemy zmienić temat?

– Oczywiście, ale to ty zaczęłaś...

– Nie, ty zaczęłaś, bo go tu zaprosiłaś!

– Nie muszę go zapraszać, sam przyjechał, ma tu wolny wstęp, kiedy tylko...

– Może mi jeszcze powiesz, że go kochasz? – atakuje Izabela. – Że jest dla ciebie kimś więcej niż wyrafinowaną rozrywką na pochmurne dni? Zamknijmy wreszcie temat tego pięknoducha! On mi zwisa i powiewa, o ile jeszcze potrafisz zrozumieć takie określenia po polsku! Nie ufam typom jego pokroju, po prostu wiem, że cię bezczelnie wykorzystuje, a ty się dajesz łapać na jego... na jego akrobacje w łóżku. I zapominasz o wszystkim innym, kiedy tylko Jego Seksowna Mość zawita na horyzoncie!

Stella nie może uwierzyć własnym uszom. Wzburzenie Izabeli jest ewidentne! Na szczęście zjawia się Stefan, który słyszał ostatnie zdania i postanowił wkroczyć do akcji, aby nie poleciały pióra. Bo to jest teraz pojedynek o wpływy i najwyraźniej nie spodobała mu się rola żony w tej bitwie.

– Wybaczcie, ale krzyczycie tak głośno, że doprawdy cieszę się, iż awanturujecie się po polsku. Wstyd mi za was!

Stella porównuje swego młodego kochanka i zięcia. Rzeczywiście, ten ostatni wypada błado. Ale czy to jedyny powód złości Izabeli? Czy takie niskie pobudki nią kierują, kiedy stawia matce zarzuty? Czy nie powinna wrócić do rozsądnej postawy, którą obrała na samym początku, i zwyczajnie przyjąć do wiadomości to, co zastała, z obojętnością? Mężczyzna to nie tylko powierzchowność. Próbuje samą siebie przekonać, że właśnie była świadkiem niekontrolowanej zazdrości, że jej córka nie do końca tak myśli... Może jest całą sytuacją zmęczona i jeszcze nie znalazła złotego środka?

– Przepraszam, że musiałeś tego słuchać. Iza i ja... chyba nie do końca przemyślałyśmy swoje stanowiska. Widać obie jesteśmy z natury impulsywne. Dałyśmy wreszcie popis naszej wzajemnej... antypatii. Bo dotąd wszystko wydawało się za słodkie i za proste...

– Stello, nie wiem, co mnie opętało... – próbuje ratować sytuację Izabela.

– Zostaw to. Tak jest dobrze, atmosfera się oczyściła.

Stefan daje dyskretny znak żonie, że powinna ich zostawić samych; wierzy w swoje zdolności dyplomatycznie. Izabela, niezatrzymywana, wychodzi. Stella wciąż jest w szoku. Siada przy oknie i sprawia wrażenie, jakby zapomniała o obecności zięcia w pokoju. Patrzy na deszcz za szybą; jesień przysła, co skłania gości do powrotu do Polski, a ona nie ma już ochoty zatrzymywać ich na dłużej.

– Mogę coś powiedzieć? – decyduje się na pytanie Stefan.

Jego rola wobec tych kobiet jest mało wyrazista. Dotąd stał na uboczu, choć zna Izabelę i całe zajście zaniepokoiło go bardziej, niż to okazuje. Wie, jakie były przyczyny ich przyjazdu, zna rozterki swojej żony, ale to, co zastali tu, na miejscu, też nie daje mu spokoju. Widzi podobieństwa, widzi różnice. Teraz stara się pozamykać otwarte rany, chociaż to niewdzięczne zadanie i chyba ponad jego siły.

– Przepraszam cię za jej słowa. Iza żyje od dawna w wielkim napięciu. Przygotowywała się do waszego spotkania, była strasznie spięta, nie wiem, jakim cudem radzi sobie z tym wszystkim... Cały czas wydawała się taka... zbyt spokojna i prostolinijna... W końcu to w niej wybuchło, dostało się komuś najmniej winnemu. Staram się ją zrozumieć, podobnie jak ciebie...

– Nic o mnie nie wiesz – przerywa Stella, nadal wpatrzona w okno i gaj pomarańczowy tonący w strugach deszczu. – Nie jestem wobec niej w porządku, wiem. Nigdy nie próbowałam jej odnaleźć, nie przyszło mi do głowy, że mogła mnie potrzebować. To zawsze jest wyraz jakiegoś dręczącego nas niepokoju, kiedy szukamy tego, czego nam życie poskapiło na skutek cudzych wyborów. Nic nie jest jasne, dopóki sami tego nie

zaczniemy roztrząsać, tylko... nie da się oszukać uczuć. Moje są... inne niż jej. I ona to czuje. Ja jej nigdy nie pragnęłam poznać, zamknęłam ten rozdział i... teraz ona zadaje sobie pytanie, dlaczego byłam tak okrutna. Dla niej. Obojętna przez tyle lat! Chciałaby wnikać do mojego umysłu i poszukać tych momentów, kiedy musiałam myśleć o dziecku... wszystko jedno dlaczego... ale wracałam myślami do momentu, kiedy zdecydowałam się ją porzucić. Taką słabą i bezbronną... zostawić! Ona mi tego nigdy nie zapomni, co więcej, uświadomiła mi, że popełniłam zbrodnię, sama latami nawet się o to nie podejrzewając.

– Nie miałaś innego wyjścia...

– Zawsze jest jakieś wyjście, tylko brakuje nam odwagi.

Stefan wie, że ich przyjazd tutaj był właśnie aktem odwagi. Ale nie znajduje nic godnego potępienia w postawie niedawno poznanej kobiety. Stara się załagodzić to, co wyszło na jaw w związku z osobą Tristana. Tak, to może być żenujące: zastać swoją matkę w objęciach młodego mężczyzny, znaleźć ją po latach i poznać jako kogoś zupełnie nieoczekiwanego, godnego być może potępienia, bynajmniej nieświęcącego przykładem. Stella okazała się kobietą, która świadomie wybrała życie lekkie i wolne od trosk, lubiła się dobrze zabawić i nie stroniła od przygód erotycznych, znajdując w nich ciągle nowe i ekscytujące natchnienie dla swoich skandalizujących powieści. Pisała przeważnie o skomplikowanych układach, o miłości zakazanej i często tak bardzo fizycznej, że aż niezasługującej na miano uczucia. Raczej namiętności, zmysłowej gry, która potrafi upokarzać i przekraczać granice przyzwoitości, a wszystko w imię li tylko cielesnej przyjemności. Czegoś krótkotrwałego i przepełnionego egoizmem.

Stefan i Izabela nawet nie podejrzewają, że ich spotkanie obudziło wiele dawnych wspomnień, stało się początkiem nowej Stelli. Zmierza w skrytości swoich wewnętrznych zwierzeń do tamtej piętnastolatki, która chciała o sobie zapomnieć. Teraz jest taka, a nie inna, bo nadal nie umie wszystkiego sensownie pozbierać. Ale próbuje. I już sam fakt, że się tego podjęła, że na dysku w laptopie gromadzi swoje uczucia i myśli, stwarza inną jakość jej

osoby. Już nie ucieka i niczego nie zaciera. W gruncie rzeczy odczuwa ulgę, że może się z wolna pozbywać tego balastu, który narastał w niej przez lata. Teraz, za sprawą zwierzeń przed córką, a może też przed Tristanem. Ci dwoje uświadamiają jej swoją niecodzienną obecnością potrzebę odważnego spojrzenia w przeszłość. Tego potrzebuje, jak wspomnienia lawendowego kapelusza, który całymi latami majaczył jej w głowie niczym żagiel na horyzoncie. Czy mówiła o nim Izabeli? Chyba nie... To zbyt intymne. Jest symbolem czegoś nieuchwytnego, nieosiągalnego... jakiejś tęsknoty za inną Stellą, której już nie ma i nie będzie. Ale którą mogła być.

Czasem milczenie jest najlepszą formą porozumienia. Stefana dręczy jeszcze coś. Czuje, że powinien być szczery do końca.

– Kiedy poznałem Izę, wydawała się jak ze spiżu. Twardo stąpająca po ziemi, nie lubiłem w niej tego doskonałego spokoju i siły. Wydawała się kimś innym, udawała przede mną siebie, jaką nigdy nie była. Długo musiałem odkrywać jej prawdziwe uczucia i myśli. Bo przenika ją strach. Ona ciągle jeszcze boi się braku akceptacji, porzucenia. To w niej czasami narasta do tego stopnia, że trudno jej zwyczajnie funkcjonować. Po urodzeniu Matyldy jakiś czas leczyła się psychiatrycznie. Wydaje się stabilna, ale... czasem nie mam pojęcia, o czym myśli, jest taka... osobna! Wykreowana.

Stella rozumie jego niełatwe wyznanie w szczególny sposób. To jeszcze jeden zarzut pod jej adresem. Nie chce, nie ma siły się znowu tłumaczyć. Wie, że nie istnieje dobre alibi dla zafundowania komuś takiej traumy. I jednocześnie zaczyna rozumieć, dlaczego tych dwoje jest razem. Stefan nie jest adoniszem, ale ma wspaniały charakter. Stał się dla Izabeli kimś więcej niż powiernikiem i opiekunem. Jest substytutem matki, której ona nigdy nie uznała. Wolała szukać tej nieobecnej, niż docenić tę obok siebie, jedyną, jaką miała. Przykre, niesprawiedliwe, ale prawdziwe, i on o tym wie. Może sam służył jej za uosobienie bezpieczeństwa?

– Jesteś dosyć widoczna, nietrudno odnaleźć pisarkę twojej klasy w Toskanii. Nie pielęgnujesz specjalnie swojej prywatności. Czy to znaczy, że...

– Nie, mylisz się, ja nigdy nie czekałam na swoją córkę. Dawno o niej zapomniałam, taka jest prawda. Nie była mi do niczego potrzebna! Teraz też, niby się znalazła, ale właściwie głównie po to, by zburzyć mój spokój. Od pewnego czasu ktoś... – Omal się przed nim nie wygadała, że od pewnego czasu ktoś jej grozi, może nawet zagraża. Nie chce o tym mówić. Widząc, że wzbudziła zainteresowanie Stefana, zbywa go: – Najlepiej nie wracajmy więcej do tego, co dziś zaszło. Może po prostu powiedziałyśmy sobie kilka słów prawdy. Prawda nie zawsze wyzwala. Mnie z prawdą nie jest do twarzy. Nauczyłam się zręcznie blagować, robię to od lat, już sama nie pamiętam, jak faktycznie mam na imię... Kłamstwo mi pasuje jak nowa sukienka. Tego nie można zrozumieć, jeśli się nie jest kobietą mojego pokroju. Izabela dorastała w innym środowisku i powinna być wdzięczna losowi, że oszczędził jej takiej matki.

– Okej, jak sobie życzysz... ale to nie tak, ona cię zaakceptowała od razu, tylko jest pod wielką presją, nadal do niej nie dociera, że się odnalazłaś. Daj jej czas. Wracając do twojej osoby jako pisarki... chciałem powiedzieć, że cię podziwiam. Za to, że jesteś taka samodzielna i wyjątkowo uparta w tym, co robisz. Takie spotkania z młodymi ludźmi, z tymi, którzy dopiero zaczynają coś pisać, to kuźnia charakterów, ale i niełatwe zadanie. Co robisz, jeśli widzisz, że ktoś na przykład pisze niezbyt oryginalnie? Dajesz mu nikłe szanse na zaistnienie...?

– Nie jestem wyrocznią, mogę się mylić. Tyle dzisiaj książek wydają, także w Polsce, z tego co wiem, a wiem. Aż strach być pisarzem i wejść do księgarni. Okładki kłębią się, przytłaczają, biją po oczach! Reklama nie wyławia tych najwartościowszych. Zresztą co to znaczy wartościowy tekst? Dla każdego może to być coś innego! Wielorakość to także pułapka wyboru. Kiedy przyjeżdżają tu młodzi, mówię im zazwyczaj, że pisanie to rodzaj powołania. Nie każdy może być kapłanem lub lekarzem. Tak samo z pisaniem. Pojawiła się moda na bycie pisarzem, ludzie sięgają po ten środek wypowiedzi z nadzieją, że uda im się przebić w gąszczu tyłu nazwisk i tytułów. Dla nich powstają warsztaty pisania, moim zdaniem duża pomyłka, bo jeśli ktoś tego sam w sobie nie umie wzbudzić i wypowiedzieć, to

warsztat tworzy sztuczną rzecz, na podstawie punktów i cudzych rad, obcych doświadczeń. Żeby pisać, trzeba mieć coś do powiedzenia, jeśli kogoś męczą takie traktowanie swojej drogi twórczej albo wydaje mu się, że dobre rady innych coś w jego twórczości naprawią, to nie jest w moim pojęciu artystą, tylko wyrobnikiem. Poetą też się nie można nauczyć być. Poetą trzeba się urodzić, tak jak pisarzem; to wymaga specyficznego spojrzenia na świat, myślenia innymi kategoriami, których nie można się od nikogo nauczyć. Nie istnieje coś takiego jak gotowy warsztat pisarski, do którego wystarczy zasiąść jak do krosien i wszystko zacznie się samo kręcić. To albo jest, albo tego nie ma. Z tym się żyje na co dzień i w obecności tego czegoś załatwia się wiele prozaicznych spraw, często wbrew czy mimo tego, że pod skórą czai się w nas inny człowiek, ten niepokorny twórca, który dochodzi do głosu w odpowiedniej chwili, albo cały czas jest obecny i zawraca głowę, bo po prostu nie umie żyć w ukryciu, zamilknąć, kiedy trzeba... Dużo gorzej, jeśli ktoś sobie po prostu założył, że będzie pisał. Niestety, czasem tekst sam krzyczy: „mnie tu miało nie być!”. Ludzie bywają pozbawieni cienia krytycyzmu. Przysyłają swoje dezyderaty i proszą, by ich pozytywnie ocenić. Często nie mam siły ani cierpliwości, by się przez takie twory przebić. Są też tacy, co produkują w tempie współczesnych taśm montażowych. U nich dużo oznacza dobrze. W ich pojęciu pisanie to liczenie znaków. Nie mają opamiętania, piszą z łatwością i ledwie połowa z tego zasługuje na uwagę, albo i mniej... W dodatku jak się człowieka uczepią, to produkują wciąż nowe potoki słów! Nie nadążam czytać, a tu następne nadciągają... Czasem to jest zwyczajny bełkot, epatowanie skojarzeniami. Zupy z robakiem, który wylazł z jabłka, felgi z matizem, baletu z powrozem, galop słowotoku! Tylko najbardziej wytrzymałych doprowadzi do jakiegoś portu, ale niekoniecznie sensu. Są też piszący na siłę. Męczą się ogromnie, po sto razy zmieniają, czytają i poprawiają, ciągle niepewni swego zdania. A to przecinek, a to słowo, cyzelując do gładkości jedwabiu. Ale w gruncie rzeczy nie mają nic do powiedzenia, tylko forma ich zajmuje. Pusty czerep, który bez końca doskonałą! Tak naprawdę ludzi nie obchodzi ten ich wibrujący niepokój twórczy. Równie dobrze mogliby się zająć gotowaniem albo uprawą przydomowego ogródka. Z pietyzmem, starannością i znajomością wszelkich

reguł.

– Poruszyłem czułe miejsce?

– Coś w tym guście. Nazwiska mi się mylą, jest ich zbyt wiele... gdyż chciałabym należeć do tych, którzy są czytani dla nich samych, a nie dlatego, że „to się lepiej sprzedaje”. Wbrew pozorom w każdej mojej powieści staram się ukazać człowieka, z jego małością, podłością i zdradą. Przepojonego wścibstwem, zawiścią albo fałszem. Ale ten człowiek się zawsze podnosi, pozostaje wierny pewnym niełatwym ideałom. Może nie wybiera najprostszej drogi, ale tą najbardziej szlachetną, nawet jeśli wie, że stoi na z góry przegranej pozycji.

– Tu jest inny rynek wydawniczy niż w Polsce, ale wiem, że nie zapraszasz tu tylko Polaków.

– Debiutant jako taki ma i łatwo, i trudno. Bo nad takim początkującym autorem roztacza się czasem życzliwą opiekę, jeśli ma szczęście natrafić na kogoś, kto w niego uwierzy, może liczyć na przychylność mediów. Tylko że często pozostaje bohaterem jednej akcji. Autorem jednej książki, zniechęconym, że po ukazaniu się jego tytułu świat pozostał taki sam, nic się nie zmieniło. Można też wydawać dużo, ale nadal tkwić w anonimowości, mimo wielu wysiłków, bo nie ma się drogi ani narzędzi, by wejść w tłum i pozwolić ludziom wybierać. Reklama, media skutecznie podają, jak na tacy, tych wyselekcjonowanych. A reszta tylko ślizga się gdzieś po obrzeżach. Nakłady są często małe, a i tak sprzedają się latami, bo leżą smętnie na półkach w księgarni, pośród setek innych, i tylko ślepy traf decyduje, że ktoś po nie sięgnie. Trudniej jest wydać drugą powieść, bo nadal tkwi się w anonimowości i zbyt wielu ludziom trzeba tłumaczyć, że jest się już po debiucie. Paradoksalnie wszyscy żywią przekonanie, że debiut może przetrzeć szlaki i ułatwić dalszy byt artystyczny. Tymczasem żyjemy w czasach masowej kultury, która zalewa nas wytworami o przeciętnym poziomie z nastawieniem głównie na zysk. Na literaturze też można się szybko wzbogacić. I dobrze, jeśli wśród gwiazd błyszczą takie, których blask nie jest li tylko zręczną podróbką czy potoczystym słowotokiem. Bo

większość pisarzy robi swoje na przekór i mimo wszystko. Dlatego organizuję te spotkania z młodymi, z tymi, którzy mają coś do powiedzenia, bo chcę im dać szansę! Mnie też ktoś pomógł, chociaż zupełnie inaczej. – Stella uśmiecha się do własnych myśli, wspomnień... – Widzisz, cała rzecz w pisaniu polega na znalezieniu swego stylu. To przychodzi z czasem i z tym właśnie specyficznym niewolnictwem ukrytego bytu. Bytu spoza życia, ale i wraz z nim. Bo pisarzem się jest, nawet jeśli akurat miesza się zupę w garnku dla kilkusobowej rodziny albo słucha połajañ nauczycielki na wywiadówce. Kiedy się oddaje samochód do warsztatu i przyrządza koktajl dietetyczny. Tego nie można z siebie zdjąć i zostawić w przedpokoju, jak parasola czy mokrego płaszcza. Z tym czymś się idzie do znajomych, na porodówkę, z tym czymś łąduje się z kochankiem w łóżku i z tym się też pewnie umiera... albo cierpi, jeśli jest się na przykład nieuleczalnie chorym. Nie twierdzę, że mam monopol na pisanie, ale wiem, że to musi z człowieka wyrastać, jak dodatkowy palec u dłoni. Nie zawsze jest potrzebny czy mile widziany, wręcz nam utrudnia życie! Ale jest. Czai się jak złodziej w mroku, bo jest na swój sposób taki właśnie... obiera nas ten ukryty ktoś... ten, który pisze... z nas samych, po trochu... Możemy nie zauważyć, jak zręcznie przeniknie do naszego życia albo zacznie się żywić tym, co w naszych trzewiach znajdzie. Bo mania pisania pasożytuje na piszącym, który jej ulega. Człowiek staje się żywicielem wewnętrznego pisarza...

Stella zamyśla się na moment, ale nie zapomina o swoim rozmówcy, który chyba nie zrozumiał ani słowa z jej wywodów. W myślach karki samą siebie za przesadne gadulstwo. Właściwie nie ma pojęcia, dlaczego tyle słów nagle z niej popłynęło do tego prawie obcego człowieka. I przede wszystkim po co mu to powiedziała. Wydaje się nieco zakłopotana. Uśmiecha się pojednawczo i próbuje swój wybuch elokwencji jakoś zatuszować zwyczajnością. Przydeptać jak niedopałek papierosa.

– Padamy ofiarą ludzi przeciętnych, którym wydaje się, że znacznie lepiej od nas wiedzą, co i jak powinniśmy pisać. Naginają nas do swoich możliwości. Czasem tak bywa. Szczęśliwi ci, którzy od razu natrafili na czytelników, z ominięciem znawców. Błogosławieni ci, którzy bywają

niezmienni, albowiem do nich nigdy nie będzie należeć popularność. Dlatego między innymi ja pozwalam sobie na pisanie „jak lubię”.

Stefan jest tylko stomatologiem, może i znakomitym, lecz nie znajduje dość błyskotliwej, w swoim pojęciu, odpowiedzi.

– I tak mogłeś mnie odebrać jako sensatkę i gadatliwą babę, która wynosi ze spotkań autorskich swoje nawyki i przyzwyczajenia! Bo skoro tam trzeba gadać dużo i najlepiej potoczyście, to... – Uśmiecha się wyrozumiale i już nic nie dodaje.

*

– Mam nadzieję, że porzuciłaś swoje szalone pomysły?

Stefan pomaga żonie w pakowaniu. Jest wieczór i następnego dnia wybierają się do Florencji, skąd wyruszą w dalszą podróż powrotną do Polski, konkretnie do Krakowa. Tylko ich córka jest smutna, bo polubiła babcię, chociaż mówi do niej Porcinia, od włoskiego słowa *porcini*, borowik.

Matylda chciałaby tu jeszcze pobyc także dlatego, że niespecjalnie spieszy jej się do szkoły.

– Skąd takie pytanie? – dziwi się Izabela. – Przecież wyjeżdżamy.

– I już nie pojeżdżę na koniku! – Obrażona Matylda wtrąca się do rozmowy rodziców. – Porcinia chciała mi podarować jednego!

– Nie zabrały się z nami do samolotu. – Izabela uśmiecha się i całuje rumiany policzek córki. – Tymczasem możesz jej jeszcze trochę poprzeskadzać, nim wyjedziemy. No, leć do babci, widziałam ją w kuchni na dole.

Dziewczynce nie trzeba dwa razy powtarzać; szybko nauczyła się podstawowych zwrotów po włosku i zna cały rozkład dużego domu. Jeśli gdzieś nie będzie umiała trafić, to z pewnością dopyta. Małżonkowie zostają sami i mogą porozmawiać swobodnie.

– Powinnaś jej powiedzieć, że byłaś wcześniej na warsztatach – stwierdza Stefan.

– Ona nie pamięta wszystkich uczestników, nie ma pojęcia, że tu byłam... Niczego nie zauważyła!

– Bo miałaś inny kolor włosów i zaplatałaś warkocze, udając młodszą...

– To ona udaje młodszą, robi to cały czas!

– Jakoś ci to nie przeszkadzało, póki nie zjawił się Tristan, ale przecież musiałaś wiedzieć o nim już wcześniej!

– Nie miałam pojęcia, jaką rolę przy niej gra... Myślałam, że jest tylko muzykiem, który ją odwiedził, jednym z wielu... Teraz... myślę, że ona sypia z kim popadnie!

– Musisz się pogodzić z tym, że znalazłaś taką, a nie inną kobietę. Pamiętam, jaka byłaś szczęśliwa, kiedy się okazało, że twoja matka to znana pisarka. Uznałaś to za prezent od losu. Dlaczego teraz myślisz inaczej?

Izabela zamyśla się i szuka uczciwej odpowiedzi, co zajmuje jej trochę czasu:

– Nie myślę inaczej, nadal jestem z niej dumna, tylko że boli mnie... Bo widzisz... ona mogła mnie szukać skuteczniej i z pewnością dla niej byłoby to o wiele łatwiejsze...

Stefan zna żonę i stara się ją chronić, czasem aż za bardzo.

– Miałem nadzieję, że potrafisz się dostosować. Ona nie kryje się przed nikim, jest aż nazbyt widoczna. Ten blog, który prowadzi, i spotkania... Kiedy już wiedziałaś, że to ona, znalezienie adresu nie nastęczyło ci żadnych trudności! Wiedziałaś, jaka jest, a mimo to usiłowałaś ją podpatrywać? – Kręci głową z jednoznacznym potępieniem. – Czy nie wydaje ci się to zwyczajnie nieuczciwe?

– Kogo tak zaciekle bronisz? Widzę, że i ciebie okręciła sobie wokół palca! Kokietka i zwyczajna manipulantka! – Izabela jest wyraźnie poirytowana jego postawą.

– Przyznaję, że Stella to atrakcyjna kobieta, ale twoje pytanie i zarzuty są

śmieszne. Nie potrafisz myśleć rozsądnie. Co się z tobą dzieje? – Stefan nie kryje zaniepokojenia.

*

„A jednak w dalszym ciągu tkwisz we własnym egoizmie. Nie próbujesz znaleźć w sobie skłonności do odkupienia...”

*

– Powiedziałaś mi, gdyby cię coś dręczyło? Albo gdyby ktoś cię prześladował? – pyta Izabela, gdy żegnają się przed wyjazdem.

Właściwie komu powiedzieć jak nie własnej córce? O anonimach i nękanii. I znowu przychodzi jej z odsieczą myśl, że nie ma prawa uważać się za matkę tej dzielnej młodej kobiety. I skoro tyle czasu milczała, postanawia milczeć dalej.

– Sądzisz, że zasługuję na porcję udręki? – Używa wybiegu, by wykręcić się od odpowiedzi. – Wiem, że teraz, kiedy się poznałyśmy, wolałabyś zamiast mnie inną kobietę...

– Co ty wygadujesz? Jesteś niepowtarzalna!

Pisarka nie zaprzecza. Może to i prawda...

– A Tristan? Czyż nie jest wyjątkowy?

Zmieszana Izabela odwraca nagle wzrok i spostrzega, że Matylda gdzieś się oddaliła.

– Była tu przed chwilą...

Unika odpowiedzi. Stefan też udaje, że niczego nie słyszał. Rozgląda się bezradnie za dzieckiem. Stella nie ponawia pytania, nie docieka. Jakąż trzeba być lekkomyślną matką, żeby zadać dorosłej córce nietaktowne pytanie o własnego dużo młodszego kochanka! Pęd życia? Zanik wyobraźni? Głupota? Zwyczajna gruboskórność? Może nawet wulgarność. Z pewnością spore nadużycie. Postanawia więcej nie pomagać Tristanowi w zaakceptowaniu go przez Izabelę. Dziś jest, majaczy na horyzoncie miłych

wspomnień, lekkich i błyszczących jak jedwabne pończochy... A jutro... nie ma gwarancji, że się wkrótce nie ewakuuje! Nieznośne jest życie w tej niepewności. Niby pociąga ją swoboda i wolność, ale czuje też wstyd wobec Izabeli za słowa, które mogły sprawić jej przykrość.

– Jak to możliwe, że tylu ludzi stało i nie zauważyło, jak dziecko zniknęło? Przecież nie jest szpilką! – Izabela wpada w histerię.

– Jest nas dużo, czyli szybko ją znajdziemy. – Stella odchodzi żwawym krokiem w stronę stajen, zadowolona, że może zejść z oczu córce, na którą nie zasłużyła.

– Dlaczego ona wszystko musi wiedzieć lepiej? Wyobraża sobie, że ma zielone pojęcie, gdzie taka mała dziewczynka mogła się zapodziać? I dlaczego to zrobiła?

Izabela się nie martwi, tylko oskarża.

*

Stella odnajduje Matyldę pośród koni w ciepłej stajni. Siedzi ze swoim ulubieńcem. Na widok babci woła radośnie i wychodzi z boksu, nie domykając za sobą drzwiczek.

Przybiega stajenny i zaczyna się tłumaczyć:

– Mała sama tu weszła. Gdybym wiedział!... Ale nie miałem pojęcia...

– Zostaw, nic się na szczęście nie stało. – Kobieta staje wraz z dziewczynką na progu, klęka obok niej, ale nie zamierza strofować.

– Chciałaś się pożegnać z Paolitem? Przecież już to wczoraj zrobiłaś...

– Bo ja nie chcę wyjeżdżać, Porcinia... – Dziecko obejmuje ją za szyję i przytula się, pociągając noskiem. Stella szuka po kieszeniach chusteczek higienicznych.

– Nie martw się, wkrótce znów przyjedziesz, a mnie stąd nic nie ruszy!

– Chciałabym jeszcze zostać z tobą...

– Jesień nie jest tu zbyt ciekawa, zwłaszcza kiedy przechodzi w zimę. Nie jest już tak kolorowo, ludzie mają więcej pracy, a takie małe dziewczynki jak ty wybierają się do szkoły...

– Ale ja mogłabym tutaj... – dąsa się Matylda.

– Nie wiem, ile byś zrozumiała z lekcji, kochanie. Przecież tu wszyscy mówią po włosku, nawet dzieciaki, a ty za mało jeszcze umiesz.

– Musisz tu siedzieć? Dlaczego nie pojedziesz z nami do Polski? Myślałam, że wrócimy razem. – Mała zaczyna płakać na dobre i Stella tuli ją bezradnie w ramionach.

Odzywa się komórka w kieszeni jej kurtki.

– Słyszysz? Mamusia się martwi – wyjaśnia, odbierając połączenie. – Tak, spokojnie. Jest ze mną. Już do was idziemy.

Matylda ściska ją za szyję bardzo mocno, wręcz kurczowo, i nie puszcza.

– Porcinia? Dlaczego mama cię nie lubi?

Kobieta jest zaskoczona tym pytaniem. Zupełnie nie wie, co odpowiedzieć, i stara się zignorować wewnętrzny niepokój. Nie ma żadnego doświadczenia w rozmowach z dziećmi, zwłaszcza na trudne tematy.

– Skarbie... mama i ja... kiedyś ci to wytłumaczymy. I nie myśl, że się nie lubimy. To nieprawda. Teraz musisz iść ze mną do rodziców, bo spóźnicie się na samolot. Chyba nie chcesz, by się martwili?

Nie potrafi z małą postępować, słyszy fałsz we własnych słowach i to ją peszy. Skąd ma nagle posiadać taką wiedzę? Nigdy wcześniej nie musiała żadnemu dziecku niczego wyjaśniać ani do niczego go przekonywać. Żyła dotąd w świecie ludzi dorosłych. Co więcej, sama musiała dawno temu szybko dojrzeć, żeby im dorównać. Nie chce zbywać Matyldy byle czym, ale czuje, że jest nieautentyczna i to wprawia ją w zakłopotanie.

– No dobrze, obiecuję ci, że za parę tygodni, może ciut dłużej – uzupełnia mimochodem – znów się zobaczymy. Znasz mój adres i możesz do mnie pisać, kiedy zechcesz, a ja zawsze odpowiem. A poza tym – aż jej wstyd za tę

próbę nieudolnego przekupstwa – każdego miesiąca wyślę ci jakiś prezent. Coś stąd, dobrze? Nie płacz już, bo mamusi będzie przykro. Jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś zrozumieć, że tato i mama wracają do pracy, a ty idziesz do szkoły.

– To w końcu jaka jestem? Mała czy duża? – zauważyła rezolutnie Matyllda.

Stella uśmiecha się bezradnie, nie umie się odnaleźć wobec jej prostolinijności. Na szczęście dziecko nie upiera się szczególnie przy tym pytaniu, bo ma w zanadru wiele innych.

– A zimą tu spadnie śnieg? Koniki po śniegu biegają?

– Koniki lubią biegać.

– A mają kozaczki?

– Nie potrzebują butków, wystarczą im kopytka.

– A latać umieją?

– Co takiego?

– Jak na tym obrazie w twoim pokoju. Tam jest konik na niebie. I kózka, z krówką, kogut i taki długi pan w czarnej rurze, z księżycem, i z chmurkami.

Ulubiony Chagall wiszący w sypialni Stelli. Wszystko tam jest magiczne i krąży w przestrzeni ponad skośnymi dachami ukochanego Witebska. Zastyga w pełnym odrealnieniu.

– Artysta, który to wszystko namalował, tęsknił do swego domu, bo mieszkał daleko. Wszystko, co pamiętał, umieścił na obrazie, żeby nie zapomnieć.

– I też nie chciał tam wrócić?

– Nie mógł... Tak bywa.

Dziewczynka wzrusza ramionami, nie pojmując. Na szczęście już ją to nie obchodzi. Rozterki pewnego malarza są poza jej zasięgiem. Woli

przewidywalne zwierzęta.

– A koniki są duże?

– Każdy z nich był kiedyś mały.

– Naprawdę?

– Żrebaczki są malutkie i trzymają się mamy. Jak będziemy czekać na kolejne źrebiątko, to sama zobaczysz...

– I spadnie tu śnieg? Myślałam, że będzie ciepło.

– Ciepłej niż w Polsce, ale też może być mróz, śnieg i lepienie bałwana.

– A konikom się nic nie stanie? I pieskom...?

Stella jest zdumiona:

– Co ty się tak martwisz?

– Mama nie lubi zwierząt. Nie chce, żebym miała pieska albo kotka. Boi się też koni – wyjaśnia dziewczynka.

Znów słychać komórkę.

– Mama na nas czeka!

– Ona nie chciała tu przyjść, wiesz?

Stella woli teraz nie dorabiać teorii spiskowej. Wie, że zastanie poirytowaną Izabelę, i chce dziewczynce oszczędzić wyrzutów. Sobie też.

– Dlaczego ty musisz być tu, a ja tam? – domaga się wyjaśnień Matylda.

– Świat jest duży i wszyscy nie mogą przebywać w tym samym kraju. Kiedyś zapragniesz podróżować i przekonasz się, że warto szukać swego miejsca na ziemi.

– Ja już tu przypodróżowałam i nie chcę wracać do domu. Proszę, ukryj mnie gdzieś, Porcinia... – Dziewczynka znów płacze.

– To jakaś zabawa? – Stella jest wytrącona z równowagi, niecierpliwi się.
– Nie możesz być taka niegrzeczna!

Matylda milknie, wydaje się zasmucona. Poważna. I tylko przewierca babcie na wskroś swoimi czystymi, niewinnymi oczami. Od tego spojrzenia nie ma ucieczki. Konsternacja pozbawia Stellę resztek dobrej woli. Wpada w złość, bo nie potrafi sobie poradzić z kilkulatką!

– No, chodź w końcu! Chcesz, żeby mama jeszcze bardziej mnie zniechęciła?! Jestem beznadziejną babcia i fatalną matką!

Nie zwracając już uwagi na protesty, nieciekawą reakcją na swoje słowa, mało delikatne i pozbawione empatii, siłą wyciąga dziecko ze stajni i prowadzi do rodziców.

*

Zima zazwyczaj opanowuje ten skrawek ziemi w połowie listopada. Wtedy śnieg spada z nieuchronnością upływu czasu, kładzie się równą kołderką na wszystkich drzewach, roślinach i ścieżkach w ogrodzie. Domownicy częściej zbierają się w ogromnej kuchni, gdzie zawsze jest ciepło i przytulnie, mimo przestrzeni, kamiennych kolumn i wysokiego sklepienia. Tu zazwyczaj upływają pierwsze, ospałe tygodnie zimy, nim na dobre rozpoczyna się przygotowania do świąt.

*

Jak to dobrze mieć agentkę, która poza swoimi stałymi obowiązkami wysłuchuje wszystkich plot!

– No, opowiadaj – żąda Nancy.

Stella cieszy się z jej przyjazdu, bo mają sporo spraw do omówienia, ale żeby sama miała zaległości...? Tego nie kojarzy.

– Niby co?

– Jak tam twoje sprawy sercowe? To prawda z Batiano? Wiesz, mnie on zawsze wydawał się nieco... eunuchowaty. No a ten ciemnoskóry Croll... bez dwóch zdań! Ciało ma jak gladiator i twarz niczego sobie, rysy mało... negroidalne, ha, ha, ha! No, wiem, wiem, to nie boski Stiller, ma się rozumieć, choć ten ostatni jednak strasznie smarkaty! Jak się ubierze we frak

albo tak jakoś oficjalnie, na ciemno, to owszem. Ale jak u ciebie łąził w dżinsach biodrówkach i koszulkach, to jakiś taki... chudy i szczypiorkowaty mi się wydawał. Licealista! Chłopczyk z college'u. Jeszcze jak tę blond kitkę z tyłu zwiąże... Ile on ma właściwie lat?

– Wciąż mnie o to pytasz, dwadzieścia osiem.

– Taaak... popatrz! Myślałam, że młodszy! Ale wróćmy do Batiano. To prawda, że coś między wami jest?

– Nie. – Stella stara się zachować powagę, ale w końcu nie wytrzymuje i parska śmiechem. – Uczył mnie grać w golfa!

– I co?

– Nic, okropne nudy.

– O niego pytam!

– Zgodził się zaprojektować stroje na mój zaplanowany po świętach bal maskowy i ogólnie aranż robi.

– Rany! Pytam o faceta, a ty mi same banialuki wciskasz. Jaki jest?

– Normalny.

– Oj, jaki jest w łóżku? No? Powiedz...

– Nancy!

– Mnie nie chcesz powiedzieć? Przecież wiesz, że jestem dyskretna!

– Akurat! Mamy tyle spraw do omówienia. Jadę na kilka dni do Francji i musimy pomyśleć nad oświadczeniem w sprawie Izabeli. A może lepiej zwołać małą konferencję dla prasy? Dosyć tych spekulacji w tabloidach. Czas na oficjalne dementi i szczerść.

Nancy jest nabuzowana emocjami na całkiem inny temat, ale widzi, że na razie nie uda jej się niczego z pisarki wyciągnąć.

– Taaak, czeka nas kolejne obłądnie nudne popołudnie!

*

Croll – muzyk sesyjny, który zrobił w ostatnich miesiącach niezłą karierę solową, celebryta bywający w różnych miejscach i programach, głównie dla własnego lansu – miał całe pokłady przyjaciółek. Werbował je głównie wśród aktorek i wokalistek. Niektóre były bardzo znane, z różnych zresztą rzeczy, choćby rekordowo długich paznokci. Co rusz widywano go z inną. Krążyły o nim plotki, na przykład, że jest biseksualny, związał się ze swoim managerem i to on dostarcza mu świeżych pańienek, a nawet razem chadzają na nie do klubów. Dla Stelli ta znajomość była czystym przypadkiem. Cóż może na to poradzić słaba kobieta? W jednej chwili coś się stało. Wyładowanie elektryczne. Spojrzeli na siebie. Potem wypili razem drinka. A w końcu... skończyli u niego na wspólnym śniadaniu.

Nie był tak dobry, jak powiadano w kuluarach, ale też nie rozczarował. Okazał się perwersem, bo lubił się kochać ze słuchawkami (li tylko!) na uszach, ani na moment nie wypadając z rytmu. Podobno najlepiej mu się rzucało w takt muzyki Moby'ego. Przy czym odtwarzacz umieszczał w gnieździe swojej obfitej fryzury typu afro. Miał na brzuchu liczne nacięcia i blizny, które ponoć świadczyły o jakiejś inicjacji plemiennej. Interesowały go rytuały ciemnoskórych przodków, którymi się szczyił, choć jego matka była kawowomleczna i pochodziła z Karaibów. Ojciec, dobry lekarz, specjalizował się w chirurgii naczyniowej i raczej nie zachwycał go fakt, że jednak nie ukończył żadnej przyzwoitej szkoły; Croll był muzykiem-samoukiem i pierwsze wprawki robił na gitarze kupionej na raty od kolegi.

Inspirowała go też muzyka peruwiańska. Te wszystkie fujarki i piszczałki, dziwaczne prymitywne instrumenty perkusyjne, pudełka z suchymi ziarenkami – potrząsanie wydobywało z nich dźwięk przypominający syk węża.

*

Stella siedzi na stoliku pod oknem i pisze. Na kolanach trzyma notes, opiera łokieć na parapecie i od czasu do czasu zerka na ponurość ogrodu moknącego smętnie w deszczu.

Dom posiada dwie kuchnie. Jedną bardzo dużą, gdzie urzędują gospodynie ze wsi i dowodzą dwie kucharki. Uruchamia się ją na czas zjazdów gościnnych, kiedy mnóstwo ludzi stołuje się w posiadłości. Przez środek wielkiego pomieszczenia biegną równolegle dwa stoły. Nad nimi prezentuje się okazała kolekcja miedzianych garnków i lśniących patelni oraz rusztów. Pośrodku znajduje się szyb kominowy, a u powały wiszą wiązki ziół i sznury czosnku. W narożniku stoi okazały piec chlebowy, w którym pali się wybranymi kawałkami drewna i wiązkami leśnego chrustu. W jedną ze ścian wbudowano regał na wina i soki. Pobielone ściany, przetykane drewnem, nadają rustykalnego charakteru wnętrzu z wysokim sufitem i trzeszczącą modrzewiową podłogą.

Gdy liczba biesiadników jest mniejsza, zmienia się też kuchnia. Wówczas ruch odbywa się w znacznie skromniejszym, nowocześnie wyposażonym pomieszczeniu – ze zmywarką i dużą lodówką w miejsce kamiennych zlewów i krzyżowo sklepionej zimnej spiżarni, do której schodzi się po kilku stromych stopniach.

W tej kuchni pachnie olejkiem cytrusowym, na półkach króluje przyprawy i proste naczynia oraz rzędy kubków i chromowanych pomocy kuchennych. Właśnie tutaj siedzi teraz Stella, jedną dłoń zanurzyła we włosach i okręca ciemny kosmyk na palcu. Czyni to bezwiednie, zajęta swoimi myślami i pisaniem dosłownie na kolanie. Ma na sobie prostą wełnianą sukienkę, nieco przed kolana. Z jednej stopy spadł jej but, czego nawet nie zauważyła. Uruchomiła odtwarzacz, podłączony do głośników, i nastawiła na jedną piosenkę. Zupełnie jak Tristan! Ale ona słucha cudownych, starych, melodyjnych The Eagles: *Take it to the limit*. I kiedy Glen Frey wyciąga nuty i eksploatuje struny głosowe do cudownych fizycznych granic... wkracza kucharka. Najpierw przycisza muzykę, a potem

bezceremonialnie wyłącza odtwarzacz, kręcąc głową jak nad małą trzpiotką, która unika odrobienia lekcji.

– A ja wszędzie pani szukam! – oznajmia z pretensją w głosie. – *Di Dio*, czy to już nie ma innego miejsca dla najważniejszej osoby w Monte Fiore?

– Przeszkadzam?

– A gdzie tam! Tylko wygodniej chyba na pokojach. A co pani taka markotna?

– Jesień... pusto się zrobiło.

– Wiadomo, że tu pani miejsca nie zagrzeje, ino za wodę poleci, tylko patrzeć!

Istotnie. W połowie tygodnia Stella wybiera się do Londynu na plan filmowy. Pobędzie kilka dni z ekipą, która realizuje jej scenariusz. Potem uda się do Nowego Jorku, gdzie będzie nadrabiać zaległości towarzyskie, pochodzi na wystawy, pojawi się na kilku premierach, żeby o niej całkiem nie zapomniano.

– Coraz trudniej wyrwać się stąd do świata... – wyznaje zamyślona Stella.
– Dzisiaj jest w ogóle taki dzień, że najchętniej bym się położyła i przespała zimę.

– Bo pani nie odpoczęła uczciwie. Cały czas tyle ludzi! Co rusz ktoś z wioski się kręci, jakby wczorajszego dnia szukał, nie mogą się obyć czy jak? A jeszcze ta rodzina! Jesień powinna przypominać o odpoczynku, nawet drzewa biorą urlop. Zwierzęta też się szykują do snu. Jesień powinna być na odpoczęcie! A pani się smuci, jak nic do roboty nie ma. Tu zaraz się gorąco zrobi, bo będę piec.

– Nie szkodzi... Dobrze mi w tym kątku. Zaraz wina poszukam. – Stella schodzi na moment z szafki, wkłada but i zabiera z regału butelkę. Chce ją otworzyć, ale korkociąg się ześlizguje i kaleczy jej dłoń. Kobieta syczy na widok krwi. Kucharka spieszy z oliwą, by przetrzeć ranę.

– *Di Dio!* Pani nawet do tego za delikatna! – Sama bierze butelkę, otwiera

z wprawą i nalewa wina do kieliszka, prawie po brzegi, a potem podaje. –
Żeby nie było, że nieszczere! Na zdrowie i co by pani chandra przeszła!

– Już mi lepiej. – Stella ostrożnie, żeby nie rozlać, wypija kilka łyżków.
– A co pieczesz?

– Dziczyznę. I pasztety z grzybami. Chce pani co zjeść? Może nakroję
plastrów szynki?

– Wystarczy wino...

– Eee, jakoś pani schudła i zmizerniała... – Kucharka od razu znajduje
wy tłumaczenie. – Jak pisklę odleciało, skrzydełkami pomachując, to się
pusto i smutno zrobiło. Co to za zmyślna dziecina! Powiadają we wsi, że to
panina wnusia, prawda to?

– Tak, Matylda jest moją wnuczką.

– A czemuż to, uczciwszy Boga, dotąd jej u nas nie było? – Starsza
kobieta jest bardzo bezpośrednia. Nie zamierza bawić się w jakieś ceregiele.
– Córki też wcześniej nie widziałam...

– Kto inny ją chował... – Stella dolewa sobie wina. – Urodziłam ją, ale
nie mogłam jej zatrzymać.

– Nie jestem głupia ani ślepa, domyślam się, że była pani bardzo młoda.

– Nikt mi nie pomógł... tak wyszło. Pewnie mnie cała okolica palcami
wytyka?

– Przeciwnie, wszyscy podziwiają. A pani długo jej szukała?

– Nie szukałam... Sama mnie znalazła.

Żeby zatrzeć niemiłe wrażenie, kucharka zmienia temat:

– Szkoda, że pan starszy nie wiedział, że ma pani córkę. Ta jego rodzina
to... – Macha znacząco ręką. – Jak tu ostatnio byli jego synowie, to tylko
z adwokatem po polach ujeżdżali, jak po swoim. Pewnie im się widzi, że
mają jakieś prawa.

Hennesy miał dzieci z wcześniejszych małżeństw, od dawna dorosłe, które co rusz wraz z matkami próbowały sądownie uzyskać chociaż część udziałów w tutejszym majątku.

– Wie pani, ja myślę, że pieniądze to ludzi tylko dzielą. Może któryś z nich wszystkie te szkody wyrządza? Struł psa, zniszczył komputer. Przez złość. Ludzie powiadają, że jak kto ma żal do pani, to chyba tylko oni. Nikt podejrzany się tu nie kręci, a rodzina bywa gorsza od obcych.

– Nie powtarzaj plot!

– Ja ze szczerą życzliwością. – Kobieta bije się w piersi. – Przecież widzę, że się pani tym gryzie. Psa żal niemożliwie... Wiem, jak go pani kochała. A tu jeszcze szkody wyrządzone...

– Nie wiadomo, czy to ta sama osoba...

– A kto inny?

Stella odkłada notes, dolewa sobie wina i czuje w sercu pustkę. Taką, jaką panowała w latach osiemdziesiątych w polskich sklepach. Tylko szmaty do podłóg i ocet. Zewsząd zlatują się podejrzania...

– Nie wiemy nawet, czy to jakiś on, czy ona – wzdycha.

– Tylu mężczyzn się za panią ugania... Prawdy cholery nie mówią, może i jaka... żona, albo co...

Stella w myślach liczy, ilu żonatych poderwała albo raczej pozwoliła im się uwieść. Człowiek niby ma wolną wolę, choć sam wolny nie jest.

Do kuchni wchodzi kotka; najpierw wygina grzbiecik, a potem nagle zaczyna kasłać, pochyla łepkę i wymiotuje. Jej ciało kurczy się miarowo. Dopiero po chwili cichnie charkot z pyszczką, zaś na podłogę wychlustuje ciągnąca się ślina.

– Poszła! Świntucha jedna! – Kucharka macha ścierką. – Ladaco! Nażarło się to znowu czego i rzyga!

– Pewno podgryzała ligustrę, zawsze to robi, ale dzisiaj pada cały dzień...

chyba nie wychodziła?

– Ino niech brudzi w ogrodzie, bo nie znać, gdzie ją to trafia!

Nagle Stelli przychodzi coś do głowy, zrywa się, podbiega do kotki i ją podnosi.

– Ravel! – krzyczy. – Co się stało? Ktoś... cię otrul?!

Kucharka żegna się zabobonnie.

– *Di Dio!* Niech Bóg broni, kocisko głupie coś zeżarło, ani chybi to z tego, nie ma strachu!

Ale pisarka jest przerażona, chwytą ze stołu łyżeczkę i jej końcem rozwiera pyszczek zwierzęcia, zagląda mu do gardła, a potem wypuszcza. Pochylona nad podłogą uderza w deski otwartą dłoń, przyłapana na własnym strachu, do którego nie miała się zamiaru przyznać. Właśnie dała się nabrać! Alarm okazał się fałszywy, ale...

– Tak nie można żyć! – wścieka się.

Tymczasem kotka, pozostawiona samej sobie, zaczyna kulać z hałasem orzecha, trącąc go łapką i doskakując do skorupy, to znów odskakując, jakby była parząca.

– Nic jej nie jest, tylko łobuzuje – ocenia kucharka. – Ladaco jedno! Potrzebna jak drabina kowalowi!

Stella bierze kotkę w ramiona, przytula. Znów siada koło okna, głaszcząc rudą pupilkę, która najpierw się wrywa, a potem przysiada i owija się puszystym ogonem. Po chwili wysuwa tylną łapkę i metodycznie przesuwa po niej językiem, jakby ją namydlała. Kilkakrotnie powtarza zabieg, a potem zarzuca sobie łapkę na ucho. Czyni to ze spokojem i jakimś namaszczeniem, jak inni wykonują rzeczy ważne dla świata. Decydujące o jego losie. Ten widok koi nerwy, pozwala w końcu ochłonąć. Koty łagodzą obyczaje. Istotnie! Powstrzymują złe emocje i wyzwalają w człowieku łagodność. Gdyby zawsze tak było, człowiek nie krzywdziłby tych zwierząt. Może brak surowości, ustępliwość i miękkość charakteru wyzwalać agresję? Prowokują

innych do ataku?

*

Im bliżej do Świąt Bożego Narodzenia, tym ciężiej pisać nową powieść. Wydumane zdarzenia nie są w stanie przesłonić rzeczywistych. Nigdy wcześniej nie czuła takiego zniechęcenia. Rano ma ochotę dłużej poleżeć w łóżku. Potem wsłuchuje się w swoje ciało, sprawdzając, czy coś ją boli. W końcu planuje dzień, choć nie jest z natury systematyczna. Byle tylko opóźnić proces wstawania. Brak Tristana jest jak puste miejsce przy stole – trudno ignorować coś tak bardzo konkretnego. Owo „nic” jest wyraziste. Rzuca się w oczy. Kaleczy serce i skłania do przemyśleń. Zadawania głupich pytań. Bezustannego wracania do tego, co było.

*

Spadł śnieg i w powietrzu unosi się mroźny zapach. Zbliża się kolejna miesięcznica. Porcinia szykuje paczkę dla Matyldy. Pośród słoiczków z konfiturami i orzechami w karmelu ułożyła kilka ceramicznych ptaszków-gwizdków oraz ręcznie malowany baskijski bębenek. Uśmiecha się, myśląc, że córka mimo wszystko jej nie przeklnie za te dary...

*

„Wyobrażasz sobie, że uspiłaś demony? Nie widzisz się z kochankiem i próbujesz wieść żywot ckliwej babuni? Kłamiesz każdym porem swojej skóry!”

Od jakiegoś czasu czuje się zubożniała na takie słowa. Czeka bezwiednie na ciąg dalszy...

*

Nowy Jork wita zatłoczonymi ulicami. Przez trotuary przetacza się kolorowy tłum, w uszach dzwoni wielojęzyczność, z przewagą egzotycznie brzmiących głosek.

Mieszka w tym mieście przez kilka tygodni w roku, bo tu załatwia sprawy związane z wydawaniem książek. Przeprowadza swoje wywiady na

bloga i udziela ich innym, a potem je autoryzuje. Podpisuje zgodę na kilka dni sesji zdjęciowej w tropikach. Miła odmiana po śniegu i zimnie, w gronie znajomych i z fotografem, którego dobrze zna i ceni.

W Nowym Jorku ma niewielki, ale wygodny apartament; ten adres znają nieliczni, w tym gronie sekretarka Mae i agentka Nancy, która codziennie ją odwiedza albo godzinami konsultują się przez telefon. Na ogół zapowiadają wcześniej swoją wizytę i Stella zdąży się do niej przygotować. Tym razem gość jej nie uprzedził.

Jest wczesne przedpołudnie; właśnie wyszła z łazienki, na głowie ma turban z ręcznika, a na twarzy rozsmarowaną maseczkę. Popijając przez słomkę zieloną herbatę, zamierza usiąść do komputera, gdy paraliżuje ją dzwonek do drzwi. Nie sprawdzwszy, kto zacz, biegnie do łazienki, by szybko zmyć zieloną glinę z twarzy i rozczesać mokre włosy. Poprawia płaszcz kąpielowy i nie jest zadowolona z rezultatu.

– Chwileczkę! – woła, pędząc co tchu przez korytarz do pokoju, żeby się ubrać. Po chwili w dzinsach i luźnym swetrze wraca do drzwi i bez namysłu otwiera. Za progiem stoi wyniosła blondyna o spojrzeniu śledczej, którą trudno zapomnieć lub pomylić z kimś innym.

– Chyba jestem nie w porę, panno Mangione? – rzuca dość obcesowo kobieta, nie przestając przenikać oczami ścian i kątów, jakby szukała swojego zawiruszonego małżonka.

Matka Tristana. Coś podobnego! Co ona tu robi? Skąd miała adres? Czego chce?! Spłoszona Stella wycofuje się w głąb mieszkania, uchyla szerzej drzwi.

– Proszę wejść, pani Stiller.

Zaprasza ją do pokoju, gdzie na stole leży otwarty laptop, a obok niego skłębione notatki i równy rząd obranych marchewek, które lubi chrupać w czasie pracy. Jedna – już ugryziona – leży osobno, na klawiaturze. Stella szybko po nią sięga i nerwowo odgryza kolejny kawałek, myśląc, że to strasznie głupie z jej strony. Zwłaszcza że nie zdążyła zrobić makijażu i nie

ma na sobie bielizny, brak jej też pewności, czy wystarczająco starannie zmyła z twarzy glinę. Ale Bianca Stiller, bardziej niż wyglądem gospodyni, zaafierowana jest własnymi podejrzeniami, że przyłapała Stellę *in flagranti* z cudzym mężem. Nie przestaje się rozglądać. Wreszcie mówi:

– Czy jest tu mój syn?

Jednak widać ten nieszczęsny brak bielizny!

– Tristan? – pyta niezbyt przytomnie Stella. – Dlaczego spodziewa się go pani tutaj...

– Długo pani nie otwierała – odpowiada Bianca, ślizgając się wymownym i surowym spojrzeniem po negliżu pisarki. – Mam wrażenie, że przyszedłam nie w porę. Nie jest pani sama?

– Jestem, tylko... jak pani widzi, brałam kąpiel. – Stella wskazuje na mokre jeszcze włosy.

– O tej porze? Jest prawie południe! A zresztą... Domyśla się pani celu mojej wizyty?

W przeciwieństwie do Stelli pani Stiller jest ubrana i umalowana z dużą starannością. Ma postawę pełną godności, mimo zaciętego wyrazu twarzy, jaki nadają jej mocno zaciśnięte, wąskie wargi. Po kim jej syn ma takie zmysłowe usta?

– Taaak – odpowiada niezbyt uważnie Stella. – Nie... – dodaje po chwili. – To jest... – Wzdycha, cały czas myśląc o ustach Tristana. – Nie...

Cały ten spontaniczny brak konsekwencji tylko pogłębia podejrzenia gościa, a już na pewno urąga jego poczuciu przyzwoitości.

– Napije się pani czegoś? Może kawy lub... O! Mam zieloną herbatę. – Gospodyni unosi swój kubek. – To co?

– Wystarczy woda – odpowiada oschle elegancka kobieta. – O ile ją pani znajdzie...

– Tak, już podaję! – Stella zupełnie niepotrzebnie biegnie do kuchni.

Wyjmuje z lodówki butelkę Perriera, sięga po wysoką szklanę i tak zaopatrzona wraca do pani Stiller, która wciąż stoi w swoim gołęmbim płaszczu z czesanej wełny.

– Proszę usiąść. – Pisarka wskazuje wygodną kanapę z mnóstwem poduszek. Umieszcza na szklanym blacie niskiego stolika wodę i szklanę; bierze butelkę, otwiera, stawia głośno przed kobietą. Nie wiedząc, co zrobić z zakrętką, bawi się nią, obraca w palcach, w końcu chowa do kieszeni. Odrzuca kilka poduszek byle gdzie, uznając, że jest ich za dużo. Wygląda to tak, jakby oferowała gościowi bardziej spartańskie warunki. Do licha! Robi z siebie idiotkę! Na szczęście matka Tristana wreszcie siada i przestaje górować swoją posągową postacią nad drobną Stellą; zagłębia się ostrożnie w zaproponowanej „dziurze”, rozpina płaszcz i stanowczo odmawia, gdy Stella chce go od niej wziąć. Jakby się obawiała rewizji kieszeni albo wręcz kradzieży!

– Chciałabym porozmawiać jak matka z matką. – Bianca jest zakłopotana. – Wszak niedawno odnalazła panią po latach córka. Chyba jest w wieku Tristana...?

– Mniej więcej – odpowiada Stella.

– Nie przewiduje pani kolejnych odkryć tego typu?

– Nie.

– Jest pani tego... całkiem pewna? – dopytuje się kobieta.

– Zamierza pani rozmawiać o moich domniemanych dzieciach czy o swoim jedynaku? – Pisarka stara się wrócić do konkretów, zła, że wyraźnie ulega presji tej niesympatycznej osoby.

– Kocha go pani?

Tego się nie spodziewała. Stella milczy, zakłopotana. Brak jej słów! I wstyd się przyznać...

– To proste pytanie, wystarczy: tak lub nie. Ale pani milczy i to też jest znaczące. Nie traćmy więc czasu! Chcę panią namówić do usunięcia się

z życia mojego syna, najlepiej od razu...

– Dlaczego nie porozmawia pani z nim?

– Myśli pani, że nie próbowałam? Jest głuchy na wszelkie argumenty. Samą perswazją nic tu nie zdołałam, dlatego oferuję pani swoją pomoc w zmianie adresu. Mam duże, komfortowe mieszkanie w Mediolanie, całkowicie umeblowane. Proszę się tam przenieść i zamieszkać. Specyfika pani pracy i... tryb życia chyba na tym specjalnie nie ucierpią?

– W... Mediolanie? – Dla Stelli to punkt zaczepienia w rozmowie, dobry jak każdy inny. – Dlaczego akurat tam?

– O, już wyjaśniam. Oboje z mężem też mieszkamy w tym mieście, ale proszę się nie obawiać, to duża aglomeracja i z pewnością nie będziemy się na siebie natykać. Co zaś się tyczy samego Tristana... przykro mi wyznać, ale zaczął unikać rodziny, od kiedy panią poznał. Stąd moja całkowita pewność, że szybko pani nie odnajdzie, i nie ukrywam, właśnie na to liczę.

– Podjęła pani decyzję za dwoje dorosłych ludzi. Mam się od razu pakować czy da mi pani kilku dni do namysłu?

– Pani mnie nie zrozumiała. – Bianca się uśmiecha, ale wygląda to trochę tak, jakby lwica prezentowała swój garnitur zębów. – Chcę pani podarować to mieszkanie i pomóc w przeprowadzce. Oczywiście o ile je pani zaakceptuje. Na miejscu będą czekali notariusz i adwokat.

Stelli zaczyna brakować oddechu.

– Chce pani przehandlować syna za mieszkanie?

– To korzystna transakcja, jeszcze pani nie obejrzała tego lokum. Gwarantuję, że będzie pani zadowolona. Ma dobre położenie, wspaniały widok z okien i zajmuje całe piętro starej, klasycystycznej kamienicy. Zostało gruntownie odnowione i przystosowane do wszelkich wygód, lecz zachowało swój szczególny charakter. I odpowiednią do wieku i miejsca aranżację wnętrza...

Stella nie chce dalej słuchać, przerywa brutalnie jej wywody:

– Może to siebie powinna pani zapytać o to, czy go kocha? Nie pomyślała pani, ani przez chwilę nie zastanowiła się, dlaczego on...

– Proszę nie histeryzować! – ucina szybko Bianca. – Znam pani powieści i wiem, że są egzaltowane, ale niechże pani wróci na ziemię. Nie jest pani Violetta Valery z *La Traviaty*, nie stoimy na scenie w La Scali i dlatego odwołuję się, próbuję się odwołać, do pani rozsądku! Związek z kobietą o wiele lat starszą i posiadającą bujną przeszłość nie przysparza Tristanowi ani sławy, ani koneksji. Nie brakuje pani zręczności w uwodzeniu i wykorzystwała pani jego naiwność...

– Naiwność?! – Stella nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– Nie zamierzam z panią o nim dyskutować, cała ta sytuacja jest dla mnie żenująca! Moim życzeniem jest, by zniknęła pani z jego życia i zaproponowałam coś korzystnego również dla pani.

– Uważa pani, że Tristan stanowi dla mnie wartość... kupiecką? Proponuje mi pani odszkodowanie?!

– Takie jak pani szybko znajdują pocieszenie.

– Niewiele pani wie o swoim synu. Dam pani jedną radę: proszę go tak nie traktować!

– Co za bezczelność! Pani chce mnie pouczać?

– On jest dla pani inwestycją?

– Jest moją dumą! – Kobieta unosi się ze swego miejsca i zapina płaszcz.

– Niczym zbiór antyków?

– Jak pani śmie tak do mnie mówić? – Oburzona Bianca rusza szybko na korytarz.

– Tristan to dla pani prestiż i sukces. Może dlatego szuka uczucia u mnie? – Stella doskakuje do niej. – Zauważyła pani, jak trudno mu utrzymać relacje z kobietami? Co tak naprawdę wywołuje jego upór i pęd do sławy? Może do tej pory...

– Nie mam zamiaru tego słuchać!

– Ani ja. Żegnam panią, pani Stiller. – Stella otwiera drzwi przed swym nieproszonym gościem drzwi.

Bianca nie należy do osób, które się w ten sposób wyprasza. Chce podsumować to, co ją spotkało, a nade wszystko musi mieć ostatnie zdanie:

– Jest pani większym zgorszeniem, niż się obawiałam. Klnę się na Boga, że zrobię wszystko, by rozdzielić panią z moim synem!

– To już sprawa Boga, której z nas wysłucha!

*

Stella kluczy zagubiona wśród popielatych ścian i przepierzeń nowej galerii, na wystawie prac Balthusa. Przeszkłone dachy wpuszczają wystarczającą ilość światła, ale każdy z obrazów jest dodatkowo podświetlony umieszczonymi w podłodze punktowymi lampami. Obojętnie spogląda na kolejną senną lolitkę, dyskretnie ziewa, nieporuszona widokiem tego, czego się spodziewała.

Kilkanaście metrów od niej stoi osobliwa grupa. Tristan w towarzystwie dwóch mężczyzn, prawie tak wysokich jak on, najwyraźniej zajęci są rozmową. Nim ona podejmie decyzję: ujawnić się czy raczej szybko stąd zniknąć, do panów podchodzi szczupła szatynka w dżinsach, kozaczkach i bolerku z futra. Przytula się do muzyka, kładzie mu głowę na piersi, bezceremonialnie wybucha śmiechem, nie zważając, że znajduje się miejscu, gdzie wielka sztuka powinna budzić respekt. To wystarczy, by Stella uciekła w popłochu, z bólem w sercu, jakby ktoś wbił głębiej kolec, który już tam tkwił... Nie chce być zauważona. W progu następnej sali odwraca się i zerka raz jeszcze. Tristan i dziewczyna splatają ręce, wymownie sobie bliscy.

*

Wiedziała, że pewnego dnia będzie cierpieć. Życie składa się z cierpienia, które z rzadka jest poprzecinane antraktami, kiedy żywimy nadzieję albo na coś czekamy ze strachem, jak ona ostatnio...

Nie na wszystko, co dostała od życia, zasłużyła. Cierpienie tak ma, że nigdy nie pojawia się w porę. Bo właściwie kiedy można się go spodziewać? Zaprosić świadomie do życia? Tyle się wydarzyło w tym roku. Bywało lekko... szczęśliwie... Zanim zjawiała się w Monte Fiore jej córka. Ale Tristan już wcześniej wydawał się znudzony. Wystarczyło poczekać, by się doczekać...

Wystarczyło poszukać we wspomnieniach tych chwil jego zniecierpliwienia, na które wcześniej nie zwracała uwagi...

*

– Zawsze kiedy słucham twoich wywiadów, uświadamiam sobie, jaki z ciebie duży dzieciak. A poza tym nie ty wybierasz kobiety. Pozwalasz, by to one wybrały ciebie.

– Tak? Był taki moment w naszym związku? Kiedy to ty wybrałaś mnie, a nie na odwrót? Bo, sorry, jakoś go nie potrafię przywołać w pamięci. To ja się tłukę do ciebie przez pół świata, żeby usłyszeć, że nie masz czasu, bo krowa się we wsi cieli albo ochotnie pomagasz chłopom wyciskać serwatkę! Zresztą... – westchnął – jak czegoś nie można zmienić, należy to zaakceptować. Dlatego staram się cierpliwie znosić twoje nastrojowe wolty. I tak wiem, że to ja najbardziej oberwę! Widzisz... człowiek to istota słaba i pocieszna. Nie wiem, kto wymyślił te bzdury, że mężczyźni są silniejsi od kobiet! W każdym razie natura przytacza mało dowodów na tę tezę.

*

Te ich ciągle sprzeczki, słowne potyczki, urywane rozmowy...

– ...jakoś mi to nie pasuje do subtelnego Tristania.

– Nie wiem, Stell, czy zauważyłaś, chyba nie, ale ja nie jestem subtelny! Wiele rzeczy mogłabyś o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem subtelny.

– Sam twój zawód...

– Ludzie wyobrażają sobie, że skoro gram na skrzypcach, to jestem albo pedałem, albo eunuchem!

Zabrzmiało to zarazem groźnie i cynicznie. Jakoś nie pasowało do spokojnej twarzy i dłoni o smukłych, giętkich palcach. Dłoni, które zdawały się nie mieć chrząstek, tkanek i ścięgien, jak u przeciętnego śmiertelnika; zdolnych do godnej czarodzieja ekwilibrystyki na gryfie.

– A ty wolałbyś być nienasyconym nigdy satyrem – zgadywała głośno Stella – który zna swoje totalne możliwości seksualne, wie...

– ...że ich nigdy nie zaspokoi – podjął Tristan. – Więc na własne życzenie woli się rozpląwać i uciekać w gamy. O ile wiem, Apollo nie sypiał z muzami, są jednak tacy, którzy posądzają go o posiadanie dziewięcioosobowego haremu.

– Męczą mnie te rozmowy. Kiedy się robisz agresywny, odbierasz mi apetyt.

Odchodziła, niczego nie kończąc. Zawieszała w próżni, ze strachem, do kolejnego razu. Ostatniego razu. Któryś musiał być tym ostatnim...

Bywała chimeryczna, tak. Tristan znosił to długo. Do czasu w jej mniemaniu.

*

Potem... zjawiała się Izabela, jeszcze jej mąż i Matylda... oraz nowa jakość, w której nie umiała się odnaleźć. Życie z córką, wnuczką, zięciem... czy już zawsze? Życie w pełni rodzinne, zasługujące na miano ułożonego. Czyli coś, na co raczej nie zasłużyła. Jak to odbierała? Każdego dnia łapała się na zdumieniu. Córka? Wnuczka? Tyle lat upłynęło jej bez dziecka, a ono wciąż o niej myślało. Szukało! Tęskniło... W tym czasie wykreowało ją sobie, a teraz konfrontuje. Wolą nie myśleć, jaki jest wynik. Tak jak wolałaby nigdy nie zajść do tej przeklętej galerii.

Tristan się nie odzywa. A jakże! Telefon milczy, ona też do niego nie dzwoni. Mogłaby sobie tłumaczyć, że ma dużo zajęć albo że odpoczywa po trudach tego roku. Ale nie, jest już z inną... I wszystko od razu, bez żadnych wątpliwości, jest okrutnie wiadome! Co ona sobie wyobrażała? Jak go w końcu traktowała?! Miał dość, nic dziwnego.

Tylko czemu... tak bardzo boli? Wiedziała, że wiosna w jej sercu to krótkotrwałe ekstremum. Wiedziała, do cholery, że decydując się na takiego młodego faceta, kupuje książkę, którą niebawem czytać będzie jakaś inna kobieta! Pewnego dnia to, co się tak bajeczne wydarzyło... skończyło się, umarło śmiercią naturalną. Zwykła kolej rzeczy.

Dlaczego więc od kilku dni czuje się tak, jakby jej ktoś wyrąbał siekierą wszystkie wnętrzności, wygarnął je i wsadził do lodówki, a potem opróżnił jej w ten sam sposób głowę, sprawiając, że ciągle przenika ją zimno? Życie okazało się na swój sposób sprawiedliwsze, niż przypuszczała. Los zabrał Tristania, ale podarował Izabelę. Gdyby miała wybierać pomiędzy nimi? Gdyby to rzeczywiście zależało od jej decyzji? No właśnie! Wstyd się przyznać, nawet wobec samej siebie... Wybrałaby jego. Choć wiedziała, jak nikłe były wątki tego... związku. Tak bardzo się bała, że on zniknie albo okaże się snem... Była zarazem pozbawiona złudzeń i do samego końca nierozsądna. Dlaczego po raz kolejny miała rację? Czy ten głupi los nie mógłby jej zaskoczyć? Tak teraz żal...

Miłość, wszystko jedno jaka i do kogo, uczy czekania, troski, wyrozumiałości i zrozumienia. Dotąd była o tym przekonana. Dlaczego pokrętnie uczucie do Tristania niczego jej nie nauczyło?

Była, jaka była. Nadal miała w uszach ich gorące oddechy. Opuszki palców pamiętały jego skórę i włosy. Wracił do niej zapach ich namiętych, gorących zbliżeń i tak dobrze pamiętała łomot zdumionego do cna serca. Zanikał z wolna jego głos, ale nadal prześladowała ją jego muzyka.

*

– Tristanio i ja... już się nie widzimy.

– Cooo? – Nancy robi wielkie oczy. – Kto tak zdecydował?

– Stało się. Ma inną.

– Przecież zawsze tak było. Jakaś oficjalna, z którą bywał tu i tam, bo ty nie chciałaś... i przypominam ci, że nie był drobiazgowy, jeśli chodzi o twoje przygody. W końcu zrozumiał, że...

– Nancy, wybacz, ale nie mam ochoty na rozmowę o Tristanie. Żyję teraz zupełnie czym innym, tym planowanym balem, o którym ci opowiadałam w mailach. To, że mam znów zajęcie, ułatwia mi przeżycie naszego rozstania.

– Ale... czy on wie...?

– Jego to po prostu nie interesuje.

Wyraźnie daje odczuć agentce, że ten temat uważa za zamknięty i nie będą już do tego wracać. Nancy swoim zwyczajem nie może usiedzieć w miejscu, tylko chodzi zamaszystym krokiem po pokoju z polakierowanymi na biało starymi meblami. W oknie wiszą wianki z lawendy. Wszystko wokół wydaje się senne lub już uśpione.

– Że też ty stale musisz sobie czymś zaprztać głowę! Po co ci ten bal maskowy?

– Ostatecznie, jak nie wyjdzie z Batiano i on nie zechce jednak zaprojektować przebrań, stroje można wypożyczyć z teatru w Sienie. Będzie wesoło, zobaczysz. Musi być!

– To prawda, że chcesz tu sprowadzić orkiestrę?

– Mały zespół kameralny, który będzie grał muzykę dworską. Też w kostiumach z epoki. A osobno dyskoteka, ze współczesną muzą do tańca, na innym piętrze. Nie wiem jeszcze, ile dokładnie ludzi przyjedzie, ale mamy tyle zapasów, że wszystko powinno się udać. Jedzenia na pewno wystarczy!

W tym roku zjawia się też moi bliscy, już ich zaprosiłam. To właściwie pomysł Izabeli, z tym balem.

– Chcesz się towarzysko objawić ze swoją wnuczką?

– Co w tym złego?

– Niektórzy zauważą, że się... starzejesz.

– To normalne.

– Od kiedy jesteś taka prorodzinna? Zaprosiłaś też tego fotografa, z którym byłaś kilka dni na Malediwach?

– Sama wymyśliłaś sesję w tropikach, jako promocję nowej powieści!

– Tristan o tym wie?

– Dajże spokój!

– A może wie i wszystko dlatego...? Podziwiam cię. Potrafisz przyprawić rogi kochankowi o wiele młodszemu od siebie! Czy Batiano wie, w co się pakuje z tymi strojami? – Agentka była przekonana o romansie Stelli z projektantem i podejrzewała, że nie zamierza mu zapłacić ani grosza.

– Potrafisz zepsuć każdą zabawę, komentując ją z jednego punktu widzenia.

– O przepraszam, niczego nie psuję, tylko... próbuję się doliczyć wszystkich gości!

Stelli nie cieszy perspektywa balu. Nie tak, jakby kiedyś cieszyła. Zupełnie straciła apetyt. Jeśli tak dalej pójdzie, jej suknia w stylu Marii Antoniny będzie musiała być ponownie zwężona w talii. Spogląda co dzień w lustro i dostrzega tę postępującą utratę blasku w oczach. Zauważa wystające kostki nadgarstków. Z palca zsuwa się pierścionek. Nie chce się jej dobierać kolczyków ani butów. Mona zmusza ją do jedzenia, widząc, co się dzieje. Serwuje mniejsze posiłki, ale częściej. Bywa nieznośna z tym proponowaniem kolejnych przysmaków.

– Przyniosłam gorące kakao i serowe ciasteczka.

Stella ma teraz na tapecie w laptopie zdjęcie Matyldy ze szkolnej wigilii.

*

Od lat spędzała święta w Londynie. Tego roku postanowiła zostać w Toskanii. Wbrew oczekiwaniom znów jest całkiem sama. Wigilia upływa jej przed laptopem, na rozmowie z córką i jej rodziną. Izabela przekłada ich przyjazd o dwa tygodnie, bał też trzeba przesunąć, zmienić daty w zaproszeniach. Tristan śle kurtuazyjnego maila i esemesa na święta oraz Nowy Rok, z dodatkiem kolędy i sypiącego, sztucznego śniegu. Jakby była jedną z jego starych ciotek. Stella nie dziękuje za te szlachetne dowody pamięci.

Kiedy w końcu Izabela i jej bliscy zjawiają się w Monte Fiore czują się dziwnie wyobcowani. Jedynie Matylda rzuca się babci na szyję i okrywa jej policzki mokrymi całuskami. Stella, nie przyzwyczajona do takich wybuchów dziecięcego entuzjazmu, ukradkiem wyciera twarz rękawem bluzki, kiedy myśli, że nikt tego nie widzi. Dostrzega to jedna para oczu. Mona.

– Skąd wiedziałaś, że urosłam? – Dziewczynka przymierza swoją sukienkę i obtańcowuje fotel, tupiąc zapamiętałe jedwabnymi baletkami. – A wiesz, że miałam w przedszkolu rytmikę i uczyłam się tańczyć?

– Mama mi napisała. Włosy ci ściemniały, królewno...

– A będę miała koronę?

– Diadem, to się nazywa diadem... tak.

– Z prawdziwych diamentów?

– Nie... – Stella się śmieje – ze sztucznych... Wolałabym, żeby żaden złodziej nie polował na głowę mojej wnusi!

*

Tristan otrzymał zaproszenie za sprawą niezawodnej Mony. Dziewczyna nie miała pojęcia o rozstaniu, które wbiła sobie do głowy jej chlebodawczyni. Postanowił przyjechać, gdyż cały styczeń miał wolny, jeśli nie liczyć kilku

promocyjnych nagrań w telewizji. Był tuż po wydaniu nowej płyty i miał czas na oddech; poza tym wiedział, że zaproszenie do pięknej pisarki to gwarancja dobrej zabawy. A przynajmniej dobrego jedzenia i picia.

Jego samochód zajeżdża na starannie odśnieżony podjazd, gdzie na spotkanie wybiega mu Mona, jak zwykle ucieszona jego widokiem. Wysiada szybko, narzuca byle jak kurtkę i porozpinany, z rozwianym włosom przyjmuje na siebie cały impet radosnego entuzjazmu, pozwalając się dziewczynie wyściskać i pocałować.

Zazwyczaj tak było: przystawał na cudze pieszczoty, tylko nielicznym na nie odpowiadając lub – jak się zawsze działo w przypadku Stelli – sam inicjując czułości. Wszelkie zachwyty i serdeczności przywodziły mu na myśl nagrody. Bo od dziecka czuł, że na miłość i podziw musi sobie najpierw zasłużyć, nie ma nic za darmo, tylko dla niego, za to, że jest.

Monę przytula w charakterystyczny sposób, odwracając twarz, by otrzeć się o jej skwapliwe usta krawędzią policzka, tuż przy uchu, jakby w ogóle wzbraniał się przed dotykiem.

– A gdzie jest dusza tego miejsca? Jak zwykle?

Mona z uśmiechem dyga przed nim i tłumaczy:

– Kiedy jest tak wielu gości, pani Stella bywa w kilku miejscach naraz.

Okazuje się, że nie ma racji, bo drzwi się otwierają i z domu wychodzi grupa kobiet, której przewodniczy filigranowa brunetka, uczesana w kok, w lekkim futerku na ramionach, z głębokim dekoltem przy sukience i w szpilkach na zgrabnych nogach, które najwyraźniej postanowiła odmrozić.

– No i proszę! Na całej ziemi nikt nie stuka obcasikami jak metronom w tempie andantino... – oznajmia zachwycony tym widokiem mężczyzna.

Stella dzierży pod pachą naręczę bielizny pościelowej, która omal nie wypada na ułożone w deseń kamienie.

– Tristianio?

– Nie zaprosiłaś mnie? Nie ty? Czyli miałem rację! Nie, no, skoro już tu jesteś... – próbuje naśladować tembr jej głosu.

Stella jest zaskoczona, ale mile. Czym prędzej oddaje poszwy innej kobiecie, odsyła wszystkie na jakąś ważną placówkę i podchodzi do niego, śmiało patrząc mężczyźnie w oczy. Zamierzała podać mu tylko dłoń, ale on chwyta ją w ramiona i całuje.

– Jak ja za tym tęskniłem! – Wdycha z lubością woń jej włosów tuż przy skroni.

– Doprawdy? Wybacz, ale mam mnóstwo pracy. Mona cię zainstaluje. I nakarmi. I w ogóle...

– Wiem. Biegnij szybko, ptaszyno, nim zamienisz się w sopelek na szpilkach. A może? – Zdejmuje swoją kurtkę i narzuca na jej futerko. – W tym ci będzie cieplej!

Stella nie protestuje, otula się jego zapachem i szybko podąża za kobietami. Po kilku drobnych kroczkach ogląda się i odzywa do Mony, choć tak naprawdę chciała na niego popatrzeć:

– Ugość go jak najlepiej i przygotuj wygodny pokój...

– Oby jak najbliżej źródła energii, która to wszystko zasila – kończy z uśmiechem Tristan. I trudno mu się oprzeć. Mona to wie.

*

Jest tak zachwycona jego przyjazdem, że nie ma już głowy do pomagania w przygotowaniach. Coś tam jeszcze komuś dyktuje, ale na w pół przytomnie, bo wciąż nie może uwierzyć, że jej księżę przyjechał. Ale jest! Biegnie do głównego budynku pod pretekstem oddania kurtki, ale planuje zabrać go na spacer. Ubrała się cieplej, w puchową kurtkę, spodnie i kozaczki, zabrała rękawiczki i czapkę. Teraz marzy tylko o wspólnym spacerze, ale po drodze napotyka Matyldę.

– Porcinia! Ulepisz ze mną bałwana?

Nie może małej odmówić, chociaż nie w smak jej ten bałwan.

– Ładniejszy śnieg jest kawał drogi stąd, tu... już nie jest taki... – próbuje ją zniechęcić, ale dziecko prosi, składając rączki:

– Ja się z tobą chętnie przejdę dalej...

Stella wzdycha, zrezygnowana. Ale uśmiecha się i kiwa głową na znak zgody.

*

– Musiałaś ją zabierać na ten wspólny spacer?! Była świadkiem waszego... gruchania. Mogłaś jej oszczędzić takich wrażeń! – Izabela od progu napada na Stellę, mówiąc po polsku, choć Tristan jest w pobliżu. Z nim, w razie niechcianej przez oboje konieczności, porozumiewa się po angielsku.

– Zabrałam Matyldę na spacer, a Tristanio po pewnym czasie do nas dołączył. Czy myślisz, że sama jego obecność mogła małą zdemoralizować? – Stella chętnie jej odpowiada, też po polsku.

„To ty jesteś demoralizatorką, jak już, ale... chyba oszczędzasz dzieci” – myśli Izabela. Nie dbając o konwenanse nadal mówi po polsku, zwracając się tym razem do córki:

– Czy babcia uważała na ciebie?

Dziewczynka kiwa główką.

– Tristan pomógł mi ulepić wielkiego bałwana. – Rozkłada rączki, chcąc zaprezentować jego niewyobrażalny rozmiar.

– Mógł trochę dłużej postać w jednym miejscu. Pada śnieg... Miałabyś wspaniałego bałwana, bez trudu lepienia. Za to z marchewką w nieco innym miejscu – zauważa z przekąsem Izabela, a potem, jakby dopiero teraz zauważyła muzyka, przechodzi swobodnie na angielski: – O, Tristan. Czy już rozważałeś, jaki strój będzie na tyle odpowiedni, by...podkreślić wszystkie twoje męskie walory?

– Owszem, biorąc pod uwagę twoją sugestię, uznałem, że

najodpowiedniejszy będzie brak stroju. Wiesz, ja nie mam problemów z nagością. Żadnych! A jak tam jest z twoimi zaletami? Może nietaktem jest o nie pytać?

– Jeszcze się przekonasz, że mnie nie doceniłeś... – syczy przez zęby rozzłoszczona Izabela. Znow zaczyna go ignorować, zwracając się po polsku do córki:

– Czy rozumiałaś, co on mówił? Przecież jest Włochem.

Uroki rozmów w obcych językach!

– Nie wiem, o czym rozmawiali z Porcinia, zresztą nie należy podsłuchiwać dorosłych, ale to, co mówił do mnie, rozumiałam. – Dziewczynka kiwa głową.

– Wątpię by to, o czym gadał z babcią, zasługiwało na tłumaczenie!

– Wygłupiał się, bardziej pokazywał, niż do mnie mówił. – Matylda zaśmiała się wesoło.

– O mój Boże! Mam nadzieję, że to się nadawało do pokazywania...

– Tristan jest śmieszny. Stale dokuczał Porcinii, wrzucał jej kulki śniegu za koszulę... ha, ha, ha! A ona się na niego tak złościła! I też próbowała w niego rzucać śnieżkami, ale nie trafiała. Nie ma cela, wiesz? Tristan za szybko biega, zupełnie jak ja, a Porcinia...

– Dobrze, dobrze, idź do taty, przebierz się, wszystko masz mokre, nogi pewno też!

Tristan odszedł wcześniej, niezatrzymywany, ale dziewczynka spostrzega jego nieobecność.

– Obiecał, że mi zagra na prawdziwych skrzypcach. – Wydaje się zawiedziona, wydeła usta i puka się paluszkami po policzku.

– Jezu, on zawsze ze sobą wlecze te skrzypce? Może chcesz, żeby zagrał z tymi kameralistami? – Izabela zwraca się do matki.

– Nie myślałam o tym. Nie zaniedbuje ćwiczeń, trenuje codziennie,

dlatego skrzypce zawsze z nim podróżują.

Izabela wznosi oczy ku niebu.

– Jak obiecał, słowa dotrzyma – mówi do wnuczki Stella.

– Nie byłabym taka pewna – stwierdza Izabela, a potem wraz z dziewczynką wchodzi do domu.

Pisarka zostaje na zewnątrz. Musi zadzwonić i woli rozmawiać bez świadków. Dostała esemesa od Crolla i chce zawczasu wy badać, czy i on się do niej wybiera. Sytuacja byłaby co najmniej niezręczna, ze względu na niespodziewaną obecność Tristana. Zauważyła, że gdy tylko on się pojawił, reszta gości rozproszyła się wokół niej, jakby nie śmieli naruszać jego terytorium. Pojawienie się Crolla mogłoby zrodzić przykre komplikacje i dlatego należało go powstrzymać.

*

Jest zmęczona, ale tyle myśli bije się o pierwszeństwo w jej głowie... Z pewnością nie zaśnie, znowu będą jej przeszkadzać nogi i wędrujący po nich dziwny prąd. Dlatego zwleka z ułożeniem się do snu. Wśród licznych gości wiele osób będzie u niej po raz pierwszy. Jak się to wszystko uda? Jak wypadnie? Czy pomysł z balem nie jest zbyt anachroniczny? Lubi zaskakiwać, ale tym razem ma wrażenie, że każdy jej ruch bacznie obserwuje nieprzychylna para oczu.

Przywieziono już wszystkie kostiumy. Goście mogą wybierać i przebierać, ale tylko spośród tego, co im sama zapewniła. To wspaniałe kostiumy, głównie z epoki Ludwików od XIV do XVI, stylizowane na dworski przepych, z wykorzystaniem współczesnych materiałów i ozdób. Na potrzeby gości działa zorganizowana na szybko pracownia krawiecka pod wodzą samego projektanta Batiano i wszelkie korekty, dopasowania do typu sylwetki są wykonywane niemal od ręki. W dwóch pokojach znajdują się też buty i peruki oraz oczywiście szeroki wybór masek, tak by zaiskrzył atrakcyjnie problem z odnalezieniem się na tym balu. Z rozpoznaniem. Stella musi przyznać, że koszty tej imprezy znacznie przekroczyły jej

wyobrażenia... Jednak przysłana wcześniej symulacja wydatków nie odwiódła jej od tego pomysłu. Ma kaprys, by tak właśnie uczcić wprowadzenie w swoje życie córki i jej rodziny!

Stella zasiada przed lustrem i szczotkuje włosy. Spogląda na odbicie swojej twarzy i rozmyśla o Matyldzie. Dziewczynka prawie jej nie opuszcza za dnia, stale jest blisko, jakby się bała, że ją utraci. To miłe, ale i niepokojące. Dlaczego to dziecko tak jej strzeże? Chwyta za ręce i nie odstępuje, chyba że na wyraźną prośbę, a kiedy się oddala, czyni to ze smutkiem i lękiem w oczach.

Nikt nie wie, że Stella znalazła list pod poduszką. Już nie wirtualny. Agresor, kimkolwiek jest, dotrzymuje słowa, zbliża się do niej, systematycznie i nieubłaganie. Zgięta w pół kartka z odręcznie napisanym życzeniem:

„Obyś w końcu zrozumiała, jak bardzo mnie skrzywdziłaś!”.

Rozmyślając nad tym wszystkim, nie dostrzega skradającego się, półnagiego Tristana z rozpuszczonymi jasnymi włosami, choć jego sylwetka przemknęła tuż obok jej twarzy w taflę lustra. Podchodzi od tyłu, obejmuje ramieniem jej szyję i całuje odkryte ramię.

– Ależ ty cicho chodzisz! Jak kot, a nie jesteś słodkim futrzakiem.

– Nie zauważyłaś, jakie mam pióra? – Śmieje się zadowolony z jej reakcji. – Masz tę właściwość, kochanie, że patrząc w lustro, widzisz tylko siebie!

– Zazwyczaj chrzęścisz swoją biżuterią i wówczas łatwiej cię zlokalizować... ale tym razem... – Stella spogląda na niego wymownie – jesteś...

– Jestem, jestem. Nie chrzęszczę, bo jak widzisz...

– Trudno nie zauważyć... hm... bosonogi książę... Nagle sobie o mnie przypomniałeś?

– Przyjechałem, żeby zapomnieć. Bo nie raczyłaś mnie zaprosić.

– Byłeś zajęty gdzie indziej, a ja nie chciałam ci przeszkadzać. Chcesz zatuszować złe wrażenie? A gdzie ta dziewczyna z galerii?

– Jaka dziewczyna? O czym mowa?

– Rozumiem, już jest inna.

– Inna galeria?

– Dziewczyna, wybacz, nie jestem na bieżąco, zwykła kolej rzeczy. Mnie wystarczy, że jesteś.

Stella wstaje i przechodząc obok niego, demonstruje obojętność. On ją zna i dlatego siada na łóżku nieproszony, sadza ją sobie na kolanach, wykorzystując fakt, że jest większy, silniejszy i może dyktować warunki.

– Czytałem twoją najnowszą powieść. Już wiem, że lubisz, jak mam włosy spięte na karku, a nie *à la* samuraj, wyobrażasz sobie, jak skręcam je w palcach i przyrównujesz tę czynność do tańca na gryfie. Nazywasz mnie swoją nieoczekiwaną wiosną w sercu i obiecujesz raj między udami. Piszesz ze swadą o tej specyficznej porze roku... charakteryzującej się niedojrzałością i zieloną głupotą!

– O raju między udami nic nie pisałam...

– Przepraszam, musiałem sam nabrać tego przekonania.

– Skąd pewność, że to jest o tobie?

– Litości! Jak dla mnie za mało w niej seksu, a za wiele słów. Zwróć uwagę, że niektóre fragmenty z powodzeniem można by usunąć. Historia nabrałaby gęstości puddingu, a tak... miejscami przypomina cieniutki bulionik. To jakbym próbował interpretować Wagnera szeptem.

– Jeżeli ktoś mówi, że jakąś scenę dodałam niepotrzebnie albo ona nic nie wnosi, irytuje mnie to, wiesz? Bywają eksperci gotowi na nowo napisać cudzą powieść!

– Przyjechałem w najlepszych intencjach, chcąc negocjować nasz układ. Teraz, gdy masz przy sobie córeczkę, która mnie nie znosi, a ja się

zaręczyłem.

– Słucham?

Nie myślała, nie podejrzewała, że to jedno słowo zada jej naraz tyle bólu. Jakby ją pchnął nożem pod serce, trafił w najczulsze miejsce między żebrami i... Żarty się skończyły. On jakby niczego nie zauważył.

– Przypuszczam, że żyjąc tutaj, tolerując twoje kontakty z tubylcami i znosząc wizyty wielbicieli... – Wydyma usta i ten grymas dopowiada puentę. – Z drugiej strony nie liczysz chyba na mój dozgonny celibat? Bywa, że nie widzimy się przez wiele tygodni. Kto by to wytrzymał?

– Słucham? – Naraz zapomniała tylu słów... Jest bezradna i ma ochotę rozplakać się jak mała dziewczynka.

– Pomysł rodziców. Nikt z nas nie jest autonomiczny.

– Tylko... cyniczny?

– Staram się dotrzymać ci kroku, mistrzyni flirtu i woalu!

– Więc przyjechałeś, by mi oznajmić o swoich zaręczynach? Może mam ci pogratulować?

– Wypadałoby...

Wciąż siedzi mu na kolanach, obejmuje go za szyję i wpatruje się w jego twarz. Nie może uwierzyć w to, co usłyszała. Zawsze to jej się wszystko udawało! Ona dyktowała warunki, a teraz bała się, że przyjedzie znieścacka Croll i... Ten bezczelny młokos przejął inicjatywę w ich... układzie. Bo to nadal jest układ i on nie ma zamiaru niczego udawać. Rozmawia z nią jak partner, który stawia warunki.

– Tak nisko mnie oceniasz? Wyobrażasz sobie, że będę świadomie krzywdzić nieznaną mi dziewczynę?

– Skoro udaje ci się ze mną... Już nie dociekam aktualnej liczby twoich kochanków. Nie jestem cynikiem, tylko realistą. Oboje wiemy, że na to, by być razem, mamy za mało czasu i... ochoty? Determinacji? Jesteśmy dla

siebie atrakcyjni w epizodach. Specjaliści od krótkiej i wyczerpującej formy pożądania. Ten rodzaj kontaktu obojgu nam łąduje akumulatory, pozwala zachować balans i niesamowicie rozpala. Zawsze gdy cię widzę, wydajesz mi się esencją kobiecości. Kiedy tu chodzisz i każda ściana chciałaby cię przytulić, a ty niby tego nie wiesz! Jest w tobie poważna tkliwość dla rzeczy małych i bez znaczenia, starasz się dla wszystkich być atrakcyjna i miła, ale nikomu nie dajesz siebie...

– I kto to mówi? Obiecujesz jakiejś dziewczynie wierność, a potem przyjeżdżasz ze mną negocjować?! Czy ty w ogóle wiesz, co to jest miłość albo wierność? Bo chyba zagubiłeś prawdziwe uczucia w błyskotliwości swoich interpretacji!

Jej ostatnie słowa wyraźnie go dotykają; zagryza dolną wargę, jakby chciał powstrzymać usta przed wygłoszeniem czegoś naprawdę ciężkiego kalibru, ale zaraz zmienia zdanie i mówi do niej spokojnie:

– Coś ci powiem, Stell. To ty nikogo nie kochasz. Ani tych ludzi tutaj, ani swoich przyjaciół, córki, nawet psów swoich nie kochasz. Nikogo! W całym twoim życiu nie ma ani jednej autentycznej litery, wszystkie już zapisałaś na dysku w laptopie, w swoich książkach i tylko sprawdzasz w życiu, czy są na tyle wiarygodne, by ludzie uwierzyli w twoje „prawdziwe historie”. Dam ci dobrą radę, bezużyteczną, bo i tak z niej nie skorzystasz. Przestań się w końcu zachwycać i podniecać swoim festiwalem dla gryzypiórków i tym cholernym balem, zacznij traktować ludzi normalnie albo... udaj się do jakiegoś klasztoru, skoro doskwiera ci wciąż nienaruszona, ostentacyjna potrzeba pokuty!

Stella boleśnie odczuwa tę jego specyficzną szczerłość i zaraz przychodzi jej do głowy podejrzenie:

– Czy to ty zostawiłeś mi liścik pod poduszką?

Tym go rozbraja. Znowu jest tą kobietką, którą poznał i której nie jest w stanie rozgryźć. Zawsze go zaskoczy, prześcignie! W każdej próbie oceny. I nawet jeśli chciałby jej za swoją krzywdę słownie „dokopać”, wie, że ona

się obroni. Takim jednym, beznadziejnie kokieteryjnym pytaniem!

– Rozłożyłaś mnie na łopatki! Odsłonięte przypadkiem ramiona, obnażone plecy, zsunięte ramiączka, teraz jeszcze do ponętnych dekoltów dodajesz liściki. Tajemnice niepozornie wyeksponowane. Jak wyrazisty smak potrawy! Uwielbiam ten twój buzujący skrycie ogień...

Stella już wie, że wyszła z pytaniem nie w porę i on całkiem opacznie je zrozumiał. Jest zrozpaczona.

– Zapewniam cię, że się mylisz!!

Ale on jej nie słucha, podrażniony zasianym podejrzeniem i ożywiony na nowo dokuczającą mu zazdrością. Wściekły, że tak łatwo robi z niego głupka, nikczemnego zazdrośnika.

– Jesteś niebezpieczna i pociągająca jak czeluść przepaści. Dajesz mi taki sam zastrzyk adrenaliny jak koncerty dla naftowego szejka i jego haremu. Stałem na scenie wyłożonej złotem i szmaragdami, w ogromnej łaźni, pomiędzy basenami wypełnionymi milionami pływających w nich orchidei, a jedenaście par oczu, znad przejrzystych zasłon, uwodziło mnie magią samego zapatrzenia.

– Ten szejek nie ma też córek?

– Jakbyś zgadła, tylko że one noszą pasy cnoty. Nawet gdybym skombinował wytrych, kara ścięcia głowy, hm... wydała mi się nieadekwatna do spodziewanej przyjemności. Przecież mam ciebie!

– Boże, co za okropność!

– Ja tak nie uważam. Jesteś atrakcyjniejsza od całej rzeszy kobiet, które znam.

– Miałam na myśli barbarzyństwo, o którym mówisz, a które najwyraźniej ci imponuje!

– Z tego, co wiem, taki szejek sam ustala prawo szarijatu w swoim pałacu. Podobnie jak zamawia złote klamki przy samochodach i spłuczki przy sedesach. Nie obraziłbym się, gdyby umieścił w swoich prywatnych

apartamentach mój odlew ze złota. A ponoć prosiła go o to jedna z jego córek...

– I nie pobierasz tantiem za wszystkie zdrożne myśli, których doświadczyły jego córki zakute w pasy cnoty, kiedy grałeś?

Tristan uśmiecha się i milczy. Stella woli nie dociekać prawdy. Ma ochotę mu dopiec, tak żeby się przestał pławić w samozadowoleniu. Drażni ją i wciąż jest obolała po jego bezceremonialnym zawiadomieniu o zaręczynach. Skoro tak, musiał znać tę dziewczynę od dawna, widywał ją wcześniej, przecież z niczego ludzie się nie zaręczają. Była akceptowana przez jego rodzinę, na pewno pochodzi z jakiejś dobrej rodziny i jest w odpowiednim dla niego wieku.

– Opowiedz mi o swojej narzeczonej? Jest ładna? Szatynka? To ją widziałam na Balthusie?

– Owszem, byłem z nią i jej braćmi na tej wystawie, straszne bohomyzy, ale musiałem udawać zachwyty, bo oni byli tacy szczęśliwi.

– Od dawna się znacie?

– Chodziliśmy do tej samej szkoły muzycznej, krótko, bo ja miałem potem wyłącznie prywatne lekcje, a ona zarzuciła grę na skrzypkach. Skończyła studia plastyczne. Dlatego zachwycała się tymi obleśnymi obrazami, podczas gdy ja... – Wzrusza ramionami i uważa, że ten gest wyczerpuje temat.

Stella dochodzi do wniosku, że oszukiwał ją od dłuższego czasu, może nawet od samego początku, znając tyle lat tę dziewczynę. Na pewno z nią sypia i nie wiadomo dlaczego w ogóle tu przyjechał.

– To oznacza, że najwyraźniej powinniśmy sobie dać spokój z romanssem – stwierdza spokojnie i na znak, że tak właśnie myśli, próbuje zsunąć się z jego kolan. Audiencja skończona, niechże sobie wraca do... narzeczonej!

– Nie zanedbujesz żadnej okazji, by wbić mi szpilkę w tyłek! – Przytrzymuje ją, a ponieważ jest, jaki jest, nie ma z tym wielkich trudności.

Krępuje kobietę ramionami i mówi jej wprost do ucha: – Nie nazywam romanssem tego, co czuję, ilekroć cię widzę. Iskry, która przebiega przez moje ciało, gdy o tobie pomyślę. Decyzji, by tu przyjechać, bo wiem, że jeśli nadal będę to odkładał w czasie, urośnie we mnie taka ilość żaru, że cię poparzę, biorąc w ramiona, chcąc się przekonać, czy to „coś” nadal działa. Jesteś za mądra, by mi zaprzeczyć!

– Chcesz mnie kupić za te tanie komplementy?

– Ach, domagasz się komplementów?

– Wcale!

– Masz fantastyczne nogi i wiesz, jak je eksponować, nawet jeśli spadnie śnieg. Te wszystkie odpięte niby przypadkiem guziczki, rozcięcia, wcięcia... lekko potargane włosy, które nadają twojej twarzy wyrazu erotycznego znużenia i podniecającej słabości... Wijące się na karku sprężynki, sprawiające, że w szybkim tempie osiągam temperaturę wrzenia. Znam sporo kobiet, tak... nie rób min! Żadna nie umie tak podgrzać atmosfery szelestem pończoch, gdy ociera udem o udo albo pochyła się, by zapiąć pasek przy bucie. Żadna nie uśmiecha się zarazem wyzywająco i spolegliwie. Niewinnie i obiecująco! I nie przeszkadza mi już świadomość, że latami ćwiczyłaś te drobiazgi na innych.

Wszystkie te słowa mówi szybko, jakby w obawie, że nie zdąży wszystkiego powiedzieć, nim ona zacznie protestować. Z jakimś wewnętrznym nerwem, który sprawia, że przeszywa ją dreszcz. Nie podejrzewała tego młodego mężczyzny o taką wnikliwość. Wydawało jej się dotąd, że jest zdolnym muzykiem, który wciąż, we wszystkich wywiadach musi opowiadać o swoich cennych skrzypcach, o latach spędzonych na nauce u najlepszych, o tym, że kocha swoje zajęcie i to jest jego sposób na życie i przeżycie. Że w gruncie rzeczy jest dość ograniczony, do swoich zajęć i pasji, które niepodzielnie królują, a wszystkie inne sprawy odsuwa na margines. W tym także kobiety. Dlatego – jak podejrzewała – ich romans kwitł sobie swobodnie, bo nie ograniczała tej jego swobody twórczej i odtwórczej, nie wygłaszała co rusz pretensji, że ją zaniedbuje kosztem

ćwiczeń i wyjazdów. Chyba naprawdę go dotąd nie doceniała. Był więcej niż tylko kaprysem. Był bacznym obserwatorem, opiniotwórcą, krytykiem uważnym i bezceremonialnym. Kimś, z kim powinna się bardziej liczyć, bo na to zasługiwał. Tylko szkoda, że tak późno to spostrzegła. Bo chyba jest już za późno...?

– Czy nie uważasz, że postępując tak przewrotnie ze swoją narzeczoną, świadomie rezygnujesz ze szczęścia?

– Szczęście ma dla mnie twoje kształty, choć uprzedzam cię, że to się może pewnego dnia zmienić.

– A jeśli ja traktuję cię bardziej jak... matka? Życzę szczęścia jak synowi?

– To mnie uszczęśliw, mamusku. – Kładzie ją na łóżku, przygniata swoim ciężarem i zaczyna rozbierać z niewielkiej ilości mgły i iluzji, jaką ma na sobie. – *Per amore o per forza*, rozchyl uda, bo niczego więcej w tej chwili nie pragnę!

*

Dziewczyna leży na kanapie, obok niej kartka z napisem: „Żegnajcie, ja sama...”. Nim do Stelli dotrze, co się stało, potrząsa nią na wszystkie strony i krzyczy:

– Monaaa...!!!

*

Nie sposób opisać tego, co się dzieje potem. W jednej chwili powstaje rozgardiasz jak po trzęsieniu ziemi. Na krzyk zbiegają się wszyscy z promienia bodaj kilometra albo jest ich tak wielu w pobliżu! Otaczają pokój ciasnym kordonem, jak kłębiący się nad sensacją dnia dziennikarze, i jeden przez drugiego chcąc się dowiedzieć, co tak nagle postawiło wszystkich na równe nogi.

Stella próbuje przedrzeć się przez tłum do ambulansu, który miał dotrzeć jak najszybciej. Kilka osób próbuje nieudolnie reanimować bezwładną dziewczynę, ale gdy stwierdzają, że żyje, tylko jest nieprzytomna, rezygnują.

Stelli udaje się wreszcie wydostać z pokoju, pokonuje z trudem schody i wybiega z kilkoma kobietami na spotkanie lekarza i pielęgniarzy z noszami. Lekarz stwierdza, że liczy się każda chwila. Każe zrobić przejście, by mogli przenieść dziewczynę do samochodu, który potem rusza na sygnale do szpitala w Sienie. Pisarka wsiada z tyłu, niewstrzymywana przez nikogo, i całą drogę siedzi skulona w najdalszym kącie, obserwując w milczeniu wszystkie czynności i zabiegi. Wygląda to bardzo dramatycznie.

Zaraz po odjeździe karetki na ten sam podjazd wtacza się samochód-chłodnia z napisem „Sebastiano Vertige. Torty na każdą okazję”. Z szoferki wysiada dwóch ludzi ubranych na biało jak piekarze, mleczarze albo pielęgniarze; choć sądząc po strojach niedawno działającej tu ekipy, ci ostatni preferują zieleń albo czerwień. Na deser wytacza się mały, ale bardzo otyły, łysy człowieczek w kucharskiej, wysokiej czapie, która wcale nie przydaje mu wzrostu i powagi, oraz w białych rękawiczkach niczym jakiś prestidigitator.

– Gdzie mamy rozładować? – pyta tonem gwiazdy, która zamierza rozpocząć występ. – Przygotowaliście odpowiednie pomieszczenie?

Podchodzi do niego kilku ludzi z otoczenia Stelli, coś razem długo szepczą. Jegomość żywo gestykułuje, na koniec ciska na ziemię najpierw czapkę, potem rękawiczki, tupie nogą obutą w biały, wysoko sznurowany trzewik i woła:

– Pierdolę!

A potem żywo maszeruje w kierunku głównego budynku, nie oglądając się na innych.

Izabela na wieść, co się stało, wsiada do samochodu i gna za matką do szpitala.

*

Siedzą obie pod gabinetem ordynatora, czekając na konsultację. Stelli nie pozwolono wejść na salę reanimacyjną, została więc na korytarzu. A kiedy dołączyła do niej Izabela, uznała towarzystwo córki za bardzo przydatne.

Mogła się komuś zwierzyć, wyznać, że jest całkowicie wstrząśnięta tym, co się stało. Poczowała się różnie, zwłaszcza że młoda kobieta, biegnąc do niej, zawołała „mamo”, choć nie chciała się do tego przyznać.

– Powiedziałaś do mnie „mamo”? – zapytała ją na powitanie.

– Nic podobnego, musiałaś się przesłyszeć.

Teraz obie wydają się przejęte, chociaż młodsza przeżywa to znacznie intensywniej. Cokolwiek wpłynęło na decyzję Mony, nie o tym chcą obie rozmawiać.

– Zdążyłaś już odwołać bal?

– Przesunęłam o jeden dzień.

– Dziewczyna nie wyjdzie jutro ze szpitala!

– To nie o nią chodzi, lecz o mnie. Różnica godzin, ale... istotna. Nie mogę organizować zabaw, kiedy ona tam walczy o życie! Muszę wpierw wiedzieć, czy z tego wyjdzie!

– Chyba nie miała zamiaru walczyć. Wydaje ci się słuszne podejmowanie decyzji za nią? Jeśli nie chciała żyć...

– Bzdura, każdy chce! Ona zrobiła to specjalnie, na pokaz! Nie wiem tylko jeszcze, co mi chciała przez ten desperacki czyn powiedzieć.

Mona. Dziewczyna cicha i eteryczna, samotna, skromna, wycofana, nikomu dotąd niewadząca, niemal przeproszająca za to, że żyje – nagle podejmuje tak drastyczną decyzję. Kompletnie niezrozumiała.

– Jeżeli miała jakiś problem, nie prościej było przyjść z nim do ciebie? – gubi się w domysłach Izabela. – Zamiast... takiej ostentacji. Cokolwiek skłoniło ją do tej próby, mogła nam wszystkim oszczędzić widowiska!

– Nie wiem, Iza, nie wiem!

– Słyszałam, że najbardziej pieklił się ten łysy facet od tortów. Szykował niespodzianki i...

– Wielkie rzeczy. Wystawi torty za drzwi, jest taki mróz, że nic im się nie stanie do jutra! – Stella wzrusza ramionami.

– Tu chodzi o jego prestiż. Tak powiedział.

– A co? Śmietana mu opadnie? Wszystko zjedzą... dekoracje wytrzymają!

– Ale w jednym z tortów są ptaszki, one nie mogą tam tkwić w nieskończoność, bo się uduszą...

– Zaraz, jakie znowuż ptaszki? – Stella zastyga zdumiona.

– Miały wylecieć przy rozkrawianiu ciasta... spektakularnie. – Próbuje wyjaśnić dziewczyna, zaskoczona jej reakcją.

– Kto mu kazał takie dziwactwa wyczyniać? – Złość ogarnia pisarkę od obcasów do czubka potarganej fryzury. – Ptaszki? Chyba oszalał! Teraz panikuje? Przecież one i tak już się tam dawno podusiły!

– Nie, bo ponoć mają wentylację – spieszy z surrealistycznym wyjaśnieniem Iza. – Dochodzi do nich powietrze, ale cały mechanizm działa na baterie i... nie działa w nieskończoność. Rozumiesz?

– Rany boskie! To niech tym ptaszkom kręci dynamo, przynajmniej trochę schudnie! – Stella nie wytrzymuje i wybucha śmiechem, jednak prędko się opanowuje. – Wiesz, myślałam, że łysy kucharz to dobra inwestycja, przynajmniej nie będzie włosów w potrawach. I co? Wszystkie kobiety ze wsi się na mnie obraziły, bo wzięłam obcego cukiernika. A tu jeszcze taki ambaras! Pokryję jego ewentualne straty moralne, powinien te ptaki czym prędzej uwolnić, zadzwonię do Mony, żeby mu... – Zastyga na moment z komórką w ręce. – Popatrz... ja się bez niej nie mogę obejść. Dlaczego ta dziewczyna to zrobiła?

Chwila zawieszenia szybko jednak mija i Stella dzwoni do kogoś innego. Izabela jest poruszona, bo matka nie zdradza cienia wątpliwości, wahania, wydzwania spod gabinetu lekarza i dyryguje wszystkimi na odległość, jakby siedziała w jakimś punkcie dowodzenia.

– ...a jeśli komuś robi to taką różnicę, niech sobie jedzie do diabła! –

kończy dobitnie wydawanie dyspozycji.

Izabela przygląda się z zainteresowaniem kobiecie, którą uważała za bardziej uczuciową, mimo wszystko. Tymczasem ona rządzi twardą ręką i nie wygląda na zbyt przejętą tym, co zaszło. Chyba bardziej niż niedoszła samobójczyni zmartwił ją zniszczony laptop! Choć też nie próbowała dociec, komu to świństwo zawdzięcza. Skoro jest tak odporna na przykrości, Izabela postanawia poruszyć temat, który – jak przewiduje – znowu je poróżni. Ale czuje, że musi to uczynić, nie zważając na okoliczności.

– Zastanawia mnie obecność Tristana... w tym wszystkim.

– A... tak – potwierdza nieoczekiwanie Stella. – Podejrzewam, że Mona jest w nim zadurzona. Biedna dziewczyna!

Izabela jest oburzona.

– Mówisz o tym tak spokojnie?!

– A jak mam mówić?

– Wszedł do twojej sypialni wieczorem i... nie widziałam, żeby wychodził!

– Bo został do rana. – Płocha kobieta wzrusza ramionami i kontynuuje po chwili wahania: – Dawno skończyłam osiemnaście lat i nie zamierzam się rumienić.

– Jednak powinno cię to obchodzić, bo masz wnuczkę i... rodzinę!

– To miło, że osobiście monitorujesz moje życie prywatne! – odcina się Stella z sarkazmem, czując, że obie wkraczają na grząski teren.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak ludzie cię oceniają?

– Nie dbam o to!

– A może Mona chciała się zabić, bo nie do niej przyszedł? Czy zdążył ci oznajmić, że jest zaręczony? Rodzina Giovanne-Varese wywodzi się od kilku papieży, jest...

Stella zaczyna się śmiać, czym skutecznie tamuje potok słów z ust Izabeli, która spogląda na matkę w osłupieniu. Stella się uspokaja – w końcu są w szpitalu – lecz nie omieszkuję tego skomentować:

– Od papieży? Czyż oni nie ślubowali celibatu? To jakiś absurd!

– Och, doskonale wiesz, o czym mówię! To stara florencka familia; są w niej bankierzy, słynni prawnicy i... – Przerwa na chwilę zmieszana. – No... nie patrz tak na mnie! Wiem z internetu, ta nowina niejako promuje jego wiosenne koncerty klasyczne.

– I zdecydowali się w poczet papieży zaliczyć artystę? Czym ty się martwisz, moja droga?

– Twoją reputacją!

– O Jezu! Wybacz, ale sama się o nią zatroszczę!

– Może teraz, kiedy masz rodzinę, powinnaś... – Izabela przerywa, chcąc powstrzymać gorzkie słowa, cisnące się na usta. Reakcja matki sprawia jej przykrość i wywołuje rumieniec oburzenia. – Nie wydaje mi się, by opinia, jaką sobie wyrabiasz przez takie postępowanie, dotyczyła wyłącznie ciebie. Dotyka też rodziny. Pomyśl o Matyldzie. Będzie kiedyś dumna ze swej babci... o ile dasz jej na to szansę. Bo teraz co? Postrzelona, trzpiotowata, nadmiernie rozrywkowa!

– A ci papieże z rodziny Giovanne... czy jak im tam... to jakaś plama na honorze? Ostatecznie, skoro mają takie rozbudowane drzewo genealogiczne...

– Zapoczątkowane w średniowieczu, w okresie wypraw krzyżowych! – zaznacza Izabela.

– No właśnie! Nie może w nim zabraknąć łotrów i złoczyńców. – Stella zastanawia się nad czymś jeszcze. – Naprawdę chcą, by ich potomek nazywał się po prostaku Stiller? To nawet nie jest włoskie nazwisko, tylko bodaj... austriackie! Historycznie Włochom do Austrii daleko, latami się nie znosili, o ile coś jeszcze pamiętam z historii...

– Widzę, że nie potrafisz potraktować tego poważnie! Mówię o tym wszystkim, bo jeśli się dowiedzą o wybrykach Tristana, mogą zerwać te zaręczyny. Twój kochanek jest albo głupi, albo tak nieostrożny, że...

– Wiesz co? Pogadamy o tym za dziesięć lat, dobrze? Ciesz się moją troską, podobnie jak niesłuchanie raduje twoją nieskazitelną, ale... nie dyktuj dorosłym ludziom, co mają robić. I bardzo cię proszę, nie wracajmy więcej do tego tematu. Powiedz mi lepiej, skoro już tak rozmawiamy, czy wybrałaś kostium? Ty i Stefano?

– Możesz tak swobodnie o tym rozmawiać?

– A co się takiego stało? Lekarz, nim przyszłaś, poinformował mnie, że po płukaniu żołądka i podaniu leków wzmacniających powinno być z Moną dobrze. Bardziej niż stan tej dziewczyny martwi mnie przyczyna jej desperackiego kroku. Jeśli po wszystkim zechce odejść, nie będę jej zatrzymywać. Przykro mi, że... – Stella kręci głową, nie kończy. – Ale nie mam o nic żalu.

– Uczyniła to w takim momencie...

– Nie ma ludzi niezastąpionych.

– Tak uważasz?

– Oczywiście, jesteś dowodem na to, że z powodzeniem można zastąpić nawet matkę!

Izabela kręci głową z politowaniem.

– Dla ciebie to jest jakiś rozdział w kolejnej książce? Odnoszę wrażenie, że obserwujesz z lotu ptaka wszystkie wydarzenia, niczym jakaś wszytkowiedząca narratorka. Jakby nie ciebie dotyczyły!

– Może i tak jest, każdy ma swój sposób na życie.

– To znaczy, że zaczniesz się przejmować, kiedy zobaczysz złą recenzję? Od swoich znajomych? A jeśli wszyscy cię potępiają? Nie dopatrzą się zgrabnej alegorii w gęstości twojej fabuły?

– Zabawne, że o tym mówisz. – Stelli przypomina się nocna pogawędka z Tristanem.

– Może chociaż opinia czytelniczki cię ruszy?

– Aktualnie najbardziej obchodzi mnie Mona. A ty pomyśl raczej o kostiumie.

Zjawia się ordynator i prosi pisarkę do gabinetu.

– Tak, nie ma żadnego zagrożenia, wyjdzie z tego, ale w takich przypadkach zmuszony jestem powiadomić odpowiednie służby...

– Rozumiem.

– Ta młoda osoba potrzebuje kilku spotkań ze specjalistą. Nie domyśla się pani, co było przyczyną?

– Nie. O ile wiem, nie posiada rodziny i...

– Ma siostrę... przyrodnią.

– Ach tak... – Stella nie wydaje się specjalnie zaskoczona. – Czy mogę porozmawiać z Moną, dodać jej otuchy?

– Oczywiście. – Lekarz dzwoni na oddział wewnętrzny, chwilę rozmawia i po odłożeniu słuchawki oznajmia: – Jest przytomna, choć trochę słaba.

*

Przygląda się bladej twarzy dziewczyny. W myślach nie może opanować inwazji włoskich słów z tematyki kulinarnej, które ją nagle zaatakowały, jakby w ten sposób się broniła, szukając osobnej niszy, w której zdoła wszystko przetrwać. *Tortellini, cannelloni, linguini... straciatella...* Jakie to idiotyczne! Człowiek ma umysł, niby własny, a nie potrafi zapanować nad jego możliwościami, nawet jeśli czuje się kompletnie pusty i wydrażony jak zbutwiały pień.

– *Sto male. Mi dispiace, Signora!*⁷ – szepce dziewczyna, a potem zamyka oczy. Dziwne, że mówi po włosku, zawsze rozmawiały ze sobą po angielsku. Teraz jest wystraszona i bardzo blada, unika wzroku Stelli, jakby jej

wyrządziła krzywdę. To prawda, zrujnowała swym czynem plan dnia, ale takich rzeczy nie robi się bez zastanowienia. Musiała mieć powód, ważny powód, wobec którego każdy bal traci znaczenie.

– *Un attimo, per favore!*⁸

Stella nie ma zamiaru jeszcze odejść. Podchodzi, chwyta Monę za rękę, czuje słaby uścisk w odpowiedzi. Gładzi dziewczynę po policzku, poprawia jej włosy. *Amore. Un bacio. Abbraccio. Con piacere*⁹. Słowa włoskie wymykają się nieproszone, jakby były żywe i zapękniają pokój w szpitalu... robią jakiś sztuczny tłum.

– *Non importa!*¹⁰ – odpowiada Stella, wpatrując się z napięciem w twarz Mony. Wydaje się cierpiąca i pełna pasji.

– *Vorrei...*¹¹ – szepce z wysiłkiem dziewczyna i nie kończy. Znalazła w sobie siłę, ale braknie jej wyraźnie odwagi, determinacji. Znowu pogrąża się w rozpacz, żałuje, że nie umarła. Przynajmniej nic by już nie czuła. Tak jest jej wstyd, tak strasznie żal... Potrzebuje i szuka odpowiednich słów, by wszystko wyjaśnić i prosić o wybaczenie... ale nie potrafi. Za daleko to wszystko zaszło, za głęboko zabrnęło. Za długo milczała.

Stella pochyła się nad łóżkiem i tuż przy twarzy dziewczyny mówi spokojnie po angielsku:

– Wiedz, że nie pochwalam takiego tchórzostwa. Cokolwiek cię do tego skłoniło, razem damy radę! Każdy problem można rozwiązać.

– *Mi scusi, Signora!*¹²

Stella kiwa głową.

Po policzku Mony spływa łza. Dziewczyna wydaje się bezradna wobec tego przebaczenia. Albo raczej wie, że na nie nie zasłużyła, skoro nie wyznała prawdy.

Stella nie zwraca uwagi na rozpacz dziewczyny, bagatelizuje jej zmieszanie i niewątpliwe poczucie winy. Chce ostudzić emocje, choć wciąż

nie wie, co się stało. A może nie chce wiedzieć?

– Ja zawsze wybieram życie! – Prostuje się, zmierza ku drzwiom. Już z ręką na klamce odwraca się i mówi: – *Non aver paura! A domani!*¹³

*

– Po co mi prawo jazdy, skoro mam w pobliżu kierowcę? Lubię jazdę samochodem. W tym miejscu – Stella klepie siedzenie pasażera – zawsze dobrze mi się myśli. Za oknem mijają obrazy, przemykają ludzie, jakieś urwane w pół sytuacje i każda rodzi kolejną... i kolejną... A ja jestem tylko obojętnym świadkiem.

– Też sporo myślę, gdy kieruję – przyznaje Izabela, uważnie obserwując drogę.

Wracają nieco uspokojone. Zapada zmrok. Czarne krawędzie drogi odcinają się wyraźnie od zasp na poboczu.

– Widocznie masz podzielną uwagę. Dla mnie proces obmyślania scen do książki jest tak ważny i wyjątkowy, że nie lubię dzielić go ze znajomością znaków drogowych i koncentracją na drodze. Kiedy tylko mogę, migam się od prowadzenia auta, powierzając to zajęcie lepszym i odpowiedzialniejszym. Na czym skończyłyśmy? Wybrałaś kostium i buty?

– Zajrzałam do twojej garderoby. Niezła kolekcja! Buty... Szkoda, że mam większą stopę. Wszystkie prawie takie same, czarne, klasyczne szpilki. To jakiś twój fetysz? Po co ci tyle butów? Masz tylko jedną parę stóp.

– Moje dziecko... – Stella się śmieje. – To długa historia i... raczej dla dorosłych, więc skup się teraz na kostiumie. Nikt ci nie kazał go szukać w mojej prywatnej garderobie. Ani w moich książkach.

– Przepraszam... nie wiedziałam...

Pisarka wzrusza ramionami.

– Nie ma o co kruszyć kopii! Strój jest ważny, jego dopasowanie również, a nie zostało już wiele czasu.

– Tak... zostało mało czasu... – potakuje Izabela, dziwnie zamyślona. – Od dawna chciałam cię zapytać. Dlaczego zawsze piszesz o ludziach bogatych i niesympatycznych? Czy idziesz na łatwiznę? Dlatego wybierasz im wszystkim tandetne zawody i wtłaczasz w nierealne sytuacje?

– Nieważny jest nomen omen kostium, w jakim to się odbywa. Moi bohaterowie starają się naprawić zło, które wyrządzili.

– Jednak od zła zaczynają!

– Nie byłoby przebaczenia i pokuty, gdyby nie było występku. Jaki jest sens pisania o przemianach zła w dobro w raju?

– Twój wykreowany świat i bohaterowie bywają pretensjonalni. Nie spotyka się takich ludzi na co dzień.

– Nie pławię się w codziennym byciu, w przyziemności. Nie rozpisuję się nad czyimś nieświeżym oddechem, bo to każdy ma i zna. Mnie interesują dusze. Przyjmuję, że obierają sobie piękne ciała i one stanowią grunt, na którym rozwija się akcja powieści. Z cielesności tych ludzi wynika ich styl życia. A także dylematy, z którymi próbuję ich zmierzyć. Często ignorują egzystencję w jej zwyczajnych przejawach; na zasadzie, że człowiek łaknie rzeczy wyższych, kiedy ma pełny żołądek i regularne wypróżnianie. Nie można bowiem sięgać wyżej, skoro dopada cię chaos, nędzę albo bezdomność zaraz po otwarciu oczu.

– A ciebie interesują tylko rzeczy wielkie?

– Każda podjęta przez nich decyzja pociąga za sobą konsekwencje.

– A jak jesteś postrzegana w tak zwanym „środowisku”?

– W takim gronie musisz popierać decyzje uznane przez większość za słuszne, bo inaczej cię zdegradują.

– Co to znaczy?

– Nigdy nie oceniam, nie recenzuję książek znajomych, bo wolę szczerłość od strachu przed towarzyskim ostracyzmem. Każdy zazwyczaj deklaruje, że jest zwolennikiem prawdy i zależy mu na konstruktywnej krytyce, ale ja wiem swoje. Już samo przyznanie się do tego, że wolę czytać książki nieznanymi mi osobiście pisarzy, nie jest dobrze widziane. Z kolei zasada „ja tobie, a ty mnie” nie sprawdza się. Wygląda mniej więcej tak: „ty mnie, ale ja tobie niekoniecznie”. Są też osoby wyrażające swoje uznanie

wyłącznie pokątnie, w towarzyskiej pogawędce przy lampce wina. Oficjalnie zaś udają, że w ogóle nie czytały.

– Czyli?

– Pozwól ludziom naprawdę cieszyć się tym, co ich raduje, a martwić tym, co ich dotyka. I nie zgaduj, co jest najważniejsze. Czasem jedyną formą uwielbienia bywa zawiść. Niektórzy nie potrafią w inny sposób pochylić głowy przed talentem swoich bliźnich.

– A prawdziwe fanki i wielbiciel twoich powieści?

– Ludziom można wiele wmówić. Wystarczy wpływowy krytyk, a najczęściej chętnie czytany i lubiany bloger, który powie, że powieść jest fantastyczna. Zauważ, że bywają krytycy, którzy nigdy nie piszą źle. Bo nie chcą się narażać albo zwyczajnie nie potrafią wskazać błędów ani wypaczeń. Ich „recenzja” ogranicza się do opowiedzenia treści. Zmysł krytyczny to wnikliwość i opanowanie tematu, znajomość kontekstu. A blogerzy? Skąd się oni właściwie biorą? To czytelnicy, jak inni, tyle że zakładają swoje strony i piszą o tym, co przeczytali, gromadząc wokół siebie towarzystwo adorujące, zachwycone dosłownie każdym wpisem. Najczęściej z portalu społecznościowego. Tak to działa. Wystarczy pracowitość, regularne przypominanie o sobie i pisanie z czytaniem razem wzięte. Ale to bardzo rzadko są filolodzy, rasowi krytycy czy znawcy literatury. Dlatego nie piszą o wadach tekstu czy jego oryginalności – o ile taka występuje – lecz o prostych wrażeniach z odbioru, które każdy pojmie i będzie mógł się z nimi identyfikować. Grunt to się zbytnio nie wychylać. Wydawnictwa chętnie współpracują z blogerami, bo opinie są od razu, z reguły pozytywne, i można świeżo wydrukowany tytuł anonsować jako bestseller. Sama tego doświadczyłam, więc wiem, jak to jest.

– Chcesz powiedzieć, że nie istnieją już czytelnicy z prawdziwego zdarzenia, ludzie kochający książki? Sami oszuści, naciągacze albo zwyczajni łatwowierni głupcy? To smutne i zarazem straszne! – zauważa ze złością Izabela. Wydaje się jej, że matka obsmarowuje tych, którzy są zaradni i pracowici, prezentując swoje własne przykre doświadczenia w temacie.

Zamyślona Stella nie odpowiada i kilka minut wisi między nimi znacząca, pulsująca emocjami cisza. Jakby pisarka szukała w niej właściwych określeń, niepewna, czy dobrze wszystko ujęła. I okazała się sprawiedliwa, a nie tylko rozżalona. Starannie dobiera słowa:

– Powiedziałam ci sporo o swoim życiu, ale nie czyń z tego użytku na miarę swoich oczekiwań.

– Jak mam to rozumieć? Odbierasz mi prawo do troski o ciebie? – Izabela jest zaskoczona konkluzją.

– Proszę cię...

Stella jest już myślami gdzie indziej. Wie, że tej nocy ona pójdzie do Tristana, nie czekając, aż on się zdecyduje. Przekora wzmaga u niej pragnienie, a nawet popycha do desperacji. Bo przecież to może być ich „ostatni raz”. Skoro kochanek zamierza wstąpić do tak szacownego klanu, nie warto się certolić. Ani dyktować warunków. Szczęście sprzyja zakochanym do pewnego czasu. Bywa, że sława nie usprawiedliwia skandalu.

– Dlaczego sama nie wyciągasz z tego wniosków?

– To się może kiedyś zmienić, nie dziś i nie zaraz, ale nie powiedziałam jeszcze, czy raczej, trzymajmy się konwencji, nie napisałam jeszcze ostatniego słowa!

– I jesteś pewna, że zdołasz to zrobić? Zdążysz? – pyta z naciskiem Izabela.

Pisarka zapada się w swój świat i już nie uczestniczy w rozmowie, zajęta swoimi sprawami. Zawieszona.

Zajeżdżają przed dom i to jest koniec ich rozmowy.

*

W osobnym pokoju leżą na półkach i w pudłach maski do wyboru dla każdego uczestnika balu. Ozdobione piórami paw, rajskich ptaków i wizerunkami dzikich zwierząt, w kształcie skrzydeł ptasich, owadzych,

smocznych, motyli... Wykonane z pozszywanych we wzory cekinów i srebrzystych, lustrzanych blaszek. Z monet i połączonych precyzyjnie łańcuszków. Typowe modele masek weneckich, zdobionych sztucznym futrem, łabędzim puchem, klejnotami, wizerunkami ze starych obrazów i widokami dawnych pałaców, mostów, monumentów... W odcieniach szafiru, starego złota, miedzi i amarantu. Pełne ornamentyki, splecionych linii, którymi zakłócały harmonię widocznych rysów twarzy. Niektóre egzemplarze wykorzystują imitację liści i owoców, dzikich jagód i paproci, inne motyw sieci pajęczej z wplątanymi weń owadami. Są też białe maski z otworami na oczy, wyprofilowanymi nosami i płaskimi policzkami, wymalowane na złoto i tęczowo. Są maski asymetryczne, prezentujące na każdej połówce inny styl. I maski niczym kurtyny w teatrze, odsłaniające czoło i oczy, opadające na usta i podbródek draperią wykończoną małymi kółkami lub rzędami sznurów z ponawlekanymi koralikami.

Stella wybiera maskę, która bardziej podkreśla oczy, niżli zmienia rysy czy kamufluje twarz. Nie zakłada peruki, włosy ma spięte w wysoki kok i udekorowane perłami oraz kwiatami. Jej sukienka jest ciemno grafitowa, z czernią koronkowej piany, która odcina się kontrastem od bieli obnażonych ramion, pleców i oplecionej perłami szyi. Pod sztywną halkę na lekkiej konstrukcji krynoliny włożyła czarną bieliznę i pończochy. Świadomość tej skrytej perwersji sprawia, że lekko uśmiecha się do samej siebie. Ten szczególny grymas wtajemniczonym poniekąd zdradza jej tajemnicę, ale i zachwyca niedomyślających się jego przyczyny.

Nie ukrywa się przed swoimi gośćmi. Za to sama ma kłopot z rozpoznaniem innych. Poza kilkoma wyjątkami – jak na przykład barczysta, ciężka postać Bruna, który przyjechał, licząc na absencję Tristana – trudno jej z tłumu wyróżnić poszczególne osoby. Bruno Cagliostro prezentuje się dostojnie w fioletowym aksamitnym fraku ze złotymi szamerunkami. Wykorzystuje moment, gdy jest sama i oparta o wnękę okna, ochładza twarz wachlarzem z piór, podchodzi, by z namaszczeniem okazać jej swoją uwagę. Uczyniwszy zadość konwenansom, przechodzi do spraw dla niego mniej przyjemnych:

– Żywiłem nadzieję, że rozstałaś się z... oboje wiemy z kim.

– Tak, Tristan i ja pozostajemy ze sobą w... uprzejmej przyjaźni.

– Moja droga, pozwól sobie zaprzeczyć! Nie uszło mej uwadze, z kim spędziłaś ostatnią noc. Ten młody człowiek, z właściwą jego wiekowi beztrząską, po prostu cię kompromituje! Wcale nie ukrywał swego podboju, nie tylko ja widziałem rano, jak od ciebie wychodził, niestosownie... rozchełstany, a przechodząc pod oknami, wrzucił ci do sypialni nieodpowiedni bukiet róż.

– Nie...odpowiedni?

– Ależ tak, przypominał wiązanekę ślubną!

– To był żart.

– Doprawdy? Chcesz powiedzieć, że gdybym ja w tak ostentacyjny sposób zażartował, byłabyś równie uszczęśliwiona i... wydekoltowana?

Wydekoltowana. To określenie było eufemizmem, bo Stella ukazała się w oknie zawinięta w skraj firanki, by posłać Tristanowi na odchodnym całusa.

– Ty na jego miejscu na pewno byś się przeziębiał. Było... aż tak widać? – Udaje zawstydzoną.

Bruno ma do niej słabość, woli dalej nie komentować jej skąpego stroju; przechodzi do innego związanego z Tristanem tematu, bo nasza go przekorna chęćka, by w zemście nieco jej podokuczać.

– Wiesz, gdzie teraz jest i kogo aktualnie emabluje? Wysokich mężczyzn jest tu kilkunastu, ale kilku zbyt otyłych albo przygarbionych... O, ten jest chyba starszy od twojego księcia z bajki?

– To Batiano – zdradza sekret Stella.

– Otóż to! Gdzie aktualnie flirtuje nasz ulubieniec muz?

– Nie wiem, nie śledzę go.

– Czy to nie tamten muszkieter? Piękna postawa, zaiste! Trzeba przyznać, że bestia jest diablo przystojny. Ale wiesz chyba, że się zaręczył, i to z bardzo dobrą partią? Nie wypada go dalej bałamucić, moja piękna czarodziejko. On już nie należy do samego siebie. Zaprzysiął wierność Veronice Gaetano-Varese.

– Chyba Giovanni Varese? Czy jakoś tak...

Bruno spogląda na nią spod uniesionej krzaczastej brwi, tak jakoś zaczepnie.

– Czy uważasz, że nieprawidłowo nazywam rodzinę moich odwiecznych przyjaciół? Ten chłopak naprawdę wejdzie do nie byle jakiej rodziny, dzięki swemu talentowi i urodzie, ale... na przekór swej zepsutej reputacji, jak zapewne się domyślasz. I w akompaniamencie skandalu, o czym lojalnie uprzedzam. To zasłużona, stara arystokracja, nie taka od Garibaldiego! I dlatego powinien się liczyć z opinią publiczną. Chyba jesteś tego świadoma?

– Owszem, kilka osób przed tobą nie omieszkało mi tego uprzytomnić.

– A czy on się przyznał? Bo... wniosując z waszego nocnego *rendez-vous*, chyba nadal myśli, że mu wszystko wolno.

Stella wzdycha i kryje twarz za wachlarzem.

– Widzę, że ci żal tej... pieczeni! A raczej tego, że nie ty obracasz już rożen!

– Jeśli przyznam, że żal, będzie ci przykro, *n'est-ce pas*?

Bruno ma nagły atak kaszlu, czym kryje swoje zawstydzenie i... wzruszenie.

Zespół kameralistów w strojach z epoki i perukach zawzięcie piłuje menueta. Chciałaby zatańczyć, specjalnie uczyła się figur, lecz nie z Brunem, który ma kłopoty z poruszaniem się i już rozgląda się za fotelem, na którym mógłby z ulgą „zaparkować”. Stella zauważyła te zabiegi, podprowadza go na odpowiedni przyczółek, gdzie z podwyższenia będzie mógł wszystko

obserwować, i sadza z należną estymą.

– Stąd nie uronisz najmniejszego szczegółu! Przyniosę ci kieliszek wyśmienitego porto, nie odmówisz?

– Byłbym szczęśliwy, gdybyś raz na zawsze odpędziła od siebie tego młodzika, ale... – Chrząka z godnością, dla wydłużenia chwili namysłu. – Wydaje mi się, że ten niedojrzały Adonis utkwiał ci mocno w sercu...

– No i masz mnie – przyznaje się Stella, kiwając smutno głową. – Nazywasz go młokosem, pieczenią, Adoniszem i kim tam jeszcze. A rzecz sprowadza się do tego, że seks to... pierwszorzędna sprawa! – I w tym samym momencie czuje, że strzeliła beznadziejną gafę. Chce się więc szybko wycofać i... wyznaje: – Kocham go, Bruno, taka jest prawda! A teraz idę po porto dla ciebie, przyjacielu.

Lecz nie dociera tam, gdzie zamierzała, bo oto ktoś w tłumie wciska jej niepostrzeżenie liścik w dłoń. Otwiera zgiętą kartkę zwykłego papieru, na której odręcznie napisano:

„Chcesz mnie poznać? Do zobaczenia w Twoich apartamentach”.

Stella jest zdenerwowana, bo czuje się osaczona. Postanawia wyjść niebezpieczeństwu na spotkanie, stawić mu czoło. Niech to się wreszcie jakoś skończy! Idzie na galerię, a stamtąd przemyka się do swoich pokoi, biegnie szybko po schodach, unosząc w górę suknię. Odkłada na balustradzie wachlarz i zdejmuje maskę, bo nagle wydały jej się głupimi rekwizytami, które ją tylko ośmieszają przed nadawcą listu.

W pokoju nie ma nikogo!

Wraca do sypialni. W powietrzu unosi się zapach, dość nietypowy... Chyprę? Męska woda toaletowa?

– Jestem – oznajmia odważnie. Czeka.

Zza lustra wychyla się najpierw dłoń w rękawiczce, opiera palcami o ramę. W końcu wynurza się cała postać Trochę teatralne *entrée*. Kobieta ubrana w pastelową suknię *à la madame Pompadour*, z marszczoną na

ramionach pelerynką. Wysoka koafiura zdobna w sztuczne ptaszki i rybki... niczym alegoria ogrodu ze stawem. Twarz zasłania maska. Suknia ma głęboki dekolt, ale jest on pokryty haftowaną gęsto gazą, ujętą w kryzę przy szyi. Wiadomo... Pompadour latami chorowała na gruźlicę; może chroniła się przed wersalskimi przeciągami, wiatrem w ogrodach Trianon... takimi właśnie zasłonami. Nieznana postać ma na sobie ubiór tak szczelny, że każdy skrawek jej ciała jest zasłonięty i nie sposób domyślić się, kim jest.

– Jestem... – powtarza Stella, czując, że powinna to spotkanie jakoś ocieplić. I że zmieni ono jej życie. – Czy to ty zabiłaś mi psa?

Kobieta kiwa głową.

– Listy też były od ciebie?

Znów ten sam ruch i gest, jakby chciała czemuś zaprzeczyć. Po chwili wysuwa ku niej dłoń w rękawiczce, w której trzyma mały, wysadzany perłami pistolecik. Niczym jakiś gadżet, podobny ptaszkom w torcie. Zabawkę ku uciesze gawiedzi. A może marcepanową ozdóbkę do zjedzenia? Częstoje nią? Stella czuje na czole kropelki potu, drży z emocji. Boi się.

– Czego chcesz?

Nie spodziewa się odpowiedzi, ale chce zyskać na czasie. I nie przestaje mówić, starając się, o ile to możliwe, utrzymać z kobietą kontakt wzrokowy. To, że może mówić, w jakiś irracjonalny sposób oswaja ją z sytuacją. Przez brzmienie własnego głosu nie traci poczucia względnego bezpieczeństwa.

– ...sprytnie! Nikt mnie teraz nie usłyszy, prawda? Nawet jeśli zacznę krzyczeć, na dole jest zbyt gwarno, za duży tam panuje ruch. Ale... dlaczego miałybyś do mnie strzelać? Czyż nie powinnam wiedzieć, czym ci się aż tak naraziłam? Bo uważasz, że cię skrzywdziłam, tak?

Jednocześnie gorączkowo rozmyśla, kim jest tak wystylizowana postać. Dlaczego w ogóle doszło do tego spotkania, w dziwnych okolicznościach... I nagle nie waha się dłużej. Po prostu wie.

– Izabelo, to ty?

Kobieta jest poruszona i zmieszana. Chyba nie przewidziała takiego pytania. Powoli opuszcza dłoń z pistoletem. Wydaje się skamieniała pod osłoną piór, falban, haftów i draperii.

– Zdejmij maskę! – żąda Stella. – Wiem, że się nie mylę. Miej odwagę pokazać mi twarz!

Izabela. Stoją blisko siebie, ale żadnej nie przyjdzie do głowy, by otworzyć ramiona. Stella nie kryje swej pogardy dla dziewczyny.

– Cały czas ci ufałam...

– A ja tobie nie!

– Dlaczego?

– Czy myślisz, że można nadrobić tyle straconych lat? Tak po prostu zapomnieć?! – krzyczy zdesperowana Izabela. – Nie opowiedziałam ci swego dzieciństwa. Tego, jak wiele razy mi się śniłaś! Wyciągałam do ciebie ręce. Ku tej nieznannej twarzy dalekiej kobiety. Nigdy nie będziemy sobie bliskie. Słyszysz? Nigdy!

– To, że mniej po mnie widać, nie znaczy, że mniej bolało.

– Nie kłam, nic cię nie obchodziłam! Całymi latami. Nie próbuj udawać miłości tam, gdzie masz tylko rutynę! Tyle razy pisałaś o uczuciach, że potrafisz w nie sama uwierzyć. Ale to wszystko nieprawda!

– Jeśli mnie zastrzelisz, zaczniesz nowe życie?

– Nie, jestem przegrana, od chwili gdy postanowiłaś mnie zostawić!

– Miałaś i masz nadal dobre życie, rodzice cię kochali. Czego jeszcze chcesz?

– Wiedziałam, że byłam niechciana! Nadal jestem. Ani razu nie przyszło ci do głowy, by mnie przytulić...

– Nie byłam pewna, czy sobie tego życzysz... – wtrąca Stella nieśmiało.

– Nawet kiedy już wiedziałas, kim jestem i po co tu przyjechałam?

Wiesz, to trochę tak, jakbyś stwierdziła, że w Polsce nie ma ludzi inteligentnych, tylko wszyscy korzystają z Google! Świadomie wszystko upraszczasz. I jesteś nielogiczna! W dodatku przykładasz inną miarę do siebie i do innych! Sama nie potrafisz zapomnieć rodzicom, że cię namawiali do aborcji. A przecież minęło tyle lat i dawno powinnaś im to wybaczyć.

– Nie miałam pojęcia, że ci na tym zależy.

– A na czym miało mi zależeć? Na twoich pieniądzach?! Wszystko, co mi opowiedziałaś, całe twoje plugawe życie uświadomiło mi, że nie zasługujesz na to, co masz! Bogactwo zyskałaś kurewstwem i zawsze byłaś wyrachowana. Nawet ten kukurydziany naszyjnik zostawiłaś mi po coś. Wiedziałaś, że będę cię szukała, porzucone dzieci tak mają, chcą za wszelką cenę spojrzeć w twarz matce, która je zostawiła!

Stella widzi, w jakim stanie podniecenia znajduje się młoda kobieta, stara się ją uciszyć, uspokoić. Nie chce zaostrzać dyskusji ani bardziej rozdrażniać Izabeli.

– Zamierzasz się mścić? Przecież to śmieszne! Możemy wspólnie nadrobić stracony czas. Nauczyć się siebie. Być razem. A jeśli mnie zabijesz, zamkną cię do więzienia i twoja córka też będzie sama. Widzisz w tym sens? Nie rozumiesz, że pora na wybaczenie? Tylko tak możemy to rozwiązać... – Czeka na jakąś reakcję ze strony Izabeli, ale na próżno. Podejmuje decyzję. – Nie boję się ciebie, bo jesteś mimo wszystko moją córką. Wyjdę stąd i nikt się o niczym nie dowie. Proszę, schowaj pistolet i zacznijmy wszystko od początku.

Odwraca się i postępuje kilka kroków ku drzwiom. Słyszy huk wystrzału. Ból boleśnie godzi ją w środek pleców. Zapada ciemność. Stella z grymasem zdumienia na twarzy osuwa się na podłogę...

*

Nigdy nie jest za późno, by znowu zacząć...

Ostatnie, co pamięta, to ból i przesywające na wskroś zdumienie. Zawód? Pytanie wiszące w powietrzu.

A teraz?

Czy umarła? Taka jest śmierć z bliska? Ból i poczucie dojmującej straty? Nic więcej... Z trudem otwiera oczy, powieki ma ciężkie i grube... Niewygodne. Słyszy szum i dziwne miarowe dźwięki, których nie potrafi zidentyfikować. Komputer? Stłumione, odległe głosy. Nie może mówić, poruszyć ustami, nie czuje twarzy ani ciała. Bezład i narastające poczucie paniki. A może została pochowana? Czy w ogóle oddycha? Robi to samodzielnie? Może wszystko jest tylko snem, złudzeniem?

*

– Jest pani w szpitalu. Halo, proszę pani!

Nadal nie może się poruszyć. Co się stało? Dlaczego jej tak niedobrze? Duszno. Coś ją przygniata. Jednak czuje, skoro wie. A po otwarciu oczu... bo chyba je otwarła? Wirujący nieznośnie jeden... wiele... tak, wiele, nieskończenie wiele punktów światła. Czy to już życie po życiu? Próżnia? Otchłań? Czyścić?

Ma jasny kolor, jest łagodnie i stabilnie. Zimno. Nie ma hałasu. Nie ma nic.

*

Nic. W dalszym ciągu nic. Coś się stało na balu... Kogoś postrzelono. Policja?

Ciemne, wyraziste oczy.

– Jestem komisarz Palone. Spróbuje pani mówić? Odpowiadać znakami dłoni? To ważne. Co pani pamięta?

*

Leży i milczy. Nic im nie powie. Odwróciła się, chciała wyjść z pokoju, zacząć jeszcze raz. Nigdy nie jest za późno na podjęcie kolejnej próby. Dopóki się żyje. Za każdym następnym razem może być lepiej. Każdy zasługuje na drugą szansę...

Dlatego milczy. Nie wypowie imienia. Nie dopytuje o nikogo. Mijają godziny, podobne do siebie. Może dni? Nim usłyszy wyrok ostateczny.

Ona wie, a inni nie muszą. I tak jej los jest przypieczętowany. Nic go już nie zmieni. Nic i nikt. Stało się i jest za późno.

O wiele lat za późno.

*

Stefan? Siedzi obok łóżka, załamuje ręce, nieomal rwie z głowy resztki włosów nieokreślonego koloru. Nie wiadomo: jest blondynem czy osiwiął?

– Przecież ją znam, wiem, do czego jest zdolna! O czym rozmawiałyście? Co ją sprowokowało? Boże, wiem, do czego jest zdolna, ale wiem też, że nie jest złym, okrutnym człowiekiem. Ktoś wykradł z gabinetu trujące substancje, podejrzenie padło na mojego asystenta. Jego brat był narkomanem...

Stella nie ma ochoty przerywać jego monologu.

– ...zawsze podejrzewamy nie te osoby... co teraz będzie? Co będzie z naszą rodziną? Z Matyldą, ze mną? Z nami?

Stella czuje, że bierność jest jej jedynym środkiem obrony. Tego zamierza się trzymać.

*

– Kto to zrobił?! Widziałaś, rozpoznałaś tę osobę!

Stella odwraca twarz do ściany. Nie chce patrzeć w oczy Tristanowi, który się nie umie opanować, krzyczy i tupie, jakby to jego spotkał straszny cios.

– Dlaczego nie chcesz oskarżyć tej... Wiesz kogo! Chronisz ją? Kryjesz? Chciała cię zabić!

Mężczyzna miota się po sali, jakby wiedział o wszystkim, ale nie mógł niczego uczynić. Bo ona jest obojętna i apatyczna. Stanowi jego całkowite przeciwieństwo.

– Przecież żyję... – mówi cicho.

– Żyjesz, ale jak? W połowie. I czy dysponujesz władzą nad samą sobą? Góra i sparaliżowany dół. Nie możesz sobie wybrać, która część ciebie pozostanie czynna!

W tym momencie Stella uzmysławia sobie, że bardziej niż własny los boli ją jego postawa wobec tego, co się stało. Kiedyś pożądał jej tak, jak teraz pragnie rewanzu. Jest pełen nienawiści! Dosłownie kipi szałem zemsty.

– Wiesz, że pąki nasturcji mogą udawać kapary? – mówi do niego z lekkim uśmiechem. – Nawet podobnie smakują, zamarynowane w grubej soli.

– Co? – Tristan przez chwilę myśli, że Stella zwariowała. – Chcesz podarować takie skurwy...

– Domyślam się, którą połowę ty byś ze mnie wybrał – przerywa mu. – I to jest w tym wszystkim najbardziej przykre.

– Odreagowujesz własną słabość na mnie? Jak zawsze zresztą! – On nie zwraca uwagi na jej słowa, ironię i smutek, myśli w tym momencie tylko o sobie. – Może do końca życia... – Milknie, bo wydaje mu się, że nienazwane jest mniej realne i nie tak nieuchronne. – Wiesz, jaka jest niejadalna część warzywa? Opowiadałem ci ten dowcip. Wózek inwalidzki. Chcesz na nim spędzić resztę życia i nikogo za to nie ukarać?! Dla mnie niepojęte!

– Umiem przebaczać, w tym moja siła.

Nadal podejrzewa, że postradała zmysły.

– Co ty chrzanisz, Stell?! Jaka siła?!

*

Mona dawno wydobrzała, jest znów niezawodna i na posterunku. Odwiedza Stellę w szpitalu, licząc, że ta w końcu się do niej odezwie. Ale kobieta jest bardziej obolała psychicznie, niżli cierpi fizycznie. Zamyka się w sobie, nie chce z nikim rozmawiać o swoim bólu, o tym, że w jej

mniemaniu życie dobiegło końca. Już nic dobrego nie może jej spotkać. Jest kaleką, przekłętą kaleką! Wzbudza odrazę w samej sobie. Nie chce na siebie patrzeć, nie chce nic czuć, cała się spina i buntuje. Przeszła już wszystkie stadia piekła, leżąc nieruchomo w szpitalnej pościeli. Poznała całą okrutną prawdę, zaakceptowała, ale po kilku dniach odrzuciła. I teraz trwa w odrętwieniu, nie mając pomysłu na ciąg dalszy.

Tak, to się dzieje naprawdę! Nie pisze kolejnej historii! Ona się toczy w jej głowie i kosztem jej własnego, umęczonego, rozdzielonego na dwie części ciała! Przeżywa ją, to jej samej dotyka ból, zatrważa poczucie dojmującej straty. Bardziej niż brak władzy w nogach dręczy utrata zaufania. Jak teraz żyć? Co dalej?

Ona, zawsze taka kokieteryjna, wesoła, zadziorna! Teraz już nic, koniec z uwodzeniem, z żarcikami, flirtami. Teraz się zacznie gwałtownie starzeć i murszeć, jak zapomniany nagrobek. Wokół wszystko ucichnie, ludzie zaczną jej unikać. Będzie dla nich balastem, poczuciem winy, unaocznieniem ich własnej możliwości. Stanie się uciążliwym i dalekim wspomnieniem tej kobiety, którą była... Zacznie wzbudzać powszechnie współczucie. Będą na nią spoglądać z litością. Tłumaczyć, że przecież jeszcze tyle może zrobić, że jest komuś tam potrzebna. Wszystko to kłamstwa i stek bzdur. Nikomu już na niej nie zależy.

Mona nie przestaje wierzyć, że któregoś dnia jej słowa dotrą do Stelli i pobudzą ją do działania. Zacznie brać czynny udział w rekonwalescencji, w ćwiczeniach rehabilitacyjnych, współpracować z psychologiem, pomagać psychiatrze i rozmawiać z innymi pacjentami w grupie terapeutycznej. Przerwie mur, którym się otoczyła. Sforsuje barierę zaciętego milczenia.

Szkoda, że Tristan nie ma tu wstępu, ale Stella kategorycznie zabroniła. Wręcz domagała się od ordynatora azylu, w którym nie będzie musiała nikogo oglądać ani przyjmować niczyich wizyt. Tylko pod tym warunkiem zgodziła się rozmawiać z lekarzami. I zaczęła się w końcu stosować do ich zaleceń. Jakkolwiek bez entuzjazmu.

– Jestem cierpliwa, proszę pani. Wiem, że to, co się stało, trudno uznać za

sprawiedliwe. Sama pani podjęła takie, a nie inne decyzje. Nikt z nas nie wierzy, że nie potrafi pani wskazać winnej... winnego tego postępku. Jednak krzywdzi pani wiele innych osób, które panią kochają. Na przekór, wbrew samej sobie! To nie jest dobry sposób na przetrwanie. To niczego nie rozwiązuje. Pan Tristan i tak dowiaduje się ode mnie o stanie pani zdrowia. I nie zasłużył na takie traktowanie. Inny na jego miejscu już dawno straciłby cierpliwość. Tak się nie godzi, proszę pani!

Mona też się nie poddaje. Wreszcie znalazła w sobie odwagę i determinację, by wyznać prawdę.

Ta sama Mona, która pomagała Izie. Była z nią w zмовie, a w każdym razie nie kontrolowała tego, co Iza robi, i nie zareagowała w porę. Nie powstrzymała Izabeli przed szaleństwem, tylko w dziwnym odrętwieniu patrzyła na to, co się dzieje. Nie dowierzając, nie przyjmując do wiadomości skali niebezpieczeństwa... Zaufała niewłaściwej osobie, źle odczytała motywy. Już w trakcie warsztatów, gdy młoda kobieta przybyła pod fałszywą tożsamością, wiedziała, że jest córką Stelli. I chętnie została jej sprzymierzeńcem. Rozumiała, że córka chce poznać bliżej swoją biologiczną matkę. Najpierw z ukrycia, z boku, bo tak bezpieczniej, zawsze można się wycofać... W końcu Iza nie wiedziała, kogo spotka. Mona cały czas wierzyła w jej dobre intencje. I wierzyła, że postępuje właściwie. Rodziny powinny być razem, dzieci powinny znać swoich rodziców, powinny ich mieć. Myliła się? Dobrymi chęciami...?

Obie kobiety rozmyślają o tym samym. Mona znowu próbuje się tłumaczyć:

– Moja matka zmarła, gdy miałam sześć lat. Ojciec ponownie się ożenił, mam przyrodnią siostrę, która z kolei wcześniej straciła swego ojca. Obie byłyśmy, nadal jesteśmy, niepełne... Mimo że mamy skleconą przez naszych rodziców rodzinę. Ona ma ojczyzna, ja macochę. To jednak nie to samo. Jesteśmy sobie bliskie, chociaż na pozór dalekie... Wspieramy się. To nie jest łatwe ani dla niej, ani dla mnie.

Stella odwraca głowę. Nie ma ochoty tego słuchać. Nie reaguje, gdy

dziewczyna zaczyna jej mówić po imieniu.

– Skupiasz się na sobie, Stello, a czy kiedykolwiek pomyślałaś, co czuła Iza? Czy wiesz, jak się czuje dziecko, które straciło matkę nie dlatego, że ona umarła, ale dlatego, że go nie chciała! A jak się czuje Tristan?

Stella zwraca ku niej pełną złości twarz.

– Wciąż tylko muszę słuchać o nieszczęściach innych! Popatrz na siebie. Co mi zrobiłaś? Za co? Skrzywdziłam cię kiedykolwiek? Nie! Więc nie pouczaj mnie. I nie mów mi o Tristanie! Podkochiwałaś się w nim i chciałaś mnie wyeliminować, tak? No to gratuluję! Udało się. Nie pozwolę, by oglądał mnie w takim stanie! Z nogami jak kłody drewna!

– Ale to tylko nogi i masz dużo szczęścia...

– Co? Śmiesz mówić o szczęściu?! Ufałam ci jak nikomu innemu! Czułam, że coś ukrywasz, ale nie naciskałam. Czekałam, aż sama dojrzejesz do zwierzeń... Idiotka ze mnie! Skoro znałaś wcześniej Izabelę, wiedziałaś, jaka jest! Musiałaś wiedzieć, co jej chodzi po głowie!

– To nie tak! Poznałyśmy się przez internet, za sprawą mojej siostry...

– O, kolejna rewelacja, skrzętnie dotąd przede mną ukrywana. Nie miałam pojęcia, że Mae jest twoją siostrą! Boże, ty nie masz nawet laptopa, za to Mae miała dostęp do wszystkich moich notatek, do każdej mojej myśli. Jak mogłaś pozwolić, by zniszczyła mój laptop! Jak mogłaś wpuścić pod mój dach takiego konia trojańskiego?

Mona kręci głową.

– To nie tak. Mae nigdy by...! Uwielbia cię. Pracowała wcześniej u jakiegoś *ghost writera*, przepisywała teksty, ale jego żona była o nią zazdrosna i musiała odejść. Wiedziała, gdzie pracuję i poprosiła mnie o pomoc. Nie umiałam odmówić... Ale nie chciałam, byś pomyślała, że to jakieś kumoterstwo. Tylko ułatwiłam jej kontakt, ale już sama miała dowieść swojej przydatności. I dowiodła, zatrudniłaś ją i byłaś zadowolona. Wtedy trzeba było powiedzieć, że jesteśmy siostrami, ale... – Mona wzrusza

bezradnie ramionami. – Teraz sama nie wiem, czemu robiłyśmy z tego sekret. Jakieś głupie opory... Tak, Mae знаła wcześniej Izabelę. Spotkały się na wycieczce w Grecji, zgadały... Iza potrafi być czarująca, przyjacielska, i jeżeli ktoś tu kogoś wykorzystał, to właśnie ona Mae! A potem mnie. Wszystko sobie zaplanowała.

– Ależ proszę cię, nie udawaj takiej skromnej! Nie bagatelizuj swojego udziału w tym waszym spisku! Trzy muszkietierki. Na mnie jedną, ufną i bezbronną jak cielę. Równie naiwną, głupią...

– Miałś Tristana, on czuwał, mógł temu zaradzić, gdybyś go tak nie przeganiała, tylko... on też nie wiedział, może się czegoś domyślał, ale nie chciałś słuchać...a ja...

– Mona, przestań! Ciebie bym posłuchała. Ale ty mnie zdradziłaś! Byłaś tuż obok, niezbędna, a bez Izy obywałam się przez lata, nie szukałam jej, i mogę nawet zrozumieć, że mnie za to nienawidzi. Ale ty?! Wybrałaś współczucie zamiast lojalności. Pozwoliłaś, by mnie okaleczyła, by zabiła Gię!

– Nie, ja... Po prostu zrozumiałam za późno! Tak, współczułam Izabeli, jak sierocie, chociaż nią nie była. Nie umiałam, nie chciałam uwierzyć, że byłaby zdolna... próbowałam ją tłumaczyć... Przecież tylu ludzi się tu kręciło... Ktoś inny mógł otruć Gię. A ona zapewniała, że tego nie zrobiła. Owszem przeszkadzały jej psy, bo niby strzegły cię jak cerbery, ale przysięgała, że to nie ona. I błagała, bym jej przed tobą nie wydała, bo jeszcze nie jest gotowa na konfrontację. Uwierzyłam, znowu dałam się oszukać. Boże, chciałam jej ufać... Ale laptop mógł zniszczyć tylko ktoś z domowników. Nie ja, nie Mae. Kto inny? Jedyne Izabela miała swój chory, nieszczęsny powód, no i dostęp do twojego pokoju. I wtedy zrozumiałam, że to wszystko wcześniej... to też ona, że jest pełna nienawiści i nie cofnie się przed niczym.

– To czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem... Boże, nie wiem!... Wstydziałam się. Tak długo milczałam,

tyle ukrywałam... Nie miałam odwagi...

– Aha, więc wybrałaś tchórzliwe wyjście! Tylko co mi po nim? Jak miało mnie to uratować przed kimś, kto nie myśli racjonalnie?

– Próbowałam z nią rozmawiać. Obie z Mae próbowałyśmy, ale ona najpierw płakała, brała nas na litość, zasłaniała się Matyldą... A potem nas wyśmiała. I zaszantażowała, że całą winę zrzuci na nas, że tak przedstawi sytuację, byś uwierzyła jej, nie nam. Za dużo tajemnic już było między nami... Nie miałyśmy czystego sumienia, więc dałyśmy się zastraszyć. Mae bała się, że straci pracę, ja... że stracę ciebie. Kiedy zrozumiałam, zło już się stało, nie dało się go odwrócić. Byłam zdesperowana i taka pełna winy... Postanowiłam wziąć na siebie karę, sądziłam, że potem... Izabela odpuści, otrzeźwieje, przestraszy się albo przynajmniej uzna to za wystarczające zadośćuczynienie. Wiedziała że mnie... lubisz, że jestem w jakiś sposób dla ciebie ważna, więc moja śmierć by cię zabolala... Może to by wystarczyło... Chyba była o mnie zazdrosna, nie tak jak o Tristana, ale...

– Czyś ty też oszalała? Chciałaś się zabić za karę? Żeby zadowolić Izabelę? Czy ty siebie słyszysz? Trzeba było powiedzieć Stefanowi albo Tristanowi!

– Tak, tak... zapewne, ale ja wciąż jej współczułam... Nawet po tym wszystkim, co zrobiła. Nie chciałam, by trafiła do więzienia. Ona jest taka pogubiona, taka w tej swojej nienawiści nieszczęśliwa... Wciąż miałam nadzieję, że się opamięta, choćby dla swojej córeczki. Przecież wie, co to znaczy tęsknić za matką. A dlaczego... dlaczego ty nie chcesz jej wydać, czemu ją chronisz?

– Było mi cię żal, wydawałaś się taka osamotniona... – zastanawia się na głos Stella, jakby mówiła sama do siebie, jakby nie usłyszała pytania Mony.

– A ty jej pozwoliłaś zabić Gię!

– Już mówiłam...

– Kłamstwa! – Stella miota wzrokiem błyskawice. – Ciągłe kłamstwa! Jak mogłaś, powtarzam?!

Dziewczyna płacze, załamana odpowiedzialnością, której nie unika. Przeszłości nie zmieni, nie wróci życia Gii ani nie uleczy Stelli. Czy na skruchę też już jest za późno? Zawiniła swoją łatwownością, spolegliwością, naiwnością... Prostotą duszy i serca. Czy to można wybaczyć?

Ociera łzy. Mimo wszystko stara się wyjaśnić sprawę do końca.

– Przyznała się dopiero po zniszczeniu laptopa. I powiedziała, że nie żałuje. Nigdy nie lubiła psów. Boi się ich. W ogóle zwierząt. W dzieciństwie pies ją dotkliwie pogryzł...

– O to też obwinia mnie?!

– Nie było przy niej matki...

– Dlatego zabiła Gię? Niesłychane! O psa też była zazdrosna?!

– Chciała się zemścić. Szukała sposobu... wykorzystwała zwielokrotnioną dawkę środka znieczulającego, którego używają dentyści. Jej mąż...

– No tak, też byłam naiwna. Myślałam, że mi wybaczyła.

– Sama potrafisz wybaczać jak nikt. Ale nie możesz tego samego oczekiwać od innych.

– Gii jej nie podaruję!

– Już to zrobiłaś... Wystarczyło kilka tygodni... I ona nie może teraz znieść twojej szlachetności. Nie ma dla niej większej kary niż czekanie na wyrok, na zeznanie, które ją obciążą. A ty zwlekasz...

– Daj spokój, nie oskarżę własnej córki. Prędkiej ciebie i Mae za spiskowanie, ukrywanie prawdy. Masz rację, nie zrobię tego Matyldzie. Nie odizoluję jej od matki, być może na długie lata bez żadnej nadziei.

– Ona tego nie wie! Każdy dzień to dla niej wielkie obciążenie, żyje w strachu... w żalu... Z nami zrób, co uznasz za stosowne. – Dziewczyna pochyla nisko głowę, łzy kapią na kolana. – Ja rozumiem. Przyjmę każdą decyzję, zasłużyłam na karę, ale Iza...

Stella odwraca gwałtownie twarz, jakby ten gest mógł cokolwiek zmienić.

– Tak bardzo ci zaufałam... Byłaś mi bliższa niż ona, bo jej nie znałam, a ciebie... ciebie myślałam, że znam! Co to wszystko jest warte? Znałaś nawet moje myśli! Teraz... nie mam po co żyć. Wszystko się dla mnie skończyło. Najbliżsi mnie zdradzili... Gdzie mam znaleźć cel? Co ze sobą począć? Moje życie... takie jak dotychczas... już nie ma sensu. Gdzie go szukać na nowo?

Mona czuje ciężar swojej winy, ale nie umie być adwokatką we własnej sprawie. Bardziej dba o Izabelę, choć zbrodnia, której ta się dopuściła, obciąża też ją. Nie powinna się nawet tłumaczyć. Nie ma prawa.

– Zawiodłyśmy z Mae... Odpraw nas. Albo... oskarż. To głównie ja zawiodłam twoje zaufanie, więc mnie ukaż. Za wszystko: brak wyobraźni, słabość, bezczynność, kalectwo, otrucie psa! Nic nie zrobiłam, a w każdym razie nie to, co trzeba było w danej chwili, więc to moja wina! Złóż zeznanie, komisarz tylko czeka. Chce zamknąć sprawę i winnego!

– Daj spokój, kolejna głupota... Kara? Owszem będzie i kara, bo dopiero teraz staniesz się prawdziwie niezbędną. Nie będę się mogła bez ciebie obejść... Najlepsza kara to wciąż patrzeć na skutki swojego błędu. Na efekt swojej okrutnej naiwności, źle pojętego współczucia... – Po policzku Stelli spływa łza i wsiąka w poduszkę. – A Mae potrafi czytać moje bazgroły jak nikt. Jej też się nie upiecze. Teraz będę miała cholernie dużo czasu na nudę. Może tylko mrzonki potrafią ją ubarwić? Wyobrażenia, że nadal jest, jak było... Kiedyś...

Monie trudno uwierzyć... Może dalej pracować u Stelli? Wstępuje w nią nowy duch i energia. Trudno uwierzyć, ale z drugiej strony jej pracodawczyni przecież taka właśnie jest. Zawsze była wyjątkowa. Teraz przeżywa chwile załamania, ale Mona już wie, co robić.

– To nie koniec świata! Ma pani nowy laptop, sprawne dłonie i umysł. Może pani dalej pisać, teraz dopiero ma pani o czym.

– Tak ci się zdaje? Myślisz, że ktoś to zechce czytać?

– Od pani zależy, czy los ułoży się pomyślnie, nigdy nie wolno siebie przekreślać...

– Dyrzymały!

– ...a wszystko, co nas spotyka, ma jakiś sens i cel.

– Nigdy nie brałam udziału w tych rozmaitych tytułarnych zaszczytach. W książkach roku, na każdą porę, na chandrę, lato, na wiosnę i tak dalej... A teraz? Może napiszę... – śmieje się gorzko – może napiszę bubel na cztery pory roku? Jak myślisz, uda się?

Szczęśliwa dziewczyna uśmiecha się przez łzy. Z nadzieją. Kiwa głową.

– W muzyce istnieją zasady, których trzeba się trzymać. Nie może być coś jednocześnie w dur i w moll.

– Po co mi to mówisz?

– Pan Tristan kiedyś tak powiedział. Wydaje mi się, że pasuje! Napisze pani powieść, całkiem nową, o tym, co panią spotkało, i dozna oczyszczenia. A także pomoże innym. Tylko trzeba się przestać obrażać na los, na swoje życie, a zacząć pracować z rehabilitantem, który tak się stara. Z lekarzami. W domu wszystko się szykuje na pani powrót, żadne schody nie będą stanowiły przeszkody. Żadne! Dziś jeszcze przywiozę pani inne ubranie, musi pani zacząć normalnie żyć. – Spogląda krytycznie na dresową pidżamę, w której Stella leży na łóżku. – Ubierze pani sukienkę, pończochy, ładne buty... Zacznie na nowo...

– Nie! Zostaw mnie!

Znów grymas zwątpienia wykrzywia twarz Stelli, wraca świadomość rzeczy oczywistych. Tak będzie, dopóki sama sobie wszystkiego nie wyjaśni, nie poukłada. Póki nie zrozumie, do granic serdecznego bólu, tego, co ją spotkało. Co było esencją podjętych wcześniej przez nią postanowień oraz ich skutkiem. Co stanowi o dalszym bycie, o samym wybaczeniu i o drodze ku przyszłości... Katuje się tymi poplątanymi myślami i irytuje ich

ckliwością, oceniając je surowiej niż najzłośliwszy krytyk.

Potrzebuje samotności, ciszy, ucieka przed ludźmi, przed samą sobą, przed świadomością kalectwa, i pogrąża w nicości, która nie ma końca...

*

Jakże inne jest Monte Fiore widziane z perspektywy fotela na kółkach...

Wraca do domu. Nie ma gości, są domownicy. Pod dachem fruwią jaskółki. Świeci słońce, w pokoju pachnie lawendą.

Pierwszą wizytę składa jej oficer z policji.

– Chcę jeszcze raz porozmawiać o tamtym nieszczęsnym wieczorze. Proszę spróbować dokładnie...

– Niech mi pan da wreszcie spokój! Niczego nie pamiętam, nie będę mówić!

– Przecież widziała pani zabójcę z bliska. Bo to był zabójca...

– Nic panu nie powiem. To koniec, śledztwa i mojego życia. Bo ja już nie jestem sobą, rozumie pan.

Długo zbierała się do tej decyzji. Niczego już nie cofnie. Dochodzi do niespodziewanych wniosków.

*

– Mona, pamiętasz, o co cię kiedyś prosiłam? Obiecałaś, że na wypadek mojej niedołężności lub kalectwa... pomożesz mi odejść. Umrzeć w miarę lekko. Jesteś mi to winna.

Dziewczyna nie odpowiada.

– Mona? Masz okazję się zrehabilitować. Wiesz, o co proszę...

Odpowiada jej milczenie. Dziewczyna krząta się obok, ale jakby jej nie słyszała.

– Mona!!!

Dziewczyna wręcza jej laptop, po chwili zagaduje:

– Są nowe portale, które warto przejrzeć... – Podaje jej adresy na kartce.

Stella mimowolnie rzuca okiem.

– Co? Seks dla niepełnosprawnych?! Chcesz mnie tym dobić?

– Powinna pani poczytać, przecież wiem, skąd takie pomysły przychodzą pani do głowy. Życie się nie skończyło i jeszcze długo nie skończy.

– Mona!!!

– Nie zrobię tego, proszę pani. Dawno zakopałam tę fiolkę w ogrodzie. Nie ma jej w zegarze.

*

Stella wymienia bezosobową korespondencję z Izabelą. Piszą do siebie o uczuciach. Ona o swoich, jej córka o swoich. Nie jest to w żadnym razie dialog pomiędzy nimi. Bardziej rodzaj wspólnie tworzonego moralitetu o wzajemnych krzywdach. Słowo jest narzędziem. Jeszcze nie wiedzą czego – ukojenia, prawdy, poznania? Nie mają ochoty się widywać, nie szukają ze sobą kontaktu, tylko wspólnie rozgrzebują dawne zdarzenia i wzajemnie nie zwracają na siebie uwagi. Piszą, ale każda o sobie.

Znów odbiera jakby anonimy. Różnica polega na tym, że Stella wie już, kto je pisze...

*

„Ona mnie w końcu urodziła, chociaż nie musiała. Ja jej nie zabiłam... chociaż mogłam. Niech dalej żyje i rozpamiętuje, co mi zrobiła...”

„Matylda przeczuwała, że nie mam dobrych zamiarów... zawsze jest za późno...”

„Pewnego dnia weszłam do butiku. Był tam lawendowy kapelusz

z szerokim, powyginanym rondem. Wybująy, kobiecy, jedyny w swoim rodzaju. Delikatna gaza rozpięta na cienkiej, ale mocnej konstrukcji. Urzekający, w kolorze lekko zszarzałej lawendy. Mgła przejrzystego materiału. Niewiele dzisiaj pamiętam, tylko to, że wydał mi się niezwykle piękny i patrzyłam na niego długo, urzeczona! Bardzo chciałam go mieć. Ale nie odważyłam się wyciągnąć ręki, choćby po to, by go przymierzyć, zobaczyć, jak w nim wyglądam. Czułam się wtedy okropnie, jak ścigane zwierzę. Nie myślałam, że jestem ładna czy brzydka, nie miałam o sobie zdania, nie patrzyłam nawet na odbicie sylwetki w wystawach sklepowych. Przemykałam cicho i niepostrzeżenie jak przestępca, którym poniekąd byłam, a w każdym razie tak się wtedy czułam. Gdzież mi do tego kapelusza! Nie zasługiwałam na niego w żadnym wypadku! Pozostał na głowie manekina nienaruszony, muskany tylko moim tęsknym wejrzeniem. Manekin też wydał mi się niedościgniony w swej sypkiej, lśniącej peruce. Wyszłam szybko ze sklepu, nawet się nie obejrzawszy. Nawet nie westchnęłam w jego intencji. Lecz obiecałam sobie, że pewnego dnia po niego wrócę. Tylko kiedy już mogłam sobie na niego pozwolić, nigdzie nie znalazłam nawet podobnego. Doszłam do wniosku, że jednak na niego nie zasługuję... w dalszym ciągu!”

*

„Nasze uczucia wypaliły się w piekielnym tyglu. Zahartowały. Teraz obie jesteśmy skrzywdzone. Okaleczone. Rachunki się wyrównały. Do śmierci będę żyć z piętnem dziecka-sieroty. Z piętnem porzucenia na starcie przez własną matkę. A ty z kalectwem, które cię dotknęło, zmieniło optykę całego życia. Wybaczmy sobie kiedyś? Czy możliwe jest takie wybaczenie? Wzajemne zadawanie ran zwiększa nadzieję na... pokój albo rozejm?”

*

„Droga Przyjaciółko...”

To Bruno, zdecydował się do niej napisać. List w eleganckiej kopercie z monogramem i herbem. Napisany piórem na czerpanym papierze; piękna, niespotykana już kaligrafia z zawijasami. Starannie opisuje zdarzenia tamtego wieczoru. Pamięta wszystko. Relacjonuje z pietyzmem i uczuciem.

Tristan siedział jak przymurowany w pokoju obok, kiedy ją operowano. Wraz z nim byli Izabela i jej mąż. Oraz on, Bruno, bo wówczas wydawało mu się, że powinien też tam być. Pielęgniarka donosiła im litrami kawę...

„...teraz wreszcie jesteśmy sobie równi. Twój urok nabrał niezwykłego blasku w obliczu tego, co spotkało twoje ciało”.

Stella z goryczą myśli o tym, że dla niej życie stało się bardziej obowiązkiem niżli przyjemnością. Zostały szafy wypełnione jej kobiecością. Pończochami, które teraz pomaga jej zakładać Mona. Butami, które nadal może nosić. Tylko po co? Zadaniem tamtej, odległej Stelli było kuszenie. Obecna jest bardziej belferką, nie przystoi jej już tamten strój, kokieteria wydaje się śmieszna. Wszystko przeminęło, odeszło. Uszło z czasem jak zapach.

„...nie wnika... Widocznie masz swój powód. Nie chcesz zeznawać. Nikogo nie oskarżasz. Jesteś konsekwentna. My, ludzie z twojego otoczenia, możemy tylko zgadywać. Na miarę swoich antypatii, swoich wrogów i rywali. Obarczać winą tych, dla których w naszym mniemaniu byłaś łaskawsza”.

Wszystko to nadal jest trudne i bolesne, nigdy nie zatrze się w pamięci i nie ostudzi emocji.

„Stałaś się bardziej demokratyczna, bo mniej doskonała. Ale wiesz, jak ja nie znoszę demokracji i tej całej hołoty, która zeń korzysta!”

*

„Nie wszystko, co przychodzi do głowy, zasługuje, by się na tym skupić. Nie każda myśl jest warta tego, by ją gdzieś zapisać.

Zapisać? Ależ tak. Ująć w słowa, jeszcze raz. Od początku. Żeby więcej nie popełniać błędów.

Czy teraz, kiedy moje życie wypełnia pasmo samotnego zwątpienia, mam o czym pisać? Bo pisać nadal mogę!”

*

– Mona to dość wredne z twojej strony, wiesz? Stale podsuwasz mi książki i tematy o życiu seksualnym kalek. Wydaje ci się to zabawne?

Zagadnięta dziewczyna nie zamierza się tłumaczyć. Wzrusza ramionami, odkurzając koło niej półki.

– Robisz się z dnia na dzień coraz bardziej bezczelna! Czy ja mam czytać o kobietach, które stosują nowe techniki seksualne? Albo o zaspokajaniu się, gdy nie mam koło siebie mężczyzny?

– Dałam ci też kilka skserowanych artykułów z dziedziny medycyny, szukają nowych sposobów stymulacji...

– Co?!

– Stymulacji nerwów... – Mona się uśmiecha. – Chodzi o eksperymentalne sposoby pobudzania w rehabilitacji unieruchomionych kończyn. A ty co sobie pomyślałaś? Ha, ha, ha!

– Od kiedy to jesteśmy ze sobą na ty?! Co było w szpitalu, w szpitalu zostało!

– Znam cię aż za dobrze, wiem, co ci chodzi po głowie... – Mona przykuca obok chlebowaczyni i przytula głowę do jej łokcia. Stella jest oburzona, cofa rękę, ale mimo pozornej srogości... uśmiecha się. Nie może się powstrzymać.

– Zajmij się swoją robotą, bo cię zwolnię!

– A ty przestań fantazjować. To naprawdę świetny temat. Ile jest powieści o zakochanych na wózku?

– To nie jest temat do żartów!

– Nie masz pisać komedyjki, tylko szczerą spowiedź o tym, jak się czujesz, jak sobie radzisz, jak inni cię postrzegają...

– To nie w moim stylu! Mądrała się znalazła.

– Stello, to temat-rzeka, najważniejsza w nim jest szczerść.

– Od kiedy mi „stellujesz”, co?

Mona przytula się do niej, całuje w policzek i mówi do ucha:

– Od kiedy obie nawzajem uratowałyśmy sobie życie.

*

Bruno odwiedza Stellę, kiedy wiosna na dobre zawitała już do Monte Fiore. Zastaje ją siedzącą na wiklinowym fotelu, w kapeluszu, który chroni włosy przed słońcem i w sukience z lawendowego jedwabiu. Pachnącą i uroczą, jak zawsze.

– Moja piękna! Wyglądasz pośród tych kwiatów i śpiewu ptaków jak królowa pszczół – oznajmia z uroczystym ukłonem.

Przywiózł ze sobą pieska, małego szczeniaczka rasy bolońskiej, i nieoczekiwanie sadza białą, nieporadną kuleczkę na kolanach Stelli.

– Będzie cię strzegł lepiej niż te twoje olbrzymy! – oznajmia bardzo z siebie rad. – Gdybym wcześniej pomyślał, nie stałoby się to wszystko. Tyle ludzi było wtedy!

– Nie wracajmy do tego.

– Przeciwnie, nadal nie rozumiem, jak mogło dojść do owej tragedii. W dalszym ciągu nie wykryto sprawcy?

– Jesteś pewny, że był nim mężczyzna? – Stella uśmiecha się krzywo. – Niech zgadnę! Podejrzewasz kogoś konkretnego? Wysokiego blondyna, który dużo lepiej niż rewolwerem posługuje się smyczkiem?

– Moja droga, nawet tak nie żartuj! Ten chłopak mi zaimponował. Nie odstępował cię na krok, podobnie jak twoja córka. Bóg jeden wie, jak bardzo tych dwoje... twoich faworytów serdecznie się nienawidzi, ale to pewne, że byli przy tobie cały czas. Niemal wzajemnie patrzyli sobie na ręce!

Stella przytula do siebie psiaka, który... siusia jej na sukienkę.

– No i masz! – Bruno jest zakłopotany, zabiera psa i rozgląda się za kimś do pomocy. – Ależ ze mnie... Gdzie jest ta twoja dziewczyna od wszelkich

poruczeń?

Nie zabrawszy laski, wchodzi z psem pod pachą w szpaler gęstych ligustrów i woła Monę po imieniu.

– Daj spokój, to tylko mała kałuża, zaraz wyschnie, nie rób takiego ambarasu! – krzyczy za nim Stella; poirytowana i bezradna, bo nie może sama iść się przebrać.

Przybiega Mona, ofukuje najpierw psa, potem Bruna i oboje kieruje do domu.

– Na tarasie jest dla pana herbata, a dla psiaka koszyk z ręcznikiem, jeśli łaska! Kolejny prezent-niewypał! A tobie pomogę zmienić sukienkę, idę po turkusową...

Stella czuje się zawstydzona i skrępowana całym zajściem.

– Nie trzeba, to... – Chce ją zatrzymać, ale na próżno.

– Do domu, mówiłam, i nie podglądać! – woła Mona do zakłopotanego Bruna, biegnąc już po suche ubranie.

Po kilku minutach Stella, w innej sukience, wygląda jeszcze ładniej; kapelusz odłożyła na stół, obok laptopa, i wystawiła twarz do słońca – tak ją zastaje jej arystokratyczny przyjaciel, wróciwszy do ogrodu, już bez psa, za to z poczuciem winy.

– Bóg mi świadkiem, chciałem dobrze...

– Ależ przestań, co takiego się stało, głupstwo po prostu! Gdybym miała zdrowe nogi, nie byłoby sprawy. Widzisz... sam widzisz, jak to teraz ze mną jest... – Stella milknie, bo w końcu temat chorych czy wręcz unieruchomionych nóg nie powinien się w ogóle pojawić w ich rozmowie.

– Tak... przykro mi...

– Nie ma o czym mówić, piesek jest śliczny, i chodź tu bliżej, usiądź przy mnie, bo nie mogę cię nawet w policzek pocałować!

A kiedy ów całus dochodzi do skutku, próbuje zmienić temat:

– Na czym skończyliśmy? Kłócili się, gdy mnie operowano? Tristanio z Izą?

– Nie, milczeli zawzięcie, zabijając się wzrokiem. Ja, jak wiesz, od lat... – Bruno spogląda na swoją laskę. – Chcę cię pocieszyć, że mimo tego, co cię spotkało, świat się nie skończył.

Zawstydzona Stella milczy.

– Jesteś piękną i mądrą kobietą, mnóstwo ludzi cię kocha. Przygotowują kolejny festiwal na lato i... Dobry Boże! Wygadałem się... Wybacz mi tę niedyskrecję. To miała być niespodzianka, a ja wszystko zepsułem swoim gadulstwem!

– Chyba się czegoś domyślałam. Czyj to pomysł?

– Nie mam pojęcia, zasługi będą równo rozdzielone. Najpierw zgłosili się muzycy, żeby urządzić twój benefis, ale... zabrzmiało to jakoś fałszywie. Jakbyś już... Ostatecznie wrócono do formuły spotkań z młodymi. Zajęło się tym kilka osób, twoja agentka...

– Nancy? Nie wierzę!

– A najgorliwiej Mae, Mona i oczywiście... Masz! Omal bym wygadał!

– Kto? Nie katuj mnie niespodziankami!

– Obiecałem trzymać język za zębami i choć w części słowa dotrzymam. Pozwól, że ci jeszcze opowiem o tamtym szczególnym dniu. Otóż ów muszkieter, któremu podejrzewał o to, że jest twoim zdrożnym ulubieńcem...

– Dlaczego zdrożnym?

– No właśnie! Sam nie wiem, może źle go oceniłem, wszak on i jego niedoszła narzeczona zgodnie odwołali zaręczyny i postanowili dalej być przyjaciółmi. To przez zazdrość, ach, niskie, podłe uczucie. Wiem, że wolisz jego od mojej absorbującej starości, która z wolna, ale jednak, przechodzi w niedołęźność... – Sam zauważył, że zabrnął tą dygresją w ślepią uliczkę, i na moment milknął. – Otóż... – Trwa w nabożnym namyśle.

– Wspomniałeś o muszkietierze – lituje się Stella.

Zapomniała już, jak wcześniej nazwała niefortunny triumwirat sióstr i córki, chociaż nadal ich rola w całej sprawie ją boli. Gdyby zdobyły się na szczerść... Wyznawała jednak zasadę, że dość jest prawdziwych antagonistów wokół, dlatego z tych, którzy pobłędzili, należy czynić sprzymierzeńców. W żadnym wypadku nieprzyjaciół. Niech czują wdzięczność jako jej dłużnicy, większa z tego korzyść niż z wrogości.

Tymczasem starzec kontynuuje:

– Tak, był nim Tristan! Musiał spostrzec, że zamiast nalać mi obiecanego tokaju...

– Porto!

Bruno jest typowym starcem. W jego mniemaniu ważne są jakieś kompletnie nieistotne drobiazgi, które pamięta bądź nie, ale upiera się, że racja jest po jego stronie.

– Moja droga przyjaciółko! – Ten oficjalny zwrot nie zwiastuje niczego dobrego. – Chyba lepiej wiem, na co wówczas naszła mnie ochota!

– Przepraszam. – Stella, przekonana, że nigdy nie dojdą do konkluzji z muszkietierem, ostrożnie zmienia temat: – Czy piesek jest rodowodowy?

– Nie śmiałybym ci przywieźć przybłądy z ulicy czy przytułku! Jak w ogóle możesz mi zadawać tego rodzaju pytanie?! Wybacz, jeśli się uniosłem. Dość jest pospółstwa, które musimy znosić, zatem tam, gdzie mogę, sam dobieram sobie towarzystwo w najlepszym gatunku! Ale wróćmy do rzeczy. Stale mnie zagadujesz, przez co nie mogę skończyć. Tristan zauważył, że coś czytasz, i poszedł za tobą na górę, ale chyba nie dostrzegł niczego niepokojącego. Kiedy jednak nie wracałaś, zaczął cię szukać. Gdy zjawiała się policja, pierwszy się zgłosił do składania zeznań, ale jak wiesz, śledztwo utknęło, na twoje wyraźne żądanie. Ja nie wiem, co się wówczas stało, ale...

– Dobrze, dobrze, nie wracajmy już do tych zdarzeń. Chcesz, żeby mnie

od wspomnień rozboleły nogi? – żartuje Stella.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby tak się stało! – deklaruje Bruno z zapalem, chwytając się za serce w geście teatralnego amanta. – Nie mogę ci się rzucić do kolan, jak wiesz, ale chyba powinnaś to zrozumieć...

– Wiem i rozumiem, kochany! – Stella bierze go za rękę i całuje w policzek. Jest tym tak wzruszony, że szuka po kieszeniach chustki z monogramem, a potem z łoskotem wodospadu opróżnia wydatny nos z... łez, które się w nim zgromadziły, spływając ukradkiem.

*

„Czy jeśli do ciebie przyjadę, mam... dasz mi jeszcze jedną szansę?”

Stella się uśmiecha.

Epilog

Jest lato. Odbywają się koncerty i spotkania z adeptami pióra. Stella ma teraz dwie wierne asystentki do pomocy. Monę i Mae. Obie wystarczająco kompetentne. Do Monte Fiore zjechali znów pisarze oraz artyści teatralni i kabaretowi. Od miesiąca jest też u Stelli Matylda, która ma wakacje i spędza je u babci, niezwykle uszczęśliwiona tym, że tak wiele się dzieje. Rodzice pracują, ale obiecali przyjechać później, w terminie wspólnego urlopu. Dziewczynka uczy się tańca, jazdy konnej i oczywiście doskonali znajomość angielskiego, chociaż dużo bardziej podoba jej się włoski. Teraz obie wylegają się na stylowym, antycznym łóżku, ustawionym pod rozłożystym platanem. Wokół unosi się zapach akacji i obie damy opierają się wygodnie na lawendowych poduszkach.

– Porcinia, próbowałam napisać opowiadanie, ale... zobacz! Nie wyszło mi specjalnie... – Matylda kręci noskiem niezadowolona. – Może lepiej opowiadam, niż piszę?

– Zważywszy na błędy ortograficzne? Nie zmuszaj się do tego, czego nie czujesz.

– Ale ja chciałabym być taka jak ty.

– A po co? Świat byłby nudny, gdyby ludzie upodabniali się do siebie. Gdyby wszystkie koty były czarne, a małe dziewczynki nosiłyby takie same ogonki ze złotymi loczkami.

Mówiąc to, spogląda na małą spod rzęs i zauważa, że na jej buzi rozlewa się szeroki uśmiech. Na czyjś widok. To Tristan, przyjechał konno; zsiada i od razu proponuje: – Zabieram cię na przejażdżkę. *Per amore o per forza!*¹⁴
– Puszczaj oczko do Matyldy.

Stella kręci nosem, zupełnie jak wcześniej jej wnuczka.

– Też masz pomysły. Nie widzisz, że...

– Porcinia! – Matylda składa błagalnie rączki. – Daj mi wygrać zakład o kopa w tyłek. Powiedziałam, że się zgodzisz, a nie kopnęłam jeszcze

takiego dużego chłopaka. W szkole...

– No, ładnych rzeczy się dowiaduję!

– Jak przegram, to on się będzie ze mnie śmiał.

Tristan bezceremonialnie sięga po nogi Stelli i zsuwa ją za nie na brzeg łóżka.

– Złap mnie za szyję...

– Nie! Już zapomniałam, jak to wysoko, boję się.

– Zawsze jeździliśmy razem, bez gadania. – Bierze ją na ręce i zręcznie sadza w siodle. – Chwyć się tu, nogi na jedną stronę. – Dosiada się za nią, przytula twarz do jej ramienia, całuje w szyję. – Jak ja za tym tęskniłem...

– Znam twój stosunek do chorych i kalekich – mówi cicho Stella, zarumieniona i nieswoja.

– Ludzie się zmieniają! Nie marudź. Jedziemy na nasze miejsce, ptaszyno?

– To jest napaść z perfidnym wykorzystaniem mojej niesprawności.

– Przynajmniej mi nie uciekniesz. Na razie, Matylde – żegna się z dziewczynką. – Zaraz tu po ciebie przyjdzie Mona.

Zawraca konia i oboje kiwają do małej. Stella zauważa: – Znów się narażasz Izabeli.

– Niech twoja córka mnie się nie naraża!

– Co takiego?

– Już ona wie, a ty nie musisz.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Anna Rybkowska: NELL, tom 1 i 2

Bajkowa historia, która staje się dramatem.

Natalia to przykładna żona i matka, która spełnia się, dbając o dom i rodzinę. Nie ma pojęcia, że czegoś jej brakuje, że za czymś tęskni. Nie musi lękać się swoich marzeń, bo... ich nie ma. Czy raczej zepchnęła je głęboko do podświadomości. Odzywają się, gdy przypadkiem nawiązuje internetową, a potem telefoniczną znajomość z Wiliamelem Barlowem, angielskim muzykiem rockowym, idolem swojej własnej córki. Will jest mężczyzną utalentowanym, pewnym siebie, aroganckim, nieobliczalnym i fascynującym. Nie pisze mu o sobie prawdy, nie przyznaje się do wieku i czwórki dzieci... Gdy dostaje zaproszenie na koncert w Londynie – postanawia pojechać...

On nazywa ją Nell. I jak nikt inny budzi w niej coś, czego się nie spodziewała, czego nie chciała, czego się lęka i o czym nie może przestać myśleć. Czy będzie umiała się temu oprzeć? Dla dobra rodziny. Dla spokoju własnej duszy... A co z rozbudzonym ciałem?

Bajkowa historia, która staje się dramatem. Obyczaj, który przeistacza się w zmysłowy thriller o opętaniu. Opowieść o miłości, odpowiedzialności, pożądaniu, które niszczy, ale właśnie dzięki niemu życie nabiera barw, smaku, zapachu.

Natalia czy Nell? Który ze światów wybierze...?

Joanna Łukowska: NIEZNAJOMI Z PARKU

Miłość od nienawiści dzieli krok.

On jest bogaty, doświadczony, nieufny. Ona – wrażliwa, introwertyczna, pełna kompleksów. Oboje niosą bagaż trudnego dzieciństwa.

Po raz pierwszy spotkali się w parku. Wtedy też po raz pierwszy od niego uciekła...

Zafascynował ją i przeraził jednocześnie. Zawsze bała się takich mężczyzn: silnych, pewnych siebie do granic arogancji, mrocznych i skomplikowanych. Był zły i przestraszył ją, ale nie mogła o nim zapomnieć. Irracjonalny lęk, jaki w niej wzbudził, przekonał ją, jak pozorny był jej spokój i ćwiczone całymi latami opanowanie. Bezpieczeństwo, którego szukała w swoim cichym, uporządkowanym świecie, okazało się złudne i kruche...

„Nieznajomi z parku” to w równym stopniu opowieść o miłości, jak i o nienawiści. To historia mężczyzny, który nie potrafi ufać, i kobiety, która nie umie walczyć o to, w co wierzy.

Monika Gabor: UWAGA NA MARZENIA

Trzy różne kobiety – trzy różne historie.

Podglądamy miłosne i życiowe perypetie trzech przyjaciółek. Każda z nich jest inna, każdej przytrafia się coś innego, każda inaczej reaguje.

Iza, aktywna zawodowo, ambitna i kompetentna, również prywatne życie bierze we własne ręce, dokonując wyborów na przekór wszystkim i wszystkiemu. Dąży do celu, którym jest szczęście, nie słuchając rad i nie bacząc na konsekwencje.

Marta to domatorka spełniająca się w roli żony, matki, gospodyni domowej. Rozwód jest dla niej szokiem, zarazem początkiem zmian. Jak wpłynie na nią rozpad rodziny? Czy będzie umiała jeszcze komukolwiek zaufać?

Julia wie o życiu, o którym marzy każda z nas. Kochający mąż, mądra córka, satysfakcjonująca praca... Gdzie tkwi haczyk? Czy traumatyczne dzieciństwo wpłynęło na wybór zawodu? Czy można być jednocześnie lojalną przyjaciółką, kompetentnym psychologiem i uczciwym człowiekiem? A gdy trzeba wybrać...

Katarzyna Woźniak: HYDRA PAMIĄTEK

Nowa miasto, nowa miłość, nowa przygoda.

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń. Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze?

Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc?

Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?

Anna, będąc świadkiem śmiertelnego wypadku, uświadamia sobie, że jej wypełniona karierą życie tak naprawdę pozbawione jest sensu, emocji i głębszej treści. Ona już jest jak martwa. Nikogo nie kocha, niczego nie pragnie, nie ma pewności, czy to, co osiągnęła, było jej celem, czy spełniała tylko oczekiwania innych. Targana wątpliwościami, dręczona poczuciem niespełnienia, podejmuje próbę porzucenia wyuczonych przez społeczeństwo nawyków i wartości. Opuszcza rodzinny kraj i wkracza do zupełnie nowego świata...

Joanna Łukowska: OD PIERWSZEGO DOTYKU

Różne oblicza miłości.

Miłość wszystko wybaczy, tłumaczy, przeczeka? Tęsknimy za miłością romantyczną, pełną pasji, ogarniającą duszę i ciało... Ale może lepsza jest miłość z rozsądku? Czy pożądanie wystarczy? A czy związek bez namiętności przetrwa? Czy miłość kiedyś się kończy?

Narratorów, próbujących odpowiedzieć sobie na te pytania, dzieli wszystko: wiek, płeć, doświadczenia, wykształcenie, temperament, oczekiwania. Wspólnym mianownikiem jest miłość. Od pierwszego dotyku, spojrzenia, słowa, żartu... Miłość przychodzi różnymi drogami, pod różnymi maskami, dlatego czasem jej nie rozpoznajemy. Bywa zmysłowa, zachłanna, okrutna. Bywa nagła jak majowa burza, ale najczęściej jest zwyczajna. Co nie znaczy, że nie jest niezwykła.

„Od pierwszego dotyku” to zbiór romantycznych historii, pełnych ciepła, emocji, humoru, nadziei, pasji oraz erotyzmu. Jeżeli jest ci smutno i źle – przeczytaj, a rozchmurzysz się. Jeżeli szukasz relaksu, wytchnienia, wzruszeń, porady lub... afrodyzjaku – przeczytaj, a nie zawiedziesz się. Jeżeli przestajesz wierzyć w miłości – przeczytaj koniecznie!

Natasza Orsa: W ŚWIECIE JONASZA

Intymna podróż w poszukiwaniu miłości.

Monika to młoda, samodzielna kobieta, która po rozwodzie obiecała sobie, że nigdy więcej nie zaangażuje się emocjonalnie. I z takim nastawieniem wkracza w pełen erotyki świat Jonasza. Mężczyzny tajemniczego, niebezpiecznego, który działa na nią jak żaden inny dotąd. Niczym prywatny narkotyk. Nie pojmuje, co się z nią dzieje. Nigdy tak nie reagowała, nigdy nie była tak bezwstydna. Śmiałe seksualne doświadczenia są dla Moniki fascynującą, choć nieco zatrważającą nowością. Zwłaszcza że Jonasz, wprowadzając kochankę w świat zmysłów i pożądania przekraczającego granice rozsądku, ma swój cel. Chce niewiele i bardzo dużo zarazem. „Nie broń się przede mną – żąda – i... Kochaj mnie”. Ale zraniona, nieufna Monika boi się miłości. Czy spotka ją za to kara?

Joanna Łukowska: PAŃSTWO TAMICKIE

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.

Marcin Królik: DRZEWO RÓŻANE

Umarli rzucają cień...

Ona straciła dziecko, on – cały świat. Ona – zwykła dziewczyna koło trzydziestki, która po poronieniu nie może wrócić do równowagi. On – stary Żyd, który po latach emigracji w Ameryce, gdzie odnalazł kruchy spokój, wraca do miasta swego dzieciństwa, gdzie przeżył traumę pogromu; ma by uświetnić otwarcie obserwatorium astronomicznego w dawnej wieży ciśnień. Jest również ten trzeci – jej mąż, dziennikarz prowincjonalnej gazety z niespełnionymi literackimi ambicjami, któremu szef pewnego dnia zleca zrobienie relacji z uroczystości w wieży. Całą trójkę łączy ból utraty i każde z nich na swój sposób stara się z nią uporać. Co wyniknie z ich spotkania?

Niemniej istotnym zbiorowym bohaterem jest miasteczko, w którym, niczym na scenie, krzyżują się ich losy. Nie jest to jednak ani powieść o małżeńskiej tragedii, ani o piętnie Holokaustu. Jej fabuła została zbudowana z kilku pięt, znaczenia zapętłają się, tworząc niekiedy ryzykowne sploty. Próżno tu szukać łatwych pocieszeń czy krzepiącego morału. Fikcja i rzeczywistość splatają się w niezwykle sposób, odsłaniając nieoczekiwane powiązania i ukryty, symboliczny wymiar faktów.

Marian Kowalski: MROczne DZIEDZICTWO

Opowieść o miłości, przeznaczeniu i... czarownicach.

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym terażniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy. W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich. W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w terażniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Joanna Łukowska: ULICA ABRAHAMA

Podróż przez życie, ocean, czas.

Magiczna opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o marzeniu, które powiedzie Abrahama Zimmermana za ocean. O innym Abrahamie, który po półtora wieku podejmie dzieło swego przodka. Historia przyjaźni między żydowskim chłopcem, spragnionym wiedzy i książek, a starym Szkotem, księgarzem i agnostykiem. Powieść o zadawaniu pytań i szukaniu odpowiedzi. Także intymny traktat o starzeniu się i śmierci

na własnych warunkach. Rodzaj literackiej metafory, współczesnej przypowieści o życiu, odchodzeniu, braniu odpowiedzialności za siebie i innych, o prawdzie skrytej tak głęboko, że ujawnia się jedynie w snach.

Mały Abraham nie pasuje do swojej ortodoksyjnej kupieckiej rodziny. Ma marzenia, pasje i chce tworzyć, jeżeli już nie coś innego – to chociaż swoje życie. Wprawia w zakłopotanie bliskich, denerwuje ich oraz nieustannie martwi. Ojciec próbuje go okiełznać, wysyła syna do szkoły, znajduje mu żonę... Ale pasje Abrahama są częścią jego duszy. Rozumie to Angus, stając się dla młodzieńca przyjacielem i przewodnikiem. Intuicyjnie rozumie to także młodziutka Izebel, która kocha swojego dziwnego męża tak, jak potrafi: po cichu, skromnie, choć z całego serca, przyjmując go takim, jaki jest. I bez wahania rusza wraz z nim w daleką podróż, gdzie czeka na nich nowy świat...

Ewa Bauer: W NADZIEI NA LEPSZE JUTRO

Powieść przedstawia historię młodej kobiety, która bardzo pragnie być szczęśliwa. Pomimo przeciwności losu i osobistych tragedii, jakie ją spotykają, wciąż wierzy, że prawdziwa, wierna i uczciwa miłość istnieje. Losy Anny przeplatają się z losami dwóch innych kobiet, których życie również nie układa się tak, jakby sobie tego życzyły. Bohaterowie przechodzą metamorfozy, podejmują różne – nie zawsze słuszne – decyzje. W odwiecznej walce dobra ze złem, marzenia ścierają się z rzeczywistością, pragnienia z sumieniem. Emocje w tej książce grają główną rolę. Czy w poszukiwaniu miłości wolno wszystko?

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomięjski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza, modelka i celebrytka – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądania kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...?

Aneta Rzepka: KIESZENIE PRZESZŁOŚCI

Kornelia i Ola pochodzą z dwóch różnych światów, ale obie zostały boleśnie zranione i dlatego doskonale się rozumieją. Trudne, nierzadko traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa sprawiają, że przyjaciółki nie zawsze podejmują słuszne decyzje. Zachowują się dziwnie i niejednoznacznie. Nie są ani dobre, ani złe. Próbują być sobą, ale najpierw muszą siebie odnaleźć.

Kornelia uważa, że „samotność jest do bani”. Dlatego tkwi w związku opartym na przemocy – z chłopakiem, którego nie kocha. Bo nie umie kochać. A raczej boi się miłości, która odsłania w człowieku najsłabsze punkty i czyni go podatnym na zranienie.

Ola ma dwie twarze: jest szaloną dziewczyną pragnącą dobrze się bawić i poważną panią prezes zarządzającą rodzinną firmą. Seks bez zobowiązań oraz balansowanie na granicy ryzyka pozwalają jej utrzymać niezbędną równowagę psychiczną. Tylko tak potrafi odreagować stres.

Mężczyźni, którzy pojawiają się w życiu tych dwóch młodych kobiet, również niosą w kieszeniach sporo niełatwych doświadczeń...

Czy Ola i Nela odważą się być sobą, czy sięgną po marzenia, czy odnajdą miłość i czy jej nie stracą?

Żywe dialogi, barwne postaci, wartka akcja oraz wplątana w fabułę nić tajemnicy sprawiają, że „Kieszenie przeszłości” czyta się z zapartym tchem. Zarezerwujcie sobie czas, bo jak zaczniecie czytać, nie będziecie mogli przestać.

Przypisy:

1 Julian Barnes – *Pod słońce* w tłumaczeniu Tomasza Bieronia, Zysk i S-ka Poznań, 1994.

2 Iris Murdoch, *Jednorożec*, w tłumaczeniu Zuzanny Naczyńskiej, Rebis, Poznań 1999.

3 Ibidem.

4 Ibidem.

5 Ibidem.

6 *Mądrość Syracha, Eklezjastyk z Biblii Tysiąclecia*, w tłumaczeniu Biblistów Polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.

7 *Jestem chora. Przykro mi, proszę pani.*

8 *Chwileczkę, proszę poczekać!*

9 *Miłość. Pocałunek. Uścisk. Z chęcią.*

10 *Nieważne!*

11 *Chciałabym...*

12 *Przepraszam panią.*

13 *Nie bój się. Do zobaczenia jutro.*

14 *Przez miłość lub siłą!*